

Danielle Steel

Kalejdoskop

Migotliwy, pierwszy moment życia, niczym w morzu diament roziskrzony w pełnym słońcu, gorejący płomień, nowe imię - jaśniejące światło, maleńki obrót potem i po raz pierwszy nadchodzi ciemna noc, a po niej znowu szczęście bajek i tkliwość kołysanek, serca należące do siebie aż jedno zostanie samotne, od pierwszego brzasku po najgłębszy zmrok, od słońca poranka po sny o zmierniku, fantastyczne plany, i życie, które czasem bieży krętą ścieżką, wielkie nadzieje nagłe zwroty z jasności w ciemność z ponizienia w wielkość, z radości w smutek, wieczne oczekiwanie na jutro, na odmianę losu, promyk nadziei... poruszenie ręki - i życie zmienia swój bieg i koleje... a wszystko za sprawą jednego drgnienia kalejdoskopu życia. Część pierwsza: Solange Rozdział 1 Dwudziestego czwartego grudnia 1943 roku na północny wschód od Neapolu padały ulewne deszcze. Sam Walker, szczelnie opatulony w pałatkę, zwinął się w okopie. Miał dwadzieścia jeden lat i nigdy przed wojną nie był w Europie. Przebył piekielną drogę, by ujrzeć ten świat, i zobaczył nawet więcej, niż kiedykolwiek chciał. Przebywał za oceanem od listopada czterdziestego drugiego; do maja czterdziestego trzeciego walczył w północnej Afryce i brał udział w operacji Torch. Uważał, że Afryka jest okropna z tym jej śmiertelnym gorącem, pustynnymi wiatrami i oślepiającymi piaskowymi burzami, sprawiającymi, że oczy stają się czerwone i piekące, a łzy ciągle spływają po policzkach. Lecz to, co się działo tutaj, było jeszcze gorsze. W skostniałych z zimna dłoniach ledwo mógł utrzymać niedopałek, który dostał od kumpla na gwiazdkę. O zapaleniu nie było mowy. Wiatr od gór przenikał człowieka do szpiku kości; była to najgorsza zima, jaką pamiętano we Włoszech. Przynajmniej tak się mówiło. Nagle zatęsknił za upalnym skwarem pustyni. Na Sycylii znalazł się w lipcu z 45 Pułkiem Piechoty, odkomenderowanym do Piątej Armii Clarka; w październiku, po desancie na Sycylię, brał udział w bitwie o Neapol. Potem była bitwa pod Termoli, a teraz, już od dwóch miesięcy, czołgali się przez skały i rowy w kierunku Rzymu. Ukrywali się w przydrożnych stodołach, kradli jedzenie, walczyli ze wszystkimi siłami z Niemcami i przelewali krew za każdy zdobyty centymetr drogi. - Psiakrew! - namokła mu ostatnia zapalka; niedopałek, jego jedyny prezent gwiazdkowy, również. Miał dwadzieścia jeden lat i gdy Japończycy zaatakowali Pearl Harbor, studiował w Harvardzie. Harvard... na myśl o tym roześmiałyby się, gdyby nie był tak bardzo zmęczony. Harvard... z jego wspaniałym życiem i starym kwadratowym dziedzińcem, pełnym promiennych młodych ludzi, tak pewnych, że któregoś dnia będą rządzić światem. Gdyby tylko wiedzieli... trudno teraz uwierzyć, że kiedykolwiek stanowił część tego wszystkiego. Tak cholernie ciężko pracował, by się tam dostać. Zwykły mieszczuch z Somerville, przez całe życie marzył o studiach w Harvardzie. Siostra wyśmiewała się z niego, gdyż ona pragnęła jedynie wyjść za mąż za jakiegoś chłopca ze starszej klasy. Każdy się nadawał, a wielu z nich z pewnością przeszło próbę w łóżku. Trzy lata starsza od Sama, była już rozwódką, gdy po roku różnych dorywczych prac, których się chwycił ukończywszy szkołę średnią, dostał się do Harvardu. Ich rodzice zginęli w wypadku samochodowym podczas wycieczki na Cape Cod, kiedy miał

piętnaście lat. W rezultacie wylądował u Eileen i jej osiemnastoletniego męża. Odszedł na cztery miesiące przed ich rozwodem. Od tego czasu rzadko się widywali. Pojechał pożegnać się z nią w trzy dni po otrzymaniu karty powołania. Pracowała w barze, włosy ufarbowała na blond i ledwo rozpoznał ją w przyćmionym świetle. Z początku wydawała się zażenowana, ale zaraz potem spostrzegł w jej oczach ten sam chytry błysk, który pamiętał i którego zawsze nienawidził. Eileen ciągle wyczekiwała na "faceta na stałe" a jej młodszy brat nigdy nie znaczył dla niej zbyt wiele. - A więc... powodzenia. - Stała w ciemnym kącie baru, wpatrując się w niego z zakłopotaniem, on zaś zastanawiał się, czy powinien pocałować ją na pożegnanie. Zdawało mu się jednak, że chciała jak najszybciej wrócić do pracy i nie miała mu nic więcej do powiedzenia. - Napisz, gdzie cię wysłali. - Tak... naturalnie... trzymaj się ciepło... Żegnając się z nią czuł, że znów ma dwanaście lat, i przypominał sobie wszystko, czego w niej nie lubił. Z trudnością potrafił znaleźć w niej jakąś dobrą cechę. Zawsze wydawali się sobie ludźmi z innych światów, prawie innych planet. Torturowała go w dzieciństwie mówiąc, że był dzieckiem adoptowanym; wierzył w to do czasu, gdy pewnego dnia matka spuściła jej lanie i powiedziała Samowi w swój patetyczny, pijacki sposób, że Eileen kłamała. Eileen kłamała bez przerwy, kłamała na temat wszystkiego i jeśli tylko było to możliwe, obwinała Sama o swoje postęпки, a ojciec jej wierzył. Sam czuł się obco między nimi: wielkim tęgim ojcem, pracującym całe życie na łodzi rybackiej, matką pijącą za dużo i siostrą, która wychodziła na całe noce. Czasami leżał na łóżku i próbował wyobrazić sobie, jak to jest, gdy jest się częścią prawdziwej rodziny, takiej z gorącymi posiłkami na stole i czystą bielizną pościelową... rodziny, być może, z Beacon Hill... spędzającej lato na Cape Cod... rodziny z małymi dziećmi i psami oraz często śmiejącymi się rodzicami. Nie przypominał sobie, by kiedyś widział swych rodziców śmiejących się lub trzymających za ręce, i czasami zastanawiał się, czy kiedykolwiek to robili. Po cichu nienawidził ich za tandetny styl życia i za los, na jaki go skazali. Pragnął czegoś znacznie lepszego. Oni w zamian nienawidzili go za dobre stopnie, błyskotliwy umysł, udział w przedstawieniach szkolnych i za to, co mówił im o innym życiu, innym świecie, innych ludziach. Pewnego razu zwierzył się ojcu, że chciałby studiować w Harvardzie, a ojciec spojrział na niego ze zdziwieniem, jak na kogoś obcego. I rzeczywiście był obcy, obcy dla nich wszystkich. Kiedy w końcu wstąpił do Harvardu, spełniły się jego marzenia, a stypendium, które zdobył, było najwspanialszym prezentem, jaki otrzymał w życiu. A później ten magiczny pierwszy dzień, ukoronowanie długiej i znoјnej pracy, by potem, po trzech miesiącach, wszystko się w jednej chwili skończyło. Deszcz walił w jego przemarznięte dłonie. Nagle usłyszał obok siebie głos. Spojrział przez ramię. - Chcesz ognia? Skinął głową, wyrwany ze swych wspomnień, i ujrzał wysokiego blondyna o niebieskich oczach. Strumienie deszczu spływały mu po policzkach. W tej ulewie każdy wyglądał, jakby płakał. - Tak, dzięki... - Sam uśmiechnął się i przez moment jego oczy rozbłysły jak dawniej. Kiedyś, wieki temu, był duszą każdego towarzystwa; marzył, by zostać motorem napędowym kółka teatralnego w Harvardzie. - Przyjemne Boże Narodzenie, prawda? Mężczyzna uśmiechnął się. Sprawiał wrażenie starszego niż Walker, lecz i Walker wyglądał teraz na starszego niż w rzeczywistości. Po północnej Afryce i kampanii włoskiej wszyscy czuli się staro, a niektórzy nawet tak wyglądali. - Arthur Patterson. - Przedstawił się tak oficjalnie,

że Walker roześmiał się głośno, kiedy nagły poryw wiatru zmiotł ich na brzeg okopu. - Czarujące miejsce, Włochy, no nie? Zawsze chciałem tu przyjechać. Prawdziwie wspaniałe wakacje. - Rozejrzył się wkoło, jakby patrzył na śliczne dziewczęta w kostiumach kąpielowych i plaże z niezliczonymi pięknymi ciałami, a Patterson mimo woli wyszczerzył zęby w uśmiechu i zachichotał. - Jesteś tu długo? - Och, jakieś tysiąc lat. Ostatnie Boże Narodzenie wypadło w Afryce. Cudowne miejsce. Zaprosił nas Rommel. - Z wdzięcznością przyjął ogień od wysokiego blondyna, przypalił peta i zaciągnął się porządnie dwa razy, zanim oparzył sobie palce. Podzieliłby się ze swym nowym przyjacielem, ale nie zdążył, bo deszcz wygasił ostatni centymetr. Spojrzył przepraszająco na swego dobroczyńcę. - A tak w ogóle, nazywam się Sam Walker. - Skąd jesteś? Ze względu na dawne sentymenty chciał powiedzieć, że z Harvardu, lecz zabrzmiałoby to idiotycznie. - Z Bostonu. - Ja z Nowego Jorku. - Tak jakby cokolwiek to znaczyło. Teraz wszystko było nieważne: to tylko nazwy nie istniejących miejsc. Realne były Palermo, Sycylia, Salerno, Neapol i Rzym, ich cel ostateczny, jeśli w ogóle kiedykolwiek tam dotrą. Wysoki blondyn rozejrzył się dookoła, mrużąc oczy przed deszczem i wiatrem. - Byłem prawnikiem, zanim się to wszystko zaczęło. Dawniej takie słowa wywarłyby na Samie wrażenie, ale teraz zarówno to, kim byli, jak i miejsca, skąd pochodzili, były nieistotne. - Ja chciałem być aktorem. - Nie mówił tego prawie nikomu; z pewnością nie rodzicom, ani też później, po ich śmierci, siostrze. Powiedział tylko kilku bliskim przyjaciołom, a i ci śmiali się z niego. Jego nauczyciele zaś mówili, że powinien studiować coś bardziej wartego zachodu. Lecz nikt nie rozumiał, czym było dla niego granie, co działo się z nim, gdy wchodził na scenę. Przeobrażając się w odtwarzaną postać, sięgał, jakby za sprawą magii, w głąb swojej duszy. Znikali zniechęceni rodzice, siostra, która była mu wstrętna, a razem z nimi wszystkie jego obawy i wahania. Zdawało się jednak, że nikt tego nie rozumie. Nawet w Harvardzie. Jego absolwenci nie byli aktorami: byli lekarzami, prawnikami, biznesmenami, prezesami korporacji i fundacji, ambasadorami... Zaśmiał się cicho do siebie. Z pewnością był teraz ambasadorem jak diabli, z karabinem w ręku, ze stałe nastawionym bagnetem, by w każdej chwili móc patroszyć swych wrogów, co było jego częstym zajęciem w tym roku. Zastanawiał się, ilu ludzi zabił Patterson i co czuł teraz, ale takiego pytania nie zadaje się nikomu. Każdy po prostu musi żyć ze swoim sumieniem i pamięcią wykrzywionych twarzy i zdziwionych oczu, kiedy wyciąga się z człowieka bagnety i wyciera z krwi o ziemię... Popatrzył na Arthura Pattersona oczami starego człowieka; ciekaw był, czy któryś z nich dożyje następnego Bożego Narodzenia. - Dlaczego chcesz zostać aktorem? - Hm? - Zaskoczyło go poważne spojrzenie tamtego, kiedy sadowili się na wystającej z błota skale, a pod ich stopami woda w okopie marszczyła się pod uderzeniami strug deszczu. - Ach, to... Boże, nie wiem... granie wydaje mi się niezłym zajęciem. - Ale chodziło o coś znacznie, znacznie więcej; tylko wtedy, gdy grał, czuł się zdrowy, silny i pewny siebie. Nie mógł jednak powiedzieć tego temu facetowi. Rozmowa o marzeniach w Wigilię spędzaną w okopie wydawała mu się śmieszna. - Byłem w chórze w Princeton. - Ich rozmowa była absurdalna i Walker roześmiał się. - Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jakimi jesteśmy wariatami? Rozmawiać o chórach, kółkach dramatycznych i Princeton w tym cholernym okopie? Mówię ci, że chciałbym zostać aktorem, a możemy nie dożyć nawet następnego

tygodnia... Nagle zachciało mu się płakać. To było tak cholernie straszne, a jednocześnie tak realne, że mógł tego dotknąć i powąchać. Przez ostatni rok nie wahał niczego oprócz śmierci i był już od tego chory. Wszyscy oni byli chorzy, podczas gdy generałowie planowali natarcie na Rzym. Kto by zresztą troszczył się o cholerny Rzym? Czy Neapol lub Palermo? O co walczyli? O wolność Bostonu, Nowego Jorku i San Francisco? Przecież one były wolne, ludzie tam chodzili do pracy, na tańce, do kina. Co, u diabła, wiedzieli o tym wszystkim? Nic. Absolutnie, cholernie nic. Walker spojrzął na wysokiego blondyna i pokręcił głową. Jego oczy pełne były mądrości i smutku, nagły śmiech wyparował. Chciał pojechać do domu, do kogokolwiek... nawet do siostry, która nie napisała do niego ani razu, odkąd wyjechał z Bostonu. Sam wysłał do niej dwa listy i uznał, że nie warto się więcej fatygować. Myśl o niej zawsze wprawiała go w złość. Przez wszystkie te lata, gdy był dzieckiem, potem nastolatkiem, czuł się przy niej nieswojo. Tak samo działali na niego matka i otępiały, małomówny ojciec. Nienawidził ich wszystkich, a teraz był tu sam z nieznanym, który występował w chórze w Princeton, i już zaczynał go lubić. - Gdzie chodziłeś do szkoły? - Patterson desperacko starał się trzymać przeszłości, wspominać dawne czasy, jakby myślenie o nich mogło przenieść ich tam z powrotem, lecz Walker wiedział, że to niemożliwe. Teraźniejszość była tu, w brudzie, w marznącym deszczu, w okopach. Walker spojrzął na Arthura z krzywym uśmiechem, marząc o papierosie, takim prawdziwym, a nie nędznym centymetrze czyjś niedopałka. Harvard! W Harvardzie miał prawdziwe papierosy, kiedy tylko zechciał. Lucky Strikes. Na myśl o nich prawie rozpląkał się z tęsknoty. Patterson wydawał się poruszony. - Chcesz zostać aktorem? Walker wzruszył ramionami. - Tak mi się wydaje... specjalizowałem się w literaturze angielskiej. Pewnie bym skończył w jakiejś szkole ucząc i wystawiając przedstawienia dla zasmarkanych gówniarzy. - To wcale nie jest złe życie. Chodziłem do St. Paul, mieliśmy tam niezłe kółko dramatyczne. - Walker popatrzył na niego ze zdziwieniem, jakby zastanawiając się, czy Patterson istnieje naprawdę... Princeton, St. Paul... co oni tu, do cholery, robili? Każdy z nich?... Szczególnie ci, co zginęli. - Jesteś żonaty? - Nagle Walker zaczął wypytywać Arthura niczym Święty Mikołaj, zanim rozda podarki. Wydawali się tak różni, pod każdym względem, a jednak coś ich chyba łączyło. Arthur pokręcił głową. - Byłem zbyt zajęty karierą. Pracowałem dla firmy prawniczej w Nowym Jorku. Osiem miesięcy, zanim się zaciągnąłem. Miał dwadzieścia siedem lat, jego oczy były poważne i smutne, Walkera zaś iskrzyły się dowcipem. Włosy Sama były czarne, Arthura jasne. Sam był średniej budowy, miał potężne ramiona i długie, jak na swój wzrost, nogi. Miał też tę wewnętrzną energię, której brakowało Arthurowi. Wszystko, co wiązało się z Arthurem Pattersonem, było bardziej powściągliwe, wyczekujące, spokojne. Ale Sam był także młodszy. - Mam siostrę w Bostonie, jeśli jeszcze nie dała się zamordować jakiemuś facetowi w barze. - To dzielenie się informacjami o sobie wydawało się ważne, tak jakby mogli nie mieć następnej szansy, by dać się komuś poznać. Obaj chcieli, żeby ktoś ich poznał, zanim zginą, chcieli się zaprzyjaźnić, pragnęli, by o nich pamiętano. - Nigdy nie zgadzaliśmy się ze sobą. Pojechałem zobaczyć się z nią przed wyjazdem, lecz nie napisała do mnie ani razu. A ty? Siostry? Bracia? Arthur uśmiechnął się po raz pierwszy. - Jestem jedynym dzieckiem dwojga jednaków. Mój ojciec zmarł, gdy byłem w szkole, a matka nigdy już nie wyszła

za mąż. Nie jest jej lekko. Widzę to z listów. - Nie wątpię. - Walker pokiwał głową, próbując wyobrazić sobie matkę Arthura: wysoką, szczupłą kobietę o białych, niegdyś blond włosach. Prawdopodobnie pochodziła z Nowej Anglii. - Moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym, gdy miałem piętnaście lat. - Nie powiedział Arthurowi, że wcale wtedy nie cierpiał, ani tego, że ich nienawdził. Nie powiedział mu też, że nigdy go nie rozumieli. Teraz brzmiałoby to zbyt ckliwie, poza tym nie miało już znaczenia. - Nie wiesz, gdzie nas stąd wyślą? - Czas znów pomyśleć o wojnie, nie ma sensu zbyt długo rozwodzić się nad przeszłością. Nic by to nie dało. Rzeczywistość istniała tutaj, na północny wschód od Neapolu. - Wczoraj słyszałem coś o Cassino, za górami. Powinniśmy mieć niezłą zabawę, nim tam dotrzemy. - Będzie też inny powód do zmartwień - śnieg, a nie, jak teraz, deszcz. Walker zastanawiał się, jakie jeszcze tortury mieli dla nich w zapasie generałowie, aktualni panowie ich życia. - Sierżant wczoraj wieczorem wspominał o Anzio, to na wybrzeżu. - Wspaniale. - Walker uśmiechnął się kwaśno. - Może będziemy mogli popływać. Arthur Patterson uśmiechnął się; polubił tego wygadanego chłopaka z Bostonu. Pod goryczą zrodzoną przez wojnę wyczuwało się bez troskę i inteligencję. A poza tym można było z nim porozmawiać. Dla Arthura wojna była straszna z wielu powodów. Rozpieszczony w dzieciństwie, jako młody chłopak otoczony był przesadną troską, szczególnie po śmierci ojca, gdy wychowywała go całkowicie zaślepiona matka. Wojna spadła na niego jak brutalny cios. Nigdy w swym dotychczasowym życiu nie zaznał żadnych niewygód, nigdy też nie czuł się zagrożony, od przyjazdu zaś do Europy spotykały go wyłącznie niewygody i zagrożenia. Podziwiał Sama, że tak dobrze to znosił. Walker wyciągnął przydziałowe porcje, zaoszczędzone na bożonarodzeniowy poczęstunek, i otworzył je z grymasem obrzydzenia na twarzy. Cukierki oddał już jakimś miejscowym dzieciakom. - Masz ochotę na świątecznego indyka? Sos jest trochę tłusty, ale kasztany wyborne. Szerokim gestem podsunął mu skromną puszkę i Arthur roześmiał się. Podobało mu się w nim wszystko. Wyczuwał instynktownie, że Walker ma ten rodzaj odwagi, której jemu brakowało. On chciał tylko przeżyć, wrócić do domu, do ciepłego łóżka, czystej pościeli i długonogich blondynek studiujących w Wellesley lub Vassar. - Dziękuję, już jadłem. - Mmm... - Walker mruczał tak wymownie, jakby jadł co najmniej bażanta. - Bajeczna kuchnia, co? Nie zdawałem sobie sprawy, że jedzenie we Włoszech jest aż tak dobre. - Co jest, Walker? - Idący okopem nisko pochylony żołnierz zatrzymał się i podniósł głowę. Był sierżantem w tej kompanii. Właściwie nie miał z Samem problemów, wołał jednak nie spuszczać go z oka, bo ten w gorącej wodzie kąpany chłopak już nieraz głupio ryzykował swoje życie. Patterson to inna historia: bez charakteru i za bardzo wykształcony. - Macie jakiś problem? - Nie, sierżancie. Mówiłem właśnie, że mamy tu wspaniałe jedzenie. Ma pan ochotę na gorącą grzanekę? - Wyciągnął opróżnioną do połowy puszkę. - Przestań, Walker - burknął sierżant. - Nie przyjechałeś tu na przyjęcie. - Do diabła, musiałem złe odczytać zaproszenie. - Sam nie przestraszył się stopnia ani groźnego spojrzenia sierżanta, roześmiał się i skończył swoją porcję. Sierżant przesunął się obok nich w ulewnym deszczu i spojrzął przez ramię. - Panowie, jeśli wasz bogaty program towarzyski na to pozwoli, jutro się przenosimy. - Zrobimy, co będziemy mogli, sierżancie... co tylko będziemy mogli! Sierżant, uśmiechając się mimo woli, ruszył dalej,

a Arthur Patterson zadrzał. Sierżant podziwiał łatwość, z jaką Walker śmiał się i sprawiał, że inni też się śmiali. Wszyscy teraz desperacko tego potrzebowali. Wiedział, że mają przed sobą ciężkie chwile. Może nawet Walker nie będzie się śmiał. - Odkąd tu jestem, ten facet daje mi popalić - poskarżył się Arthur. - To część jego uroku - wymamrotał Sam grzebiąc po kieszeniach w poszukiwaniu jakiegoś zapodżianego peta. I wtedy Arthur, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wyciągnął prawie całego papierosa. - Mój Boże, człowieku, skąd to masz? - Oczy Sama rozszerzyły się z pożądania, kiedy Arthur podał mu zapalonego papierosa. - Nie widziałem takiej ilości tytoniu od zeszłego tygodnia, kiedy zabrałem papierosa zabitemu Niemcowi. Arthur wzdrygnął się na samą myśl o tym, lecz wiedział, że Walker był do tego zdolny. Po części była to gruboskórność młodości, po części zaś odwaga, którą miał Sam Walker. Emanowała z niego nawet wtedy, gdy siedział spokojnie w okopie, opowiadał głupie dowcipy lub rozprawiał o Harvardzie. Tej nocy spali zwinięci obok siebie. Następnego dnia deszcz trochę zelżał. W drobnej potyczce zdobyli stodołę, gdzie spędzili noc, a w dwa dni później skierowali się w stronę rzeki Volturno. Był to brutalny marsz, który przypłaciło życiem ponad dwunastu ludzi. Sam i Arthur byli już wtedy serdecznymi przyjaciółmi. Sam dosłownie włókł, a w końcu prawie niósł Arthura, kiedy ten przysięgał, że nie zrobi już ani jednego kroku więcej. Sam także uratował go przed snajperską kulą. Kiedy natarcie na Nettuno i Anzio nie powiodło się, główny ciężar przełamania niemieckich linii w kierunku na Cassino spadł na dywizję Sama i Arthura. W tym czasie Arthur został ranny, kula trafiła go w ramię. Z początku Sam myślał, że Arthur nie żyje. Kiedy odwrócił się w jego stronę, usłyszawszy świst pocisku, Arthur już leżał; klatkę piersiową miał całą zakrwawioną, a oczy szkliste. Rozerwawszy mu koszulę, Sam odkrył, że rana nie jest ciężka. Przeniósł go za linię walki do punktu medycznego i został tam tak długo, aż się upewnił, że przyjacielowi nic nie grozi. Dopiero wtedy wrócił na pole bitwy i walczył do ostatecznego odwrotu; była to, dla nich wszystkich przygnębiająca próba sił. Następne cztery miesiące były koszmarem. W sumie pod Anzio straciło życie pięćdziesiąt dziewięć tysięcy ludzi. Wśród nieustającego deszczu kierowali się na północ, do Rzymu, a Sam i Arthur czuli się tak, jakby czołgali się przez każdy centymetr błota i śniegu we Włoszech. Arthur szybko powrócił do zdrowia i Sam był szczęśliwy, że ma go znów obok siebie. Jeszcze zanim Arthur został ranny, połączyła ich więź, o której żaden z nich nie mówił, choć obydwaj głęboko ją odczuwali. Wiedzieli, że była to przyjaźń, która przetrwa próbę czasu; przeżyli razem piekło, a to było coś, czego żaden z nich nigdy nie zapomni. Znaczyła dla nich więcej niż cokolwiek z ich przeszłości, a teraz sądzili nawet, że więcej niż wszystko, co zdarzy się w przyszłości. - Dalej, Patterson, rusz swój ciężki tyłek. - Odpoczywali właśnie w przerwie forsownego marszu na wojska Mussoliniego w dolinie na południe od Rzymu. - Sierżant mówi, że wyruszamy za pół godziny. - Patterson jęknął tylko nie ruszając się z miejsca. - Ty leniwy pryku, nie musiałeś nawet walczyć pod Cassino. - W czasie rekonwalescencji Arthura zmagali się o Cassino i walczyli tak długo, aż całe miasto legło w gruzach. Dym był tak gęsty, że dopiero po wielu godzinach można było stwierdzić, że z olbrzymiego klasztoru nie pozostał kamień na kamieniu. Od tej pory nie było już większych bitew, tylko ciągle potyczki z Niemcami i Włochami. Od czternastego maja znów wzmogli swe wysiłki, by razem z 8 Armią przeprawić się przez dwie rzeki - Garigliano i Rapido. Tydzień

później wszyscy ludzie byli kompletnie wykończeni. Arthur wyglądał tak, jakby mógł spać przez tydzień, gdyby tylko Sam mu pozwolił. - Wstawaj, człowieku, wstawaj. - Sam trącił go butem. - A może czekasz na zaproszenie od Niemców? Arthur spojrzał na niego marząc, by mógł jeszcze chwilę się zdrzemnąć. Jego rana nadal dawała znać o sobie i męczył się znacznie szybciej niż Sam. Ale przedtem też tak było. Sam był po prostu niezmordowany. Arthur tłumaczył to sobie tym, że był młodszy. - Lepiej uważaj, Walker, mówisz jak sierżant. - Macie jakiś problem, panowie? - Sierżant zawsze pojawiał się w najmniej oczekiwanych momentach. Miał chyba szósty zmysł, dzięki któremu wyczuwał, kiedy jego ludzie mówili o nim, i to niezbyt pochlebnie. Jak zwykle, zaszedł ich od tyłu; Arthur wygramolił się szybko i stanął na równe nogi z miną winowajcy. Ten człowiek miał niesamowity talent do przyłapywania go w sytuacjach, gdy nie prezentował się zbyt dobrze. - Znów odpoczywasz, Patterson? - Cholera, nie było sposobu, żeby zadowolić tego człowieka. Maszerowali całymi tygodniami, lecz sierżant, podobnie jak Walker, nigdy nie wydawał się zmęczony. - Wojna prawie się kończy, więc jeśli możesz, nie śpij, a zobaczysz, jak ją wygrywamy. - Sam uśmiechnął się szeroko, a zrządzający sierżant spojrzał na niego ze zdziwieniem. Między tymi dwoma istniał rodzaj porozumienia i wzajemny szacunek, czego Arthur nie był w stanie zrozumieć. Dla niego sierżant był sukinsynem do szpiku kości, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że Walker w skrytości ducha go lubił. - Ty też, Walker, planujesz sobie drzemkę dla urody, czy może uda wam się pozbierać na tyle szybko, że dołączycie do nas w Rzymie? - Spróbujemy, sierżancie... spróbujemy. - Sam uśmiechnął się słodko, gdy sierżant ryknął nad jego głową. - Wyyymaaarsz...!!! - Pośpieszył na czoło, by pobudzić innych, i w dziesięć minut później znów kierowali się na północ. Arthurowi wydawało się, że maszerowali bez chwili odpoczynku, aż wreszcie czwartego czerwca, śmiertelnie wyczerpani, nie mogąc wprost ustać na nogach, znalazł się na Piazza Venezia w Rzymie, obrzucany kwiatami i obcałowywany przez piszczące Włoszki. Wszędzie słychać było śmiech i hałas, śpiewy i krzyki jego kolegów i Sama, który, z tygodniowym zarostem na twarzy, wykrzykiwał ze szczęścia do Arthura i wszystkich dokoła: - Udało się! Udało się! Udało się! Walker miał w oczach łzy radości. Miały je również kobiety, które go całowały: grube i chude, stare i młode, kobiety w czerni i w łachmanach, w fartuchach i tekturowych butach. Kobiety, które w innych czasach byłyby piękne, ale nie teraz, po spustoszeniach dokonanych przez wojnę. Dla Sama jednak wszystkie wyglądały pięknie. Jedna z nich włożyła duży żółty kwiat w lufę jego karabinu, a Sam trzymał ją w ramionach tak długo, że Arthur poczuł się zażenowany. Tego wieczoru kolację jedli razem z setką innych żołnierzy i włoskimi kobietami w jednej z małych trattorii, które dla nich otwarto. Był to festiwal wzruszenia, jedzenia i pieśni; przez kilka godzin wydawał się hojną nagrodą za męczarnie będące ich udziałem. Prawie zapomnieli o błocie, brudzie, deszczu i śniegu. Po trzech tygodniach hulanki w Rzymie sierżant poinformował ich, że się przenoszą. Część ludzi zostawała w Rzymie, lecz nie dotyczyło to Arthura i Sama. Znaleźli się wśród tych, którzy mieli dołączyć do I Armii Bradleya koło Coutances we Francji. Przez jakiś czas wmawiali sobie, że nie będzie to trudne zadanie. Było wczesne, ciepłe lato, ich droga wiodła przez piękne okolice Włoch i Francji i wszędzie witały ich kobiety, choć czasem spotykali też niemieckich snajperów. Tym razem to sierżant uratował kryjówkę

Sama, który w dwa dni później, jakby w rewanżu, powstrzymał cały pluton przed wpadnięciem w pułapkę. Do połowy sierpnia armia niemiecka była już w pełnym odwrocie, ich marsz nie był zatem, ogólnie rzecz biorąc, trudny. Mieli za zadanie przedrzeć się przez Francję, dołączyć do francuskiej dywizji generała Leclerca i ruszyć na Paryż. Kiedy ta wieść przeszła przez szeregi, Sam i Arthur świętowali po cichu. - Paryż, Arthurze... ty sukinsynu! Zawsze chciałem tam pojechać. - Sam zachowywał się tak, jakby zaproszono go do Ritza, a wieczory miał spędzać w Operze i Folies-Bergere. - Nie rób sobie dużych nadziei, Walker. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale toczy się wojna. Możemy nie dożyć Paryża. - Właśnie to tak w tobie kocham, Arthurze. Zawsze tryskasz optymizmem i radością. Nic nie mogło ostudzić zapału Sama. Jedyną rzeczą, o jakiej mógł myśleć, był Paryż, ten Paryż, o którym czytał i marzył przez lata. W jego wyobraźni nic tam się nie zmieniło, wszystko, o czym śnił, czekało na niego i Arthura. Nie mówił o niczym innym, gdy maszerowali przez miasta i wsie rozentuzjasmowane końcem czteroletniej okupacji. Sama opętało marzenie jego życia. Nawet wzruszenie Rzymem poszło w zapomnienie. Przez następne dwa dni walczyli o drogę do Chartres, a Niemcy metodycznie wycofywali się w kierunku Paryża, jakby prowadząc ich do celu. Lecz Arthur był pewien, że zastaną miasto całkowicie zniszczone. - Jesteś wariat. Ktoś ci to już mówił, Walker? Szaleniec. Kompletnie nienormalny. Zachowujesz się, jakbyś jechał na wakacje. - Arthur spoglądał na Sama pełen niedowierzania gdy ten, w przerwach między zabijaniem Niemców, mówił wciąż o Paryżu. Z podniecenia zapominał nawet rewidować ich kieszenie w poszukiwaniu papierosów. Marzenie Sama spełniło się wczesnym rankiem dwudziestego piątego sierpnia. Ich wkroczeniu do Paryża towarzyszyła przedziwna cisza i oczy mieszkańców, przyglądających im się ze wszystkich okien. Nie przypominało to w niczym triumfalnego marszu w Rzymie. Tutaj ludzie byli wystraszeni, ostrożni, ociągali się z opuszczaniem swych domów i kryjówek. Dopiero później, jeden po drugim, zaczęli wychodzić i nagle były okrzyki, uściski i łzy, tak samo jak w Rzymie, tylko trwało to trochę dłużej. O drugiej trzydzięci tego popołudnia generał von Choltitz poddał się i Paryż został oficjalnie wyzwolony przez aliantów. Kiedy cztery dni później, dwudziestego dziewiątego, maszerowali wzdłuż Champs-Elysees w zwycięskiej defiladzie, Sam płakał bez skrępowania idąc obok swych kolegów. Myśl o tym, jak daleko zaszli i jak wiele osiągnęli wyzwalając Paryż jego marzeń, wstrzymywała mu oddech. A krzyki ludzi stojących wzdłuż ulic sprawiały, że płakał jeszcze bardziej, gdy oddziały maszerowały od Łuku Triumfalnego do katedry Notre-Dam na mszę dziękczynną. Sam zdał sobie sprawę, że nigdy w życiu za nic nie był tak wdzięczny jak teraz za to, że przeżył wojnę i przybył do tego niezwykłego miasta, by przynieść wolność jego ludowi. Gdy po mszy wzruszeni wychodzili z katedry, postanowili przespacerować się wzdłuż rue d'Arcole. Resztę popołudnia mieli wolną i przez chwilę Sam nie mógł sobie nawet wyobrazić, co chciałby robić. Miał ochotę po prostu spacerować, napić się czegoś i uśmiechać do ludzi. Zatrzymali się w małym bistro na rogu. Od żony właściciela, która ucałowała ich w oba policzki, dostali po filiżance dymiącej kawy z cykorii i talerzyk małych herbatników. Kiedy chcieli już wyjść, nie pozwoliła im zapłacić, mimo iż mocno nalegali. Arthur mówił trochę po francusku, lecz Walker mógł jedynie wyrazić swoją wdzięczność gestem i ponownie pocałował kobietę. Wiedzieli aż nazbyt dobrze, że ludzie

nie mieli co jeść, więc podarunek w postaci talerzyka herbatników był jak sztaby złota ofiarowane nieznanemu. Opuszczając bistro Sam nie mógł wymówić słowa ze wzruszenia. A może wojna nie była taka zła? Może warto było? Miał dwadzieścia dwa lata i czuł się tak, jakby podbił świat, a przynajmniej tę jego część, która naprawdę się liczyła. Arthur uśmiechał się do niego, gdy szli ulicą. Z jakiegoś powodu Rzym wzruszał go bardziej. Być może dlatego, że spędził tam trochę czasu przed wojną, Rzym był zawsze dla niego miejscem specjalnym, takim jak Paryż dla Sama, choć ten nigdy przedtem tu nie był. - Nawet nie chcę wracać do domu, wyobrażasz sobie, Patterson? Brzmi to idiotycznie, prawda? - Kiedy to mówił, spostrzegł młodą kobietę idącą przed nimi; od tej chwili przestał zwracać uwagę na słowa Arthura. Miała płomienne rude włosy, związane w węzeł u nasady karku, a na sobie granatową sukienkę z krepy, tak starą i wyświeconą, że ukazywała wszystkie wspaniałe wypukłości jej sylwetki. Głowę nosiła wysoko, jakby dając do zrozumienia, że niczego nie zawdzięcza innym. Przeżyła okupację niemiecką, a teraz nic nikomu nie była winna, nawet Amerykanom czy aliantom, którzy wyzwolili Paryż. O wszystkim, co czuła, mówiła jej wyprostowana dumnie sylwetka. Sam pożerał oczami kształtne nogi i kołyszące się biodra. Rozmowa z Arthurem urwała się. - ...nieprawdaż? - spytał Arthur. - Co takiego? - Walker nie mógł skoncentrować się na tym, co mówił Arthur. Widział tylko rude włosy, szczupłe ramiona i dumny sposób poruszania się. Zatrzymała się na rogu, potem przeszła przez most na Sekwanie i skręciła w Quai de Montebello, Sam zaś bezwiednie podążył za nią. - Dokąd idziesz? - jeszcze nie wiem. - Jego napięty głos i skupione spojrzenie niebieskich oczu zdawały się mówić, że stanie się coś strasznego, jeśli choć na moment straci ją z oczu. - Co robisz? - Hmm?... - Spojrzał przelotnie na Arthura i przyśpieszył kroku, obawiając się najwyraźniej, że zgubi dziewczynę. I wtedy nagle Arthur również ją dostrzegł. Popatrzył na nią akurat w momencie, gdy obejrzała się za siebie, jakby wyczuwając ich za sobą. Miała twarz jak z kamei, o kremowobiałej karnacji, delikatnych rysach i ogromnych zielonych oczach, które przeszywały ich obu, jednego po drugim. Jej wzrok spoczął w końcu na Samie, ostrzegając go, by trzymał się z daleka. Na moment Sama sparaliżowało jej gniewne spojrzenie i niemożność porozumienia się po francusku. Ale gdy znów ruszyła, podążył za nią z jeszcze większą determinacją. - Czy kiedykolwiek widziałeś taką twarz? - spytał Arthura nie patrząc na niego. - Ona jest najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu spotkałem. Każdy zwracał na nią uwagę, bo otaczała ją jakaś aura; miała też w sobie siłę dającą się wyczuć nawet z daleka. Nie należała do tych dziewczyn, które dawały żołnierzom kwiaty lub rzucały się im na szyję. Była kobietą, która przeżyła wojnę i nie miała zamiaru nikomu za to dziękować. - Jest ładna - przyznał Arthur i od razu pojął, jak nieodpowiednie były jego słowa; mimo to żenowała go zawzięta pogoń Sama za tą dziewczyną. - Nie wydaje mi się, by była zadowolona, że za nią idziemy. - Arthur określił sytuację niezwykle delikatnie. - Odezwij się do niej. - Zdawało się, że Walker, w miarę jak odległość między nimi zmniejszała się, stawał się coraz bardziej nią zauroczony. - Zwiariowałeś? Trudno powiedzieć, by przed chwilą spojrzała na nas po przyjacielsku. - Stojąc na chodniku bezradnie obserwowali, jak znika w sklepie. - Co teraz? - Arthura pościg za tą kobietą po ulicach Paryża wyraźnie wprawiał w zakłopotanie. - Poczekamy tu na nią. Zaprosimy ją na kawę. - Walkerowi nagle

zamarzyło się, że ten talerzyk herbatników zachował dla niej. Jej bardzo szczupła sylwetka wskazywała na to, że prawdopodobnie nie jadła czegoś takiego od lat. Poza tym był przekonany, że zasługiwała na to bardziej od niego. On tylko czołgał się w brudzie przez północną Afrykę i Włochy, maszerował na kolanach przez Francję. Psiakrew, cóż to było w porównaniu z przeżyciem niemieckiej okupacji, szczególnie dla kobiety. Nagle zapragnął uchronić ją przed tym wszystkim, przez co musiała przejść i co mogłoby przytrafić się jej teraz, kiedy tysiące oddziałów alianckich szalało po Paryżu. Wyłoniła się ze sklepu niosąc w koszyku dwa jaja i bochenek chleba. Zobaczywszy, że na nią czekają, spojrzała na nich z wyraźną złością. Jej oczy płonęły, gdy zwróciła się wprost do Sama, lecz on nie rozumiał, co mówiła, i szybko poprosił Arthura o przetłumaczenie. - Co powiedziała? - Najwyraźniej nie była dla niego miła, ale nie dbał o to. Walker nigdy dotąd tak się nie zachowywał. W Rzymie i wszędzie, gdzie byli, nie wykraczał poza kilka pocałunków, uścisków czy uszczypnięć. Ale teraz to było coś nowego i Arthur nie był wcale pewny, czy mu się to podoba. - Mówi, że jeśli zbliżymy się do niej choćby o krok, pójdzie do naszego dowódcy i powie, żeby nas aresztował. I jeśli mam być szczery, Walker, myślę, że ona to robi. - Powiedz jej, że jesteś generałem. - Sam uśmiechnął się; wydawało się, że w miarę jak opuszczała go desperacja, odzyskiwał zimną krew i dobry humor. - Boże... powiedz, że ją kocham. - Czy mam przy okazji zaproponować jej tabliczkę czekolady i jedwabne pończochy? Na Boga, Sam, oprzytomniej i daj tej dziewczynie spokój. - Gdy to mówił, weszła do innego sklepu. Walker najwyraźniej nie zamierzał odejść. - Chodź... - Arthur daremnie próbował nakłonić go, by sobie poszli. Wyszła ze sklepu, gdy wciąż jeszcze się spierali. Tym razem podeszła do nich i przystanęła tuż obok. Walker, wstrząśnięty bliskością jej ciała, miał wrażenie, że zaraz zemdleje. Chciał wyciągnąć rękę i dotknąć jej kremowej skóry, podczas gdy ona wściekała się na nich w swym ubogim angielskim. - Wynoście się! Wracajcie! Odejdźcie! - krzychała, i mimo dziwnego doboru słów zrozumieli, co chciała im przekazać. Zdawało się, że chce ich spoliczkować, szczególnie Arthura, jakby oczekiwała od niego więcej rozsądku. - C'est compris? - Nie... - Sam natychmiast wdał się w nerwową konwersację. - No compris... Nie mówię po francusku... jestem Amerykaninem... Nazywam się Sam Walker, a to jest Arthur Patterson. Chcieliśmy się jedynie przywitać i... - Posłał jej jeden ze swoich najbardziej uwodzicielskich uśmiechów, lecz w jej oczach wyczytał jakąś ranę i gniew; uczucia, których nie rozumiał, nigdy nie odczuł i nie doświadczył. Bardzo jej współczuł. - Non! - machała rękami w ich kierunku. - Merde! Voila! C'est compris? - Merde? - Sam zmieszał się i zwrócił do Arthura. - Co to jest merde? - To znaczy "gówno". - Bardzo przyjemnie. - Walker uśmiechnął się, jakby zaprosiła ich na herbatę. - Czy zechciałaby pani wypić z nami filiżankę kawy?... cafe? - Wciąż uśmiechał się do niej, mówiąc jednocześnie do Arthura. - Chryste, Patterson, jak mam ją zaprosić na kawę? Powiedz coś do niej, proszę! - Je m'excuse... - rzekł przepraszająco Arthur. Próbował odgrzebać w pamięci francuski, którego uczył się w szkole, ale przy tej niewiarygodnie pięknej kobiecie niewiele mógł sobie przypomnieć. Walker miał rację, była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. - Je regrette... mon ami est tres excite... voulez-vous un cafe? - wydusił w końcu z siebie. Nagle również zapragnął, by nie odchodziła. Ale ona w odpowiedzi wybuchnęła oburzeniem. -

Quel sacre culot... bande de salopards... allez-vous faire. - Ze łzami w oczach potrzęsnęła głową i szybko ich minęła. Wracała tą samą drogą, którą przyszła, i choć głowę miała teraz spuszczoną, ramiona wciąż były dumnie wyprostowane. Szła szybko w swych, jak zauważyli, zniszczonych i za dużych butach, które, podobnie jak sukienka, należały pewnie do jej matki. - Co powiedziała, Arthurze? - Walker znów za nią szedł, starając przedrzeć się przez tłum żołnierzy, który nagle wyłonił się nie wiadomo skąd. - Chyba chciała nam powiedzieć, żebyśmy poszli do diabła, nie bardzo zrozumiałem resztę. Myślę, że to było argot. - Co to jest? Jakiś dialekt? - zmartwił się Walker. Francuski był dla niego wystarczająco skomplikowany, nie potrzebował jeszcze dialektów. Ale bardziej niepokoiło go, że mogliby ją zgubić w tłumie wypełniającym ulicę. - To paryski slang. Wpadła w krótką uliczkę, rue des Grands-Degres. Nagle zatrzymała się i zniknęła w jakimś domu, głośno zatraskując za sobą drzwi. Walker przystanął i uśmiechnął się triumfująco. - Czemu jesteś taki zadowolony? - spytał Arthur. - Wiemy teraz, gdzie mieszka. Reszta będzie już prosta. - Skąd wiesz, że nie przyszła kogoś odwiedzić? - Ogrom pasji Walkera fascynował Arthura. On sam nigdy czegoś podobnego nie odczuwał, ale też nigdy nie spotkał kogoś takiego jak ona. Była naprawdę śliczna. - Wyjdzie wcześniej czy później. Musi wyjść. - A ty zamierzasz tu stać i czekać na nią cały dzień? Walker, jesteś szalony! - Arthur z przerażeniem pokręcił głową. Nie zamierzał spędzać czasu w Paryżu na szwendaniu się przed domem jakiejś dziewczyny... dziewczyny, która najwyraźniej nawet nie chciała z nimi rozmawiać, podczas gdy tysiące innych z rozkoszą okazałyby im swą wdzięczność i oddanie. - Nie mam zamiaru stać tu cały dzień, na Boga... jeśli myślisz... - Walker nie wyglądał na zakłopotanego. - Więc idź. Zobaczymy się później. W tej kawiarni, gdzie piliśmy kawę. - A ty będziesz tu czekał? - Zrozumiałeś. - Zapalił papierosa i szczęśliwy oparł się o ścianę budynku, w którym, jak przypuszczał, mieszkała. Myślał, by wejść do środka, ale zrezygnował... może później. W końcu chyba znów wyjdzie... a on będzie czekał. Arthur stał na chodniku wściekając się i bezskutecznie próbując namówić Sama na bardziej twórczy sposób spędzenia wolnego czasu, ale ten nie zamierzał odejść. W końcu Arthur, całkiem zirytowany, poddał się i postanowił powalęsać się z przyjacielem, częściowo dlatego, że nie chciał zostawiać go samego, częściowo zaś dlatego, że ta dziewczyna także go intrygowała. Pojawiła się za niecałą godzinę niosąc w sznurkowej siatce jakieś książki. Tym razem włosy miała luźno rozpuszczone i wyglądała nawet piękniej niż przedtem. Spostrzegła ich natychmiast po wyjściu z domu i cofnęła się do środka, lecz zaraz zmieniła zamiar. Kiedy z wysoko podniesioną głową przechodziła obok nich, Sam delikatnie dotknął jej ramienia, by zwrócić na siebie uwagę. Najpierw zdawało się, że go wyminie, zatrzymała się jednak. Jej zielone oczy pałały gniewem, gdy na niego spojrzała. Jej wzrok był bardzo wymowny, ale chyba już pojęła, że nie ma sensu niczego mu mówić, bo on i tak nie zrozumie, co więcej, nie będzie chciał zrozumieć. - Zechciałaby pani coś z nami zjeść, mademoiselle? - Nie odrywając wzroku od jej twarzy, zrobił gest imitujący jedzenie. W sposobie, w jaki na nią patrzył, było coś neodpartego, tak jakby chciał, by zrozumiała, że nie ma zamiaru zranić jej ani wykorzystać. Chciał jedynie patrzeć na nią... mieć ją przy sobie... może nawet dotknąć. - Oui? - Non. Okay? - Jej francuski akcent w tym jednym słowie zabrzmiał tak pieszczotliwie, że Sam uśmiechnął się. Arthur przysłuchiwał się ich

rozmowie, niezdolny do wykrztuszenia słowa w swej kiepskiej francuszczyźnie. Było w tej dziewczynie coś, co go onieśmiałło. - No - powtórzyła gest Sama i pokręciła głową. - Dlaczego? - Walker z wysiłkiem próbował znaleźć jakieś francuskie słowo. - Pourquoi? - Nagle w panice spojrzał na jej rękę. Może była mężatką? Może jej mąż go zabije? Lecz nie miała obrączki. Wyglądała bardzo młodo, ale mogła być wdową. - Parce que. - Mówiła wolno, zastanawiając się, czy on zrozumie; była prawie pewna, że nie. - Je ne veux pas. - Mówi, że nie chce - powiedział szeptem Arthur. - Dlaczego? - Walker wydawał się urażony. - Jesteśmy miłymi chłopcami. Tylko lunch... jedzenie... cafe... okay?... Pięć minut? - Podniósł obie ręce do góry w geście poddania i pokoju, ale ona z nagłym zmęczeniem pokręciła przecząco głową. Jej wygląd mówił wyraźnie, że przeżyła to już nie raz w ciągu tych lat, kiedy obcy żołnierze zaczepiali ją w jej własnym kraju. - No German... No American... No cafe... No.. - Jeszcze raz powtórzyła gest obrazujący jedzenie. Walker załamał błagalnie ręce; przez moment wydawało się, że wybuchnie płaczem. Ale przynajmniej wciąż stała i słuchała go. Wskazał na siebie, potem na Arthura. - Północna Afryka... Włochy... Teraz Francja... - Udawał, że strzela, odegrał pantomimę przedstawiającą zranienie Arthura i popatrzył na nią proszącym wzrokiem. - Jedna cafe... pięć minut... proszę. Można było pomyśleć, że prawie jest jej przykro, ale pokręciła głową i zaczęła się odwracać. - Non... je regrette... - Potem szybko odeszła, oni zaś patrzyli za nią. Tym razem nawet Walker nie poruszył się, nie miało sensu, lecz gdy Arthur próbował odejść, pozostał na miejscu. - Chodź, chłopie, poszła sobie i nie chce nas widzieć. - Nic mnie to nie obchodzi - przypominał rozczarowanego uczniaka. - Może zmieni zdanie, gdy tu wróci. - Różnica może jedynie polegać na tym, że tym razem przyprowadzi ojca lub siedmiu braci, żeby wybili nam zęby. Powiedziała "nie" i mówiła poważnie; nie traćmy całego dnia na wystawaniu tutaj. W Paryżu są miliony kobiet chętnych do okazania wdzięczności swym bohaterskim wyzwolicielom. - Nie dbam o nie. - Sam dalej stał bez ruchu. - Ta kobieta jest inna. - Masz rację, cholera, ona jest inna. - W końcu Arthur wpadł w złość. - Powiedziała, żebyśmy sobie poszli. Ja osobiście zamierzam skorzystać z jej rady, bez względu na to, jak wspaniałe ma nogi. Idziesz czy nie? Walker zawahał się na moment, a potem ociągając się poszedł za Arthurem. Ale gdziekolwiek tego dnia byli, myślał jedynie o pięknej rudowłosej dziewczynie o zielonych, gorejących oczach z rue d'Arcole i o jej smutku. Było w niej coś, co go prześladowało, więc po kolacji wymknął się cicho, zostawiając Arthura przy stoliku z trzema dziewczynami. Zamierzał przespacerować się jej ulicą, by być blisko niej. Wiedział, że to szaleństwo, lecz nie mógł się powstrzymać. Chciał jeszcze raz ją zobaczyć, choćby z daleka. Nie chodziło tylko o jej urodę, było w niej coś więcej; coś, czego nie potrafił zdefiniować ani zrozumieć. Mimo to chciał ją poznać... albo przynajmniej zobaczyć. Po prostu musiał. Zatrzymał się w małej kafejce naprzeciwko jej domu i zamówił filiżankę gorzkiej kawy, którą wszyscy pili tu bez mleka i cukru. Siedział wpatrzony w drzwi i nagle ją dostrzegł. Szła ulicą, ze sznurkową torbą, wciąż pełną książek. Wolno weszła po schodach i na moment zatrzymała się przed drzwiami, szukając klucza w portmonetce. Oglądała się za siebie, jakby chcąc się upewnić, że nikt za nią nie idzie. Walker zerwał się na równe nogi, rzucił garść monet na stolik i szybko przebiegł jezdnię. Dziewczyna patrzyła na niego wyraźnie poruszona. Zdawało się, że zamierza uciec, ale w końcu

przyjęła wyzwanie i nie ruszyła się z miejsca. W czasie okupacji dawała sobie radę z bardziej napastliwymi mężczyznami i była gotowa stawić czoło jeszcze jednemu. Gdy tym razem stanął naprzeciw niej, jej oczy były bardziej zmęczone niż zło. - Bonjour, mademoiselle. - Był teraz bardziej nieśmiały niż przedtem, a ona pokręciła głową jak matka besztająca ucznia. - Pourquoi vous me Poursuivez? Nie miał pojęcia, co powiedziała, a tym razem nie było przy nim Arthura, który by mu to przetłumaczył. Okazało się jednak, że mówiła lepiej po angielsku, niż na początku przypuszczał. Powtórzyła pytanie swym łagodnym, matowym głosem. - Dlaczego pan to robi? - Chcę z panią porozmawiać. - Mówił miękko, jakby pieścił jej piękne ramiona, lekko drżące od chłodu. Nie miała swetra, tylko tę brzydką, starą, granatową sukienkę. Niewyraźnym gestem wskazała ludzi na ulicy, jakby oferując ich w zamian. - Wiele dziewcząt w Paryżu... szczęśliwe rozmawiając Amerykanie. - Spojrzenie jej oczu stwardniało. - Szczęśliwe rozmawiając Niemcy... szczęśliwe rozmawiając Amerykanie... - Rozumiał ją. - A pani rozmawia tylko z Francuzami? Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami. - Francuzi rozmawiają Niemcy, także Amerykanie... - Chciała mu powiedzieć, jak brzydko Francja zdradziła samą siebie, ale nie mogła; zbyt słabo znała angielski, a poza tym był przecież nieznajomym. - Jak pani na imię? Ja nazywam się Sam. Wahała się dłuższy czas, myśląc, że on nie musi tego wiedzieć. Potem wzruszyła ramionami i powiedziała jakby do siebie: - Solange Bertrand. - Przedstawiając się nie podała mu ręki. - Pójdzie pan sobie? - Spojrzała na niego z nadzieją, ale on wskazał kawiarnię naprzeciw. - Filiżanka kawy, później pójdę. Proszę. Przez chwilę myślał, że znów się na niego rozgniewa, ale po raz pierwszy opuściła wyprostowane dotychczas ramiona; zastanawiała się. - Je suis tres fatigued! - wskazała na książki. Wiedział, że nie mogła chodzić teraz do szkoły. Nic nie funkcjonowało. - Czy pani uczy w szkole? - Uczenie... mały chłopiec w domu... bardzo chory... tuberculose. Skinął głową. Wszystko, co jej dotyczyło, wydawało się takie szlachetne. - Nie jest pani głodna? - Wydawała się nie rozumieć, więc znów wyraził to gestem, a ona roześmiała się, ukazując piękne zęby. Jej śmiech sprawił, że serce mu podskoczyło. - D'accord... d'accord... - Wyciągnęła rękę, pokazując palcami pięć minut. - Cinq minutes... pięć minut! - Będzie pani musiała szybko pić, kawa jest tu całkiem gorąca... - Czuł się tak, jakby wyrosły mu skrzydła u ramion, kiedy, wzięwszy od niej sznurkową torbę, prowadził ją przez ulicę do kawiarni. Właściciel ukłonił się, chyba ją znał; wydawał się zdziwiony faktem, że przyszła w towarzystwie amerykańskiego żołnierza. Nazywała go Julien; przez chwilę gawędzili, potem zamówiła filiżankę herbaty. Nie chciała nic do jedzenia, więc w końcu Walker poprosił o ser i chleb. Zjadła szybko, jakby wbrew sobie. Wtedy, patrząc na nią z bliska, po raz pierwszy zauważył, jak bardzo była szczupła; dumne ramiona były kościste. Miała długie, urzekające palce. Ostrożnie sączyła gorącą herbatę i wydawała się być wdzięczna za ten parujący płyn. - Dlaczego pan to robi? - spytała, napiwszy się herbaty. Wolno pokręciła głową. - Je ne comprends pas. Nawet jej nie był w stanie wyjaśnić, co sprawiło, że od momentu gdy ją ujrzał, wiedział, że musi z nią porozmawiać. - Nie jestem pewny. - Zamyślił się, a ona zdawała się nic z tego nie rozumieć. Podniósł ręce do góry gestem mówiącym, że nie zna samego siebie. Potem usiłował jej to wyjaśnić, dotykając serca i oczu. - Poczułem coś innego, kiedy po raz pierwszy panią zobaczyłem. Zdawało mu się, że go potępia;

spojrzała na dziewczyny siedzące w kawiarni z amerykańskimi żołnierzami, lecz on szybko potrząsnął przecząco głową. - Nie, nie... to nie to... to coś więcej... - słowo "więcej" podkreślił gestem rąk, a ona spojrzała na niego smutno, jakby wiedziała lepiej. - Ca n'existe pas... to nie istnieje. - Co nie istnieje? Przycisnęła rękę do serca, powtarzając jego gest znaczący "coś więcej". - Czy straciła pani kogoś w czasie wojny? - Niechętnie zadawał to pytanie. - Może męża? Wolno potrząsnęła głową, a potem, sama nie wiedząc dlaczego, powiedziała: - Mój ojciec... mój brat... Niemcy ich zamordowali... moja matka umarła na tuberculose... Mój ojciec, mój brat dans la Resistance. - A pani? - J'ai soigne ma mere... ja wziąć... chora moja matka... - Opiekowała się pani matką? - Skinęła głową. - J'ai peur - machnęła ręką, zła na siebie, a potem gestem podkreśliła strach - de la Resistance... ponieważ moja matka, ona potrzebuje mnie bardzo... Mój brat miał szesnaście lat... - Oczy Solange wypełniły się łzami, a on bezwiednie dotknął jej ręki. Cudem było, że pozwoliła mu na ten gest, przynajmniej przez chwilę, nim cofnęła rękę, by wypić następny łyk herbaty. Potrzebowała czasu na ochłonięcie z emocji. - Czy ma pani jeszcze jakąś rodzinę? - Popatrzyła bezradnie. - Inni bracia? Siostry? Ciotki i wujowie? Potrząsnęła głową patrząc na niego poważnie. Już od dwóch lat była zupełnie sama. Sama przeciw Niemcom. Uczyła, by zarobić na życie. Po śmierci matki często myślała o wstąpieniu do Ruchu Oporu, bardzo się jednak bała. Jej brat tak bezsensownie stracił życie. Nie umarł śmiercią bohatera; zginął, bo zdradził go sąsiad. Każdy wydawał się kolaborantem i zdrajcą, oprócz garstki lojalnych Francuzów. A tych łapano i zabijano. W czasie wojny wszystko się zmieniło, także Solange. Roześmiana, pełna życia dziewczyna stała się mściwą, złą, zamkniętą w sobie kobietą. A jednak czuła, że ten chłopak potrafi do niej dotrzeć. Co gorsza, było jej z tym dobrze. Sprawił, że znów poczuła się istotą ludzką. - Ile pani ma lat, Solange? - Dix-neuf... - zastanawiała się przez moment, próbując przypomnieć sobie, jak to jest po angielsku. - Dziewięćdziesiąt - powiedziała cicho, a on wybuchnął śmiechem i pokręcił głową. - Nie, nie. Dziewiętnaście! - nagle zdała sobie sprawę ze swej pomyłki i roześmiała się po raz pierwszy. Znów wyglądała młodo i pięknie. - Nieźle pani wygląda jak na dziewięćdziesiąt lat. - Et vous? - zapytała go o to samo. - Dwadzieścia dwa. - Ich rozmowa przerodziła się w normalną wymianę zdań między dwojgiem młodych ludzi, tylko że oni życie poznali już zbyt dobrze. Ona w okupowanym Paryżu, a on zabijając Niemców. - Vous etiez etudiant?... student? Skinął głową. - Na Harvardzie, w Bostonie. - Wciąż był z tego dumny. Dziwne, przy niej na nowo nabrało to dla niego znaczenia. Sprawilo mu przyjemność, że znała tę nazwę. - Arvard? - Słyszała pani o nim? - Bien sur... oczywiście!... To jak Sorbona, prawda? - Tak sędzę. - Naprawdę cieszyło go, że słyszała o Harvardzie. Uśmiechnęli się do siebie. Chociaż herbata, ser i chleb dawno już się skończyły, ona przestała naglić do wyjścia. - Czy mógłbym panią jutro zobaczyć, Solange? Może poszlibyśmy na spacer? Albo na lunch lub kolację? - Zdawał sobie sprawę, jak bardzo musi być wygłodzona, i uznał, że powinien ją nakarmić. Pokręciła głową, wskazując na książki w sznurkowej torbie. - A potem?... Albo przedtem?... Proszę. Nie wiem, jak długo tu będę. - Mówiono już, że opuszczają Paryż i przenoszą się do Niemiec; nie mógł znieść myśli o rozstaniu. Nie teraz, jeszcze nie... a może nigdy. Po raz pierwszy zakosztował szczeniackiej miłości; całkowicie zniewoliły go jej zielone oczy, które teraz wydały mu się pełne

mądrości i dużo łagodniejsze. Westchnęła, gdy tak nalegał. Polubiła go wbrew samej sobie. Podczas okupacji nie zawarła znajomości z żadnym niemieckim żołnierzem. Nie widziała powodu, by wyzwolenie miało coś tu zmienić... a jednak, jednak ten chłopak był inny. Czowała to. - D'accord - powiedziała z ociąganiem. - Aż taki entuzjazm, to doprawdy zbędne - drażnił się z nią. Kiedy z uśmiechem brał ją za rękę, widział, że jest zmieszana. - Dziękuję. Powoli opuścili kawiarnię. Odprowadził ją do samych drzwi. Pożegnała go krótkim, oficjalnym uściskiem dłoni i podziękowała za kolację. Ciężkie drzwi zamknęły się za nią zdecydowanie. Kiedy szedł powoli ulicami Paryża, czuł, że całe jego życie zmieniło się w ciągu zaledwie kilku godzin. Nie był pewien dlaczego, ale wiedział, że ta kobieta... ta dziewczyna... ta niezwykła istota wkroczyła w jego życie, by coś w nim zmienić. Rozdział 2 - Gdzie byłeś wczoraj wieczorem? - ziewając spytał Arthur Sama przy śniadaniu w jadalni hotelowej. Kwaterowali w Hotel Ideal na rue Saint-Sebastien. Oddziały alianckie rozmieszczono w podobnych miejscach w całym Paryżu. Wczorajszy wieczór Arthur spędził wyjątkowo przyjemnie, choć było zbyt dużo wina i niewiele kobiet. - Jadłem kolację z Solange - powiedział od niechcenia Walker, kończąc kawę. Chciał wywołać wrażenie, że chodzi tu o zwyczajną randkę, chociaż obaj wiedzieli, że tak nie było. - Kto to jest Solange? Ktoś, kogo poznałeś po naszym rozstaniu? - Nie. - Sam spojrzał mu w oczy ze swym charakterystycznym, figlarnym uśmiechem. - Pamiętasz, spotkaliśmy ją wczoraj na rue d'Arcole... rude włosy, zielone oczy... ładne nogi... wspaniale się porusza. - Mówisz poważnie? - Słowa Sama wprawiły Arthura w osłupienie. Po chwili jednak wybuchnął śmiechem; Sam naturalnie drażnił się z nim. - Przez moment ci uwierzyłem. A tak poważnie, gdzie byłeś? - Powiedziałem już, byłem z Solange. - Tym razem mówił serio. - Walker, naprawdę? Tamta dziewczyna? Gdzie ją, u diabła znalazłeś? - Przed jej domem. Poszedłem tam, tak na wszelki wypadek, i spotkałem ją, gdy akurat wracała. Uczy dziecko chore na gruźlicę. - Skąd wiesz, do cholery? Jeśli dobrze pamiętam, mówiła tylko po francusku, i to w dodatku żargonem. - Arthur nie mógł uwierzyć. - No, i trochę po angielsku. Słabo, ale wystarczy. Poza tym, że powiedziała mi, że ma dziewięćdziesiąt lat, świetnie sobie radziliśmy. - Uśmiechnął się do przyjaciela zwycięsko. Solange należała już do niego, to było jasne. Arthur żałował teraz, że nie starczyło mu wytrwałości. Znał ten typ ludzi, Sama i jemu podobnych; zawsze w życiu zgarniali najlepsze kąski. - Ile ma lat? - zaciekawiał się. Tak jak Sam, chciał wiedzieć o niej wszystko. - Dziewięćnaście. - A jej ojciec nie potraktował cię rzeźnickim nożem? Walker wolno pokręcił głową. - Jej ojca i brata zabili Niemcy. Matka umarła na gruźlicę. Jest kompletnie sama. Arthur był poruszony. Naprawdę się widzieli. - Zobaczysz się z nią znowu? Walker skinął głową i chytrze uśmiechnął się do przyjaciela. - Tak, oczywiście, a poza tym, Patterson, choć ona o tym jeszcze nie wie, po wojnie się pobierzemy. Arthur ze zgrozą spojrzał na Sama, lecz tym razem nawet nie próbował powiedzieć mu, że to wariactwo. Czuł, że Sam mówi poważnie. Tego wieczoru Sam i Solange znów spotkali się na kolacji. Opowiedziała mu, jak wyglądało życie w Paryżu pod okupacją niemiecką. Pod pewnymi względami przeszła więcej niż on. Solange była przecież bezbronną kobietą i musiała wykazać wiele sprytu, by uniknąć aresztowania, tortur czy po prostu zgwałcenia. Niemcy uważali, że Paryż, wraz ze wszystkimi jego mieszkankami, należał do nich. Po śmierci ojca sama utrzymywała chorą matkę. Brakowało im żywności i

Solange większość jedzenia jej oddawała. W końcu straciły mieszkanie. Przeniosły się do wynajętego pokoju, w którym matka umarła w ramionach Solange. W tym pokoju, pełnym złych wspomnień i smutnych widm, mieszkała nadal. Nie miała bowiem dokąd pójść. Po tym, co przeszła podczas wojny, nie ufała już nikomu. Czyn sąsiada zaś, który stał się przyczyną śmierci jej brata, ostatecznie wyleczył ją z wszelkich sentymentów, jakie żywiła dla Francji i swych rodaków. - Chcę, byś pewnego dnia przyjechała do Ameryki - powiedział Sam, próbując wybać grunt. Przyglądał się jej, gdy jadła. Ciągłe zamawiał dla niej nowe potrawy i cieszył się, że nie odmawia. W odpowiedzi na jego propozycję wzruszyła tylko ramionami, jakby było to nierealne marzenie, którym nie warto zaprzętać sobie głowy. - Bardzo daleko - gestem rąk wyraziła, co miała na myśli, a potem dodała po francusku. - C'est tres loin. - Myślała o tym jedynie w takich kategoriach. - Nie tak daleko. - A ty, Arvard znów po wojnie? - Może. - Jeśli miało to jeszcze jakieś znaczenie. Ciężko było wyobrazić sobie powrót na uczelnię. Nocami w okopach wiele na ten temat rozmawiali z Arthurem. Wtedy wydawało się, że ma to sens, nie sposób jednak przewidzieć, co będzie ważne, gdy wrócą do domu. Wszystko może wyglądać inaczej. - Chcę być aktorem. - Był ciekaw jej reakcji. Widział, że ją zaintrygował. - Aktorem? - pokiwała głową, jakby uważała ten pomysł za sensowny. Poczul się z tego powodu tak szczęśliwy, że miał ochotę ją ucałować. Uśmiechnął się do niej, a ona nie wiedziała, dlaczego. Zamówił dla niej puchar owoców. Czegoś takiego nie jadła od miesięcy, nawet nie marzyła o tym. Jego hojność żenowała ją, choć jednocześnie wydawała się bardzo naturalna, jakby byli starymi przyjaciółmi, a przecież była to dopiero ich druga wspólna kolacja. Przyjaźń między nimi rozkwitała w czasie długich spacerów nad Sekwaną. Często zatrzymywali się w bistrach i kafejkach, by coś zjeść, porozmawiać i potrzymać się za ręce. W tych dniach Sam rzadko widywał Arthura, a gdy w końcu spotkali się przy śniadaniu, Samowi nie spodobało się to, co Arthur miał mu do powiedzenia. W dwa dni po ich triumfalnej paradzie na Champs-Elysees generał Patton przekroczył Mozę, a w tydzień później był już w Metz nad Mozela i kierował się ku Belgii. Prawdopodobnie nie pozwolą im dłużej lenić się w Paryżu. Trzeciego września wojska alianckie wyzwoliły zarówno Brukselę, jak i Antwerpię. - Zapamiętaj moje słowa, Sam, lada dzień każą nam ruszyć tyłki - powiedział ponuro Patterson, gdy siedzieli przy kawie. Walker wiedział, że Arthur ma rację, ale tak bardzo pragnął zostać teraz z Solange. Tym bardziej, że w dniu, w którym Brytyjczycy zdobyli Brukselę, po raz pierwszy kochali się w jej pokoju. Ku swemu zdziwieniu i najwyższej radości odkrył, że była dziewicą. Potem leżała w jego ramionach, płacząc ze szczęścia, a on ją całował. Sam zakochał się w niej bez pamięci. - Tak cię kocham, Sam. - Jej głos brzmiał matowo i łagodnie. - Ja też cię kocham, Solange... bardzo. - Nie mógł znieść myśli, że wkrótce będzie musiał ją opuścić, i wiedział, że ona również cierpi z tego powodu. Stała się teraz taka ufna, otwarta i taka bardzo od niego zależna. Jednak w dwa tygodnie później otrzymali rozkazy. Wyruszyli na front niemiecki. W końcu należało wygrać tę wojnę, a teraz przynajmniej jej koniec wydawał się bliski. Wszyscy byli pewni, że wraz z wyzwoleniem reszty Europy Niemcy szybko upadną... może nawet przed Bożym Narodzeniem. Obiecał jej to, gdy pewnej nocy rzeźbił jej wspaniałe ciało wygłodniałymi palcami. Nigdy przedtem nie dotykał tak atlasowej skóry. Jej rozpuszczone włosy sięgały

poniżej ramion i opadały na piersi jak łagodne płomyki. - Kocham cię, Solange... o, Boże, jak ja cię kocham. - Nigdy nie spotkał nikogo takiego jak ona, ani w Bostonie, ani gdziekolwiek indziej. - Czy wyjdiesz za mnie, kiedy skończy się wojna? - Jej oczy wypełniły się łzami, gdy usłyszała to pytanie. Zmusił ją, by spojrzała na niego. Łzy spływały jej po policzkach; zdawało się, że wie coś, czego on nie wie. - Co się stało, kochanie? Nie mogła zmusić się, by mu to powiedzieć, tym bardziej że tak słabo znała angielski. - Wiele rzeczy zmienia się w czasie wojny, Sam ... - Kochał sposób, w jaki wymawiała jego imię, kochał jej oddech, jej zapach. Kochał w niej wszystko z pasją, która przenosiła go wprost do nieba. Nigdy przedtem nie zaznał żadnego z tych uczuć, jakie ona w nim budziła. - Ty pójdziesz do Arvard znowu... apres... - wzruszyła bezradnie ramionami - i zapomnisz o Paryżu. - Chciała przez to powiedzieć, że zapomni o niej. Patrzył na nią w kompletnym osłupieniu. - Czy naprawdę sądzisz, że mógłbym cię zapomnieć? Naprawdę uważasz, że uprawiam jakiś żołnierski sport? Cholera, ja cię kocham. - Tak rozgniewanego widziała go po raz pierwszy. Tym razem kochał się z nią niemal brutalnie. - Kocham cię, rozumiesz? Tylko to się liczy, a po wojnie zabiorę cię ze sobą do domu. Pojedziesz? Skinęła głową, wciąż nie dowierzając, że będzie ją chciał, kiedy skończy się wojna. Jeśli uda mu się ją przeżyć. Nie mogła znieść tej myśli. Podczas wojny straciła wszystkich. Teraz mogła jeszcze stracić i jego. Już samo to wystarczało, by obawiać się tej miłości, ale tak jak on nie mogła się jej oprzeć. Ta namiętność przerosła ich oboje. W dniu, w którym opuszczał Paryż, Sam miał wrażenie, jakby to ich dusze odrywano od siebie. Solange przyszła go pożegnać. Kiedy odchodził, oboje tonęli we łzach. Arthur nigdy nie widział Sama w takim stanie jak wtedy, gdy oddziały wyruszały przez Porte Saint-Cloud. Walker ze wszystkich sił starał się nie oglądać za siebie; inaczej by zdezerterował. Widok Solange, stojącej tam i szlochającej, napełniał go bólem. Kiedy znaleźli się w Ardenach, Sam walczył z jeszcze większą niż dotąd zaciętością. Zdawało mu się, że im dzielniej będzie walczył, tym szybciej wróci do Solange i zabierze ją ze sobą do domu. Jednak pod koniec września marzenie o rychłym końcu wojny zaczęło blednąć. Niemcy nie byli tak osłabieni, jak wszyscy przypuszczali, i walczyli zaciekle. Dopiero pod koniec października padł Akwizgran; fakt ten wzbudził znów trochę nadziei w Samie, Arthurze i ich kolegach. Pod Arnhem nie mieli tyle szczęścia, a do tego zima zapanowała na dobre. Ostre wiatry i silny mróz przypominały im poprzednią zimę, spędzoną we włoskich górach. Od października do grudnia walczyli na mrozie i śniegu mając wrażenie, że ich wysiłki są bezcelowe. Hitler włączył do walki nowe brygady pancerne z niezliczoną ilością czołgów. - Chryste, czy ty wierzysz w to wszystko? - Sam wyglądał na wyczerpanego, gdy pewnej nocy siedzieli z Arthurem w ciemnościach. Mieli przemarznięte dłonie, skostniałe stopy i twarze piekące od mrozu. Wtedy po raz pierwszy Arthur widział przyjaciela tak zniechęconego. Marzył o Bożym Narodzeniu z Solange, a już od dawna wszyscy wiedzieli, że święta spędzą tutaj. Szesnastego grudnia rozpoczęła się bitwa pod Bulge. Przez cały tydzień Niemcy miażdżyli aliantów. Dopiero dwudziestego trzeciego wojskom sprzymierzonych udało się rozpocząć kontratak, ale nawet wtedy ich zwycięstwo nie było pewne. Nastroje w szeregach pogorszyła wiadomość o zabiciu przez hitlerowców dziewięćdziesięciu jeńców wojennych w Malmedy. Był to szczególnie okrutny czyn, gwałcący wszelką etykę

wojenną, jeśli taka jeszcze w ogóle istniała. W Wigilię Bożego Narodzenia Arthur i Sam siedzieli obok siebie w okopie, dzieląc się jedzeniem i próbując rozgrzać. - No, nie wiem, Patterson... wydaje mi się, że indyk był lepszy w zeszłym roku. Sądziś, że powinniśmy poszukać nowego kucharza? - Mimo że Sam jak zwykle żartował, jego oczy straciły blask z wyczerpania, a wychudłe policzki pokrywał tygodniowy zarost. Sprawiał wrażenie, jakby od wyjazdu z Paryża postarzał się o dziesięć lat, może dlatego, że walczył teraz o tak wielką stawkę. Ich sierżant poległ przy przekraczaniu Ardenów; Walker bardzo odczuwał jego brak. Tęsknił do Solange... a nawet do siostry, od której wciąż nie miał żadnej wiadomości. - Ciekaw jestem, co ona teraz robi w Paryżu. - Sam, myśląc o Solange, wypowiedział te słowa prawie do siebie. Arthur pewnie odpowiedziałby uśmiechem, gdyby nie był przemarznięty do szpiku kości. - Prawdopodobnie myśli o tobie, szczęściarzu. - Wciąż pamiętał jej niezwykłą urodę i żałował, że nie był bardziej wytrwały. W końcu to on mówił po francusku, ale... głupio było teraz tak myśleć. Była przecież dziewczyną Sama. - Masz ochotę na ciastko w czekoladzie? - Walker wyciągnął kawałek twardego jak skała herbatnika, od tygodnia przechowywanego w kieszeni kurtki. Arthur krzywiąc się odmówił. - Czekasz na suflet? W porządku, nie mam ci tego za złe. - Przestań, przez to twoje gadanie robię się głodny. - Tak naprawdę jednak byli zbyt przemarznięci, by jeść; zbyt przemarznięci, zbyt zmęczeni i zbyt wystraszeni. Wojska niemieckie rozpoczęły odwrót dopiero w dwa dni później; wreszcie bitwa pod Bulge ostatecznie się skończyła. W marcu zdobyli most w Remagen niedaleko Bonn, a w kwietniu spotkali się pod Lippstadt z 9 Armią. Koło Ruhr wzięli do niewoli trzysta dwadzieścia pięć tysięcy Niemców. W końcu wyglądało na to, że zbliżał się kres wojny. Dwudziestego piątego kwietnia w Torgau spotkali się z Rosjanami. Dwa tygodnie wcześniej umarł Roosevelt i choć wiadomość o tym zasmuciła żołnierzy, całkowicie poświęcili się sprawie szybkiego zwycięstwa i powrotu do domu. Rozpoczęła się bitwa o Berlin. Drugiego maja w mieście zapanowała cisza. Ósmego Niemcy skapitulowały. Arthur i Sam płakali ze szczęścia. Czy to koniec? Czy to możliwe? Północna Afryka, Włochy, Francja, teraz Niemcy: czuli, jakby przeszli pół świata i naprawdę tak było. Co więcej - wyzwolili go. - Mój Boże, Sam... - szeptał Arthur, gdy usłyszeli tę wiadomość. - To koniec... nie chce mi się wierzyć. Objęli się w braterskim uścisku - podczas tej wojny naprawdę stali się braćmi. Przez moment Walker doświadczał dziwnego uczucia żalu, że ta wspaniała chwila już nigdy się nie powtórzy. Zaraz potem jednak odczuł wdzięczność za to, że wojna się skończyła. Podrzucił swój hełm wysoko do góry i wydał okrzyk radości. Nie myślał przy tym o Arthurze. Myślał o Solange... Jechał do domu! I stanie się dokładnie tak, jak jej obiecał osiem miesięcy temu: zabierze ją ze sobą. Rozdział 3 W maju 1945 roku przed powrotem do Stanów Walker dostał trzydniową przepustkę. Pojechał prosto do Paryża. Zastał Solange nie zmienioną, taką samą, jak przed rozstaniem. Gdy go ujrzała, na jej twarzy odmalowała się tak wielka ulga, że nietrudno było rozszyfrować, co czuje. Trzy wspólne dni minęły jak z bicza strzelił. Solange bardzo rozpaczała, gdy Sam znów ją opuszczał, by wrócić do Niemiec, a stamtąd do Stanów, gdzie miał zostać zdemobilizowany. Myślał o poślubieniu jej w Paryżu, przed wyjazdem, lecz wymagałoby to zbyt wielu formalności. Doszedł do wniosku, że łatwiej będzie ślub załatwić w Stanach. Przyrzekł, że sprowadzi ją do końca

lata. Najpierw jednak będzie musiał zarobić trochę pieniędzy. Postanowił, że nie wróci już do Harvardu, lecz spróbuje szczęścia jako aktor. Był gotów chwycić się jakiegokolwiek pracy, by zarobić pieniądze potrzebne na opłacenie biletu Solange. Miała przyjechać na wizę turystyczną i zamierzał ożenić się z nią natychmiast po jej przyjeździe. Nie mógł znieść myśli o czekających go miesiącach bez niej. Arthur namówił Sama, by po powrocie do Nowego Jorku zamieszkał u niego, dopóki nie znajdzie sobie mieszkania. Walkera zaprzętała wyłącznie myśl o urządzeniu się na stałe. - Nie płacz, kochanie, przyrzekam, nie później niż we wrześniu. - Dawało mu to cztery miesiące na przygotowania i zarobienie sumy wystarczającej na ich utrzymanie. Miał dwadzieścia cztery lata, przeżył wojnę, a teraz cały świat był u jego stóp. - Kocham cię, Sam! - krzyczała, kiedy pociąg ruszał ze stacji, i dopóki nie stracił jej z oczu, widział, że machała mu na pożegnanie. - Ładną dziewczynę macie, szeregowy - powiedział sierżant z podziwem, gdy zajęli miejsca w pociągu. Sam tylko skinął głową; nie miał ochoty z nikim rozmawiać o Solange, nie bardzo też przypadły mu do gustu pełne podziwu spojrzenia, posyłane jej przez żołnierzy. Była piękną kobietą, ale teraz należała wyłącznie do niego. O północy pociąg wjechał na stację w Berlinie i Sam pośpieszył do kwatery, by odszukać Arthura. Arthur w Niemczech czuł się jak w siódmym niebie; czas wypełniały mu niemieckie dziewczyny i widać było wyraźnie, że najbardziej lubi wysokie blondynki. Walker wciąż mu z tego powodu dokuczał. Tej nocy jednak Arthura nie było w pokoju. Walker położył się do łóżka z głową nabitą myślami o swej przyszłej żonie i czekającym ich wspólnym życiu w Nowym Jorku. Zanim się spostrzegł, była już ósma rano. W dwa dni później wyjechał do domu; Arthur zostawał w Niemczech o dwa tygodnie dłużej. Sama zdemobilizowano w Fort Dix w stanie New Jersey. Stamtąd pociągiem pojechał do Nowego Jorku. Wsiadłszy na Penn Station, poczuł się tak, jakby wylądował na księżycu. Po trzech latach w Europie, wypełnionych walką w brudzie i błocie, śniegu i deszczu, nie mógł uwierzyć, że znów jest w domu, gdzie ludzie żyją normalnie. Z trudnością odnajdywał się w tym świecie, ciężko nawet mu było przyzwyczaić się do hoteliku na West Side, w którym na razie zamieszkał. Rozpaczliwie tęsknił za Arturem i Solange, gdy szlifował chodniki odwiedzając agentów i szkoły aktorskie, a także szukając pracy pozwalającej na przeżycie. Przy demobilizacji otrzymał sto pięćdziesiąt cztery dolary, jednak suma ta szybko topniała. Po dwóch tygodniach z wielką ulgą powitał powrót Arthura. Teraz mógł zamieszkać z nim i jego matką; wcześniej nie chciał jej się narzucać. Obecność Arthura była dla Sama źródłem wielkiej radości, nie z powodu pieniędzy, jakie dzięki niemu oszczędzał, lecz dlatego, że w końcu miał kogoś, z kim mógł porozmawiać. Godzinami gadali we wspólnej sypialni, choć matka Arthura często skarżyła się, że ich słyszy, i patrzyła na Sama karcąco, kiedy z rzadka zwracała się do niego. Zdawać się mogło, że winą za wojnę obarcza Sama, a ich opowieści i towarzyszący im śmiech były tylko dowodem na to, jak świetnie się bawili. Nie wracali tak długo naumyślnie, by przysporzyć jej cierpienie. Przyjaciół syna był dla niej żywym przypomnieniem ciężkich czasów. Walker odetchnął z ulgą, gdy Arthur znalazł sobie mieszkanie i pozwolił mu przeprowadzić się do siebie. Pracował już wówczas jako kelner u P.J. Clarka na Trzeciej Avenue. Zapisał się również do szkoły aktorskiej przy Zachodniej Trzydziestej Dziewiątej, ale na razie nie proponowano mu żadnych ról. Kiedy

zaczynał już myśleć, że jego marzenia były zbyt nierealne, ktoś w końcu zaprosił go na przesłuchanie w jednym z teatrów off-Broadway. Nie otrzymał żadnej roli, ale poczuł, że trochę zbliżył się do celu. Wiedział też, jakie popełnił błędy. Przedyskutował je dokładnie ze swym nauczycielem i gdy w końcu lipca znów wziął udział w przesłuchaniu w jednym z teatrów off-Broadway, tym razem zaangażowano go w charakterze statysty. Napisał o tym Solange jak o wielkim zwycięstwie. Znacznie bardziej jednak ucieszyło ich to, że we wrześniu mógł wysłać jej pieniądze na bilet. Suma nie była duża, wystarczyła zaledwie na pokrycie kosztów przejazdu i kupno kilku ubrań. Wyjaśnił jej, że żyć będą z jego kelnerskiej pensji i napiwków, i że przez dłuższy czas na wiele nie będą mogli sobie pozwolić. Jednak ani przez chwilę nie wątpił, że chce ją mieć przy sobie. Przypląnęła dwudziestego szóstego września klasą turystyczną na "De Grasse", od końca wojny jedynym statkiem wypływającym z Hawru. Walker czekał na nią, lustrując pokłady przez lornetkę otrzymaną od Arthura. Przypatrywał się uważnie każdej twarzy i, przerażony, zaczynał już myśleć, że nie przyjechała, kiedy na dolnym pokładzie ujrzał białą sukienkę i mały biały kapelusik, a pod nim rude włosy, które tak kochał, i twarz, za którą tak tęsknił. Machał do niej nerwowo, ale pokład był zbyt zatłoczony, by mogła go dojrzeć. Cekał niecierpliwie kilka godzin, nim przeszła odprawę celną. Pogoda tego dnia była cudowna: słoneczna i ciepła, z łagodnym wietrzykiem. Wymarzony dzień na jej przyjazd. W końcu Solange stanęła przed nim i porwał ją w ramiona, kapelusik trochę jej się przekrzywił, a łzy płynęły po policzkach. Sam także płakał. Tak rozpaczliwie czekał na jej przyjazd. Teraz śmiał się z ulgą i radośnie całował dziewczynę. - Boże, Solange, jak ja cię kocham! - Jego namiętność przekraczała wszelkie miary i granice zdrowego rozsądku. Nie mógł się od niej oderwać. W pierwszych dniach po jej przyjeździe opuszczał większość zajęć w szkole, trudno mu było również rozstawać się z nią co wieczór o piątej, gdy musiał iść do pracy. Znalazł dla nich małe mieszkanko na Wschodniej Czterdziestej, pod wiaduktem kolejowym. Codziennie, bez względu na pogodę, odprowadzała go do pracy. Gdy wracał do domu o drugiej trzydziści, zawsze na niego czekała. Kochali się, potem jedli to, co przynosił, czasem nawet o czwartej nad ranem. W końcu w Boże Narodzenie zaczęła nalegać, by poważniej zabrał się za swoje aktorstwo. Dla Sama jego kariera wciąż stanowiła odległe marzenie. Solange była bardziej praktyczna i wiedział, że miała rację. Od czasu do czasu chodziła z nim na zajęcia; uderzył ją, tak jak pozostałych w grupie, jego wielki talent. Nauczyciel był jednak bezlitosny i wciąż więcej od niego wymagał. Rankami Sam czytywał sztuki i przygotowywał się do przesłuchań. Czasami widywali Arthura, znacznie rzadziej jednak, niż życzyłby sobie Sam. Trudno było się spotkać, bo Sam pracował nocami, a Arthur miał dziewczynę. Marjorie ukończyła studia w Vassar, mówiła przez nos i miała gładkie blond włosy uczesane na pazia. Nie bardzo lubiła Sama i zawsze korzystała z okazji, by wypomnieć mu, że jest kelnerem. Rzucano się także w oczy, że nienawidzi Solange, co Arthura wprawiało w zakłopotanie. Rozmawiając w cztery oczy z Arthurem nazywała Sama i Solange cyganami. Nie wzruszały jej opowieści Arthura o wojnie ani też fakt, że Solange przeżyła okupację we Francji i straciła całą rodzinę. Marjorie w czasie wojny pracowała ochotniczo dla Czerwonego Krzyża i Ligi Młodych, co, jak uważała, było bardziej szlachetne. Miała dwadzieścia osiem lat i niewątpliwie obawiała się, że zostanie starą panną. Po wojnie mnóstwo było takich

dziewczyn, które twierdziły, że już dawno wyszłyby za mąż, gdyby nie to, że wszyscy najlepsi mężczyźni byli wtedy za oceanem. Marjorie, pragnąc zmienić swój status, wiele wysiłku włożyła w pracę nad Arthurem. Ten jednak miał mnóstwo własnych problemów. Powiedział Samowi, że matka nie czuje się dobrze i martwi ją myśl o jego małżeństwie z Marjorie. Pracował w swej dawnej firmie prawniczej i szło mu nieźle, ale bał się zdenerwować matkę, która sądziła, że powinien znaleźć sobie kogoś młodszego... innego... a najlepiej nikogo. Walker znał ją dobrze z czasów, gdy z nimi mieszkał, i żał mu było Arthura, że tak pozwala wszystkim sobą rządzić. Matka pragnęła mieć go wyłącznie dla siebie, zatrzymać przy sobie na zawsze i żyć, jakby w zastępstwie, jego życiem. Wszystkie kobiety, a także przyjaciół syna, traktowała jak swoich rywali. Nie chciała się nim z nikim dzielić i robiła wszystko, by czuł wyrzuty sumienia za każdy moment spędzony z kimś innym. - Il manque de courage - Solange nie ukrywała swojego zdania o Arthurze, gdy pewnej nocy, niedługo po jej przyjeździe do Stanów, rozmawiali o trzeciej nad ranem po jednej ze wspólnych kolacji. - On nie ma... charakteru - spojrzała triumfująco znalazłszy właściwe słowo. - Bez serca... bez odwagi. - On ma dużo serca, Solange. Brak mu tylko siły przebicia. - A jego matka trzyma go jak w imadle, pomyślał, ale nie powiedział tego głośno. - Voila - zgodziła się. - Brak odwagi. Powinien ożenić się z Marjorie, jeśli tego chce, lub powiedzieć au revoir, albo też - powiedziała to żartobliwie - powinien ją zlać. - Sama bardzo ten pomysł rozśmieszył i całkowicie przyznał jej rację. - I powinien powiedzieć swojej matce... merde! - Zaśmiał się jeszcze głośniej. Świetnie się z sobą zgadzali, w łóżku i poza nim. Podzielali poglądy na większość spraw, a w dodatku Solange miała złote serce i była Samowi niezwykle oddana. Bardzo też lubiła Arthura, a to wiele znaczyło dla Sama. Arthur był świadkiem na ich ślubie w Ratuszu, w trzy dni po jej przybyciu na "De Grasse". Zajął się wszystkimi papierami Solange. Nazywała go swoim grand frere - starszym bratem, patrząc na niego z miłością wielkimi zielonymi oczyma, a on zawsze sprawiał wrażenie, że chętnie oddałby dla niej życie. W końcu Marjorie postawiła na swoim i wiosną 1946 wzięli ślub w jej rodzinnym mieście, Filadelfi. Walker uważał, że Arthur zamienił jedną trudną w pożyciu kobietę na drugą, ale zachował to dla siebie. Matka Arthura nie pojechała; była zbyt chora. Jej serce nie zniosłoby trudów podróży i za radą lekarza została w domu. Sam i Solange również nie pojechali, po prostu dlatego, że nie zostali zaproszeni. Arthur tłumaczył się bez końca, że była to mała uroczystość, tylko rodzina i przyjaciele Marjorie... że za daleko... za wiele komplikacji... pewnie i tak by im się nie chciało... Powtarzał to za każdym razem, gdy widział się z Samem. Solange jednak dowiedziała się z gazet, że na ślubie w episkopalnym kościele Św. Piotra w Filadelfi obecnych było 500 osób, a potem miało miejsce wystawne przyjęcie w "Klubie Filadelfijskim". Arthur także widział tę notatkę i modlił się, by Walkerowie jej nie przeczytali. - To nie było miłe z jego strony, Sam. - Solange czuła się urażona i rozczarowana ze względu na Sama, lecz on był zaskakująco wyrozumiały. - To wina Marjorie, nie Arthura. - Quand meme... - Mimo wszystko stanowiło to tylko potwierdzenie tego, co mówiła wcześniej. Arthur miał słaby charakter i Walker zaczął podejrzewać, że Marjorie zamierza poważnie ograniczyć ich przyjaźń. Czas pokazał, że się nie mylił. Z rzadka spotykali się na lunchu, czasem towarzyszyła im Solange, ale nigdy nie było z nimi Marjorie. Teraz, kiedy obrączka Arthura tkwiła pewnie

na jej palcu, ujawniła swoje plany. Zamierzała studiować prawo i jeszcze długo nie mieć dzieci. Arthur nie mógł dojść do siebie po tym ciosie. On chciał mieć dzieci jak najszybciej, a Marjorie zgadzała się z nim w okresie narzeczeństwa. Sam i Solange mieli wystarczająco wiele własnych spraw, by martwić się o Arthura i jego żonę. Solange całkowicie pochłaniały sprawy męża. Bez ustanku zachęcała go, by poważnie zajął się aktorstwem. Jesienią 1947 znała już wszystkie sztuki wystawiane na Broadwayu, wkradała się na próby i czytała wszystkie dostępne artykuły i gazety teatralne. Sam zaś codziennie chodził do szkoły aktorskiej i bywał na przesłuchaniach, o których mu mówiła. Ich wspólny wysiłek wydał owoce wcześniej, niż się spodziewali. Wielki przełom nastąpił tuż po świętach Bożego Narodzenia. Sam dostał główną rolę w sztuce granej w jednym z teatrów off-Broadway. Rola ta przyniosła mu wielkie uznanie krytyków i nadzwyczajne recenzje. Sztuka zeszła z afisza po czterech i pół miesiącu, lecz doświadczenie, jakie w niej zdobył, było bezcenne. Tego lata występował w Stockbridge w Massachusetts. Postanowił skorzystać z okazji i zajrzeć do siostry. Z zażenowaniem zdał sobie sprawę, że od końca wojny minęły już trzy lata, a on nawet nie próbował jej odnaleźć. Solange zganiała go za ten brak uczuć rodzinnych i dopiero poznawszy Eileen i Jacka Jonesów, zrozumiała, dlaczego Sam tak niechętnie widywał swoją siostrę. Odnalazł ją dzięki jej dawnym sąsiadom. Wyszła za męża za eks-marynarza, który na powitanie zasypał ich sprośnymi kawałami. Eileen odzywała się rzadko, gdy siedzieli w saloniku przy brzydkiej ulicy na brzydkim przedmieściu Bostonu; prawdopodobnie była zbyt pijana. Jej wciąż rozjaśniane na blond włosy miały ciemne odrosty, a suknia była tak opięta, że równie dobrze mogłaby nie mieć nic na sobie, co z pewnością przypadłoby do gustu jej mężowi. Trudno było uwierzyć, że ona i Sam byli ze sobą spokrewnieni. Opuszczając ten dom Walkerowie odetchnęli z ulgą. Sam zaczerpnąwszy świeżego powietrza, ponuro uśmiechnął się do żony. - Tak więc, kochanie, to jest właśnie moja siostra. - Nie rozumiem... co jej się stało? - dziwiła się Solange. Ona sama z upływem lat stawała się coraz piękniejsza i bardziej zadbana. Wspaniale się ubierała, pomimo ich ograniczonych funduszy. Wyglądała jak aktorka lub droga modelka. - Zawsze taka była - wyjaśnił Sam. - Stosunki między nami nigdy nie układały się dobrze - westchnął. - Mówiąc szczerze, nigdy jej nie lubiłem. - To przykre. - Koniec wizyty oboje przyjęli z prawdziwą ulgą. Oboje też wiedzieli, że brak kontaktów z Eileen nie był dla nich wielką stratą. Za to coraz rzadsze spotkania z Arthurem napawały ich żalem. Przyjechał, by zobaczyć Sama na scenie i jego gra zrobiła na nim wielkie wrażenie. Oczywiście, usilnie przeproszał za Marjorie, która źle się czuła i nie była w stanie z nim przyjechać. Tak naprawdę pojechała odwiedzić rodziców w ich letnim domu niedaleko Filadelfii. Jesienią zaczynała studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Columbia i bardzo chciała mieć jeszcze kilka dni wakacji. Solange i Sam nie zadawali więcej pytań. We wrześniu Arthur i Marjorie zeszli na dalszy plan. Samowi zaproponowano wreszcie pierwszą dużą rolę. Solange była tak podekscytowana, że kupiła wielką butelkę szampana. Wypili ją we dwójkę, zapominając o bożym świecie. Była to główna rola w "Wilderness", jakby wymarzona dla Sama, a w dodatku sztuka zapowiadała się jako jedno z ważniejszych przedstawień sezonu na Broadwayu. Sama i Solange ogarnęło histeryczne podniecenie. Sprawą kontraktów zajął się Arthur. Sam oznajmił P.J. Clarkowi, że od jesieni rezygnuje z posady kelnera, i

przystąpił do prób. Przedstawienie otrzymało duże fundusze i jednego z najlepszych producentów na Broadwayu. Był to początek kariery Sama Walkera. Tej zimy miał znaleźć się w doborowym towarzystwie. U Schuberta Rex Harrison i Joyce Redman występowali w "Annie Tysiąca Dni", Henry Fonda i David Wayne grali w "Mister Roberts" u Alvina a szóstego października w teatrze Music Box Anne Jackson wystąpiła w premierze sztuki Tennessee Williamsa "Summer and Smoke". Dla wszystkich miał to być pamiętny sezon. Arthur, by to uczcić, zaprosił ich na lunch do "21". Wy tłumaczył, że Marjorie nie mogła się do nich przyłączyć, ponieważ rozpoczęła już zajęcia na prawie. Solange również miała coś do zakomunikowania. Sam usłyszał nowinę ubiegłej nocy i nie posiadał się z radości. Nagle, w jednej chwili, mieli wszystko, czego pragnęli. Solange w kwietniu spodziewała się dziecka, a do tego czasu Sam na dobre zainstaluje się na scenie. Wszystko układało się po prostu wspaniale. Arthur przez cały lunch spoglądał na nich z zazdrością. Miał zaledwie trzydzieści dwa lata, choć ostatnio wyglądał dużo poważniej. On też chciał mieć dzieci, ale kiedy Marjorie ukończy studia, będzie miała już trzydzieści trzy lata, a na dodatek pewnie będzie chciała zająć się swoją karierą. Patrzył realistycznie i wiedział, że nigdy nie będzie miał dzieci. Dziecko Sama i Solange wydawało się przez to jeszcze ważniejsze. - Zazdroszczę wam obojgu. - Miał na myśli nie tylko dziecko, ale wszystko, co posiadali: miłość, która rzucała się w oczy, obopólną ekscytację karierą Sama. Dla nich wszystko się teraz zaczynało. Sam miał dwadzieścia sześć lat, Solange dwadzieścia trzy, a zdawać się mogło, że od dnia, kiedy spotkali się po raz pierwszy w wyzwolonym Paryżu, minęły lata świetlne. Solange, jeszcze piękniejsza niż przedtem, tryskała wciąż życiem i radością. Jesienią ich entuzjazm nie przygasł. Sam dzień i noc uczestniczył w próbach, doprowadzając swą grę do perfekcji. Wracał do domu późno, wykończony, lecz nigdy zbyt zmęczony, by kochać się z Solange, opowiadać o obsadzie lub zmianach w sztuce. Główną rolę kobiecą odtwarzała Barbara George, wielka gwiazda Broadwayu. Sam wiele się od niej uczył. O wszystkim z ogniem w oczach opowiadał Solange, a jego śmiech podsyczał jej miłość do niego. Premiera odbyła się dziewiątego grudnia, nazajutrz po premierze sztuki Andersona z Rexem Harrisonem w roli głównej. Sam miał rewelacyjne recenzje, lepsze nawet niż Harrison. Trudno było uwierzyć... znacznie lepiej, niż się spodziewali... niewiarygodne... Udało się! Rozdział 4 Dziecko przyszło na świat, gdy Walkerowie wciąż napawali się wielkim sukcesem Sama na Broadwayu. Solange znakomicie wybrała moment, poród rozpoczął się, gdy kurtyna opadła po sobotnim przedstawieniu. O dziesiątej następnego ranka w Doctors Hospital na East End Avenue urodziła w sposób naturalny dziewczynkę. Gdy Sam ujrzał córeczkę po raz pierwszy, leżała wtulona w ramiona matki. Miała jego ciemne włosy i zielone oczy Solange. Serce przepęłniał mu zachwyt nad jej urodą. Solange, mimo zmęczenia, również wyglądała pięknie. Z jej twarzy biła duma, jakby poznała bardzo ważną tajemnicę, chociaż ciężko musiała na nią zapracować. Następnego dnia ich pierwszym gościem był Arthur. W oczach stanęły mu łzy, gdy patrzył przez szybę na dziewczynkę. Nazwali ją Hilary. Solange bardzo lubiła to imię, choć miała kłopot z jego wymówieniem. Amerykańskie "h" wciąż sprawiało jej trudność i nazywała córkę "Ilary". W czasie karmienia szeptała do niej po francusku. Poprosili Arthura, by był ojcem chrzestnym, i sprawili mu tym wielką radość. Matką

chrzestną nie została jednak Marjorie, a Barbara George, gwiazda w sztuce, w której występował Sam. Chrzest odbył się z wielką pompą w katedrze Św. Patryka. Dziecko ubrane było w piękną koronkową sukienkę, kupioną u Bergdorfa Godmana przez matkę chrzestną. Solange miała na sobie nowe futro z nerek i pierścionek z brylantem - prezent od Sama z okazji narodzin dziecka. Od otrzymania roli w "Wilderness" ich życie znacznie się polepszyło, wprowadzili się więc do większego mieszkania przy Lexington Avenue. Wprawdzie nie było luksusowe, ale prezentowało się o wiele lepiej niż poprzednie, w domu numer 3 przy Avenue El. Składało się z dzieciennego pokoju z widokiem na ogródek za domem, przytulnej sypialni Sama i Solange oraz obszernego living roomu, przeznaczonego dla gości. W ich mieszkaniu zawsze pełno było przyjaciół, głównie aktorów i kolegów Sama z teatru. Solange nie miała nic przeciwko temu, wręcz odwrotnie - bardzo to lubiła. Sztukę zdjęto z afisza dopiero po roku, po Bożym Narodzeniu 1949. W ciągu następnego miesiąca Sam otrzymał mnóstwo propozycji i kiedy w końcu wybrał tę, która mu najbardziej odpowiadała, nie miał już czasu, by nacieszyć się Solange i Hilary. Dziewczynka miała wtedy dziewięć miesięcy i wszędzie było jej pełno. Zjawiała się u jego stóp w łazience, gdy się golił, lub pod stołem w kuchni, gdy pił poranną kawę, z tym samym refrenem "da da da", co niezmiennie wprawiało go w zachwyt. Pragnął już mieć następne dziecko, najlepiej chłopca, ale Solange wołała trochę poczekać. Cały swój czas i uwagę chciała poświęcić małej Hilary. Była oddaną matką; co więcej, wydawało się, że teraz, gdy mieli już dziecko, kocha męża jeszcze bardziej. Tak, jakby zapasy jej miłości zwiększyły się dziesięciokrotnie. Macierzyństwo nie zaszkodziło urodzie Solange. Była niewiarygodnie piękną dziewczyną, i prasa coraz częściej nazywała ją bajecznie piękną żoną Sama Walkera. W wywiadach, o które ją proszono, kierowała uwagę na osobę męża i zawsze znalazła okazję, by wspomnieć, jak wspaniałym jest aktorem. Po jego nowej premierze krytycy zgodzili się z jej zdaniem jeszcze bardziej entuzjastycznie niż przedtem. Sztukę zdjęto z afisza po dwu latach i wtedy Sam zdecydował się na krótki urlop. Solange prawie natychmiast zaszła w ciążę, a po dziewięciu miesiącach urodziła następną córkę, rudowłosą jak jej matka. Dziecko przyszło na świat wieczorem, w dniu kolejnej premiery Sama. Solange musiała pojechać do szpitala z Arthurem w chwilę po podniesieniu kurtyny. Było jej przykro, że nie może być na premierze, ale ledwo zdążyła na czas do szpitala. W taksówce ścisła dłoń Arthura zaklinającego kierowcę, by jechał szybciej. Aleksandra urodziła się w dziesięć minut po przyjeździe, na wózku, tuż przed salą porodową. Dziecko wydało głośny krzyk, a Solange leżała jęcząc cicho z wysiłku. Arthur przyszedł zobaczyć się z nią, jak tylko umieszczono ją w pokoju, i żartował, że zdążyliby wrócić z dzieckiem do teatru, zanim opadnie kurtyna. Pomysł bardzo spodobał się Solange, żalowała tylko, że był nierealny. Arthur na jej prośbę przyrzekł, że po spektaklu sprowadzi do niej Sama i obiecał odwiedzić ją następnego dnia. Solange zobaczyła męża dopiero nazajutrz rano. Tłumaczył się, że musiał brać udział w nie kończących się przyjęciach z aktorami i udawał, że nie widzi, jak bardzo ją rani. Czekwała na niego całą noc, a on nawet nie zatelefonował. Przyniósł jej wspaniałą bransoletę ze szmaragdów, lecz nie ukoił tym jej bólu. Zastanawiała się w duchu, gdzie był. Ostatnio tak mało poświęcał jej uwagi, tłumacząc to wymaganiami sztuki. Solange wiedziała, że rola była trudna, ale dla niej

ważniejsze było ich dziecko. On natomiast mówił wyłącznie o aktorce odtwarzającej główną rolę kobiecą; wydawał się całkowicie nią zauroczony. Ze szpitala Solange i Aleksandra wróciły z Arthurem. Sam nie mógł po nie pojechać, ponieważ miał próbę. Rzadko teraz bywał w domu, ale nie robiła mu żadnych wymówek, nawet gdy wracał późno w nocy, choć zawsze o tym wiedziała. Nie uszedł także jej uwagi mocny zapach perfum innej kobiety. Zdawała sobie sprawę, że ostatnio ich małżeństwo bardzo się zmieniło, jednak nie powiedziała tego Samowi. Cierpiała, bo w jej życie wkradła się pustka. Arthur był jedynym człowiekiem, który ją rozumiał i z którym mogła porozmawiać, chociaż jemu też nie brakowało problemów. Marzył wciąż o dzieciach, a Marjorie nie chciała nawet o tym słyszeć. Arthur uważał, że Sam był cholernym głupcem, ale zachował to dla siebie. W czasie częstych wspólnych lunchów z Solange robił, co mógł, by podnieść ją na duchu. Wiedział, że nie może ranić kobiety tak zakochanej w swoim mężu. Często też pozwalał sobie na marzenia, co by się stało, gdyby to on przed laty zdobył Solange. Lecz było już za późno, Solange została żoną Sama i uwielbiała swego męża. - A ty, Arthurze, jesteś szczęśliwy? Nie, oczywiście że nie - odpowiedziała za niego, a on nie zaprotestował. Czyż można być szczęśliwym z kobietą taką jak Marjorie? Samolubną, ambitną i zimną jak góra lodowa. - Powinieneś zmusić ją, by urodziła ci dzieci, jeśli tak ich pragniesz. - Rozśmieszyła go jej śmiertelnie poważna mina. Nie było sposobu, by zmusić Marjorie do zrobienia czegoś wbrew jej woli. W każdym razie on nie potrafił. Był na to za słaby. - Nie można zmusić kobiety, by urodziła dziecko - uśmiechnął się ponuro. - Rezultatem byłaby nieszczęśliwa matka i nieszczęśliwe dziecko. Nie takie jak twoje. - Jej dzieci, Hilary i Aleksandra, były ślicznymi małymi cherubinkami i Arthur je uwielbiał. Hilary wciąż była ciemnowłosa jak Sam i zielonooka jak Solange, natomiast włosy Aleksandry były rude, a ogromne oczy niebieskie. Na myśl o dzieciach Arthur uśmiechnął się do Solange. W jej oczach wyczytał smutek. Wiedziała, jak zresztą wszyscy w Nowym Jorku, co wypełnia czas Samowi, dochodziły ją plotki, prasa także nie szczędziła mu uwagi. - Cóż to za cholerny głupiec. Ma trzydzieści jeden lat, świat u stóp i żonę, dla której większość mężczyzn dałaby sobie odciąć rękę. - Co bym robiła z ręką? - uśmiechnęła się filozoficznie Solange. - Chcę jego serca, a nie ręki czy całej tej drogiej biżuterii. Zawsze wiem, kiedy coś jest nie tak, wraca wtedy do domu z kasetkami pełnymi brylantów. Arthur zmarszczył brwi. Wciąż był doradcą Sama w sprawach finansowych i już od jakiegoś czasu nalegał na niego, by zaczął odkładać pieniądze. Lecz Sam korzystał ze sławy, jaką przyniósł mu jego pierwszy sukces. Kupował, kupował, i jeszcze raz kupował... zabawki dla dzieci, futra i klejnoty dla żony, drogie prezenty dla kochanek. Arthur wiedział o kilku i nie aprobował postępowania Sama. Miał zawsze nadzieję, że Solange o niczym nie wie. Teraz jednak wyczuł, że jest inaczej. Po raz pierwszy była naprawdę nieszczęśliwa. - Naprawdę nie wiem, co począć, Arthurze, nie wiem, czy powinnam zrobić mu scenę i powiedzieć, że wiem, co się dzieje, czy też siedzieć cicho i czekać, aż się to skończy. Bo wkrótce się skończy. Z nim zawsze tak jest: potem wraca do domu, do mnie - uśmiechnęła się, a uśmiech ten rzuciłby Arthura na kolana, gdyby był przeznaczony dla niego. Ale nie był. - Jesteś bardzo rozsądną kobietą, Solange, w przeciwieństwie do większości Amerykanek. One na myśl o romansie męża szaleją, wynajmują detektywów, wnoszą pozwy rozwodowe i, naturalnie, walczą o każdy grosz.

Solange była zdumiewająca. Uśmiechnęła się do niego tym swoim uśmiechem doświadczonej kobiety, choć wyglądała zaledwie na dwadzieścia lat. - Mnie nie interesują rzeczy, Arthurze. Ja pragnę mojego męża. - Było oczywiste, że go uwielbia. Arthur, nie po raz pierwszy zresztą, poczuł zazdrość w stosunku do swego przyjaciela. Często myślał, co by się stało, gdyby to on poszedł wtedy za Solange, gdyby to on Odezwał się do niej tamtego dnia na rue d'Arcole. Co by było gdyby? To pytanie, choć tak bezsensowne, będzie dręczyć go do końca życia. Ale przecież to Walker był tym szczęśliwcem, większym nawet, niż sam przypuszczał. Drań. - Myślę, że znów się uspokoi. - Solange westchnęła i dopiła wino. - Z każdą gwiazdą w nowej sztuce mamy trochę kłopotów, ale w końcu się nimi nuży. To wszystko jest dla niego takie trudne, tak mocno angażuje się w grę; życie w teatrze nie jest dla niego łatwe, tak wiele musi mu poświęcić. - Sprawiała wrażenie, że szczerze wierzy w to, co mówi, ale Arthur pokręcił głową. - To nie jest tak, jak mówisz. Jest rozpieszczony. Zepsuty przez sukces, kobiety i przez ciebie, Solange. Chryste Panie, traktujesz go jak Boga! - Bo dla mnie jest... On dla mnie jest wszystkim. - Spojrzała na niego ogromnymi oczyma, a on szybko powiedział: - Więc czekaj cierpliwie. Wróci znów do domu. On tylko się bawi. Dopóki go rozumiesz, to nie jest takie ważne. Skinęła głową. Rada była dobra, a ona i tak zawsze gotowa była przeczekać. Wolałaby umrzeć, niż go utracić. Romans trwał sześć miesięcy i zakończył się dramatyczną próbą samobójstwa gwiazdy, po czym nastąpiła zmiana w obsadzie z powodu "złego stanu zdrowia", a życie Sama wróciło do normy. Solange takie rozwiązanie przyjęła z ulgą, choć nie świadczyło dobrze o jej mężu. Na razie niebezpieczeństwo minęło. Był już rok 1954. Sam jeszcze przez sezon występował w tej sztuce, no i naturalnie, jak zwykle, wrócił do żony i dzieci. Była to najdłużej utrzymująca się na afiszu sztuka ze wszystkich, w których grał, i kiedy została zdjęta, obojgu, Samowi i Solange, zrobiło się trochę smutno. Potem Sam zabrał całą rodzinę na lato do Saint-Tropez. Marzył o tym od czasu wojny, choć spędził tam wtedy zaledwie jeden dzień. Wysłali Arthurowi pocztówkę z Saint-Tropez, następną z Cannes. Stamtąd wybrali się na małą pielgrzymkę do Paryża. Solange pokazała dziewczynkom, gdzie mieszkała jako dziecko. Dla niej była to sentymentalna podróż w przeszłość. Minęło dziewięć lat od jej wyjazdu i Paryż pełen był bolesnych, ale też i radosnych dla niej wspomnień. Hilary miała zaledwie pięć lat, mimo to Solange spodziewała się, że podróż jej się spodoba, Aleksandra natomiast była jeszcze niemowlęciem, toteż nie zapomnieli o niani do opieki nad dziećmi. Solange przeszła daleką drogę od swego wyjazdu z Francji z biletem na parowiec i niewielką sumą w kieszeni, wystarczającą zaledwie na jedzenie. Jej garderoba składała się wtedy z trzech sukienek i starego, znoszonego płaszczka matki. Teraz miała pełne ubrań kufry, na "Liberte" podróżowali pierwszą klasą, a w Paryżu zatrzymali się u Ritz. Sam zabrał ją na zakupy do Givenchy, Chanela i Diora, a u Cartiera nalegał na kupno nowej bransolety z brylantów. - Ja jej nie potrzebuję, Sam! - protestowała śmiejąc się, gdy on wciskał jej bransoletę na rękę. Był kochający jak dawniej i psuł ją, jakby była jego nową kochanką. W ostatnich latach nabrał wielu kosztownych przyzwyczajień, co czasami przerażało Solange. Podobnie jak Arthur chciała, by zaczął odkładać pieniądze dla dzieci. - Każdej dziewczynie potrzebna jest diamentowa bransoleta, Solange. - Ale ja mam już trzy! - uśmiechając się odsunęła rękę i pokręciła głową. - Non, cheri! Il ne faut pas! Chcę, byś

oszczędzał pieniądze. Popatrzył na nią zirytowany. - Mówisz jak Arthur. - Bo on ma rację. Musimy zacząć myśleć o dzieciach. - Dobrze. - Wskazał sprzedawczyni drugą bransoletę w kasecie. - Weźmiemy obydwie. - O non, Sam! Quand meme, voyons! - W czasie pobytu w Paryżu mimowolnie przeszła na francuski i cieszyło ją, że Hilary bez problemów rozmawia z ludźmi w tym języku. Solange do obydwu dziewczynek mówiła wyłącznie w swym rodzinnym języku i Hilary dzięki temu była dwujęzyczna. Tak samo pewnie będzie z Aleksandrą, gdy zacznie mówić. W pewnym sensie Solange nie wyrzekła się całkowicie swojej ojczyzny. Dobrze było tu wrócić. Były tu takie miejsca i wspomnienia, które wciąż żyły w jej sercu i pamięci. Gdy nocą spacerowali po placu Vendome wokół rzeźbiście oświetlonego pomnika Napoleona, Solange czuła tak wielkie uniesienie, jakiego nigdy nie doznała od wyjazdu z Paryża. Tego wieczoru jedli kolację u Maxima, następnego zaś w La Tour d'Argent. W dniu, w którym opuszczali Paryż, Sam podarował jej obie diamentowe bransolety i nowy pierścionek. Próbowwała go od tego odwieść, ale wiedziała, że to beznadziejne. Gdy płynęli z powrotem do Stanów, rozmyślała o tym, jak miła była ta podróż i jak dobrze wracać do domu, a domem był teraz Nowy Jork. Mieszkała tu od dziewięciu lat i miasto to wiele dla niej znaczyło. Mieli teraz apartament na Sutton Place, z pięknym widokiem na rzekę i ślicznie umeblowanymi pokojami dla dzieci. Mieszkanie było dwupoziomowe, dzięki czemu mogli często przyjmować gości. Ich sąsiadką była Marylin Monroe, bardzo z Samem zaprzyjaźniona. Będąc w Nowym Jorku zawsze spędzała z nim wiele czasu. Solange wiedziała, że nigdy nie mieli romansu, poza tym sama także lubiła Marylin, która była zabawną i miłą dziewczyną. Niezmiernie śmieszyło ją, gdy Marylin powtarzała, że Solange powinna grać w filmach. - Jedna gwiazda w rodzinie wystarczy - odpowiadała Solange z wciąż wyczuwalnym francuskim akcentem. Tej jesieni Samowi zaproponowano rolę w nowej sztuce, ale odrzucił ją; uważał, że nie była dość interesująca. Zdziwił natomiast wszystkich, zgadzając się zagrać w filmie. Pojechali do Hollywood. Dla Solange było to miejsce niezwykle, pełne nadzwyczajnych ludzi, którzy nie odróżniali fantazji od prawdziwego życia. Sam i Solange zamieszkali w bungalowie w Beverly Hills Hotel, drugi, mniejszy, zajęły dzieci i niania. Przez rok wiedli życie całkowicie oderwane od rzeczywistości. Solange uważała, że film był bardzo dobry, ale Sam nie był zadowolony i z ulgą powrócił do Nowego Jorku. W styczniu 1956 rozpoczął próby do nowej sztuki. Jak zwykle bez reszty zaangażował się w swoją rolę, a po dwóch miesiącach miał już romans ze swoją partnerką. Tym razem Solange była poważnie rozgniewana. Regularnie spotykała się z Arthurem na lunchu i częściej, niżby chciała, wyplakiwała się na jego ramieniu. Arthur był teraz przeraźliwie samotny. Jego małżeństwo istniało już tylko na papierze, bo Marjorie była ciągle czymś zajęta, a w czasie pobytu Sama i Solange w Kaliforni zmarła jego matka. Tak samo samotna była Solange, pomimo ciągłych zapewnień ze strony Sama i prezentów, którymi ją zasypywał. Był też szczególnie miły dla córek, gdy czuł się winny. - Dlaczego? Dlaczego mi to robisz? - przy śniadaniu machnęła mu przed oczami gazetą zajmującą się skandalami towarzyskimi. - Znów sobie coś ubzdurzyłaś, Solange. Robisz to za każdym razem, gdy zaczynam pracę nad nową sztuką. Wyrzuciła gazetę do śmieci. - To dlatego, że sypiasz ze swoją partnerką z każdej nowej sztuki. Musisz także pracować nad gwiazdą? Nie

mógłby tego robić jakiś inny aktor? Może twój dubler? Czy nie mogłoby to należeć do jego obowiązków? Sam roześmiał się i przyciągnawszy ją do siebie, posadził na kolanach. Wtulił twarz w jej olśniewające, piękniejsze niż kiedykolwiek, rude włosy. - Kocham cię, ty wariatko! - Nie nazywaj mnie wariatką. Zbyt dobrze cię znam, panie Walker. Nie oszukasz mnie. Nie uda ci się. - Pogroziła mu palcem, zawsze jednak jakoś mu przebaczała. Pił za dużo i kiedy wracał do domu, bywał czasem wrogi. Ale ona nie potrafiła długo gniewać się na niego, za bardzo go kochała. Za bardzo, jeśli wziąć pod uwagę jej własne dobro, jak mawiał Arthur, i może miał rację. Kochała go takim, jakim był, i pragnęła tylko jednej zmiany: by z jego życia zniknęły inne kobiety. Tej wiosny po raz trzeci zaszła w ciążę i tuż po Bożym Narodzeniu przyszła na świat kolejna dziewczynka, którą nazwali Megan. Sam przebywał wtedy w Kalifornii, więc znów do szpitala zawiózł ją Arthur. Dwa dni minęły, zanim odszukano Sama. Solange dobrze wiedziała, co robił w Hollywood. Dotarło do niej wiele plotek na ten temat. Tym razem poczuła, że ma tego naprawdę dość i powiedziała mu to, kiedy pojawił się w Nowym Jorku w trzy tygodnie po urodzeniu Megan. Zagroziła nawet rozwodem, co było zupełnie do niej niepodobne. - Poniżasz mnie przed całym światem, robisz ze mnie idiotkę i oczekujesz, że będę spokojnie siedzieć i zgadzać się na to. Chcę rozwodu, Sam. - Oszalałaś! Coś ci się przywidziało. Z kim znowu rozmawiałaś? Pewnie z Arthurem? - Mimo tych słów wydawał się zmartwiony. - Arthur nie ma z tym nic wspólnego. Wystarczy czytać gazety. Piszą o tym wszyscy stąd do Los Angeles. Co miesiąc, co rok, w każdym filmie, w każdej sztuce zawsze jest jakaś nowa aktoreczka, nowa gwiazda, nowa kobieta. Zbyt długo tak postępujesz. Grasz i jesteś do tego stopnia sobą przejęty, że traktujesz to jako obowiązek wobec samego siebie. I dobrze, tylko że ja też jestem sobie coś winna. Zasługuję na męża, który by mnie kochał i chciał mi być wierny. - A ty? - próbował zbić ją z tropu, choć dobrze wiedział, jak bardzo była mu oddana. - A te wszystkie cholerne spotkania z Arthurem? - Nie mam nikogo innego, z kim mogłabym porozmawiać, Sam. On przynajmniej nie powtórzy dziennikarzom moich słów. - Oboje dobrze wiedzieli, że ktokolwiek inny tak by postąpił. W końcu była żoną Sama Walkera, a on był teraz gwiazdą. - Mogę wyplakać się przy nim. - Podczas gdy on płacze nad sobą. Jesteście najbardziej patetyczną parą, o jakiej w życiu słyszałem. I zapamiętaj moje słowa, Solange. Nie dam ci rozwodu. Kropka. Amen. Nie prosz mnie o to więcej. - Wcale nie muszę cię prosić. - Po raz pierwszy otwarcie mu zagroziła. - Nie? - znała go zbyt dobrze, by uszedł jej uwagi ledwo wyczuwalny ton strachu, choć starał się dokładnie go ukryć. - Wystarczy, że każę cię śledzić. Mogłabym się z tobą rozwieść już z pięćdziesiąt razy, gdybym tylko chciała. Wszedł z domu trzasnąwszy bez słowa drzwiami. Nazajutrz wyjechał do Kalifornii. Opóźniło to o miesiąc próby nowej sztuki, ale Samowi Walkerowi wybaczano wszystko. Gdy wrócił, Solange wcale nie była spokojniejsza. Wiedziała, kogo zabrał na Zachodnie Wybrzeże, i miała już tego dosyć. Tamtej nocy, gdy przyjechał, czekała na niego. Klócili się tak głośno, że obudzili Hilary. Pokój Aleksandry znajdował się dalej, a Megan miała dopiero pięć miesięcy. Ale Hilary miała już osiem lat i zapamiętała wszystko. Karetki pogotowia i policję, syreny, matkę wynoszoną z domu w prześcieradle. Zapamiętała, co mówili i ojca płaczącego, gdy go zabierali. Nawet nie zauważył, że stała w drzwiach i patrzyła. Zapamiętała także, że niania wezwała wuja

Arthura. Przybył natychmiast. Twarz miał poszarzałą; nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. To musiała być jakaś straszliwa pomyłka, to niemożliwe. Wiedział, że Sam i Solange mieli przejściowe kłopoty, ale przecież tak bardzo się kochali. Była to miłość, która wykraczała poza granice zdrowego rozsądku, miłość, która wszystko wybaczała, która zmusiła go, by poszedł za nią na rue d'Arcole, i która była niezmiennie obecna w ich życiu. Uczucie to poruszało każdego, kto się do nich zbliżył... miłość, która... Siedział w ich mieszkaniu, niezdolny, by w to wszystko uwierzyć. Kiedy zaświtało, dozorca dyskretnie zapukał do drzwi. Arthur drżącą ręką wziął od niego gazetę. Wszystko tam było, czarno na białym... koniec snu... koniec życia... Solange nie żyje. Walker zabił ją.

----- Część druga: Hilary Rozdział V Drzwi do celi zatrzasnęły się mocno za Arthurem, kiedy przyszedł na widzenie ze swym przyjacielem w areszcie 17 Komisariatu na Wschodniej Pięćdziesiątej Czwartej. Dopiero po południu zezwolono mu na tę wizytę. Do tego czasu Sama nieprzerwanie przesłuchiowano, chociaż wcale nie było takiej potrzeby. Przyznał się od razu do wszystkiego. Szlochał. Wodził dokoła szklistymi od łez oczami. Przypominał sobie każdą minutę tamtych pierwszych godzin w Paryżu. Nie pojmował, dlaczego to zrobił. Pamiętał, że był pijany, a ona straszyla go mówiąc, że odchodzi. Lecz mimo wszystko nie mógł zrozumieć, dlaczego to zrobił. Wiedział tylko, że nie chciał jej utracić, a ona powiedziała... powiedziała... Z rozpaczą spojrział niewidzącym wzrokiem na wchodzącego do celi Arthura. - Samie... - głos Arthura był ochryply. Płakał cały ranek. Dotknął ręki przyjaciela, jakby w zamiarze odciążenia go znad przepaści. Zdawało się, że Walker chce umrzeć. Stał na środku celi, tam gdzie go zostawili, i patrzył na Arthura. - Zabiłem ją, Arthurze... zabiłem ją. - Znów miał przed oczyma jej twarz w chwili, gdy ją dusił, i te rude włosy, które tak kochał... dlaczego?... dlaczego to zrobił?... dlaczego powiedziała mu te wszystkie straszne rzeczy? Popatrzył na przyjaciela ślepych od łez oczyma. - Usiądź, Samie... no, chodź - Arthur łagodnie pomógł mu zająć miejsce na jednym z dwóch prostych krzesel stojących naprzeciw siebie przy wąskim, poobijanym stoliku. - Musimy porozmawiać. - Sam sprawiał wrażenie, jakby prawie nic do niego nie docierało. - Chcesz porozmawiać o tym, co się stało? Sam patrzył na niego w milczeniu. Przecież to wszystko było aż nazbyt proste. - Ja ją zabiłem. - Wiem, Samie. Ale co się stało przedtem? Czy ona cię w jakiś sposób sprowokowała? - Musi znaleźć mu dobrego obrońcę, lecz zanim to zrobi, musi się zorientować, jakie Sam ma szanse. Teraz był on nie tylko jego najlepszym przyjacielem, był także pośrednio klientem. - Czy cię uderzyła? Sam pokręcił przecząco głową. Jego oczy były puste i nieobecne. - Powiedziała mnóstwo strasznych rzeczy... była bardzo zła. Arthur domyślał się, dlaczego, mimo to zapytał: - Z jakiego powodu była zła? Sam wpatrywał się w podłogę odtwarzając w myślach furię Solange. Nigdy jej takiej nie widział. Zdawał sobie sprawę, że tym razem przeholował. I tak bardzo nie chciał jej stracić. A jednak stracił... jedyną kobietę, którą kochał. - Powiedziała, że znów mam romans... ta kobieta nic dla mnie nie znaczyła... żadna z nich nigdy nie... - Dla Solange znaczyły, Sam. - Arthur mówił spokojnie, starając się nie zapomnieć, że jest obrońcą Sama, a nie Solange. W Odpowiedzi Sam dziwnie na niego spojrział i długo się nie odzywał. - Czy groziła ci rozwodem? Sam skinął głową, a potem poczuł, że musi wyjaśnić wszystkie niedomówienia. Musi znać prawdę. W pewnym sensie z tego właśnie powodu ją zabił, bo był pijany i stracił panowanie nad

sobą. Mówiła takie straszne rzeczy, a on przeraził się, że to prawda i że ją straci. - Powiedziała, że mieliście ze sobą romans. Czy to prawda? - Jego oczy przeszywały przyjaciela na wskroś. Arthur spojrzał na Sama ze smutkiem. - A jak myślisz? - Nigdy przedtem nie zastanawiałem się nad tym. Wiedziałem, że byłeś jej bliski... często spotykaliście się na lunchu... - Ale czy ona kiedykolwiek ukrywała to przed tobą? - Jak wszyscy dobrzy prawnicy, znał odpowiedź, zanim jeszcze zadał pytanie. - Nie, zawsze mi mówiła, przynajmniej tak sędzę... - Nie przyszło ci do głowy, że mówiąc tak chciała po prostu zemścić się na tobie za cały ból, jaki jej zadałeś? Jak inaczej mogła to uczynić? Teraz, w jasnym świetle dnia, też tak myślał. Ale ostatniej nocy w ogniu pasji uwierzył... oszalał i zabił ją. Na myśl o tym poczuł, jak wzbiera w nim ściskająca za gardło panika, niby ręka sięgająca z jego własnego wnętrza, by go udusić. Zasługiwał na to. Za to, co zrobił Solange, powinien umrzeć. Znow zaczął płakać i Arthur objął go. - Co się teraz stanie z dziewczynkami? - spojrzał na Arthura ponownie ogarnięty strachem. Arthur rozmyślał o tym przez cały ranek. - Jestem pewien, że masz wystarczająco dużo pieniędzy, by je utrzymać, zanim to wszystko się rozstrzygnie. - Była też niania i pokojówka. Żyli luksusowo w mieszkaniu przy Sutton Place. Sam, bardzo blady, spojrzał na przyjaciela. - Ile to będzie kosztować? - Solange zapłaciła już życiem, a teraz... Arthur wciąż od nowa musiał walczyć ze swoimi odczuciami. Jak on mógł jej to zrobić? A jednak Sam Walker był jego przyjacielem, nawet kimś więcej, był prawie bratem. Ramię przy ramieniu przeżyli wojnę. Sam niósł go przez góry, a potem do punktu medycznego, gdy został ranny niedaleko Cassino. Wyzwolili Paryż i Rzym... Paryż i rue d'Arcole, gdzie ujrzeli ją po raz pierwszy. Wszystko ściśle ze sobą się wiązało, a teraz nie chodziło już tylko o Sama i Solange. Trzeba było pomyśleć o ich córkach, Hilary, Aleksandrze i Megan. Arthur starał się zwalczyć te myśli, odpowiadając na pytanie Sama, który chciał wiedzieć, ile go będzie kosztować obrona. - To zależy od tego, kto będzie twoim obrońcą. Muszę się dobrze zastanowić, kogo ci polecić. Powinieneś mieć najlepszego adwokata. To będzie głośny proces, a sympatia wszystkich znajdzie się po stronie Solange. Przez ostatnie kilka lat dużo pisano o tobie w związku z twoimi romansami, a to ci nie pomoże. Sam pokręcił z determinacją głową. - Nie chcę innego prawnika. Chcę, żebyś ty mnie bronił. - Spojrzał na Arthura, który wyraźnie zadrżał. - Nie mogę tego zrobić - jego głos zabrzmiał chrapliwie w tym napełnionym echem pokoju. - Dlaczego nie możesz? - Bo jestem twoim przyjacielem. I nie występuję w sprawach kryminalnych. - Nie dbam o to. I tak jesteś najlepszy. Nie chcę nikogo innego. Chcę, żebyś to był ty. - Oczy Sama znow wypełniły się łzami. To wszystko było takie straszne, nie do uwierzenia, a jednak zdarzyło się, było realne. On sam to sprawił. Zamienił koszmarny sen w rzeczywistość. Twarz Arthura nagle pokryła się cieniutką warstwą potu. Czyn Sama był przerażający, a on miał być jego obrońcą. Nie, po prostu nie był w stanie. - Chyba nie potrafię, Sam. Brak mi doświadczenia w tej dziedzinie. Byłoby to dla ciebie bardzo niekorzystne. Nie możesz nam obu tego zrobić. O, Boże, proszę. - Prawie płakał, ale Sam był nieugięty i wpatrywał się w niego błagalnym wzrokiem. - Musisz, dla mnie, dla dziewczynek... dla Solange, proszę... Dla Solange? Chryste, przecież on ją zabił. Ale najgorsze było to, że Arthur dobrze wiedział, iż Solange chciałaby, by zrobił wszystko, o co Sam go poprosi. Lepiej niż ktokolwiek inny zdawał sobie sprawę z tego, jak rozpaczliwie go kochała. - Musimy to

obaj przemyśleć, ale jestem przekonany, że byłby to niewybaczalny błąd. Ty potrzebujesz kogoś najlepszego, Sam, a nie adwokata od podatków, którego wciągnęś w tę sprawę z powodu jakiejś źle pojętej wierności. Ja nie mogę tego zrobić. Po prostu nie mogę! - Walker nigdy przedtem nie słyszał, by Arthur w swoje słowa wkładał tyle emocji, ale nie zmienił zdania. - Czy jest ktoś, do kogo mam zadzwonić w sprawie dziewczynek? Sam zastanowił się i pokręcił przecząco głową. Mieli wielu znajomych z teatru i filmu, ale poza Arthurem nie było nikogo, z kim byli naprawdę blisko. Solange nie miała przyjaciół. Jej życie bez reszty wypełniały sprawy Sama, jego dzieci i jego kariera. Nigdy nie miała czasu dla innych, ani też specjalnie tego nie pragnęła. - Czy są jacyś krewni, których mam zawiadomić? - Zdawał sobie sprawę, że po tylu latach spędzonych razem w Europie powinien to wiedzieć, ale nagle nie mógł sobie przypomnieć. Pamiętał tylko, że jego rodzice nie żyli, nie był jednak pewien, czy Sam miał kogoś, może jakiegoś dalekiego krewnego, do kogo powinien zatelefonować. Sam w odpowiedzi pokręcił głową. - Nikt, kto byłby ważny dla dziewczynek. W Bostonie mieszka moja siostra, ale, na Boga, nie dzwoń do niej. - Dlaczego? - Nie byłem u niej od lat. Ostatni raz ją widziałem, zanim jeszcze urodziła się Hilary. To latawica. Zapomnij o niej. Arthur jednak nie mógł sobie pozwolić na zapominanie o kimkolwiek. Może ciotka przydałaby się dziewczynkom. - Jak się nazywa? Tak na wszelki wypadek. W takiej sytuacji nigdy nic nie wiadomo. - Eileen. Eileen Jones. Jej mąż, Jack, był kiedyś marynarzem. Mieszkają w Charlestown. Wierz mi, nie przypadliby ci do gustu. - Sam wstał, przeszedł się po celi i wyjrzał przez zakratowane okno. - Chryste, przecież nie zapraszam ich na weekend. Ale w tej sytuacji jakiś krewny może się przydać. - Miał trzy córki, z których dwie były jeszcze bardzo małe, i nikogo na całym bożym świecie, kto mógłby się nimi zająć, poza nianią, pokojówką... i Arthurem. Sam odwrócił się i popatrzył na Arthura. - Czy mógłbym je zobaczyć? - Na samą myśl o dzieciach jego oczy zaszyły łzami... jego małe aniołki... jego córeczki... jak mógł im to zrobić... Pozbawił je matki, która zapewniłaby im szczęśliwe dzieciństwo i wspaniałe życie, matki, która nigdy nie zawiodła, która zawsze była z nimi. To ona bezustannie je całowała, pieściła, kąpała, bawiła się z nimi, czytała bajki. To ona kładła je wieczorem do łóżek z tysiącem czułych szeptów, to ona śmiała się z nimi, laskotała je i przytulała... a teraz... Na samą myśl o tym, co będzie z nimi teraz, przeszły go ciarki. Zastanawiał się, czy kiedyś, gdy już stąd wyjdzie, będzie w stanie się nimi zaopiekować. Ale nie było sensu myśleć o tym. Będzie musiał się zaopiekować. Arthur przyglądał się Samowi. - Naprawdę chcesz się tu z nimi zobaczyć? - Chyba nie. - Odpowiedział ledwo słyszalnym szeptem. - Myślałem tylko... Chciałem wyjaśnić... przynajmniej Hilary. - Na to będzie czas później. Teraz musimy cię z tego wyciągnąć. - Myślisz, że ci się uda? - Zadał to pytanie po raz pierwszy, a Arthurowi nie uśmiechała się ta perspektywa. - Myślę, że kto inny miałby na to znacznie większe szanse. - Nic mnie to nie obchodzi. Powiedziałem ci już, Arthurze. Chcę, żebyś ty mnie bronił. - Myślę, że to będzie ciężka sprawa... dla każdego adwokata, jeśli mam być szczery. - Nienawidził swoich słów, ale w końcu był mu winny tę prawdę. - Będziesz musiał bronić się chwilową niepoczytalnością... zbrodnia w afekcie... Do wszystkiego się przyznałeś. Sprawa jest jasna, na dodatek przez ostatnie kilka lat wyrobiłeś sobie niezłą reputację. Była to święta prawda, obaj zdawali sobie z tego sprawę. Arthur zawsze miał ochotę powiedzieć

Samowi, jakim cholernym jest głupcem, ale z innego powodu. Nienawidził go za to, że tak bezsensownie i niepotrzebnie ranił Solange. Z drugiej strony byli przyjaciółmi, poza tym Arthur przypuszczał, że Samowi trudno było dać sobie radę z sukcesem, który tak szybko osiągnął. Teraz miał zaledwie trzydzieści pięć lat, a wielką gwiazdą stał się mając dwadzieścia kilka. Dla młodego człowieka spełnienie oczekiwań wielkich rzesz wielbicieli i jednocześnie bycie ojcem i mężem było niełatwym zadaniem. Zapłacił za to ogromną cenę... ale Solange także, większą nawet, niż się domyślał. Nie znał jej dobrze, wielu spraw nie dostrzegał. Był tak zajęty sobą i swoją karierą, że stał się egoistyczny i zepsuty. Nawet jego córki to widziały. Aleksandra ostatnio powiedziała Arthurowi: - Musimy robić wiele szumu wokół tatusia, kiedy jest w domu, inaczej staje się zły. Nasz tatuś potrzebuje dużo uwagi. - Solange stale im to tłumaczyła ucząc, jak schodzić mu z drogi, gdy jest zmęczony. Mówiła im też, by przynosiły mu małe poczęstunki, jego ulubione czekoladki, talerzyki ze świeżymi owocami, coś zimnego do picia. Czasem tylko dla niego śpiewały piosenki, których je nauczyła. Cały dom kręcił się wokół tatusia. A teraz utraciły oboje, Solange i Sama. Arthur rozmyślał o tym tego popołudnia, wracając po widzeniu się z Samem do biura. Na własną rękę postanowił zadzwonić do rodziców chrzestnych dziewczynek i sprawdzić, czy wzbudzi jakieś zainteresowanie. Gdy zabrakło matki, a ojciec siedział w więzieniu, nie miały nikogo poza Arthurem. Niestety, rodzicami chrzestnymi byli w większości aktorzy, ludzie o znanych nazwiskach i pięknych twarzach, bo dla tych swoich cech zostali wybrani, i los dzieci niewiele ich obchodził. Znacznie większe zainteresowanie budziło omawianie całej sprawy z Arthurem, dyskusowanie przyczyn, dla których Sam to zrobił: czy oszalał, czy Solange go sprowokowała, co stanie się teraz, kiedy proces... lecz nikt słowem nie wspominał o dzieciach. Arthur był więc wciąż w punkcie wyjścia, jako jedyna osoba, na której mogły polegać, teraz, gdy Sam był nieobecny. Zdecydował, że na wszelki wypadek zachowa nazwisko ich ciotki, ale na razie zastosował się do prośby Sama i nie zadzwonił do niej. Następną rzeczą, jaką zrobił, było sprawdzenie kont bankowych Sama. To, co tam znalazł, przeraziło go. Sam wydawał wszystko, co zarobił, głównie na ekstrawaganckie zachcianki i przyjaciółki. Zaciągnął już nawet pożyczkę na konto swych zarobków w następnej sztuce i siedział po uszy w długach. To, co miał, czyli niewielka suma na koncie czekowym, ledwo wystarczało na pensje dla niani i pokojówki przez następne kilka miesięcy, do zakończenia procesu. Sytuacja dzieci była tragiczna. Arthur przypomniał sobie, co mówiła Solange kilka lat temu. Zawsze prosiła Sama, by myślał o przyszłości dziewczynek i choć trochę pieniędzy dla nich odłożył. Ale on nie słuchał i kupował jej diamentowe bransolety i futra, a tylko Bóg jeden wie, ile wydawał na inne kobiety. Znany był z szerokiego gestu, nigdy na nic nie skąpił, jeśli tylko mógł sobie na to pozwolić. A teraz został z dziesięcioma tysiącami dolarów i dziesięciokrotnie większymi długami. Zdziwiał się, jak mało się wie o przyjaciółach. Arthur żałował, że przed laty nie rozmawiał z nim bardziej stanowczo, nigdy jednak nie podejrzewał Sama o aż taki brak odpowiedzialności, który teraz dla jego dzieci oznaczał katastrofę. Próbował porozmawiać o tym z Marjorie, przedstawiając opłakany los dziewczynek i usiłując wzbudzić w niej współczucie. Rozczarował się jednak, gdyż w odpowiedzi usłyszał, że są bez wątpienia cyganami jak ich rodzice. W jej sercu nie było dla nich żadnych

cieplejszych uczuć. Przez kilka następných dni Arthur prawie nie widywał swojej żony. Miał pełne ręce roboty z Samem, dziewczynkami, a także prasą, bezustannie zadręczającą wszystkich, nawet dzieci. Musiał również zorganizować pogrzeb Solange. Nie było nikogo, kto by się tym zajął. Pogrzeb zaplanowano na trzeci dzień po aresztowaniu Sama. Przez dwa dni trumnę ze zwłokami Solange wystawiono na widok publiczny, a trzeciego odbyło się nabożeństwo. Arthura zaskoczyła liczba przybyłych ludzi; większość z nich przyszła ze względu na Sama, ale wielu było też takich, co znali i lubili Solange. - Była cudowną dziewczyną... - słyszał niezliczoną ilość razy - absolutnie piękna... nie wiedział, jakim był szczęściarzem... powinna także być aktorką... zawsze chciałem, by była moją modelką... wspaniała matka... cudowna dziewczyna... szczęściarz, mieć taką żonę... Francuzka do szpiku kości... niewiarygodna dziewczyna... nie rozumiem, dlaczego to zrobił... kochała go do szaleństwa. - Ciągnęło się to w nieskończoność, a Arthur siedział z dziewczynkami w pierwszym rzędzie. Próbował ze wszystkich sił powstrzymać się od płaczu, gdy zamykali trumnę. Hilary siedziała sztywno obok niego. W pewnej chwili podeszła do trumny, popatrzyła na Solange, potem pocałowała ją i wróciła na swoje miejsce z drętym wyrazem bólu na twarzy, ale nie pozwoliła dotknąć się Arthurowi. Nie pozwalała, by ktokolwiek do niej się zbliżył. Trzymała tylko kurczowo rączkę Aleksandry, odpowiadając na jej ciągłe pytania, dlaczego mamusia śpi w pudle pokrytym białymi różami. Za wszystkie kwiaty zapłacił Arthur, nie chcąc uszczuplać i tak niewielkich funduszy dzieci, nawet gdy chodziło o pogrzeb ich matki. Dla Aleksandry Solange była Królowną Śnieżką, która zjadła zatrute jabłko, i wciąż pytała starszą siostrę, kiedy mama się obudzi... i czy tatuś przyjdzie, by ją pocałować. - Nie, ona będzie długo tak spała, Axie - odpowiedziała spokojnym głosem Hilary. Organista grał Ave Maria. - Dlaczego? - Dlatego, że tak - uciszyła ją. - Teraz bądź cichutko. - Ścisnęła mocniej rękę siostry, a jej twarzyczka śmiertelnie pobladła, gdy patrzyła, jak trumna matki wolno przesuwa się obok niej. Stała bez ruchu, a potem nagle wyciągnęła rękę i wyjęła dwie róże z ciężkiego kobierca kwiatów pokrywającego trumnę. Jedną z nich podała Aleksandrze, która zaczęła płakać i szeptać, że chce, by mama się obudziła, bo przecież nie będzie mogła oddychać w tej zamkniętej skrzyni. Zdawało się, że wie, że matka nie żyje, ale nie była w stanie zaakceptować tej strasznej prawdy. Megan zaczęła płakać, jakby coś rozumiała, więc niania musiała wyjść z nią z kościoła i tam, w zimowym słońcu, też mogła sobie popłakać. Pogrzeb Solange wydawał się nie pasować do tej pięknej pogody, choć z drugiej strony wszystko, co dotyczyło Solange, pełne było zawsze światła, kwiatów i słońca, poczynając od jej płomiennorudych włosów i błyszczących zielonych oczu, a kończąc na gibkim, dynamicznym ciele. Po pogrzebie Arthur odwiózł dzieci do domu swoją limuzyną, a później wrócił na cmentarz, by dopilnować wszystkiego. Potem pojechał zobaczyć się z Samem na Rikers Island. Przyniósł mu białą różę z trumny, taką samą, jaką Hilary dała siostrze. Arthur wydał się Samowi bardzo wysoki, szczupły i blady, gdy wszedł do celi w ciemnym garniturze, z kapeluszem w ręku. Wyglądał jak posłaniec śmierci, i w pewnym sensie nim był. Sam zdrzął na jego widok. - Pomyślałem, że może chciałbyś to mieć. - Sam drżącą ręką wziął od przyjaciela białą różę. - Jak czują się dziewczynki? - Trzymają się dzielnie. Hilary pilnuje, by nic im się nie stało. Tak jakby przejęła rolę Solange. Sam opadł na

krzesło i schował głowę w dłoniach. Ciągłe ścisnął różę, którą dał mu Arthur, lecz pachniała śmiercią, smutkiem i pogrzebem. W jego miłości do Solange nie było już radości, nie będzie jej też więcej w jego życiu. Czuł, że dla niego wszystko się skończyło. I w jakimś sensie rzeczywiście tak było. Leżał w celi dzień i noc myśląc tylko o Solange. Nawet jego córki zdawały się mu odległe. Zastanawiał się, jak bardzo będą go nienawidziły później, gdy odkryją i w pełni zrozumieją, że zamordował ich matkę. Jakiegokolwiek stosunki między nimi staną się niemożliwe. Wszystko zresztą było już niemożliwe, a jego życie nic dla niego nie znaczyło. Powiedział to Arthurowi, który odrzekł, że teraz musi myśleć o dzieciach. Był im to winny. Ale co on mógł im dać? Swoje długi? Swą winę? Swoje złe nawyki? Czy może przygniatający wyrzut sumienia z powodu pozbawienia życia jedynej kobiety, którą kochał?... Był pewny, że nigdy tego nie zrozumieją. - Myślałem o twoich dzieciach, Samie - Arthur chrząknął modląc się w duchu, by przyjaciel mu się nie przeciwstawił. - Chciałbym sprzedać całą biżuterię Solange, by miały chociaż niewielkie zabezpieczenie. Ty również będziesz potrzebował dużo pieniędzy na opłacenie adwokata, zwłaszcza gdy mi się uda ciebie namówić, byś wynajął kogoś naprawdę dobrego. Jeśli jednak zostaniesz przy mnie, będziemy po prostu musieli zrefundować firmie mój czas. Ja osobiście nie chcę za to żadnych pieniędzy. - Ostatnią rzeczą, jaka go interesowała, było zarabianie na obronie Sama. Co więcej, nie mógł się wciąż pogodzić z myślą, że wystąpi w tej roli, bez względu na to, jak bardzo byli sobie bliscy i jak długotrwałe i silne więzy ich łączyły. Przecież Sam Walker zabił jedyną kobietę, którą Arthur kochał i podziwiał, wręcz wielbił. Próbował mu to wytłumaczyć, ale przyjaciel nie chciał go słuchać. - Co myślisz o sprzedaży biżuterii? - spojrzał na Sama, który odwrócił do niego śmiertelnie bladą twarz, pokrytą kilkudniowym zarostem. - W porządku. Jeśli pomoże to dziewczynkom, pozbadź się jej. Chcesz klucz do sejfów bankowych? - Już go znalazłem. Solange trzymała wszystko w wysmienitym porządku. Sam skinął tylko głową, niezdolny powiedzieć cokolwiek. Nie było w tym nic zaskakującego. Obaj wiedzieli, że była nadzwyczajną kobietą. Ale teraz nie miało to żadnego znaczenia... odeszła... w trumnie, którą zaledwie kilka godzin temu spuścili do ziemi. Pamięć o tym nie opuszczała Arthura ani na chwilę i Sam wyczuwał emanującą z niego rozpacz. - Zajmę się tą sprawą w tym tygodniu. Arthur chciał zgromadzić jak najwięcej pieniędzy dla dzieci i na obronę Sama. Proces wyznaczono na czerwiec następnego roku, wciąż było więc kilka miesięcy przed nimi. Musiał się upewnić, że dziewczynki nie będą miały żadnych problemów, poza tym badania psychiatryczne Sama także wymagały funduszy. Zamierzał wystąpić o uznanie jego chwilowej niepoczytalności, co, biorąc pod uwagę okoliczności sprawy oraz przyznanie się do winy, było jedyną możliwą linią obrony. Tych kilka miesięcy ciągnęło się w nieskończoność. Dziewczynki nie były pod dobrą opieką. Solange nie zwracała zbyt wielkiej uwagi na umiejętności lub zalety charakteru kolejnych opiekunek, ponieważ zawsze była w domu i sama zajmowała się dziećmi. Dzień Bożego Narodzenia był upiorny. Dzieci, pozbawione obojga rodziców, już teraz wydawały się sierotami. W pierwszy dzień świąt Arthur zabrał Hilary i Aleksandrę na lunch, lecz nie spędzili go w radosnym nastroju. Aleksandra zdawała sobie z tego sprawę. Jej poważny wzrok wędrował wciąż od Arthura do Hilary; w końcu ze smutkiem i zmieszaniem popatrzyła na siostrę. - Dlaczego jesteś zła na wujka

Arthura? - Nie jestem. - Hilary utkwiała oczy w talerzu, a potem spojrzała ze złością na siostrę. - Właśnie że jesteś. Za każdym razem, kiedy próbuję dotknąć twojej ręki, cofasz ją. - Jedz indyka, Axie. Hilary zdawała się być głucha na skrzypków grających kolędy w Palm Coun. Była zatopiona we własnych myślach i Arthur żałował, że Marjorie nie przyszła tu z nimi. Wolała pójść na lunch do Colony Club z jakąś prawniczką. Błagał ją, by poszła razem z nimi, ale odmówiła kategorycznie. - Nie interesują mnie te dzieci, a ty też nie powinieneś ich zabierać. Nie jesteś żadnym krewnym, a one muszą przystosować się do nowej rzeczywistości. - W wieku ośmiu i pięciu lat? Chryste, jest Boże Narodzenie. Przynajmniej tyle możemy dla nich zrobić... - Nie chcę o tym słyszeć. Jeśli ty chcesz grać rolę szlachetnego dobroczyńcy, proszę bardzo, ale mnie w to nie mieszaj. - Mówiąc to wyszła z pokoju, więc poszedł sam. Twarda postawa Marjorie wobec dziewczynek wynikała z jej niechęci do Walkerów w ogóle, a ściślej rzecz ujmując do częstych spotkań Arthura i Solange. Nie była zazdrosna; raczej nie pochwałała francuskiej kokieterii w sposobie bycia Solange oraz faktu, że Sam był aktorem, a to, że odniósł sukces, niewiele dla niej znaczyło. W Boże Narodzenie Sam nie miał żadnego kontaktu z dziewczynkami. Nie pozwolono mu do nich zatelefonować, chociaż i tak by tego nie zrobił. Zbyt przygnębiony, by myśleć o kimkolwiek poza Solange, po stokroć analizował powody, dla których ją zabił. Nie mógł znieść myśli nawet o dzieciach. Arthur próbował wyrwać go z tego stanu przynosząc mu ich fotografie, ale na próżno. Sam zamknął się w sobie. Mówił jedynie o zmarłej żonie i przeszłości, wciąż od nowa wyliczając swoje grzechy, pomyłki i wykroczenia. Był jak stary człowiek, który życie ma już za sobą. Arthur wiele wysiłku wkładał w to, by go zainteresować sprawą obrony, jednak bez powodzenia; co więcej, często powtarzał, że zasłużył sobie na karę, a to nie ułatwiało zadania Arthurowi. Reszta zimy była męczarnią. Hilary okazała się dobrą gospodynią domową, a młodszym dzieciom nie działa się krzywda. Jednak ból i udręka wciąż obecne w oczach najstarszej dziewczynki przerażały Arthura. Nie chciała od niego pocieszenia, od śmierci matki nie podeszła do niego ani razu. Powtarzał, że jest jej ojcem chrzestnym i że bardzo ją kocha, ale ona tylko stała, słuchając uprzejmie i nie odzywając się słowem. Odkąd zabrakło Solange, Hilary stała się pełną rezerwy, dziwnie spokojną dziewczynką. O ojcu mówiła tak, jakby go już nie pamiętała, jakby umarł na długo przed matką. Trudno było uwierzyć, że miała dopiero dziewięć lat. Przeżyta tragedia wycisnęła na niej swe piętno i Arthur z bólem uświadamiał sobie, jak była nad wiek dojrzała. Starał się zabierać dziewczynki na obiad tak często, jak tylko mógł. Coraz bardziej martwiły go sprawy pieniężne: opłacenie pomocy domowej, szkoły, jedzenia i mieszkania. Mała Megan kilka razy chorowała, doszły więc rachunki za lekarza. Trzeba też było kupić nowe buty. Większość pieniędzy ze sprzedaży biżuterii Solange poszła na koszty obrony Sama, a to, co pozostało, wystarczało na niewiele. Ich szczupłe fundusze topniały i czasami dochodził do wniosku, że Hilary zdaje sobie z tego sprawę, zmuszała bowiem każdego do oszczędzania, a nawet, ku zdumieniu Arthura, nauczyła się reperować własne ubrania. Megan zaczynała uważać ją za swoją matkę. Do wiosny Sam stracił piętnaście kilo. Zakończono też wszystkie badania psychiatryczne. Lekarze, którzy go badali, zgodnie stwierdzili, że cierpi na głęboką depresję. Skłaniali się ku opinii, którą zamierzali wyrazić w sądzie, że zabił Solange działając pod wpływem chwilowej pasji, być może nawet w stanie

całkowitej niepoczytalności. Poza tym jednak wszyscy uznali go za człowieka zdrowego psychicznie i inteligentnego. Jedynym problemem było jego, zrozumiałe w tych okolicznościach, załamanie nerwowe. Arthur z trudnością się z nim porozumiewał, a Sam nie robił nic, by przygotować się do procesu. Nie wykazywał żadnego zainteresowania wysiłkami Arthura, który przez kilka miesięcy pracował nocami nad jego obroną. Wyszukiwał podobne przypadki w przeszłości i rozpaczliwie szukał nowych punktów widzenia na tę sprawę. Proces przypominał koszmarny sen. Prokurator działał szybko i pewnie. Odszukał każdą prostytutkę, każdą gwiazdkę, z którą Sam Walker kiedykolwiek się przespał. Przez salę sądową przeszła plejada kobiet zeznających zgodnie, że pił zbyt dużo, czasem po alkoholu bywał brutalny i nie miał żadnych zasad moralnych. Arthurowi trudno było znaleźć jakiś fałszywy rys w portrecie Solange odmalowanym przez oskarżenie. Przedstawili ją jako kobietę mądrą, inteligentną i pełną uroku, bez reszty oddaną mężowi, która robiła wszystko, co w jej mocy, by pomóc mu w jego karierze i uczynić go szczęśliwym. Wzorowo opiekowała się ich trzema córkami i prowadziła miły dom, trzymając się z dala od głupstw, w jakie wdawała się większość żon gwiazdorów z Hollywood i Broadwayu. Stwierdzono, że pomimo drobiazgowego śledztwa przeprowadzonego w tej sprawie, oskarżeniu nie udało się znaleźć ani jednej osoby, która mogłaby z czystym sumieniem zeznać, że Solange Walker kiedykolwiek zdradziła swego męża. Uważano powszechnie, że była mu wierna; co więcej, wszyscy świadkowie jednogłośnie stwierdzili, że go uwielbiała. Oskarżenie wykazało ponad wszelką wątpliwość, że nie miał absolutnie żadnego powodu, by ją zabić, nie mogło więc być mowy o "crime passionel". Ze strony Solange nie istniało nic, co usprawiedliwiłoby jego wpadnięcie w szał lub chwilową niepoczytalność. Po prostu okrutnie i nikczemnie zabił ją. Próbowano nawet zakwalifikować jego czyn jako morderstwo pierwszego stopnia sugerując, że zabił ją z premedytacją, gdyż chciał się jej pozbyć, by bez przeszkód uganiać się za dziewczynami. Arthur ze swej strony starał się, by uchylono oskarżenie o morderstwo udowadniając, że był to nieszczęśliwy wypadek. W końcu jednak po trwającej niecały dzień naradzie, która nastąpiła po trzytygodniowym procesie, sąd przysięgłych uznał go winnym morderstwa. Arthur poczuł, jakby kamienna ściana zwała się na głowę. Oczy Sama były szkliste i puste, gdy wyprowadzano go z sali. Było oczywiste, że znajdował się w szoku, jego depresja pogłębiła się znacznie w trakcie trwania procesu. Stojąc na miejscu dla świadków nie okazywał żadnych uczuć i trudno było uwierzyć, że naprawdę kochał swoją żonę. Tak bardzo pograżył się w swoim poczuciu winy i załamaniu nerwowym, iż stracił zdolność wyrażania prawdziwych emocji. Arthur obawiał się, że wywrze to bardzo niekorzystne wrażenie na sędziach przysięgłych. Natychmiast po rozprawie poprosił o widzenie ze swoim klientem w specjalnej celi w sądzie, lecz Sam odmówił. Prośba Arthura o odwiedzenie Sama w jego celi została odrzucona. Arthur opuścił gmach sądu całkowicie zdruzgotany i rozpaczony, z przygniatającym poczuciem, że zawiódł przyjaciela. Ale przecież ostrzegał go i błagał na wszystko, by wynajął adwokata, specjalistę od spraw kryminalnych. Przez całą drogę do domu winił siebie za to, że uległ Samowi. W domu wypił dwa mocne drinki. Przyszło mu do głowy, żeby odwiedzić dzieci, ale nie miał na to sił. Marjorie zostawiła mu wiadomość, że nie wróci na kolację. W ciemności siedział przy swoim biurku i myślał, że to właściwie

dobrze. I tak nigdy nie lubiła Sama, a to, czego Arthur teraz potrzebował najbardziej, to ciepłe muśnięcie bezinteresownej miłości Solange. Każdemu z nich było potrzebne, a Sam ich tego pozbawił. Przez dłuższą chwilę zastanawiał się, czy sędziowie przysięgli mieli rację. Pod wpływem tych myśli przeszedł go dreszcz. Nagle zadzwonił telefon. Był to sierżant z więzienia. Powiedział, że ma wiadomość o jego kliencie. Arthur pomyślał, że może jednak Sam chce się z nim zobaczyć i popatrzył na zegarek. Było piętnaście po ósmej. Co prawda był wyczerpany i lekko pijany, ale pojedzie. Zrobi to dla Sama. - Godzinę temu pański klient popełnił samobójstwo w swojej celi, panie Patterson. Właśnie go znaleźliśmy. Serce Arthura na moment przestało bić, a usta wypełniły się goryczą. Zwymiotuje zaraz, zemdleje albo umrze. - Co? - wydobył z siebie ledwo słyszalny szept. Sierżant powtórzył nie zmieniając słów, a Arthur drżąc całym, zapadł się w fotel. - Mój Boże, dlaczego go nie pilnowaliście? - Od tylu miesięcy żył w strasznej depresji, powinni byli wziąć to pod uwagę. Jeden z psychiatrów ostrzegał ich. Lecz tak naprawdę nikt nie przypuszczał... a teraz oboje odeszli. Arthur nie mógł tego znieść... jego jedyny przyjaciel i jedyna kobieta, którą naprawdę kochał. Teraz musi pomyśleć o ich dzieciach. Co, na Boga, z nimi zrobi? Porozmawia o tym poważnie z Marjorie po jej powrocie do domu. Tylko on im pozostał. Sama i Solange już nie ma. Teraz dziewczynki są prawdziwymi sierotami. Rozdział VI - Czy postradałeś zmysły, Arthurze? - Marjorie patrzyła na niego z niedowierzaniem. Miała taką minę, jakby Arthur publicznie rozebrał się do naga. Nie spał, gdy wróciła do domu. Prawie nie zareagowała na wiadomość o śmierci Sama. Oszłomiła ją natomiast sugestia Arthura, że mogliby wziąć do siebie Hilary, Aleksandrę i Megan. Tylko takie rozwiązanie przychodziło mu do głowy. Dziewczynki nie miały ani rodziny, ani pieniędzy. Gdyby tylko Marjorie zgodziła się zaopiekować nimi, mogliby zamienić mieszkanie na większe i przyjąć na stałe pokojówkę. - Zwariowałeś? Co, na miłość boską, robilibyśmy z trójką małych dzieci? Nigdy nie chcieliśmy mieć własnych, dlaczego mielibyśmy postawić wszystko na głowie z powodu cudzych? Przełknął ślinę próbując zebrać myśli; żałował, że nie poczekał z tą rozmową do rana. Wypił za dużo i obawiał się, że jego argumenty nie brzmią zbyt przekonująco. - Sam Walker był moim najlepszym przyjacielem. Podczas wojny uratował mi życie... Marjorie, te dzieci nie są dla nas obce, nawet jeśli ty tak uważasz. - Czy masz pojęcie, jaka odpowiedzialność wiąże się z wychowaniem dziecka? A co dopiero trójki! - Hilary jest dla nich jak matka. Ona by ci we wszystkim pomogła, naprawdę, Marjorie. - Czuł się tak, jakby znów miał szesnaście lat i prosił matkę o samochód, a ona mu odmawiała. - Ja zawsze chciałem mieć dzieci. To ty uznałaś, że nie poradzisz sobie z dziećmi i karierą... - Popatrzył na nią z wyrzutem, lecz nie zwróciła na to uwagi. Nie czuła się winna; była jedynie szczerze oburzona. - Nie wezmę trójki dzieci. Nie mamy dla nich ani miejsca, ani czasu. Nie pasują do naszego stylu życia. Oboje jesteśmy zajęci. Poza tym wychowanie trzech dziewczynek kosztowałoby majątek. Nie! Po prostu zapomnij o tym, Arthurze. Umieść je w sierocińcu. - Całą tę tyradę wygłosiła szykując się do łóżka. Dla Arthura przerażające było to, że naprawdę tak uważała. Nazajutrz przy śniadaniu ponowił próbę. Daremnie. Marjorie podjęła już decyzję, której nikt nie potrafił zmienić. - Nie chcę mieć własnych dzieci, dlaczego miałabym wziąć cudze? I to czyje! Mój Boże, Arthurze, zawsze

wiedziała, że jesteś zaślepiiony, ale nigdy nie przyszło mi na myśl, że jesteś także głupi. Ten człowiek, nie wspominając już o innych rzeczach, jest mordercą. Czy możesz sobie wyobrazić, jakie cechy charakteru mogły odziedziczyć jego dzieci? A ich matka... - twarz Arthura przybrała złowrogi wyraz, kiedy znów zaczęła perorować, ale ona była zbyt pochłonięta swoją tyradą, by to zauważyć. - Dla mnie zawsze wyglądała na francuską dziwkę. Bóg, jeden wie, co robiła podczas wojny, zanim złapała Sama Walkera. - Dość tego, Marjorie. Sama nie wiesz, co mówisz. Byłem z Samem, gdy ją poznał. - W burdelu? - spytała złośliwie, a jego ogarnęła przemożna chęć spoliczkowania jej, lecz nie miałyby to sensu. Wygrała. Nie będzie mógł wziąć dzieci Sama. - Nie będę dyskutował z tobą o burdelach, Marjorie, ale mogę cię zapewnić, że Solange Walker nigdy w żadnym nie pracowała. Bardzo mi przykro, że nie ma w tobie ani krzty współczucia dla tych dzieci. Rozczarowałaś mnie. - Jego słowa nie zrobiły na niej żadnego wrażenia. Wyszła do pracy w milczeniu. Według niej był to wyłącznie jego problem. I miała rację. To on przyjaźnił się z rodzicami dzieci, on trzymał do chrztu Hilary. Te trzy dziewczynki nie były mu obce, były istotami z krwi i kości i bardzo je kochał. Sam i Solange kochali je również i Arthur nie chciał, by dzieci kiedykolwiek o tym zapomniały lub czuły się opuszczone. Myśl o oddaniu ich do sierocińca wydawała mu się barbarzyństwem, ale nie miał pojęcia, co innego mógłby uczynić. W tydzień później sprawy skomplikowały się jeszcze bardziej, gdy zarówno niania, jak i pokojówka oznajmiły, że odchodzą. Już wystarczająco długo męczyły się w tych okropnych warunkach. Obie były oburzone skandalem, w który zostały wplątane. Los dzieci obchodził je w zadziwiająco małym stopniu. Dla Arthura oznaczało to konieczność znalezienia nowych opiekunek, co w obecnej sytuacji nie było wcale łatwe. Wreszcie pod koniec tygodnia wyjął karteczkę z nazwiskiem siostry Sama. Nie był wcale pewny, czy odnajdzie ją w Bostonie. Miał nadzieję, że jeśli jednak odnajdzie, zdoła przekonać ją, by choć na krótko zaopiekowała się dziećmi. Mógłby wówczas wynająć komuś mieszkanie na Sutton Place i zaoszczędzić dzięki temu pieniądze dla dzieci. Gdyby ten plan się powiódł, miałby czas na znalezienie jakiegoś miejsca dla dziewczynek lub nawet przekonanie Marjorie, że powinni je wziąć. Tak czy owak, potrzebował czasu i choć krótkiego odpoczynku. Jak niczego innego, pragnął przekonać Marjorie, że jego zamiary są słuszne, a nie szalone, jak utrzymywała ona. Z pewnością należałoby wprowadzić pewne zmiany w ich życiu, ale przecież chodziło o trzy ludzkie istoty warte tego zachodu, nawet jeśli Marjorie myślała inaczej. A co będzie, gdy się nie zgodzi? Kto zaopiekuje się dziećmi? Arthur bardzo się tym martwił. Najpierw jednak musi odnaleźć ich ciotkę i dowiedzieć się, czy przyjmie je do siebie, przynajmniej na lato. Nie może być aż tak zła, jak mówił Sam. W końcu była jego siostrą, a związki krwi bywają silniejsze od innych spraw. Poleciał swojej sekretarce, by sprawdziła nazwisko w bostońskiej informacji telefonicznej. Okazało się, że Jack i Eileen Jones mieszkają w Charlestown, położonym nad wodą przedmieściu Bostonu, którego chlubą był arsenał morski. Arthur uznał, że jest to idealne miejsce na wakacje letnie i od razu zadzwonił do Eileen. Jego telefon zaskoczył ją: Powiedziała, że czytała w gazetach o procesie i samobójczej śmierci brata, jednak nie wydawała się tym zbytnio przejęta, natomiast wprost zapytała, czy zostawił jakieś pieniądze. - Obawiam się, że niewiele, dlatego między innymi do pani dzwonię. - Postanowił od razu przystąpić do rzeczy i zobaczyć,

czy mu pomoże. Oprócz niej nie miał już nikogo innego. - Jak pani zapewne wiadomo, Sam i Solange mieli trzy małe dziewczynki, Hilary, Aleksandrę i Megan, i w tej chwili są one całkowicie pozbawione opieki. Chciałbym z panią porozmawiać o możliwości... chciałbym zorientować się, czy mogłaby pani zapewnić im dom, czasowo lub na stałe, jak pani odpowiada. Z drugiej strony zapanowała martwa cisza. A potem usłyszał ten ostry głos, w niczym nie przypominający wytwornego głosu jej brata. - Co to za brednie, do cholery, żarty pan sobie stroisz? Troje dzieci? Ja nie mam nawet własnych, dlaczego miałabym chcieć trójkę bachorów Sama? - Dlatego, że pani potrzebują. Gdyby wzięła je pani do siebie na lato, miałbym czas na znalezienie im odpowiedniego domu. Na razie nie mają dokąd pójść. - Próbował wywołać w niej współczucie, ale Eileen Jones wpadła na lepszy pomysł. - Czy zapłaci mi pan, jeśli się zgodzę? Arthur wahał się tylko przez moment. - Naturalnie, dam pani pieniądze na ich utrzymanie. - Nie to miałam na myśli, ale, oczywiście, także ja wezmę. - Rozumiem. - Arthur wiedział już, dlaczego Sam jej nie lubił, ale była jedyną osobą, do której mógł się zwrócić. - Czy trzysta dolarów wystarczy? Sto za każde dziecko? - Na jak długo? - W jej głosie brzmiała podejrzliwość. Podejrzliwość i chciwość. - Do czasu, gdy znajdę dla nich dom... kilka tygodni, miesiąc, może całe lato. - Ale nie dłużej. Wie pan, nie prowadzę sierocińca. A mojemu mężowi też to się nie spodoba. - Wiedziała jednak, że Jack nie pogardzi trzystoma dolarami, miała też nadzieję, że wycisnie z Arthura więcej. - Czy ma pani dla nich miejsce w domu, pani Jones? - Mam dodatkowy pokój. Dwie mogą spać razem, a dla trzeciej coś się wymyśli. - To dla Megan, ona musi mieć kołyskę. Ma ledwie ponad rok. - Miał ochotę spytać, czy wie, jak opiekować się niemowlęciem. Miał ochotę spytać o wiele innych rzeczy, ale nie śmiał. Był w sytuacji bez wyjścia. Musiał przyjąć, że ze względu na Sama zrobi wszystko, co będzie mogła. Poza tym dzieci były tak czarujące, że na pewno je pokocha, gdy tylko je zobaczy. Po przyjeździe przekonał się jednak, że nie była to miłość od pierwszego wejrzenia. Poprzedniego dnia powiedział Hilary, że jadą do ciotki Eileen na lato. Kazał pokojówce spakować wszystkie ich rzeczy i spokojnie oznajmił, że obie z nianią mogą odejść rano, zaraz po wyjeździe dzieci. zaproponował, żeby Hilary i Aleksandra wzięły swoje ulubione zabawki. Nikomu nie zdradził swojego zamiaru zlikwidowania mieszkania i sprzedania wszystkiego natychmiast po wyjeździe dzieci. Powiększenie ich szczupłych funduszy o niewielką nawet sumę uzyskaną ze sprzedaży mebli będzie dla nich z pożytkiem. Nie trzeba także płacić ogromnego komornego za dwupoziomowe mieszkanie na Sutton Place. Długi Sama wciąż były astronomiczne i dzieci nie miały żadnego źródła dochodu. Arthur był zadowolony, że pozbędzie się obu służących i mieszkania. Hilary przyglądała mu się podejrzliwie, gdy wspomniał o podróży do Bostonu. Wraz ze śmiercią matki jej stosunek do niego wyraźnie się ochłodził, choć trudno było orzec, czy w taki sposób wyrażała swój ból, czy też wynikało to z innych przyczyn. - Dlaczego nas wysyłasz? - Bo tam będzie wam lepiej niż tu. Wasza ciotka mieszka nad oceanem. Pomijając inne względy, będzie przynajmniej chłodniej - nie możecie przecież całe lato siedzieć w Nowym Jorku, Hilary. - Ale wrócimy tu, prawda? - Ależ naturalnie. - Obleciał go strach i poczucie winy. A jeżeli ona wie; że to nieprawda? - Dlaczego więc kazałeś spakować wszystkie nasze rzeczy? - Myślałem, że mogą się wam przydać. Bądź rozsądna, Hilary. Powinnaś się cieszyć, że poznacie siostrę waszego

ojca. Hilary stała na środku pokoju, ubrana w żółtą organdynową sukienkę, lamowaną białą piką, nienagannie czyste skarpetki i wyczyszczone do perfekcji lakierowane buciki. Jej błyszczące czarne włosy, tak podobne do włosów Sama, były dokładnie rozczesane i splecione w dwa gładkie warkocze. Patrzyła na niego swymi wielkimi zielonymi oczami, mądrymi jak oczy jej matki, jakby wiedziała, że coś przed nią ukrywa. W pewnym sensie bał się jej, tak wiele rozumiała, a jednocześnie była tak opanowana i zapamiętała opiekuńcza wobec sióstr. Wiadomość o samobójstwie ojca przyjęła ze stoickim spokojem. Prawie nie płakała i pocieszała Aleksandrę mówiąc, że tatuś poszedł do nieba, żeby być z mamą. Aleksandrze trudno było to wszystko zrozumieć, miała w końcu dopiero pięć lat, ale Hilary dokładała wszelkich starań, by tę sytuację uczynić dla niej znośniejszą. Zresztą tak zachowywała się wobec obu siostrzyczek. Zdawać się mogło, że Solange odchodząc powierzyła jej opiekę nad swoimi dziećmi. - Dlaczego nigdy przedtem nie widziałyśmy cioci Eileen? Czy tatuś jej nie lubił? - Spostrzegawczość odziedziczyła po matce i nie dawała się łatwo oszukać. Sposób, w jaki jej oczy miały błyskawice, gdy rozmawiała z Arthurem; bardzo przypominał mu Solange. - Wydaje mi się, że nie byli sobie bliscy, Hilary, ale to nie oznacza, że twoja ciotka nie jest miłą osobą. Hilary skinęła głową; chwilowo postanowiła powstrzymać się od wydawania osądu. Nietrudno było jednak odgadnąć jej myśli, gdy przybyli do Charlestown. Dom ciotki okazał się małym barakiem stojącym przy ciemnej uliczce, z okiennicami pourywanymi poprzedniej zimy przez ostre wiatry. Ze ścian odpadała farba, podwórko zarastały chwasty, a dwa frontowe schodki były obtłuczone; widok ten nie wróżył niczego dobrego na przyszłość. Hilary wchodziła po schodach trzymając Aleksandrę za rękę, a Arthur niósł niemowlę. Niania przyjechała z nimi, ale zaraz wracała do Nowego Jorku. Arthur kilkakrotnie bez żadnego efektu nacisnął dzwonek do drzwi, zanim zdał sobie sprawę, że nie działa. Wtedy mocno zastukał w okno. Czuł na sobie wzrok Hilary zawierający nieme pytanie, dlaczego tu przyjechali. Nawet nie śmiał na nią spojrzeć; nie mógłby znieść oczu Solange patrzących na niego z niemym wyrzutem i powstrzymaną furią. - Tak? - W końcu drzwi otworzyły się, szarpnięte przez kobietę o zaniedbanych blond włosach, ubraną w brudny i podarty płaszcz kąpielowy. - Czego chcecie? - Przez moment patrzyła na nich z wyraźną złością, mrużąc oczy w obronie przed dymem papierosa zwisającego jej z kącika ust. Gdy zdała sobie sprawę z tego, kim są, uśmiechnęła się nieszczercze i przez ułamek sekundy bardzo przypominała Sama. Ale wspólnych rysów trzeba było się doszukiwać. - Pani Jones? - Arthura powoli opuszczała odwaga. Nie poczuł się wcale lepiej, gdy weszli do saloniku. Stała tam połamana kanapa, trzy wyświechtane krzesła ze sterczącymi sprężynami, pamiętający lepsze czasy stolik do kawy i mały komplet jadalny. Pod ścianą migał ekran telewizora. W środku dom wyglądał jeszcze gorzej niż na zewnątrz. Eileen Jones najwyraźniej nie traciła wiele czasu na prowadzenie domu swojemu mężowi. Było sobotnie popołudnie i w radio huczał mecz baseballu, a w telewizji występował Gabby Hayes; dzieci oszołomił ten ogłuszający hałas. Stały na środku pokoju patrząc na siebie w milczeniu. - Piwa chce? - Eileen spojrzała na Arthura ignorując dzieci. Trudno uwierzyć, że była siostrą Sama Walkera, tego nienagannie zadbanego, przystojnego mężczyzny o świetnej prezencji, z którego emanowały siła i magnetyzm przyciągające uwagę otoczenia. Z Solange stanowili olśniewającą parę. A ta

kobieta uosabiała parodię wszystkiego, co tanie, zepsute i brzydkie. Wyglądała na znacznie starszą niż swoje trzydzieści dziewięć lat, bo spustoszenia dokonane przez nadużywanie alkoholu wcześniej zbierały swoje żniwo. Kiedyś mogła być atrakcyjną kobietą, lecz z jej urody nie pozostał już nawet ślad. Teraz była twarda, zgorzkniała i brzydka. Cienkie, farbowane włosy, krótko obcięte, zwisały w tłustych strąkach. Spojrzenie podpuchniętych od nadmiernego picia niebieskich oczu, podobnych do bystrych oczu Sama, było tępe i puste. Cerę miała ziemistą, figurę zniekształconą, nogi cienkie jak patyki. Dziewczynki nigdy dotąd nie miały z kimś takim do czynienia i Arthur zdał sobie sprawę, że Hilary wpatruje się w nią zaszokowana i przerażona. - To jest Hilary. - Próbował ją zachęcić, by uściśnęła rękę tej kobiety, ale dziewczynka nie ruszyła się z miejsca. - To Aleksandra. - Młodsza z sióstr wciągała w nozdrza zapach starego piwa przenikający powietrze, a widząc wyraźną niechęć Hilary, zrobiła do niej minę. - A to Megan. - Wskazał na niemowlę spoglądające na zniszczoną blondynę szeroko otwartymi oczyma. Jedna Megan zdawała się nie przejmować swoim letnim domem ani jego gospodynią, dwie starsze były przerażone. Hilary siłą powstrzymywała łzy widząc przeznaczony dla nich pokój. Eileen bezceremonialnie je tam wprowadziła, machając w kierunku pogiętego, wąskiego łóżka, które nie zasłane stało w kącie. Pokój był wąską celą, pozbawioną okna, ledwo mieszczącą ten jedyny sprzęt. Oparta o ścianę kołyska wyglądała tak, jakby Eileen dopiero co przyniosła ją ze śmietnika. Tam zresztą ją znalazła, wkrótce po telefonie Arthura. - Łóżko pościelimy później - ze sztucznym uśmiechem zwróciła się do swej najstarszej bratanicy. - Może będziesz mogła mi pomóc. - Bez szczególnego zainteresowania spojrzała na Arthura. - Ma jednak oczy swojej matki. Arthura zaskoczyły jej słowa. - Pani ją znała? - Solange nigdy mu o tej kobiecie nie mówiła. I nagle sobie przypomniał. Solange, tak jak Sam, bardzo jej nie lubiła. Odwiedzili ją, gdy po wojnie wystawiali letni repertuar w Stockbridge. Zdawało się, że było to wieki temu, tak zresztą jak wszystko teraz. Arthur rozejrzał się dokoła, wzruszenie ścisnęło mu gardło. Z niechęcią myślał o pozostawieniu dziewczynek w takim miejscu. Przez moment poczuł nienawiść do swej żony za to, że skazała je na ten los. Jak mogła tak postąpić? Ale przecież nie zdawała sobie sprawy z tych warunków - pomyślał walcząc z własnymi wyrzutami sumienia i żalem. Zmusił się, by o tym nie myśleć, i powtarzał sobie, że to tylko na lato. A później... To stanowiło poważny problem. Co potem? Marjorie była nieprzejednana, próbował więc znaleźć kogoś, kto mógłby je wziąć, i szukał ludzi posiadających wielkie rodziny lub takich, którzy nie mieli własnych dzieci. Włączył w te poszukiwania swoich wszystkich współników z firmy prawniczej. Hilary wciąż stała niezgrabnie w drzwiach tego, co miało być ich pokojem, i z przerażeniem wpatrywała się w jego wnętrze. Nie było tam ani szafy, ani komody na ich rzeczy; nie było nawet krzesła, lampki czy stolika. Niedaleko drzwi z sufitu zwisała goła żarówka. - Ma pan pieniądze? - spytała Eileen. Arthur, sięgając do kieszeni po kopertę, czuł się niezręcznie, że musi to robić w obecności dzieci. - Jest tam rozsądna suma na wydatki. Ona, znacznie mniej delikatna niż Arthur, otworzyła kopertę i przeliczyła banknoty. Dał jej tysiąc dolarów, więc jeśli dobrze rozegra swoją panią i przez dwa miesiące będzie karmić dzieci wyłącznie makaronem i serem, zaoszczędzi dla siebie mnóstwo pieniędzy. Uśmiechnęła się radośnie do dziewczynek, pociągnęła łyk piwa i pożegnała Arthura, celnie przy tym

trafiając niedopałkiem do zlewu. Robiła to często. - Bardzo dobrze, panie Patterson. Jeśli będą jakieś problemy, zadzwonimy do pana. - Myślę, że mógłbym odwiedzić je za parę tygodni i zobaczyć, jak się sprawują, jeśli oboje z mężem nie macie nic przeciwko temu. Hilary patrzyła na niego z niedowierzaniem. Naprawdę zamierzał zostawić je tutaj, w tym brudzie, wśród butelek po piwie, nie zasłanych łóżek... i z tą straszną kobietą. I jeśli przedtem w stosunku do Arthura była zamknięta, teraz, gdy wyjeżdżał, traktowała go lodowato. - Zadzwonię do was za kilka dni, Hilary, a gdybyś mnie potrzebowała, nie wahaj się dać mi znać. Kiwnięcie głową było jedyną reakcją, na jaką się zdobyła. Nie mogła uwierzyć, że Arthur po tym wszystkim, co już zrobił, robi im jeszcze i to. Przez moment miała ochotę go zabić, lecz odwróciła się tylko do Aleksandry, która cichutko płakała. - Nie płacz, Axie, to będzie zabawa. Pamiętasz, wujek Arthur mówił, że możemy chodzić nad ocean. - Tak? - Eileen roześmiała się ochryple przy wtórze odjeżdżającego samochodu. - Gdzie zamierzacie to robić? W stocznicy? - Znów się roześmiała. Tysiąc doliczów stanowiło niezłą zapłatę za parę miesięcy niewygód, a przy odrobinie szczęścia może nie będzie tak źle. Niemowlę na pewno jest trochę uciążliwe, ta pięciolatka wygląda na płakusę, ale zdaje się, że najstarsza trzyma wszystko w garści. Może zajmie się całą robotą. Może nawet będzie gotować i sprzątać. Eileen opadła na kanapę przed telewizorem z nową butelką piwa i zapaliła papierosa. Może pójda z Jackiem gdzieś na kolację? - Przepraszam - Hilary, trzymając niemowlę, stanęła sztywno koło telewizora. - Gdzie są poszewki na nasze łóżko? - Chyba na tylnej werandzie. Jeżeli uda ci się je znaleźć. - Eileen więcej się do nich nie odezwała, a Hilary tymczasem spokojnie się wszystkim zajęła. Znalazła prześcieradła, podarte, lecz przynajmniej czyste. Rozesała je na łóżku, nie było jednak poduszek ani koców. Dla Megan z następnego prześcieradła ułożyła prowizoryczny becik i mocno oparła kołyskę o łóżko i ścianę. Obawiała się, że jeśli tego nie zrobi, kołyska przewróci się. Tak jak podejrzewała, była połamana. Umyła Axie buzię i zabrała ją do ubikacji, zmieniła także pieluszkę Megan. Potem wszystkie trzy napiły się trochę wody. Siedziały w swym nowym pokoju rozglądając się dokoła. - Tu jest tak brzydko - wyszeptała Axie, obawiając się, że usłyszy ją ta pani z papierosem i butelką piwa. - Czy ona jest naprawdę siostrą tatusia? Hilary skinęła głową. Ciężko było w to uwierzyć i nie było to przyjemne, ale była ich ciotką i utknęły u niej na lato. Nie miały miejsca na swoje zabawki, pozostały w walizkach, tak jak spakowała je niania. Eileen zobaczyła swoje bratanice ponownie dopiero o piątej; tak jak przypuszczała, Hilary zadbała o wszystko. - Przepraszam. - Hilary stała przed ciotką ze swymi błyszczącymi ciemnymi włosami i wielkimi, zielonymi oczami. Wyglądała jak rzecznik walczący o czyjeś prawa. - Czy mogłybyśmy dać moim siostrom coś do jedzenia? Są głodne. - Eileen nie przyszło to do głowy. W domu nic nie było. Zajrzała do lodówki i poza piwem i kilkoma zepsutymi cytrynami znalazła tam tylko kawałek czerstwego pieczywa. Eileen i Jack nigdy nie jadali w domu, jeśli mogli tego uniknąć. W domu tylko pili. - Oczywiście, dziecko. Jak masz na imię? - Hilary. - W jej wzroku była jakaś powściągliwość, jakby wydarzenia ostatnich miesięcy złamały ją. Miała zaledwie dziewięć lat, a przecierpiała więcej, niż inni w ciągu całego życia. - Pójdiesz do sklepu i kupisz coś do jedzenia, dobrze? Wystarczy kilka puszek tuńczyka. - Tuńczyk? - Hilary spojrzała tak, jakby to słowo słyszała po raz pierwszy. Przyzwyczajona była do gorących posiłków,

przygotowywanych przez pokojówkę, a przedtem mamę. Gęste zupy i pożywne duszone mięsa, średnio wysmażone steki i czekoladowe ciastka z kremem waniliowym. - Tuńczyk? - Tak. Tu masz pieniądze. - Eileen dała jej parę dolarów oczekując, że zrobi za to cały obiad. Nawet Hilary wiedziała, że to niemożliwe. Niania dawała jej więcej pieniędzy na lody. - Sklep jest na rogu. Nie możesz nie trafić. I kup piwo dla mnie, dobrze? - Zawsze bała się, że jej zabraknie, nawet gdy miała zapas w domu. Hilary zabrała ze sobą siostry wyłącznie z obawy, że coś im się przytrafi, gdy zostaną same. Sklep wyglądał równie nędznie jak całe otoczenie. Cegły w większości domów kruszyły się, drewniane budynki pokrywała wyblakła i łuszcząca się farba. Wszystko w sąsiedztwie było wyszczerbione, mocno zużyte i połamane. Hilary kupiła dwie puszki tuńczyka, słoiczek pożywienia dla niemowląt, bochenek chleba, majonez, masło, pół tuzina jajek, karton mleka i puszkę piwa dla ich gospodyni. Uważała, że zrobi z tego niezły obiad, a resztę jajek i chleba zużyje następnego dnia na śniadanie. Gdy podeszła do frontowych drzwi, z wysiłkiem niosąc Megan i zakupy, trzymając jednocześnie za rękę Axie, Eileen zadała jej tylko dwa pytania. - Gdzie jest moje piwo? - Mam je w torbie. - Więc mi je daj - warknęła i Axie zaczęła popłakiwać. Nie znosiła ludzi, którzy krzyczeli na nią lub na jej siostry. Matka nigdy tego nie robiła, niania także nie, choć mówiła brzydkie rzeczy o ich rodzicach i za to jej nie lubiły. Hilary szybko podała ciotce piwo, a ta spojrzawszy na nią zadała drugie pytanie. - Gdzie reszta? Hilary oddała jej trzy centy, a Eileen ze złością rzuciła w nią monetami. Jedna z nich trafiła Megan w twarz. - Co ty wyprawiasz, kupujesz sobie steki? Tu nie jest Park Avenue, zapamiętaj sobie. Gdzie, u diabła, jest reszta pieniędzy? - Nie pamiętała już, że Arthur dał jej tysiąc dolarów na utrzymanie dzieci. - Musiałam kupić coś na obiad - wyjaśniła Hilary. - I jutro na śniadanie. - Gdy będę chciała kupić wam coś na śniadanie, to ci powiem. Zrozumiałaś? I następnym razem nie wydawaj tak cholernie dużo pieniędzy. Słowa Eileen kompletnie ogłuszyły dziewczynkę. Podczas przygotowywania obiadu trzęsły jej się ręce. Zrobiła go w dziesięć minut, niczym doświadczona gospodyni. Ugotowała jajka na miękko, przygotowała grzanki, podgrzała jedzenie dla Megan. Dla siebie i Aleksandry przyrządziła także kanapki z tuńczykiem. Całej trójce nalała po szklance mleka; wypity je z wdzięcznością. Były głodne i wyczerpane jazdą samochodem z Nowego Jorku i szokiem spowodowanym osobą ich ciotki, a także tym całym Charlestown. Hilary nie zaproponowała ciotce nic do jedzenia, zresztą ta nie wykazywała żadnego zainteresowania poczynaniami dzieci. Obiad zjadły w swoim pokoju. Hałas płynący jednocześnie z radia i telewizora uniemożliwiał rozmowę, poza tym bała się Eileen. Nawet Megan wydawała się przestraszona. Hilary przeraziła się jeszcze bardziej, gdy zobaczyła męża ciotki. Wszedł w momencie, gdy wkładała brudne naczynia do zlewu, by je umyć. Był wielkim, tęgim mężczyzną o niezwykle barczystych ramionach i olbrzymich dłoniach. Miał na sobie robocze spodnie i podkoszulek, a odór alkoholu bijący od niego dotarł aż do niej. Natychmiast zaczął wrzeszczeć na żonę, lecz zanim zdążył ją uderzyć, pomachała mu przed nosem kopertą i pokazała coś, co wyglądało na pieniądze. Pięćset dolarów. Wybuchnął głośnym, głupkowskim śmiechem, nie podejrzewając nawet, że taką samą sumę ukryła w stosie starych pończoch, gdzie trzymała własne pieniądze. - Ho, ho, malutka, co za bogactwo! - Hilary dłuższą chwilę przyglądała mu się nie zauważona. -

Skąd to masz? - To na nie. - Wskazała niewyraźnie na tył domu i wtedy Jack zobaczył Hilary w kuchni. - Kto to jest? - Patrzył bezmyślnym wzrokiem, a Hilary zauważyła, że miał wyjątkowo głupi wyraz twarzy i małe świńskie oczka. Znienawidziła go od pierwszego spojrzenia, był jeszcze gorszy niż Eileen i chyba bardziej nikczemny. - Pamiętasz, dzieci mojego brata, mówiłam ci o nich. - Tego, co wykończył swoją starą? - Tak, tego samego. Dzisiaj przyjechały. - Jak długo mamy je trzymać? - Nie sprawiał wrażenia zadowolonego, gdy przyglądał się Hilary, jakby była kawałkiem mięsa. Najwyraźniej ich przyjazd traktował jak dopust boży, mimo całkiem niezłej gratki, jaką stanowiły pieniądze na utrzymanie dzieci. - Kilka tygodni, zanim ten prawnik coś dla nich znajdzie. A więc to tak. Hilary, słysząc te słowa, zadrżała od stóp do głów. Arthur nie powiedział im tego przed wyjazdem i nagle zastanowiło ją, co stanie się z ich mieszkaniem. Hilary patrzyła, jak Eileen uśmiecha się do męża. Dzieci kompletnie ich nie obchodziły. Tak jakby w ogóle nie istniały. - Hej, dziecinko, chodźmy gdzieś potańczyć. Hilary pomyślała, że są na to zbyt pijani, ale Jackowi pomysł bardzo się spodobał. Miał tłustą cerę i rzadkie włosy, a jego grube dłonie przypominały rostbef. - Możemy zostawić dzieci same? - Pewnie, czemu nie. Najstarsza wszystko robi. - Wszystko? - spojrzał na żonę lubieżnie i przysunął się bliżej, a Hilary z drżeniem wyczuła, że ma zamiar zrobić coś nieprzyzwoitego. Ale Eileen roześmiała się tylko i przyciągnęła go do siebie. - Daj spokój, ty stary, jurny żeglarzu... ona, na Boga, ma dopiero dziewięć lat... - Eileen śmiała się, gdy przy pocałunku wepchnął grubą łapę pod jej szlafrok. - A ty za pierwszym razem ile miałaś lat? - Trzynaście - odpowiedziała z godnością, ale oboje wiedzieli, że kłamała. Śmiejąc się ochryple poszła po następne piwo i wtedy zauważyła Hilary. - Co, u diabła, tu robisz, szpiegujesz nas, ty przeklęty bachorze? - Chciałam tylko... posprzątać po obiedzie... przepraszam... ja... - Idź do swojego pokoju! - wrzasnęła, ze złością trzaskając drzwiami lodówki. - Cholerne dzieciaki. - Wiedziała, że nieźle jej dopieka, zanim się ich pozbędzie, ale dopóki Jack nie ma nic przeciwko temu, niech sobie będą. W końcu dzięki nim ma te pieniądze. Jonesowie wyszli z domu o ósmej. Megan i Aleksandra spały już w wąskim, dusznym pokoiku, ale Hilary nie mogła zasnąć. Leżała w ciemnościach myśląc o matce. Ona nigdy by nie pozwoliła, by coś takiego im się przytrafiło. Przenigdy. Kazałaby Eileen się uspokoić a swoje dzieci zabrałaby do domu, który gdzieś, jakoś by dla nich stworzyła. To właśnie musi teraz zrobić Hilary. Wiedziała, że musi. Znajdzie jakiś sposób i miejsce, dokąd mogłyby się udać... i dużą sumę pieniędzy. Nie pozwoli, żeby coś złego stało się jej siostram. Uczyni wszystko, by je uchronić. Na razie jednak musi trzymać je z daleka od Jacka i Eileen, zabawiać je w pokoju lub na zarośniętym chwastami podwórku. Będzie im przygotowywać posiłki, kapać je, dbać o ich ubrania. Leżała w łóżku planując wszystko, aż w końcu zasnęła. Ze snu wyrwała ją kwadrans po szóstej Megan, płacząca z powodu mokrej pieluchy. Megan była wesołym dzieckiem o rudych, lekko kręconych włosach jak jej matka i dużych niebieskich oczach odziedziczonych po ojcu, podczas gdy Hilary miała ciemne włosy Sama i zielone oczy Solange. Jednak naprawdę uderzająco podobna do matki była Aleksandra. Serce Hilary rwało się z bólu, gdy na nią patrzyła. Nawet głos miała taki sam, zwłaszcza gdy się śmiała. Hilary przygotowała dziewczynkom śniadanie, zanim Jack i Eileen się obudzili. Potem ubrała je w jednakowe sukienki z błękitnej bawełny i

zabrała na dwór, by się pobawiły. Sama założyła czerwoną sukienkę z małym fartuszkim. Dostała ją od matki tuż przed jej śmiercią i wciąż ją lubiła. Było już południe, gdy Eileen Jones pojawiła się w drzwiach, by sprawdzić, co robią dzieci. Wyglądała na chorą; gdyby były starsze, domyśliłyby się, że ma strasznego kaca. - Może byście się zamknęły, cholerne bachory. Chryste, hałasujecie na całą okolicę. - Ponownie zobaczyły ją dopiero po lunchu. Przez cały dzień nie ruszała się sprzed telewizora i popijała piwo. Jack chyba poszedł pić gdzie indziej. Jedynym urozmaiceniem w ich monotonnym życiu było to, że w dni powszednie Jack, ubrany na roboczo, wychodził wcześniej. Rzadko odzywał się do dziewczynek, czasem tylko żartował z Hilary mówiąc, że kiedyś będzie bardzo ładna, a ona nigdy nie wiedziała, jak mu odpowiedzieć. Eileen w ogóle z nimi nie rozmawiała. Wydawało się, że minęły już całe wieki, zanim zatelefonował Arthur. Zadzwoił dokładnie w tydzień po ich przyjeździe do Jonesów pytając, czy wszystko w porządku. Hilary rozmawiała z nim jak automat. Powiedziała, że czują się dobrze, choć każdy by się domyślił, że tak nie było. Axie miewała koszmarne sny, a Megan budziła się w nocy. W pokoju było duszno i gorąco, miały też za mało jedzenia. Hilary robiła wszystko, co w jej mocy, by poprawić sytuację, ale niewiele mogła zdziałać. Była przecież zaledwie dziewięcioletnim dzieckiem i powoli przestawała sobie radzić. Nic jednak nie powiedziała Arthurowi. - Czujemy się dobrze - na przekór tym słowom w jej głosie słychać było zmęczenie i brak entuzjazmu. - Wkrótce znów do was zadzwonię. - Ale nie odezwał się więcej. Był bardzo zajęty; prowadził właśnie trudną sprawę, wciąż pracował nad uregulowaniem interesów Sama i dalej szukał kogoś, kto by wziął dziewczynki. W sierpniu stało się jasne, że nikogo takiego nie znajdzie. Zrezygnował już z prób przekonania Marjorie, gdyż w końcu powiedziała mu, by wybierał: ona albo dzieci. Kości zostały rzucone. Arthur nie będzie mógł ich wziąć. Rozdział VII Pod koniec lata dwaj wspólnicy Arthura nieoczekiwanie rozwiązali jego problem. Pierwszy z nich, jeden z najstarszych w firmie, George Gorham, był człowiekiem zbliżającym się do emerytury; przed rokiem poślubił niezwykle atrakcyjną młodą kobietę z dobrej rodziny. Margaret Millington pośród swoich rówieśniczek, wraz z nią rozpoczynających życie towarzyskie, wyróżniała się niezwykłą urodą. Potem zadziwiła wszystkich osiągając świetne wyniki w Vassar. Nie spełniła jednak oczekiwań swoich rodziców, pragnących, by poślubiła jakiegoś wspaniałego młodego mężczyznę. Związała się natomiast z George'em Gorhamem. O czterdzieści lat starszy, wdowiec, był dla niej ideałem w każdym calu. Poza jednym - nie mógł mieć dzieci. Powiedział jej o tym uczciwie, a ona twierdziła, że to bez znaczenia. On jednak obawiał się, że kiedyś, w przyszłości, dziecko stanie się ważne, a za nic w świecie nie chciał jej utracić. Mała Aleksandra wypełniłaby jedyne puste miejsce w ich życiu. Rozważali adoptowanie całej trójki, i chociaż wydawało im się to czynem szlachetnym, doszli do wniosku, że przerosłoby ich możliwości. Gorham czuł się za stary, by przyjąć dziecko w wieku Megan, z kolei zaś dziewczynka tak duża jak Hilary mogłaby po adopcji przysporzyć kłopotów. Pięcioletnia Aleksandra nadawała się wprost idealnie, i Margaret była zachwycona. Tego samego dnia, kiedy chęć zaadoptowania Aleksandry zgłosił George Gorham, przyszedł do Arthura z prywatną wizytą David Abrams. Miał trzydzieści cztery lata i był, podobnie jak jego żona Rebecca, adwokatem. Rebecca pracowała w innej firmie, o bardziej liberalnym charakterze. Pobrali

się, gdy kończyli college, a od ostatniego roku studiów prawniczych bezskutecznie próbowali mieć dziecko. W końcu powiedziano im, że sprawa jest beznadziejna. Rebecca nie mogła mieć dzieci. Było to dla nich wielkim ciosem, tym bardziej że zawsze marzyli o posiadaniu kilkorga. Teraz jednak czuli, że nawet jedno przyjęliby z wdzięcznością, na więcej zresztą nie mogli sobie pozwolić. Podobnie jak Gorhamowie przez chwilę rozważali adoptowanie całej trójki, ale uznali, że nie podolaliby tak wielkiemu ciężarowi. Wybrali malutką Megan. W ten sposób zostawała Hilary. I Arthur, postawiony w obliczu niezwykle trudnej decyzji. Czy powinien rozbić rodzinę? Czy ma prawo to zrobić? Lecz z drugiej strony, Sam Walker mordując Solange, zniszczył życie im wszystkim. Może jemu, Arthurowi, pozostało już tylko ratowanie każdej z nich z osobna? Gorhamowie byli wspaniałymi ludźmi; w dodatku bardzo bogatymi, i Arthur wiedział, że Aleksandrze nigdy niczego nie zabraknie. Z tego, co mówił George wynikało także, że oboje z żoną pokochają dziecko. Co więcej; będą pod ręką, więc Arthur może mieć oko na wszystko, choć naturalnie, nie sądził, by była to konieczne w przypadku Gorhamów. Rebecca i David Abramsowie znajdowali się w znacznie gorszej sytuacji materialnej, oboje byli jednak pracowitymi młodymi ludźmi, stojącymi przed dobrze zapowiadającą się karierą. Rodziny obojga mieszkaly w Nowym Jorku, mało więc prawdopodobne, że gdzie się wyprowadzą; Arthur mógłby pełnić rolę anioła stróża także względem Megan. Najbardziej martwił się o Hilary. Co się z nią stanie? To wielka szkoda, że ani Gorhamowie, ani Abramsowie nie chcieli drugiego dziecka. Pytani ponownie, zdecydowanie odpowiedzieli: "Nie". Próbował raz jeszcze porozmawiać z Marjorie, lecz jej odmowa była jednoznaczna. Wyczuwał, że naleganie zagroziłoby ich związkowi. Parę tygodni wcześniej obiecał nie poruszać więcej tego tematu. Tak więc Hilary nie miała dokąd pójść. Jedynym wyjściem było pozostawienie jej tam, gdzie jest, u Jonesów w Bostonie, pod warunkiem oczywiście, że oni się na to zgodzą. Po sprzedaniu wszystkiego z majątku Sama pozostanie około dziesięciu tysięcy dolarów. Arthur pomyślał, że mógłby tę sumę zaproponować Jonesom jako zapłatę za opiekę nad Hilary. Lepsze to niż nic, choć zdawał sobie sprawę, że rozwiązanie nie jest dobre. Martwił się tym załatwiając formalności adopcyjne młodszych dziewczynek. W końcu wszystkie dokumenty zostały przygotowane i obydwie pary niecierpliwie oczekiwały na finał. Rebecca zamierzała wziąć miesiąc urlopu; Margaret i George wybierali się ze swoją nową córeczką jesienią do Europy. Pokój Aleksandry przypominał sklep z zabawkami, a matka Rebeki nakupiła tyle ubranek, sweterków i kombinezonów na zimę, że wystarczyłoby dla pięcioraczek. Obie dziewczynki miały wielkie szczęście, na ich przybycie oczekiwano z zapartym tchem. Arthur martwił się tylko o Hilary. W połowie sierpnia przeprowadził krótką rozmowę z Eileen Jones i wyjaśnił jej całą sytuację. Odpowiedziała bez osłonek, że za dziesięć tysięcy dolarów przyjmie dziewczynkę na czas nieokreślony, nie widzi jednak powodu, dla którego miałyby ją adoptować; przecież może po prostu mieszkać z nimi. Oraz oczywiście sprzątać i gotować, choć tego Arthurowi nie powiedziała. Zyskałaby w ten sposób stałą służącą. Już teraz zmuszała Hilary do robienia wszystkiego, a dziewczynka bała się jej śmiertelnie i wykonywała posłusznie polecenia. Pewnego razu ciotka uderzyła Aleksandrę mocno w twarz za jakieś drobne przewinienie, którego nigdy im nie wyjaśniła. Megan biła zaś wielokrotnie,

za każdym razem gdy mała dotykała radia lub telewizora albo wychodziła z ich pokoju, gdyż trudno było ją utrzymać w tym zbyt ciasnym dla trójki dzieci miejscu, w dodatku Megan nie miała jeszcze dwóch lat i nie rozumiała, że musi się ograniczyć do tego jednego pomieszczenia. W każdym razie Eileen zdecydowała się zatrzymać Hilary, jeśli dostanie dziesięć tysięcy dolarów gotówką. Ta mała stawiała się dla niej wielce dochodowym przedsięwzięciem. Tym razem powie Jackowi o dwóch tysiącach dolarów, a osiem zatrzyma dla siebie, wciskając mu bzdurę, że robi to ze względu na pamięć brata. - Myślałem, że go nie lubiłaś. - Ale w końcu był moim bratem... a ona jest jego dzieckiem. Poza tym to całkiem dobra dziewczynka, i taka pracowita. - Dzieci to zawracanie głowy. - Jack doświadczył tego na własnej skórze. Jego poprzednia żona miała troje i doprowadzały go do szaleństwa. - Pamiętaj, jeśli chcesz się nią zająć, to twoja sprawa, nie moja. Byle tylko mnie nie denerwowała. - Przyłóż jej, gdyby weszła ci w drogę. - Dobra. - Udobruchany ostatnim zdaniem żony więcej się nie sprzeciwiał. Tego wieczoru Eileen zamknęła się w łazience i sprawdziła, czy jej zaskórniaki są na miejscu. Obliczyła, że z ośmioma tysiącami, które otrzyma za Hilary, będzie miała około dziesięciu tysięcy. Pieniądze schowane wśród pończoch i pasków z podwiązkami dawały jej poczucie bezpieczeństwa na wypadek, gdyby kiedyś zdecydowała się odejść od męża. Może wtedy zabierze dziewczynkę ze sobą, a może nie. Zależy, czy jej się na coś przyda, bo jeśli nie, zostawi ją Jackowi, żeby ją karmił, albo niech ten prawnik zabiera ją do siebie. Nic temu dziecku nie była winna, przeciwnie, to jej należała się wdzięczność. W końcu zgodziła się zatrzymać Hilary, tak czy nie? Arthur przyjechał w ponurym nastroju. Towarzyszyła mu wynajęta na podróż opiekunka do dzieci. Zaniepokoiła go chudość Hilary i blada cera młodszych dziewczynek, miał jednak nadzieję, że są zdrowe. Poprosił Hilary, by wyszła z nim na chwilę. Chciał od niej usłyszeć, jak naprawdę się czuła, ale nic mu nie powiedziała. Zdawać się mogło, że dzieli ich dystans jeszcze większy niż przedtem. Arthur nawet nic podejrzewał, jak bardzo nienawidziła go za to, że zastawił ją w tym piekle. Spędziła dwa miesiące na usilnej walce, by ze skąpych funduszy wydzielanych jej przez ciotkę wyżywić siostry, nie mówiąc już o niej samej. Prała, szorowała, gotowała i zajmowała się dziećmi, wciąż starając się uchronić je przed groźbą bicia ze strony ciotki i wuja. Wieczorami śpiewała im kołysanki i przytulała do siebie, gdy płakały z tęsknoty za matką. Arthur jednak nic o tym nie wiedział i przyglądał się twarzy Hilary próbując odgadnąć, dlaczego jest taka zamknięta i chłodna. A teraz musiał powiedzieć jej nowiny, na usłyszenie których nie była przygotowana. Jej siostry wyjeżdżają, ona zostaje. Nigdy już nie będą razem, chyba tylko odwiedzając się wzajemnie, jeśli nowi rodzice na to przystaną. A wiadomo było, że Abramsowie się nie zgodzą. Nie chcieli, by Megan wiedziała cokolwiek o swej przeszłości, rodzicach lub siostrach. Miała rozpocząć nowe życie. Zupełnie nowe. - Hilary... - zaczął niezręcznie. Siedzieli na tylnych schodkach do domu Jonesów, przy wejściu do pralni. Chwasty drapały ich w nogi, a nad głowami bzycały chmary much. - Ja... myślałem... mam ci coś do powiedzenia. - Żałował, że właśnie to musi jej powiedzieć. Wiedział, jak bardzo była przywiązana do swoich sióstr, ale wciąż sobie powtarzał, że przecież nie z jego winy do tego wszystkiego doszło. Zrobił, co w jego mocy... gdyby tylko Marjorie zgodziła się je wziąć... - Stało się coś złego, wujku Arthurze? - Może jej teraz powie, że nie wracają do

swojego mieszkania, ale słyszały już od Eileen, że zostało wynajęte, i Hilary pogodziła się z tym. Ważne jest tylko to, żeby były razem, nawet w takim miejscu jak dom ciotki. Zwróciła na niego swe wielkie zielone oczy, a jemu się wydało, że to Solange na niego spojrzała, i poczuł się jeszcze gorzej. - Ja... twoje siostry wyjeżdżają na pewien czas. - Nie było innego sposobu, by jej to powiedzieć, musiał to zrobić wprost. - Megan i Axie? - wiadomość poruszyła ją i zaniepokoiła. Znowu zwróciła na niego znajome szmaragdowe oczy. - Dlaczego?... Dlaczego muszą wyjechać? - Ponieważ... - Boże... proszę, nie pozwól, bym jej to zrobił. Pierś rozsadał mu szloch udręki. Ale musiał jej o wszystkim powiedzieć. - Ponieważ, Hilary, nie ma sposobu, byście mogły być razem. Twoja ciotka nie czuje się na siłach, by was wszystkie zatrzymać, nie znalazłem też nikogo innego. Megan i Aleksandra zamieszkają u bardzo miłych rodzin w Nowym Jorku. A ty zostaniesz tutaj, u ciotki. - Łatwiej by mu przyszło wsadzić jej nóż w serce; a gdy zobaczył łzy lejące się z jej oczu, pozazdrościł Samowi łatwego losu, jaki sobie wybrał, i natychmiast nienawidził go za to wszystko. - Hilary, proszę cię... kochanie, próbowałem, naprawdę się starałem. - Wyciągnął do niej rękę, ale nie zdołał jej zatrzymać. Pobiegła szybko przez chwasty w stronę frontowych drzwi, jakby obawiając się, że siostry już wyjechały. - Nie! Nie! Nie pozwolę ci na to! - Wbiegła do domu, bez słowa wyjaśnienia wpadła do ich nędznego pokoju i przytuliła obie dziewczynki do siebie. Wychodząc na rozmowę z Arthurem zostawiła je bawiące się na łóżku; Axie miała opiekować się Megan. Teraz objęła siostry mocno, a łzy bezradności i rozpacz płynęły jej po policzkach. Wiedziała, że nie będzie mogła zmienić decyzji Arthura. Nie miała dokąd pójść; nie miała pieniędzy, by zabrać je ze sobą, ani nikogo, kto by jej pomógł. I nawet nie skończyła jeszcze dziesięciu lat. Ale przecież nie mogli jej tego zrobić... nie mogli... one były wszystkim, co miała na świecie... matka i ojciec zdradzili ją... i wujek Arthur... ciotka i wuj nienawidzili jej, a ona nienawidziła ich... Megan i Axie były wszystkim, co jej pozostało. - Co się stało, Hillie? - Aleksandra patrzyła na nią swymi wielkimi błękitnymi oczyma, a Megan, zbyt mocno przytulona, zaczęła płakać, więc Hilary puściła ją i przylgnęła do Axie. - Kocham was... to wszystko... po prostu was kocham... całym moim sercem. Czy będziesz o tym zawsze pamiętać, Axie? - Tak - odpowiedziała Aleksandra spokojnie, jakby wiedząc, że dzieje się coś ważnego. Razem w trójkę wiele przeżyły, łączyła je niezwykle silna więź i potrafiły odgadnąć wzajemnie swoje nastroje i grożące niebezpieczeństwo. - Czy stanie się coś złego, Hillie? Jak z mamą i tatą? Czy ty też odejdziesz w pudełku? Rozpłakała się, więc Hilary szybko potrząsnęła głową. - Nie, nie. Nie obawiaj się, Axie. Wujek Arthur chce zabrać ciebie i Megan na małą wycieczkę do Nowego Jorku, z wizytą do swych przyjaciół. - Dobrze wiedziała, że musi im pomóc bez względu na to, jak bolesne będzie to dla niej. Dla sióstr zdolna jest do każdych poświęceń. Megan najłatwiej zniesie rozstanie. Na pewno popłacze sobie, gdy będą ją zabierać, ale na zawsze zapomni o Hilary i Aleksandrze... A Hilary nigdy o nich nie zapomni. Będzie je nosić w swoim sercu do końca życia, a pewnego dnia je odnajdzie. Przysięgła to sobie tuląc Aleksandrę, gdy Arthur z wynajętą nianią stanęli w drzwiach. - Wkrótce musimy jechać, Hilary. Skinęła głową, ślepa od łez. Aleksandra rozpłakała się nagle. - Nie chcę zostawiać Hillie. - Przylgnęła do jej ręki, a Hilary, ocierając własne łzy, pocałowała ją łagodnie. - Musisz jechać, żeby pomóc w opiekowaniu się Megan. Bez ciebie będzie przerażona. W

porządku? Zrobisz to dla mnie? Aleksandra ze łzami w oczach skinęła głową. Wiedziała, że zdarzy się coś strasznego, choć słyszała tyle uspokajających słów. Zobaczywszy, że Hilary pakuje jej rzeczy, nabrała całkowitej pewności. Eileen trzymała się na uboczu. Tak podniecił ją plik świeżych, zielonych banknotów, który dostała od Arthura, że na nic więcej nie zwracała uwagi; zamknięta w łazience wciąż od nowa przeliczała pieniądze. Zamierzała większą część schować przed Jackiem, ale najpierw chciała popatrzeć na całość. Tak więc Hilary była sama, pomagając Aleksandrze i Megan przy wsiadaniu do samochodu. Dziewczynki z nianią usiadły na tylnym siedzeniu. Megan kwiląc wyciągała rączki do najstarszej siostry, a Aleksandra zanosila się łkaniem. Arthur, rzuciwszy ostatnie spojrzenie na Hilary, zajął miejsce za kierownicą. - Niedługo przyjadę zobaczyć się z wami. - Do Arthura nie odezwała się nawet słowem. Zdradził ją. Płacz dochodzący z tylnego siedzenia przerastał jej siły i musiała walczyć, by zachować spokój. Cofnęła się machając rękami i krzycząc dopóty, dopóki mogły ją usłyszeć. - Kocham cię, Axie... kocham cię, Megan... kocham was... - Jej głos przeszedł w szloch. Wciąż stała na ulicy, nie przestając machać do odjeżdżającego samochodu, aż skręcił za rogiem, zabierając całe jej życie. I kiedy samochód zniknął, opadła na kolana szlochając i wymawiając ich imiona. Pragnęła, by ktoś ją zabił. Trwała tak w nieświadomości otaczającego ją świata do momentu, gdy poczuła szarpnięcie za ramię i ciężkie uderzenie w twarz. Spojrzała przez łzy i ujrzała Eileen, która ze zwycięską miną ścisnęła pod pachą swą starą torebkę. Jak zwykle przemówiła do dziewczynki ostrym tonem: - Co ty, u diabła, wyprawiasz? - Wtedy zrozumiała, że musieli już pojechać. - Płacz nic tu nie pomoże. Idź do domu i posprzątaj, ty idiotko. Jeszcze ludzie pomyślą, że cię źle traktujemy. - Szarpnięciem postawiła Hilary na nogi i popchnęła w stronę domu. Hilary szlochała nieprzerwanie, nie pomógł nawet następny policzek. Na chwiejnych nogach weszła do swego pokoju i rzuciła się na łóżko, wciąż przesiąknięte zapachem pudru użytego zaledwie parę chwil temu przy zmianie pieluszki Megan i aromatem szamponu z promieniście rudych kędziorów Axie. Hilary nie była w stanie znieść tej śmiertelnej męki. Leżała szlochając wiele godzin, aż wreszcie, wyczerpana i zdruzgotana, zapadła w głęboki i niespokojny sen, w którym biegła... biegła za samochodem... próbowała je odnaleźć... szukała wszędzie... a jedynym dźwiękiem, jaki słyszała, był dochodzący z oddali pijacki śmiech Eileen. Rozdział VIII W tym roku Arthur kilkakrotnie dzwonił do Hilary, ale ona nie chciała z nim rozmawiać; wyrzuty sumienia sprawiły, że coraz rzadziej podejmował próby porozumienia się z nią. Wiedział, że dwie pozostałe dziewczynki mają się dobrze. Gorhamowie uwielbiali Aleksandrę, która była uroczym dzieckiem, a Abramsowie kochali nad życie "swoje" maleństwo. Arthur nie miał jednak żadnego wpływu na sytuację Hilary, nie wiedział nawet, jak sobie radziła. Eileen go nie informowała, a Hilary odmawiała podejścia do telefonu, gdy dzwonił. Raz, tuż przed Dniem Dziękczynienia, pojechał do Bostonu. Hilary całą jego wizytę przesiedziała w saloniku jak odrętwiała; nie miała mu nic do powiedzenia. Wyjechał z poczuciem winy, głęboko zrozpaczony. Czuł, że zniszczył to dziecko, lecz z drugiej strony - jaki miał wybór? I w końcu Eileen była jej ciotką. W drodze do domu próbował uspokoić swoje sumienie tysiącem różnych argumentów. Zadzwoił dopiero w Boże Narodzenie, ale nikt nie podniósł słuchawki. A potem zajął się własnymi sprawami. George Gorham zmarł nagle, a David Abrams całkiem nieoczekiwanie

zdecydował się przenieść do Kaliforni i Arthur miał teraz o wiele więcej obowiązków. Oczywiście, w firmie pracowali jeszcze inni prawnicy, ale Arthur był jednym z najstarszych wspólników i musiał podejmować większość decyzji. Dotyczyło to zwłaszcza spraw związanych ze spadkiem po George'u Gorhamie, które zabierały mu sporo czasu. Spotkał Margaret na pogrzebie, ale była sama; zdecydowała się nie zabierać Aleksandry na tę uroczystość. Dopiero wiosną Arthur ponownie zobaczył Hilary. Zastał ją jeszcze bardziej zamkniętą w sobie i przeraził go wyraz ponurej rozpaczki stale obecny w jej oczach. Nieskazitelny porządek panujący w domu sprawił mu niejaką ulgę, gdyż, jak sądził, Eileen dokładała więcej starań. Nie miał pojęcia, że to Hilary pełniła funkcję pełnoetatowej pokojówki. Mając dziesięć lat musiała robić wszystko: pielęgnować podwórko, prać i prasować ubrania i bieliznę, sprzątać i gotować. W szkole otrzymywała dobre stopnie, co, biorąc pod uwagę jej sytuację, było godne uznania. Nie miała żadnych przyjaciół i nigdy nie pragnęła ich mieć. Cóż mogło łączyć ją z innymi dziećmi w szkole? One miały normalne domy, miały ojców i matki, i siostry. Ona miała ciotkę i wuja, którzy jej nienawidzili, i tysiące obowiązków do wykonania, zanim siądzie do lekcji. Spać chodziła koło północy. W dodatku Eileen ostatnio niezbyt dobrze się czuła. Ciągłe mówienie o swoim zdrowiu, mimo ogromnej ilości wypijanego piwa traciła na wadze i odwiedzała lekarzy. Któregoś dnia Hilary podsłuchiwała, jak Jack mówił coś o Florydzie. Miał tam przyjaciół, którzy pracowali w stoczni marynarki wojennej i mogli mu załatwić jakąś cywilną robotę. Uważał, że ciepły klimat mógłby pomóc Eileen. Mieli przeprowadzić się przed zimą. Hilary jednak nigdy nie wspomniała o tym Arthurowi. Nie miało to przecież dla niego żadnego znaczenia. A jej nic już nie obchodziło, poza jednym: odnalezieniem Axie i Megan. Była pewna, że kiedyś jej się to uda, musi tylko poczekać, aż skończy osiemnaście lat. Śniła o tym po nocach i we śnie wciąż czuła na swych policzkach miękkie rude loki leżącej obok Axie i delikatny oddech Megan, gdy brała ją na ręce... pewnego dnia... kiedyś... odnajdzie je. W październiku przeprowadzili się do Jacksonville na Florydzie. Eileen była już wtedy bardzo chora. Mało jadła i prawie nie chodziła, a koło Bożego Narodzenia przestała wstawać z łóżka. Hilary instynktownie wyczuwała, że ciotka umiera. Jack wcale nie interesował się żoną, nigdy nie było go w domu, wciąż pił i hulał; Hilary widywała go czasem wychodzącego z domu w sąsiedztwie i całującego jakąś kobietę. Cały obowiązek opieki nad umierającą spadł na Hilary. Od powrotu ze szkoły aż do rana zajmowała się wszystkim, gdyż Eileen nie chciała iść do szpitala, zresztą Jack utrzymywał, że nie stać ich na to. Bywało, że całą noc nie zmrzyła oka i leżała na podłodze koło łóżka ciotki, usługując jej, gdy zaszła potrzeba. Jack nie spał już w pokoju żony, miał łóżko na dużej werandzie na tyłach domu. Wychodził i przychodził, kiedy mu się podobało. Czasami nie widywał żony nawet przez kilka dni. Eileen płakała wtedy i pytała Hilary, gdzie był w nocy, a ta kłamała mówiąc, że spał w domu. Jednak nawet ciężka choroba nie wyzwoliła w Eileen żadnej łagodności ani wdzięczności za przerastające siły dziecka wysiłki, które dla niej podejmowała Hilary. Uważała, że jej się to należy i mimo swej słabości groziła biciem, jeśli tylko uważała, że dziewczynka robi mniej, niżby mogła. Obecnie była to pusta groźba, ale Hilary nienawidziła ciotki równie mocno jak pierwszego dnia. Eileen umarła w półtora roku od ich przeprowadzki na Florydę, gdy Hilary miała dwanaście lat. Umierając wpatrywała się w bratanicę, jakby

chciała jej coś powiedzieć, ale Hilary była przekonana, że nie usłyszałaby nic miłego. Po śmierci ciotki życie Hilary pod pewnymi względami stało się łatwiejsze, pod innymi zaś bardziej skomplikowane. Miała teraz mniej obowiązków, musiała za to schodzić z drogi Jackowi i kobietom, które przyprowadzał do domu. Następnego dnia po śmierci Eileen Jack powiedział Hilary, że pozwoli jej zostać pod swoim dachem tak długo, jak długo nie będzie z nią żadnych kłopotów. Dodał też, że powinna uporządkować rzeczy ciotki, zatrzymać, co będzie chciała, a resztę wyrzucić. Wyglądało na to, że nie zależy mu na żadnych pamiątkach po żonie. Hilary długo nie mogła się zmusić do tych porządków, jakby z obawy, że Eileen wróci, by ją ukarać za ruszanie swoich rzeczy, w końcu jednak się z tym uporała. Ubrania oddała do kościoła na cele dobroczynne, wszystkie zaś tandetne kosmetyki wyrzuciła na śmietnik. Już zamierzała zrobić to samo z bielizną, gdy nagle zauważyła małe zawiniątko na dnie jednej z szuflad. Rozwinęła je, pewna, że to nic ważnego, i zobaczyła przed sobą dziesięć tysięcy dolarów, głównie w banknotach o niskich nominałach, choć było i kilka pięćdziesiątek, które Eileen prawdopodobnie zbierała latami w tajemnicy przed wszystkimi, także przed Jackiem. Hilary siedziała przez chwilę wpatrując się w zawiniątko, po czym wsunęła je do kieszeni i jeszcze tej nocy ukryła starannie wśród swoich rzeczy. Tego właśnie potrzebowała, by pewnego dnia zrealizować swoje plany ucieczki i odnalezienia Megan i Aleksandry. Przez następny rok Jack jej nie zauważał, zbyt zajęty uganianiem się za kobietami z sąsiedztwa. W tym czasie wiele razy tracił pracę, lecz zawsze jakoś udawało mu się znaleźć następną. Rodzaj zajęcia był mu obojętny tak długo, jak długo miał dach nad głową, kobietę do łóżka i parę butelek piwa w lodówce. Jednak gdy Hilary skończyła trzynaście lat, nagle stał się bardziej wymagający. Nagle miał o coś pretensje i dawał jej różne prace do wykonania. Uważał, że nie utrzymuje domu w należyтым porządku, a gdy z rzadka wpadał na obiad, narzekał, że podle gotuje... Nic nie było w stanie go zadowolić, i choć przedtem prawie jej nie dostrzegał, teraz nagle wszystko nabrało dla niego znaczenia. Krytykował nawet jej sposób ubierania się; uważał, że jej rzeczy są zbyt luźne, a spódnice za długie. Był rok 1962, szczyt mody mini i według niego powinna zacząć ubierać się jak dziewczyny z żurnala lub telewizji. - Nie chcesz, żeby chłopcy zwracali na ciebie uwagę? - spytał po pijanemu któregoś popołudnia. Grał tego dnia w baseball ze swymi znajomymi, w większości, jak on, eks-marynarzami. Miał już jednak czterdzieści pięć lat i trzy dekady picia wycisnęły na nim swe piętno. Był otyły, a brzuch, wydęty od nadmiernej ilości piwa, zwisał mu nad paskiem w dżinsach. - Nie lubisz chłopców, Hillie? Zmęczyły ją te jego ciągle zaczepki. Nie miała kiedy rozglądać się za chłopcami, cały czas wypełniała jej szkoła i prowadzenie domu. Jesienią rozpoczęła dziewiątą klasę, o rok wcześniej. W szufladzie miała dziesięć tysięcy dolarów ukrytych wśród bielizny. Niczego więcej nie potrzebowała. - Nieszczerólnie - odpowiedziała w końcu. - Nie mam czasu na chłopców. - Ach tak? A co z mężczyznami? Masz czas dla mężczyzn, mała Hillie? Tym razem nie zawracała sobie głowy odpowiedzią. Wstała i poszła do kuchni, by ugotować obiad, myśląc przy tym, że przez te zaledwie kilka lat stał się w każdym calu człowiekiem z Południa. Mówiąc, cedził słowa, a jego akcent brzmiał tak, jakby urodził się na Florydzie. Nikt by nie podejrzewał, że pochodził z Bostonu. Boston... przypomniała sobie krótki okres, który tam spędziła; dla niej to miasto kojarzyło się wyłącznie z utratą

Megan i Aleksandry. Odkąd wynieśli się na Florydę, nie miała żadnych wiadomości od Arthura Pattersona; nawet jej na tym nie zależało. Nienawidziła go. Nigdy nie przyszło jej na myśl, że nie dzwonił, gdyż Jack i Eileen przenosząc się, nie zostawili mu adresu. Zniknęli bez śladu i Arthur nie wiedział, jak ich odnaleźć, był zresztą wtedy pochłonięty własnymi sprawami. Mniej więcej w tym czasie, gdy Jonesowie wyjechali na Florydę, Marjorie odeszła od niego. - Co jest na obiad? - Jack pojawił się w kuchni z papierosem i puszką piwa w ręku. Niepokoilo ją, że ostatnio częściej jej się przygląda. Czuła się wtedy nieswojo i odnosiła wrażenie, że rozbiera ją oczami. - Hamburgery. - To świetnie. - Mówiąc to nie odrywał wzroku od jej młodych, twardych piersi. Miała długie, kształtne nogi i cienką talię, a jej gęste czarne włosy, odziedziczone po ojcu, sięgały pasa. Hilary była piękną dziewczyną i coraz trudniej było to ukryć. Wyglądała na dużo starszą niż w rzeczywistości, a w jej oczach stale obecny był wyraz bólu, jak u człowieka, który cierpiął całe życie. Jack poklepał ją po pupie i, niby przypadkiem, otarł się o nią. Po raz pierwszy towarzyszył jej przez cały czas przygotowywania obiadu. Czuła się tak niezręcznie; że gdy hamburgery znalazły się na stole, nie była w stanie nic przełknąć. Rozgrzebała tylko jedzenie na talerzu i po umyciu naczyń natychmiast opuściła kuchnię. W chwilę potem usłyszała, że Jack wychodzi z domu. Gdy koło północy wrócił, kompletnie pijany, ona już spała. Zataczając się wchodził do domu wśród ulewnego, tropikalnego deszczu, piorunów i błyskawic rozjaśniających niebo. Pamiętał, że miał zamiar coś zrobić... cholera, gdyby tylko mógł sobie przypomnieć... zupełnie wyleciało mu z głowy... Wciąż przeklinając mijał pokój Hilary, i wtedy nagle sobie przypomniał. Przez dłuższą chwilę stał pod jej drzwiami i śmiał się do siebie. Nie pofatygował się, by zapukać, przekręcił tylko gałkę i wszedł do środka zostawiając mokre ślady na linoleum. Oddech miał ciężki od wieloletniego palenia, lecz Hilary nie usłyszała go. Spała na kołdrze, ubrana w dziecinną bawełnianą koszulę nocną, z jedną ręką odrzuconą nad głowę i kaskadą czarnych włosów spadającą na twarz. - Mmmmm... - mruknął. O mało nie obudził jej jego kaszel, ale przewróciła się tylko na drugi bok, ukazując pełne wdzięku biodro i długą nogę. Miał ją teraz na wyciągnięcie ręki. Zaczął wolno odpinać guziki koszuli. Po chwili leżała już na podłodze jak mokra szmata. Rozpiął spodnie, ściągnął je wraz z butami i stanął obok niej w majtkach i skarpetkach; wkrótce także i one znalazły się na stosie jego rzeczy obok łóżka. Tylko ogromna ilość wypitego alkoholu nie pozwoliła mu na osiągnięcie całkowitej erekcji. Wolno wracał do rzeczywistości. Drżał z pożądania i skrywanej od dawna żądz. Teraz była dostatecznie dojrzała... do diabła, będzie mógł mieć ją przez lata, na własność, tu na miejscu... zanim dorośnie i wyprowadzi się. Może zresztą wtedy nie będzie już chciała odchodzić. Westchnął, leżąc obok niej, a bijący od niego odór alkoholu połączony z fetorem nie mytego ciała obudził ją. - Hmm - otworzyła jedno oko, nie całkiem pewna tego, gdzie jest i co się dzieje. Kiedy zrozumiała, wstrzymawszy oddech wyskoczyła z łóżka, lecz on był szybszy i zdążył mocno chwycić jej nocną koszulę. Koszula opadła na ziemię obnażając ciało Hilary. Jack leżał nie spuszczać z niej wzroku, gdy stała przed nim cała się trzęsąc. - No, no... czyż to nie ładny widok, mała Hillie? - Próbowwała zakryć swą nagość. Nie wiedziała, co począć; czuła, że zaraz się rozplacze i pragnęła uciec, ale stała tylko skamieniała z przerażenia. Zdawała sobie sprawę, że Jack ją dogoni. - Chodź z powrotem do łóżka, jeszcze nie pora wstawać.

Najpierw wujek Jack coś ci pokaże. - Widziała, jak leżał w jej łóżku, wielki, brutalny i złowieszczy. Hilary była już dostatecznie dorosła, by domyślić się; co chce jej zrobić, i postanowiła raczej umrzeć, niż mu na to pozwolić. - Nie dotykaj mnie! - Wybiegła do kuchni przez otwarte drzwi, a on nago podążył za nią, potykając się i ślizgając na mokrych śladach, które sam zostawił parę minut wcześniej. - Chodź tu, ty mała włóczęgo... dobrze wiesz, czego chcesz, a ja zamierzam ci to dać. - Mówiąc to złapał ją za rękę i usiłował zaciągnąć z powrotem do sypialni, ale ona broniła się jak kotka, podrapała mu twarz i ręce i próbowała kopać. - Puść mnie! - uwolniła się z jego uchwytu i zanim złapał ją znowu, zdążyła już niemal dobiec do tylnych drzwi. Wystarczyło jej jednak czasu, by sięgnąć po coś, co, jak sobie nagle przypomniała, leżało na suszarce. Ukryła to przed nim i, udając potulną, dała się zaprowadzić z powrotem do swego pokoju. Jej zamiar był ryzykowny, ale była zdecydowana raczej zabić go, niż pozwolić się zgwałcić. - Dobra dziewczynka... teraz chcesz starego wujka Jacka, co, mała Hillie?... - Nie zwrócił uwagi na brak odpowiedzi z jej strony i szorstko pchnął ją na łóżko. Gdy już zamierzał położyć się na niej, zobaczył nagły srebrzysty błysk i poczuł, że w jego brzuch wymierzony jest jakiś zimny, ostry i nieprzyjemny przedmiot. - Jeśli mnie dotkniesz, obetnę ci jaja... zrobię to... - ton jej głosu przekonał go, że mówi serio. Cofnął się trochę, a ona poszła za nim z wycelowanym nożem. - Wynoś się z mojego pokoju! - Dobrze, dobrze... Chryste... - mamrotał wychodząc tyłem z pokoju i omal nie przewrócił się o próg. - Na litość boską, odłóż to, do cholery. - Nie wcześniej, niż stąd wyjdiesz. - Wciąż podążała za nim; bardzo denerwował go nóż wycelowany w jego genitalia. - Ty mała suko... tego was teraz uczą w szkole? Za moich czasów dziewczęta były znacznie miłsze. - Nic nie odpowiedziała, a on nagle wytrącił jej nóż z ręki i tak mocno uderzył w twarz, że upadła na przeciwległą ścianę. Nie wiedziała, co boli ją bardziej, krwawiący obficie nos czy sprawiający wrażenie zmiażdżonego tył głowy. - Masz nauczkę, ty mała suko. Jak teraz się czujesz? Odkaslnęła i z wysiłkiem stanęła na nogi, wciąż zdecydowana bronić swojej cnoty, ale jego przestało to już interesować, chciał jedynie ukarać ją za poniżenie, jakiego doznał. Wiedział, że resztę może dostać później. Do diabła, nie miała przecież dokąd pójść. Należała teraz do niego. W gruncie rzeczy był jej właścicielem. - Następnym razem będziesz grzeczna dla wujka Jacka? - Ze złośliwym błyskiem w oczach ponownie uderzył ją na odlew. Tym razem upadła na krzesło, uderzając się w żebra i głęboko rozcinając jedną pierś; czuła, że tam również krwawi. Dzwoniło jej w uszach, miała rozciętą wargę i podejrzewała, że złamał jej szczękę. Wreszcie nastąpił koniec i mogła wyczołgać się z pokoju, gdyż Jack, wciąż nagi i kompletnie pijany, zwałił się na tapczan i zapadł w nieprzytomny, pijacki sen, zadowolony ze swych nocnych wyczynów. Następnym razem nie będzie mu się opierać. Był tego pewien. Dał jej nauczkę. Nauczkę tak dobrą, że naga powlokła się w ulewnym deszczu do sąsiedniego domu, gdzie na schodach, zmarznięta, straciła przytomność. Przez wiele godzin leżała nieprzytomna w deszczu, krwawiąc z odniesionych ran, aż w końcu rankiem znalazła ją pani Archer, gdy otworzyła drzwi, by wziąć gazetę. - Ach, mój Boże!... Mój Boże!... - krzyknęła wpadając do domu w poszukiwaniu męża. - Mój Boże... martwa, naga kobieta leży na naszych schodach! - Pan Archer pobiegł do drzwi. Hilary była wciąż nieprzytomna i ciągle krwawiła. - Chryste... Mollie, to jest ten dzieciak od sąsiadów, ta

dziewczynka, której ciotka umarła, ta, której prawie nie widzimy... musimy wezwać policję. - Mollie już stała przy telefonie. Policja przyjechała prawie natychmiast, zaraz po karetce pogotowia. Hilary zabrano do Brewster Hospital. Gdy po półgodzinie odzyskała przytomność, ujrzała pochylonych nad sobą oboje Archerów. Pani Archer rozplakała się, Hilary tak bardzo przypominała jej córkę. Wydawało się oczywiste, że pobito ją i zgwałcono, a potem porzucono na schodach. Badania lekarskie wykazały jednak, że nie było gwałtu, została natomiast bestialsko pobita. Zszyto jej wiele ran, rozcięcie na piersi wyglądało groźnie, lecz najgorszy ze wszystkiego był wstrząs mózgu spowodowany pierwszym ciosem Jacka, który rzucił ją na ścianę. Zwymiotowała natychmiast po przebudzeniu, potem kilkakrotnie traciła przytomność, ale lekarze zapewnili panią Archer, że życiu Hilary nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Kilka godzin później państwo Archerowie pojechali do domu. Hilary nie chciała powiedzieć, kto ją tak urządził, ale policja nie zakończyła jednak śledztwa. - Jak myślisz, kto jej to zrobił? - spytała pani Archer męża w drodze do domu. Prawda wyszła na jaw dopiero po wielu dniach, i to nie za sprawą Hilary. Jack przyznał się sam, gdy policjanci odwiedzili go po raz trzeci. Wnieśli przeciw niemu oskarżenie, ale Hilary błagała ich, by je wycofali. - On mnie zabije, jeśli to zrobicie - była teraz przerażona. Zabije ją, na pewno, lub zrobi coś jeszcze gorszego. Policjanci uspokoili ją. - Hilary, wcale nie musisz do niego wracać, możesz pójść do zastępczego domu. - Co to takiego? - w jej oczach pojawił się strach, lecz co może być gorsze od piekła, w którym teraz żyje? - To taki dom, tymczasowy lub na dłuższy okres, gdzie mogą mieszkać dzieci, które nie mają dokąd pójść. - Czy to jest rodzaj sierocińca? Oficer pokręcił przecząco głową. - Nie, to jest prawdziwa rodzina, która przyjmuje dzieci do siebie. Co o tym myślisz? - Chyba chciałabym tam pójść. Przedtem jednak musiała zostać uznana przez sąd stanowy za bezdomną nieletnią, co okazało się łatwiejsze do przeprowadzenia, niż początkowo sądzono, była bowiem sierotą, a ciotka i wujek nigdy jej nie zaadoptowali. Wróciła do domu wuja tylko raz. Towarzyszyła jej Mollie Archer, która przez cały czas, jaki tam spędziły, stała sztywno w drzwiach. Hilary chciała zabrać swoje rzeczy, a bała się samotnie stanąć twarzą w twarz z Jackiem. Nie widziała go od tamtej nocy, gdy ją pobił, i przerażała ją, co mógłby jej zrobić za nasłanie na niego policji. Ale on patrzył tylko na nią z jadovitą złością i nie ośmielił się zbyt wiele powiedzieć w obecności pani Archer. Hilary spakowała niewielki dobytek w swoją jedyną walizkę, wsuwając starannie małe szmaciane zawiniątko pod podszewkę. Wiedziała, że musi bardzo tego pilnować, bo to jej jedyny przyjaciel na całym bożym świecie... pomocnik w odszukaniu sióstr... jej własne dziesięć tysięcy dolarów. Gdyby Jack zdawał sobie sprawę z ich istnienia, na pewno by ją zabił. Jack głośno zatrzasnął drzwi i zamknął je na klucz, gdy Hilary spokojnie szła przez podwórko do domu pani Archer, by tam zaczekać na kuratora dla młodocianych. Zastępcza rodzina miała odebrać ją następnego ranka. To było takie proste i Hilary przez moment pozwoliła sobie na myśl, że może teraz wszystko już będzie łatwe. Wypływała na spokojne wody, a za parę lat wróci do Nowego Jorku i odnajdzie Megan i Axie. Znowu razem zamieszkają, a ona będzie się nimi opiekować. Umożliwi jej to skarb znaleziony wśród starych pończoch Eileen, jedyna miła rzecz, jaka spotkała ją od ciotki, która nawet nie wiedziała o swym ostatnim, dobrym uczynku. Ale to nie miało teraz znaczenia. Pieniądze znajdowały się w

jej walizce i zamierzała strzec ich jak oka w głowie. Dla niej to była fortuna. Zgodnie z obietnicą kuratorka przyjechała rano i po krótkiej wizycie w sądzie zabrała ją do rodziny zajmującej odrapany dom na biednym przedmieściu Jacksonville. Drzwi otworzyła im uśmiechnięta kobieta w fartuchu. W domu było jeszcze pięcioro dzieci w wieku od dziesięciu do czternastu lat, a sam budynek natychmiast przywiódł Hilary na myśl ten, w którym mieszkali Jack i Eileen w Bostonie. Był tak samo przesiąknięty smrodem i tak samo się walił; nawet meble były podobnie zużyte. Nic dziwnego zresztą, skoro mieszkało w nim pół tuzina dzieciaków. Kobieta miała na imię Louise. Zaprowadziła Hilary do pokoju, który miała dzielić z trzema innymi dziewczynkami. Wszystkie spały na wąskich pryczach, kupowanych z demobilu. Na jednej siedziała wysoka i chuda Murzynka o wielkich, czarnych oczach, obserwujących z ciekawością nową lokatorkę. Hilary położyła swoje rzeczy, a kuratorka przedstawiła jej sobie. - Hilary, to Maida. Jest tu od dziewięciu miesięcy. - Kuratorka z uśmiechem wyszła do kuchni, by porozmawiać z Louise i pozostałymi dziećmi. Dom wydawał się gwarny i pełen ludzi, lecz Hilary nikt nie witał radośnie; miała wrażenie, jakby znalazła się w obozie pracy. - Co to za imię... Hilary? - Maida po wyjściu kuratorki przyglądała się jej wrogo, lustrując dokładnie brzydką sukienkę i tanie buty, które kupiła jeszcze Eileen. Hilary nie była ładnie ubrana; jej rzeczom daleko było do organdyń i aksamitów, dawno zapomnianych luksusów z dzieciństwa. Patrzyła na Maidę swymi poważnymi zielonymi oczami zastanawiając się, jak będzie wyglądało jej życie w tym miejscu. - Skąd pochodzisz, mała? - Nowy Jork... Boston... tutaj jestem od dwóch lat. Dziewczynka skinęła głową. Była cienka jak trzcina, wysoka, gniewna i nerwowa. Paznokcie miała obgryzione do krwi. - Tak? To dlaczego tu jesteś? Twoi rodzice są w więzieniu? - Jej rodzice tam właśnie przebywali. Matka była prostytutką, a ojciec sutenerem. - Moi rodzice nie żyją - głos Hilary również był martwy, za to oczy czujne, gdy to mówiła wciąż stojąc w progu. - Masz jakieś rodzeństwo? - Hilary już chciała odpowiedzieć twierdząco, gdy nagle zmieniła zdanie i tylko pokręciła głową. Maida była wyraźnie zadowolona z jej odpowiedzi. - Będziesz ciężko pracowała dla Louise, skarbie. To prawdziwa suka. - Informacja nie była zachęcająca, lecz Hilary już po przekroczeniu progu tego domu nabrała podejrzeń, że nie będzie tu tak słodko, jak jej mówiono. - Co trzeba robić? - Sprzątać dom, opiekować się jej dziećmi, podwórkiem, dbać o ogród warzywny... prac... wszystko, co każe ci robić. Coś w rodzaju niewolnictwa, tyle tylko, że śpisz w domu i pozwalają ci tam jeść. - W oczach Maidy pojawił się zły błysk i Hilary nie była pewna, czy ma się śmiać, czy płakać. - Ale to i tak lepsze niż poprawczak. - A co to jest? - Hilary była całkowitą nowicjuską w sprawach domów zastępczych, poprawczaków i rodziców w więzieniu, chociaż jej ojciec zmarł w więzieniu. Trudno było zrozumieć zmiany, jakie przez jedną noc nieokiełznanej furii wprowadził w jej życie. Hilary często o tym myślała późno w nocy i żałowała, że nie zabił jej razem z matką. Byłoby to znacznie lepsze od tego powolnego umierania, na jakie ją skazał, opuszczoną wśród obcych, z dala od domu i tych, których kochała. - Gdzie ty się uchowalaś, dziewczyno? - Maida popatrzyła na nią ze złością. - Poprawczak... więzienie dla nieletnich, wiesz... - wymówiła to z grymasem, a Hilary skinęła głową. - To takie więzienie dla dzieciaków. Jeśli nie znajdą ci zastępczego domu, idziesz tam, zamykają cię i traktują jak gówno. Wolę już

zaharowywać się dla Louise. Moja mama wyjdzie za miesiąc i wtedy będę mogła wrócić do domu. - Tym razem złapali ją podczas narkotycznej bibki z "mężem". - A co z tobą? Jak myślisz, będziesz tu długo? Masz jakichś krewnych, do których mogłabyś pójść? - Sądziła, że rodzice Hilary zmarli niedawno i może jest tu tylko czasowo. Jakoś nie pasowała do tego otoczenia, było w niej coś innego, w jej sposobie mówienia, poruszania się, w spokoju, z jakim na wszystko patrzyła. W odpowiedzi na pytanie Maidy Hilary potrząsnęła tylko głową w milczeniu. W tym momencie w drzwiach stanęła kuratorka. - Poznajecie się, dziewczynki? - Kobieta uśmiechała się radośnie, całkowicie nieświadoma bagna, w którym pracowała. Dla niej były to miłe dzieciaki, którym ona znajdowała cudowne domy, i wszyscy byli szczęśliwi. Obie dziewczynki patrzyły na nią jak na pomyłkę. W końcu Maida odezwała się pierwsza. - Tak. Poznajemy się. Prawda, Hilary? - Hilary skinęła głową zastanawiając się, co powinna powiedzieć. Odetchnęła z ulgą, gdy kuratorka zabrała ją do kuchni. Obawiała się Maidy. - Maida bardzo dobrze się tutaj sprawuje - powiedziała kuratorka, gdy szły przez ponury hol do kuchni. Tam czekała na nie sama Louise, dzieci wyszły już na dwór, ale po niedawnym lunchu nie został nawet ślad. Hilary z głodu burczało w brzuchu i zastanawiała się, czy dostanie coś do jedzenia teraz, czy dopiero na obiad. - Jesteś gotowa do pracy? - spytała Louise, a Hilary kiwnęła głową. Miała już odpowiedź na swoje pytanie. Kuratorka zniknęła, a Louise skierowała dziewczynkę do ogródka i wręczyła jej grabie i łopatę, każąc wykopać rów. Obiecała, że przyśle chłopców do pomocy, ale oni nie pokazali się; palili papierosy za stodołą i Hilary kopała sama, jęcząc i pocąc się z wysiłku w palącym słońcu. Przez ostatnie cztery lata ciężko pracowała, sprzątała dom Eileen i Jacka, prała, gotowała im posiłki i opiekowała się Eileen aż do jej śmierci, ale nigdy dotąd nie musiała wykonywać aż tak wyczerpującej pracy fizycznej. Kiedy w końcu Louise zawołała ją na obiad, Hilary płakała z wyczerpania. Maida z triumfującą miną stała przy kuchni. Przypadło jej w udziale wytworne zadanie przygotowania obiadu, jeśli w ogóle można było nazwać to obiadem. Danie, radośnie przez gospodynię określane mianem gulaszu, składało się z kilku kawałków mięsa i chrząstek, pływających w rozwodnionym tłuszczu. Po nałożeniu każdemu niewielkiej porcji Louise usiadła, by zmówić modlitwę. Hilary nie była w stanie przełknąć jedzenia, choć całe popołudnie trawił ją dokuczliwy głód i kręciło się jej w głowie od przebywania na mocnym słońcu. - No, dziecko, jedz, to podtrzyma twoje siły - Louise uśmiechnęła się obrzydliwie i Hilary przyszła na myśl bajka o czarownicy, która zamierzała zjeść dzieci żywcem. Pamiętała różne bajki z dzieciństwa, ale żadna z nich nigdy przedtem nie wydawała się jej tak prawdziwa jak właśnie ta. Tylko że w bajkach wiemy zawsze umierały, a dzieci z powrotem stawały się księżniczkami i księżętami... - Przepraszam; ale nie jestem głodna... - Hilary usprawiedliwiała się nieśmiało, budząc tym radość chłopców. - Jesteś chora? - spytała zirytowana Louise. - Nie powiedzieli mi, że jesteś chora... - Sprawiała wrażenie, jakby miała zamiar odesłać Hilary z powrotem, a dziewczynka obawiała się nieznanego losu pamiętając, co mówiła jej Maida o poprawczaku. Więzienie dla dzieci. Tylko tego jej jeszcze brakuje. Nie miała dokąd pójść, powrót do domu Jacka był wykluczony. Wiedziała, co by jej zrobił tym razem, tak więc wybór miała niewielki - Louise lub poprawczak. - Nie, nie jestem chora... to przez to słońce... było tak gorąco. - Aha... - Pozostałe dzieci zaczęły z niej żartować; a Maida

złośliwie ją uszczypnęła, gdy razem zmywały naczynia. Hilary po raz kolejny zdała sobie sprawę, że w tym domu panują dziwne stosunki. Louise nie udawała, że matkuje dzieciom, i nie traktowała ich jak członków rodziny lub przyjaciół; były po prostu najemną siłą roboczą przeznaczoną do prac domowych. Tak też obchodzono się z Hilary. Sytuacja sprawiała wrażenie tymczasowej i niepewnej. Mąż Louise rzadko bywał w domu. Nie mógł pracować; był inwalidą wojennym, miał tylko jedną nogę, w dodatku niesprawną. Louise brała więc dzieci, by pracowały za nich oboje, a także dla pieniędzy, które państwo płaciło jej za każde dziecko. Nie dawało jej to bogactwa, ale stanowiło całkiem przyzwoite źródło dochodu. Na raz mogła przyjąć siedmioro dzieci, i spodziewano się, że wkrótce przybędzie następne, gdyż z Hilary było ich sześcioro. Oprócz Maidy była jeszcze jedna dziewczynka, piętnastoletnia blada blondynka o imieniu Georgine, i trzech awanturnicznych chłopaków w wieku od dziesięciu do piętnastu lat. Dwóch z nich od obiadu złośliwie przyglądało się Hilary. Żadne nie było ładnym dzieckiem, nawet nie wyglądały zdrowo. Nie było w tym nic dziwnego, jeśli weźmie się pod uwagę, jak były karmione. Louise oszczędzała na wszystkim; Hilary знаła to z pobytu u Eileen i Jacka, ale Louise opanowała tę sztukę prawie do perfekcji. O dziewiętnastej trzydzieści gospodyni podniesionym głosem kazała dzieciom przygotować się do snu. Dziewczynki i chłopcy w sąsiadujących ze sobą pokojach rozmawiali cicho, skarżąc się, opowiadając o rodzicach w więzieniu i własnych doświadczeniach z poprawczaka. Dla Hilary wszystko to było całkowicie obce i siedziała na swoim łóżku wystraszona i cicha. Georgine i Maida nie zwracały na nią uwagi i zachowywały się tak, jakby jej nie było. W końcu, już w nocnych koszulach, poszły do łazienki zatraskując za sobą drzwi. Zniosę to, powtarzała sobie Hilary... lepsze to niż Jack... to nie jest takie straszne... Myślała o pieniądzach ukrytych w walizce i modliła się, by nikt ich nie znalazł. Jeszcze tylko pięć lat spędzonych w zastępczych domach, poprawczaku lub u Jacka. Zamykając za sobą drzwi do łazienki, czuła palące łzy pod powiekami. Usiadła i cicho łkała w podarty ręcznik, który rano dała jej Louise. Trudno było uwierzyć, czym stało się jej życie. Po kilku minutach chłopcy zaczęli walić w drzwi i musiała opuścić łazienkę, akurat w chwili, gdy w wannie pojawił się sznur karaluchów. - Co tam robisz, mamuśka? Pomóc ci? - spytał jeden z Murzynów, a reszta wybuchem śmiechu przyjęła ten przejaw jego błyskotliwego poczucia humoru. Hilary przebiegła szybko obok nich i zdążyła do swego pokoju, zanim Maida zgasila światło. Zdziwiła się, gdy Louise pojawiła się w drzwiach z pękiem kluczy w ręku. Wyglądało na to, że zamierza pozamykać pokoje, choć Hilary sądziła, że to niemożliwe. Z pokoju chłopców dobiegał ochryply śmiech. - Czas zamykać - poinformowała Maida. Hilary usłyszała trzaśnięcie i chrobot klucza w zamku. W przyćmionym świetle przenikającym z zewnątrz wpatrywała się w swoje współlokatorki, które zachowywały się tak, jakby wszystko było w porządku. - Dlaczego to zrobiła? - Żebyśmy nie spotykały się z chłopcami. Lubi, gdy wszystko jest proste, miłe i przyjemne. Maida i Georgine roześmiały się nagle, jak z dobrego żartu. Śmiały się bez końca, a Hilary obserwowała je w milczeniu. - A gdybyśmy musiały wyjść do łazienki? - Nasikasz do łóżka - odpowiedziała Georgine. - Ale rano musisz to posprzątać - dodała Maida i znów zaczęły zanosić się śmiechem. - A gdyby wybuchł pożar? - Hilary była przerażona, ale Maida znów się roześmiała. - Usmażyłabyś się wtedy, dziecinko. Jak mała frytka, a twoja

mlecznobiała skóra stałaby się brązowa jak moja. - Tak naprawdę mogłyby wybić szybę i uciec, ale Hilary w panice nie przyszło to do głowy. Położyła się do łóżka i nakryła prześcieradłem, próbując nie myśleć o tych wszystkich okropnych rzeczach, które mogły się zdarzyć. Nikt przedtem nie zamykał jej w pokoju, i przeraziło ją to ponad wszelką miarę. Leżała bez ruchu, oddychając płytko i wpatrując się w sufit. Miała wrażenie, jakby ktoś dusił ją poduszką. Usłyszała szept dwóch pozostałych dziewczyn, potem szelest prześcieradeł i chichot. Odwróciła głowę, by sprawdzić, co się dzieje, i zobaczyła coś, na co w ogóle nie była przygotowana. Maida, naga, leżała na łóżku Georgine, która też zrzuciła już swą podartą koszulę nocną na podłogę. Pieściły się i całowały w świetle księżycy, a Maida wzdychała przewracając oczami. Hilary chciała się odwrócić, ale nie śmiała się poruszyć, zbyt ją przeraził ten widok. Starsza z dziewcząt zauważyła ją i warknęła: - Co się stało, kotku, nigdy nie widziałas, jak dziewczęta to robią? - Hilary bez słowa pokręciła przecząco głową. Maida wtuliła głowę między nogi Georgine, która jednak odepchnęła ją, znów wybuchając śmiechem. - Poczekaj chwilkę. - Zwróciła się do Hilary. - Chcesz się do nas przyłączyć? Dziewczynka znów przecząco pokręciła głową, przerażona, wiedząc, że nie ma przed nimi ucieczki. Drzwi były zamknięte na klucz i musiała leżeć i słuchać, nawet jeśli nie patrzyła na nie. - Może ci się spodobać. - Nie... nie... - przecież właśnie dlatego tu jest, z tą tylko różnicą, że chodziło o Jacka, a nie o dwie dziewczyny. Nie potrafiła nawet wyobrazić sobie, co mogłyby z nią zrobić, na szczęście jednak szybko o niej zapomniały, zajęte nocnymi igraszkami. Jęczały i wiły się na łóżku, a raz Maida krzyknęła tak głośno, że Hilary bała się, iż Louise przyjdzie i zbije je wszystkie. Lecz w nocnej ciszy nie rozległ się żaden dźwięk poza jękami i westchnieniami Maily i Georgine: Po jakimś czasie zasnęły, wyczerpane, w swych ramionach, a Hilary leżała płacząc cichutko i do rana nie zmrużyła oka. Następnego dnia znów ciężko pracowała. Najpierw kopała w ogrodzie, a potem musi wyszorować szopę. Chłopcy dokuczali jej jak poprzedniego dnia. Na nią także spadł obowiązek przygotowania lunchu. Próbowwała zrobić coś porządnego, ale z pozostawionych przez Louise mizernych zapasów, na które składały się cienkie plastry konserwy mięsnej i resztki mrożonych frytek, niewiele mogła zdziałać. Takie jedzenie pozwalało zaledwie na przeżycie przy ciężkiej pracy w gorącym letnim słońcu. Tej nocy Hilary znów musiała słuchać jęków i westchnień Maily i Georgine, lecz tym razem, odwróciwszy się tyłem, naciągnęła prześcieradło na głowę i udawała, że śpi. Jednak w dwa dni później Georgine wśliznęła się do łóżka Hilary i wsunawszy rękę pod jej koszulę nocną, zaczęła delikatnie głaskać ją po pupie. Mimo że był to pierwszy łagodny dotyk, jakiego Hilary doznała od śmierci matki, nie powitała go z wdzięcznością, czując, że jest w nim coś innego. - Nie, proszę... - Hilary odsunęła się, omal nie wypadając przy tym z łóżka, lecz Georgine chwyciła ją mocno obejmując w talii silnym jak stal ramieniem. Leżała za nią i trzymała mocno przy sobie. Hilary czuła piersi starszej dziewczynki na swych plecach, a potem poczuła rękę głaszczącą jej sutki. - No co, kochanie, czy to nie jest miłe?... Mamy już dość zabawiania się tylko ze sobą, chcemy się również z tobą podzielić... możesz zostać naszą przyjaciółką. - W tym momencie ręka pieszcząca młode, twarde piersi Hilary zsunęła się w dół, na jej mocno zwarte z przerażenia uda. - Proszę... proszę... nie! - skamlała i płakała; w jakimś sensie było to gorsze niż wtedy z Jackiem. Nie mogła uciec,

nie miała też rzeźnickiego noża. Nie była w stanie wymknąć się tym dziewczynom, zamknięta z nimi w pokoju. Nie potrafiła wyswobodzić się z silnego uścisku Georgine, która trzymała ją przykuta do siebie, oplatając nogami jak stalowymi węzami. Maida ukradkiem dołączyła do nich i głaskała Hilary, podczas gdy Georgine usiłowała rozewrzeć nogi walczącej rozpaczliwie dziewczynce tak szeroko, jak tylko było to możliwe. - Widzisz... to ci się podoba. - Maida pokazała jej rzeczy, o których Hilary nie chciała wiedzieć, i dotykała ją w miejscach, których Hilary nigdy sama nie dotykała. Zaczęła krzyżeć z przerażenia, ale Georgine zatkała jej usta ręką, zostawiając Maidzie pieszczoty, najpierw łagodne, potem coraz bardziej brutalne, zdające się trwać bez końca. Hilary szlochała nieprzerwanie w ich ramionach. Gdy wreszcie miały już dosyć i Georgine wyszła z jej łóżka, Hilary krwawiła obficie. - Cholera, masz okres? - Georgine ze złością zauważyła plamy na łóżku i swoich nogach. Były widoczne nawet w świetle księżyca. Maida jednak lepiej знаła przyczynę, zrobiła przeciw wszystko, co chciała. Uśmiechnęła się do Georgine i udręczonej dziewczynki. - Nie... była dziewicą. Georgine odpowiedziała złośliwym uśmiechem. Polubi to, była pewna. Zawsze tak było po pierwszym razie. Gdyby jednak tak się nie stało, postraszą ją trochę i będzie się bała odmówić. Następnego dnia Hilary wyprała swoje prześcieradła. Musiała też przeprosić Louise za zabrudzoną pościel, gdy ta, otworzywszy rano drzwi, zobaczyła, w jakim stanie jest łóżko. Chłopcy śmiali się widząc ją przy tej pracy. Hilary miała wrażenie, że cały ból i poniżenie istniejące na świecie spadły na nią, jakby ktoś postanowił ją zniszczyć. Zastanawiała się, gdzie są jej siostry, i modliła się, by im nic podobnego się nie zdarzyło. Ale wiedziała, że się nie zdarzy. Dziewczynki były u przyjaciół Arthura Pattersona, a ludzi z tego środowiska takie sprawy nie dotyczą... Nie mają nawet pojęcia o torturach, jakie osobnicy pokroju Eileen i Jacka, lub Louise, Maidy czy Georgine mogą wymyślić i zadać innym. Gdy prała prześcieradła i kopała dół, który Louise kazała jej pogłębić, modliła się, by jej cierpienia wystarczyły za wszystko, by Axie i Megan nigdy nie doświadczyły takiego życia. Obiecywała Bogu, że zniesie wszystko, co dla niej przeznaczył, byleby tylko one były bezpieczne. - Boże, błagam mamrotała pracując w prażącym słońcu. Nagle usłyszała za sobą głos Georgine. - Cześć, dziecinko, mówisz do siebie? - Ja... nie.. - Szybko ukryła twarz, by tamta nie zauważyła głębokiego rumieńca. - Wczoraj w nocy było przyjemnie... następnym razem będzie ci się bardziej podobało. Hilary odwróciła się do niej; nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo w tym momencie przypomina swoją matkę. - Nie! Nie będzie mi się bardziej podobało! Nie waż się więcej mnie dotykać, słyszysz? - W jednoznaczny zamiarze chwyciła łopatę, lecz Georgine roześmiała się tylko i odeszła. Wiedziała, że nocą w pokoju Hilary nie będzie miała żadnej broni. Tak też się stało. Znowu robiły z nią to samo i następnego dnia dziewczynka była prawie przezroczysta. Nie mogła przed nimi uciec. Po tygodniu pojawiła się kuratorka. Spojrzawszy na Hilary, zapytała, czy nie pracuje za ciężko. Hilary zawahała się, po czym przecząco pokręciła głową. Georgine postraszyła ją, że jeśli się poskarży, wyładuje w poprawczaku. A tam wszyscy to robią, używają nawet rurek i butelek po wodzie sodowej... - nie tak delikatnie jak Maida i ja. - Hilary wierzyła jej; po tym, co przeszła, każda męka, każda tortura wydawała się możliwa. Skinęła więc tylko głową i powiedziała kuratorce, że wszystko jest w porządku, i dalej przeżywała swój nocny

koszmar. Udręki Hilary trwały siedem miesięcy, do momentu gdy Georgine skończyła szesnaście lat, wiek limitujący pobyt w domu zastępczym, a matka Maily wyszła na wolność. Przez kilka dni, zanim pojawiły się nowe dziewczynki na ich miejsce, Hilary była sama z trzema chłopakami. Louise sądząc, że nie jest to niebezpieczna kombinacja, przez ten okres nie trudziła się zamykaniem drzwi na klucz, co czyniło Hilary całkowicie bezbroną. Pewnej nocy chłopcy zakradli się do jej pokoju; patrzyła w przerażeniu, jak wchodzi i cicho zamykają za sobą drzwi. Walczyła ze wszystkich sił, lecz musiała ulec ich sile, a oni zrobili dokładnie to, po co przyszli. Następnego dnia Hilary wezwała kuratorkę i niczego nie wyjaśniając poprosiła o przeniesienie do poprawczaka. Louise wydawała się kompletnie obojętna, gdy w dwa dni później Hilary opuszczała jej dom. Po pierwszej przygodzie z chłopcami dziewczynka ukradła z jadalni nóż i widelec, była więc dobrze przygotowana na następne odwiedziny o północy. Gdy jeden z chłopców o mało nie stracił ręki, wycofali się przestraszeni. Hilary była zadowolona, że pozbywa się opieki Louise, ale nie powiedziała kuratorce, co było powodem tej decyzji. W domu opieki dla nieletnich umieszczono ją w jednoosobowym pokoju, ponieważ była osowiała i nie chciała odpowiadać na pytania. Dopiero po dwóch tygodniach stwierdzono, że nie jest chora. Była chuda jak tyczka i słaba, bo odmawiała wstawania z łóżka. Przypuszczano, że jeśli znów znajdzie się między dziećmi, może wróci jej radość życia. Jej choroba została sklasyfikowana jako "psychoza nastolatki". Przydzielono ją do pracy w pralni, a sypialnię dzieliła z piętnastoma dziewczynkami. W nocy słyszała te same krzyki i jęki, które wydawała Maida. Teraz jednak nikt jej nie zaczepiał, nikt nie odzywał się do niej i nikt jej nie dotykał. W miesiąc później razem z trzema innymi dziewczynkami została przeniesiona do następnego domu zastępczego. Kobieta opiekująca się nimi była miła, dość chłodna w objęciu, lecz uprzejma. Sprawy religii traktowała bardzo serio, bez krzty radości. Często mówiła o Bogu, który ukarze je, jeśli nie przyjmą Jego nauki. Współlokatorki dokładały wszelkich starań, by przebić skorupę otaczającą Hilary; wiedziały, że jest inteligentna, lecz w końcu jej lodowate milczenie zniechęciło je. Nie była w stanie z nikim się porozumieć, więc po dwóch miesiącach odesłano ją z powrotem do domu dla nieletnich. Na jej miejsce przyszła przyjazna, jedenastoletnia dziewczynka szczebiocząca i uśmiechająca się do każdego. Hilary wróciła więc do domu dla nieletnich, tym razem na dobre. Nie miała żadnych przyjaciół. Chodziła do szkoły, wykonywała prace, do których ją przydzielano, i czytała wszystko, co wpadło jej w ręce. Pomyślała sobie, że przecież w końcu wydostanie się stąd. Im więcej będzie teraz pracować nad swoim wykształceniem, tym łatwiejszy będzie miała start w samodzielne życie. Poświęciła się nauce i mając siedemnaście lat zdała maturę z wyróżnieniem. Następnego dnia po rozdaniu świadectw wezwała ją do siebie kuratorka. - Gratuluję, Hilary, słyszeliśmy, jak świetnie ci poszło. Nikt jednak nie przyszedł do szkoły, nikt w ciągu dziewięciu lat nie zadał sobie z jej powodu nawet najmniejszego trudu. Wiedziała, że tak już pozostanie, taki był jej los i pogodziła się z nim. Chyba że odnalazłaby Megan i Aleksandrę, choć teraz wydawało się to mało prawdopodobne. Wciąż miała swoje dziesięć tysięcy dolarów, ukrytych pod podszewką walizki, ale nadzieja na odszukanie siostr była wątpliwa. Tylko Arthur mógłby jej pomóc. Ale czy one w ogóle będą ją pamiętać? Aleksandra ma teraz trzynaście lat, a Megan zaledwie dziewięć... dla nich będzie

nieznajomą. Tak naprawdę miała tylko siebie. Uświadomiła to sobie, bez śladu emocji patrząc na kuratorkę. - Dziękuję. - Musisz podjąć decyzję. - Tak? - Pewnie nic przyjemnego, to Hilary wiedziała już z doświadczenia i zawsze była gotowa do obrony przed cierpieniami, które inni ludzie usiłowali na nią zesłać. Nauczyła się wiele od czasu pobytu w pierwszym domu zastępczym i poprawczaku. - Jak zapewne wiesz, zwykle nasi wychowankowie pozostają z nami do osiemnastego roku życia. Jednak w twoim przypadku, ponieważ skończyłaś szkołę wcześniej, masz możliwość opuszczenia zakładu jako nieletni samodzielny. - Co to znaczy? - Hilary przyglądała się kuratorce podejrzliwie, jakby dzieliła je ściana ze stali. Jej błyszczące zielone oczy stanowiły jedyny łącznik ze światem. - To znaczy, Hilary, że jeśli chcesz, możesz być wolna. Możesz też pozostać tu tak długo, aż nie zdecydujesz, co chcesz robić, gdy stąd wyjdiesz. Czy zastanawiałaś się już trochę nad tym? Hilary miała ochotę odpowiedzieć: "Niewiele, tylko przez cztery lata", odpowiedziała jednak spokojnie. - Trochę. - I? - Rozmowa przypominała wyrywanie zęba, ale wiele z tych dzieci rozmawiało podobnie, życie zbyt je zraniło, by mogły komukolwiek zaufać. I nie istniał sposób, by jakoś zaradzić ich tragedii. - Czy chcesz powiedzieć mi o swoich planach? - Czy muszę, żeby stąd wyjść? - Coś w rodzaju zwolnienia warunkowego, o którym tyle słyszała. Każde znane jej dziecko w poprawczaku miało rodziców w więzieniu czekających na zwolnienie warunkowe. Tu pewnie chodziło o to samo. Jednak kuratorka pokręciła głową przecząco. - Nie, nie musisz. Chciałabym ci pomóc, jeśli będę mogła. - Poradzę sobie. - Dokąd chcesz pojechać? - Chyba do Nowego Jorku. Stamtąd pochodzę. Znam to miasto. - I chociaż nie było jej tam przez ponad połowę życia, Nowy Jork wciąż wydawał jej się domem. No i oczywiście, tam były jej siostry... - To duże miasto. Masz tam przyjaciół? Potrząsnęła głową. Gdyby tak było, czy spędziłaby cztery lata w zakładzie dla nieletnich w Jacksonville? Głupie pytanie. Miała jednak dziesięć tysięcy dolarów. To jej ratunek. Nie potrzebowała przyjaciół, tylko pracy i mieszkania. Jednej rzeczy była pewna - nie zostanie tu dłużej. - Myślę, że stąd wyjadę. Jak długo muszę czekać? - Jej oczy rozbłyły na myśl o wyjeździe, po raz pierwszy w trakcie rozmowy. - Papiery dotyczące twojego zwolnienia będą gotowe w przyszłym tygodniu. Czy to wystarczająco szybko dla ciebie? - Kuratorka uśmiechnęła się z żalem. Nie udało im się z tą dziewczyną. Tak czasem bywa, i jest to nieszczęście, ale trudno przewidzieć, które z dzieci przetrzyma reżim zakładu dla nieletnich, a które nie. Wstała i wyciągnęła rękę, którą Hilary uściśniła z rezerwą. Nie ufała nikomu i niczemu. - Damy ci znać, kiedy będziesz mogła wyjechać. - Dziękuję. - Hilary wyszła bez pośpiechu i skierowała się prosto do swego pokoju. Mieszkała sama. Jako stała pensjonariuszka nie musiała spać w internacie ani dzielić z nikim pokoju. Na dodatek za kilka dni wyjedzie stąd na zawsze. Leżała na łóżku patrząc w sufit i uśmiechając się po raz pierwszy od tak dawna. Miała to za sobą, udrękę, ból, poniżenie, grozę ostatnich ośmiu lat swojego życia. Teraz będzie sama o sobie decydowała. Dokładnie w tydzień później siedziała w autobusie i nie było w niej żalu ani smutku, nie zostawiała w tym miejscu żadnych miłych wspomnień, ani żadnych przyjaciół. Jej zielone oczy były twarde i zimne, gdy rozmyślała o świecie, którego jeszcze nie знаła. Koszmar przeszłości miała już za sobą. Rozdział 9 Autobus, którym Hilary jechała do Nowego Jorku, miał postoje w Savannah, Raleigh, Richmond, Waszyngtonie i Baltimore. Podróż

trwała dwa dni. Przez cały czas Hilary wpatrywała się w okno i nie odzywała do nikogo. Niektórzy pasażerowie zagadywali do niej, gdy autobus zatrzymywał się na lunch, dwóch marynarzy nawet próbowało ją poderwać, ale wszystkich potraktowała bardzo stanowczo, i potem już nikt do niej nie podchodził. Była zupełnie sama, gdy wysiadła w Nowym Jorku czując straszliwe drżenie serca. Była w domu... po dziewięciu latach... Wyjechała stąd jako mała dziewczynka, w trzy dni po samobójczej śmierci ojca, aby zamieszkać z ciotką w Bostonie. Tyle lat czekała, by tu wrócić, ale w końcu udało się. Urząd do spraw nieletnich na Florydzie dał jej dwieście osiemdziesiąt siedem dolarów na rozpoczęcie nowego życia; miała też dziesięć tysięcy Eileen. Wizyta w banku na Czterdziestej Drugiej Ulicy była pierwszą rzeczą, jaką zrobiła po przyjeździe do Nowego Jorku. Następnie wynajęła sobie pokój w małym, odrapanym hoteliku na East Side, i choć był skromny i prosty, nikt nie zwracał na nią uwagi, gdy przychodziła lub wychodziła. Jadała w kafejce na rogu i czytywała ogłoszenia o pracy. W szkole średniej nauczyła się maszynopisania, ale nie posiadała innych umiejętności i nie miała złudzeń co do rodzaju pracy, na jaką mogła liczyć. Musiała zaczynać od dołu, nie zamierzała jednak na tym poprzestać. Miała inne plany. Kobiety, które spotykała w ciągu ostatnich lat, wycisnęły na niej swe piętno. Nigdy nie będzie taka jak one, pójdzie do pracy, a wieczorami będzie studiować w college'u. A pewnego dnia zostanie kimś ważnym, przyrzekła to sobie. Będzie Kimś. W drugim dniu pobytu w Nowym Jorku poszła do domu towarowego Alexander na Lexington Avenue, i wydała pięćset dolarów na ubranie. Dla niej suma ta stanowiła olbrzymią część jej majątku, ale wiedziała, że musi dobrze wyglądać, jeśli chce dostać pracę. Zdecydowała się na ciemne kolory i prosty styl; wybrała kilka spódnic i bluzek, pantofelki z lakierowanej skóry oraz pasującą do nich torebkę. Gdy przymierzała te rzeczy w swoim pokoju, wyglądała jak śliczna młoda dziewczyna. Nikt nie podejrzewałby nawet, jak pełne cierpienia było jej życie od śmierci rodziców. W czasie pierwszej rozmowy w sprawie pracy powiedziano jej, że jest za młoda. Potem odbyła trzy następne, lecz nie została przyjęta, ponieważ nie знаła stenografii. Na końcu odwiedziła biuro księgowego. Rozmawiał z nią łysy, otyły mężczyzna. Pocił się obficie i ścisnął w rękę mokrą chusteczkę. - Pisz pani na maszynie? - Rzucił na nią ukradkowe spojrzenia. Siedziała naprzeciw uważnie go obserwując. Nie czuła przed nim strachu, miała już do czynienia z gorszymi niż on. Poza tym potrzebowała pracy. Nie mogła żyć bez końca ze swych topniejących funduszy. Musiała znaleźć pracę w miarę szybko i mogłaby nawet pracować u tego faceta, gdyby zachowywał się poprawnie. - Stenografia także? - Potrząsnęła przecząco głową, ale nie wydawał się tym zmartwiony. - Ile pani ma lat? - Dziewiętnaście - skłamała. Nauczyła się tego w czasie pierwszej rozmowy. Nikt nie chciał zatrudnić siedemnastoletniej dziewczyny, więc kłamała. - Czy skończyła pani szkołę dla sekretarek? - Znów potrząsnęła głową, a on wzruszył ramionami i wstał, trzymając w ręku niewielką stertę papierów. Obszedł biurko dookoła, jakby chciał je pokazać Hilary. Zamiast tego jednak zbliżywszy się do niej, dotknął jej piersi. Dziewczyna skoczyła na równe nogi i zanim zdążyła pomyśleć, uderzyła go w twarz wierzchem dłoni. Oboje ciężko dyszeli. - Jeśli znów mnie pan dotknie, będę krzyczeć tak głośno, że sprowadzę panu na kark policję - ostrzegła. Oczy jej płonęły, ciało miała napięte i trzęsły się jej ręce. - Jak pan śmie tak się zachowywać! - Dlaczego oni wszyscy jej to robili?...

wujek Jack... dziewczynki w zastępczym domu... chłopcy u Louise... ciągle jej się to przytrafiało. Nie rozumiała, że powodem była jej wielka uroda, traktowała to jako karę, zrobiła w dzieciństwie coś złego i teraz ją za to torturowano. To nieuczciwe, że ciągle ją to spotyka, myślała cofając się wolno w kierunku drzwi i nie spuszczać oczu z jego twarzy. - Niech pani posłucha... przepraszam... to nic takiego, panno... jak pani się nazywa? - Podeszedł szybko do niej kołysząc się jak kaczka, ale ona wybiegła zatrzasnąwszy mu drzwi przed nosem. Biegła po schodach tak szybko, jak umiała. Wracając do hotelu czuła się brudna; przygnębiona, zastanawiała się, czy kiedykolwiek znajdzie pracę. Jednak w końcu udało się. Była to praca recepcjonistki w agencji do spraw zatrudnienia. Jej wygląd zrobił dobre wrażenie i choć podejrzewano, że jest młodsza, niż mówi, była inteligentna, schludna i czysta. Pisała też niezłe na maszynie i mogła przyjmować telefony. To im wystarczało. Pensja w wysokości dziewięćdziesięciu pięciu dolarów tygodniowo wydała się jej niezłym kąskiem, przyjęła więc tę posadę i jak na skrzydłach pobiegła do hotelu, by przygotować się na następny dzień. Miała swą pierwszą pracę. Odtąd szybko będzie wspinać się w górę. Nie wiedziała jeszcze, co chce robić, ale już zdecydowała, do jakiej szkoły pójdzie. Czytała różne ogłoszenia, odbyła też kilka rozmów telefonicznych. Złożyła podanie i czekała na odpowiedź. Potem znalazła się na właściwej drodze. Pozostała jej jeszcze jedna sprawa do załatwienia i postanowiła zająć się nią od razu tego popołudnia. Nie wiadomo, kiedy później będzie miała czas, a nie chciała telefonować. Musiała zobaczyć się z nim osobiście. Tylko raz. Wydobędzie z niego informacje, a potem pozostanie jej tylko zatelefonować... na myśl o tym zdrzała. Przebrała się znowu; założyła prostą granatową sukienkę, ciemne pończochy i lakierki. Sukienka była krótka, jak nakazywała moda, ale przyzwoita. Włosy związała w prosty węzeł, dzięki czemu wyglądała poważniej. Umyła twarz, wytarła ją w mały szorstki ręcznik hotelowy i zeszła na dół. Tym razem nie poszła na przystanek autobusowy, nie chciała tracić czasu. Pojechała taksówką. Wsiadłszy na rogu Park Avenue i Czterdziestej Ósmej, popatrzyła w górę na szklany budynek wykończony chromem, zdający się sięgać do samego nieba. Przy trzydziestym ósmym piętrze winda zdrzała i Hilary wstrzymała oddech, zastanawiając się, czy w niej nie utknie. Nie była nigdy w takim miejscu jak to, przynajmniej nie przypominała sobie, chociaż pamiętała inne rzeczy... podróż na Liberte z rodzicami do Francji... apartament na Sutton Place... podwieczorek z Solange w Plaza, małe ciasteczka i gorącą czekoladę z furą bitej śmietany. Pamiętała też noc, kiedy umarła jej matka, i to, co wtedy mówili oboje z Samem. Drzwi windy otworzyły się bezszelestnie i Hilary znalazła się w recepcji wyłożonej grubym brązowym dywanem. Za biurkiem siedziała młoda dziewczyna o krótko obciętych jasnoblonde włosach, ubrana w różową lnianą garsonkę. Wyglądała miło i życzliwie, co, jak Hilary zdążyła się już zorientować, było nieodzowne w tym zawodzie. Pomyślała o pracy, którą miała rozpocząć następnego dnia. Wiedziała, że ona nigdy nie będzie tak wyglądała. Nie była śliczna, nie miała blond włosów, nie sprawiała też wrażenia, że w każdej chwili gotowa jest poderwać się na równe nogi, jeśli ktoś ją o to poprosi. Gdy zbliżała się do dziewczyny patrząc jej prosto w oczy, wyglądała spokojnie i poważnie. - Przyszłam, by zobaczyć się z panem Pattersonem. - Czy jest pani umówiona? - dziewczyna uśmiechnęła się promiennie, ale Hilary nie odwzajemniła

uśmiechu. Pokręciła przecząco głową i odpowiedziała powściągliwym tonem. W głębi duszy czuła się onieśmielona tym otoczeniem, nic jednak po sobie nie okazywała. Sprawiała wrażenie zdecydowanej i opanowanej. - Nie, nie jestem, ale chciałabym się z nim zobaczyć. - Pani nazwisko? - Panna Uśmiechalska rozpromieniła się jeszcze bardziej. - Hilary Walker. - Po chwili dodała, jakby miało to jakieś znaczenie: - Jest moim ojcem chrzestnym. - Ach, tak. Oczywiście - powiedziała mała blondynka naciskając serię guzików. Podniosła słuchawkę i powiedziała coś tak cicho, że Hilary nie usłyszała. To także należało do tej pracy: mówić do słuchawki tak, by nie rozumieli interesanci... Pan taki a taki tu jest i chce się z panem widzieć... ach, nie ma pana?... co mu powiedzieć? Tę sztuczkę Hilary będzie musiała opanować w agencji do spraw zatrudnienia. Recepcjonistka skończyła rozmawiać i zadziwiła Hilary wskazując jej ze swym wspaniałym uśmiechem drzwi po prawej stronie. - Może pani wejść od razu. Sekretarka pana Pattersona zaprowadzi panią do jego biura. - Wyraźnie zrobiło to na niej wrażenie. Dostanie się do Arthura Pattersona nie było łatwą sprawą, ale w końcu ta dziewczyna to jego córka chrzestna. Hilary otworzyła wskazane drzwi i weszła do środka. Firma zajmowała całe piętro. Imponujący korytarz, pokryty dywanem, ciągnął się aż do narożnego biura, usytuowanego na drugim końcu tego ogromnego budynku. Wzdłuż ścian stały regały, wypełnione oprawnymi w skórę książkami prawniczymi, a przed pokojami adwokatów rezydowały za swoimi biurkami ich sekretarki. Hilary jako dziecko nigdy nie była u Arthura w biurze, zresztą od tamtych czasów na pewno zmienili siedzibę... - Panna Walker? - Podeszła do niej starsza kobieta o krótko ostrzyżonych, siwych włosach i miłym uśmiechu, wskazując odległe miejsce w głębi korytarza. - Tak. - Pan Patterson oczekuje pani. - Tak jakby było to zaplanowane, jakby był pewny, że przyjdzie, jakby od dziewięciu lat czekał na nią. Ale cóż on może wiedzieć przebywając w takim miejscu? Co może wiedzieć o życiu ludzi pokroju Eileen i Jacka, o opiekowaniu się umierającą ciotką, o odpieraniu ataków Jacka z nożem rzeźnickim w rękę? Jakże może mieć pojęcie o przymieraniu głodem w ich domu, u rodziny zastępczej w Jacksonville, o Maidzie i Georgine... o poprawczaku, lub nawet o małym spoconym człowieczku, który "przyjmował ją do pracy" zaledwie kilka dni temu? Cóż mógł o tym wszystkim wiedzieć? Ona natomiast wiedziała jedno - to on był mordercą jej matki, mimo że nie zabił jej własnymi rękami, a w końcu stał się przyczyną również śmierci jej ojca. A teraz tu był, ona zaś pragnęła od niego tylko jednej rzeczy. Gdy ją będzie już miała, wyjdzie i nigdy się z nim nie zobaczy. Nigdy więcej nawet na niego nie spojrzy. Sekretarka zatrzymała się i zapukała do drzwi, na których widniała elegancka plakietka z mosiądzu i skóry z napisem "Arthur Patterson". Wtedy usłyszała jego głos, nadal tak bardzo znajomy. Wciąż pamiętała, jak okłamywał ją osiem lat temu... Zabieram je tylko na jakiś czas, Hilary... wrócę po ciebie. Nigdy tego nie uczynił, zresztą i tak nie miało to już znaczenia. Nienawidziła go. Pamiętała, jak klęcząc na ulicy wykrzykiwała imiona swoich sióstr, gdy odjeżdżał; nawet teraz, po tylu latach, musiała walczyć ze łzami. Ale ma to już prawie za sobą... prawie. Minęło niemal dokładnie osiem lat od dnia, gdy widziała go po raz ostatni. - Proszę wejść. - Sekretarka uśmiechnęła się i, stanawszy z boku, otworzyła drzwi. Hilary weszła do środka. W pierwszej chwili nie zauważyła biurka. Dostrzegła je dopiero później: prosta płyta ze szkła i chromu tuż pod oknem, z którego roztaczała się rozległa

panorama Nowego Jorku. Nie pasował do tego nowoczesnego otoczenia. Miał pięćdziesiąt lat, lecz wyglądał przynajmniej o dziesięć lat starzej; wysoki, chudy, łysiejący mężczyzna o bladej twarzy i smutnych oczach. Teraz, gdy stojąc przyglądał się swemu gościowi, był jeszcze bledszy niż zwykle. Miał wrażenie, że zobaczył ducha. Hilary była wysoka i piękna, miała błyszczące czarne włosy Sama, lecz na tym kończyło się jej podobieństwo do ojca. Jej oczy... to były oczy Solange... i taki sam sposób poruszania głową... gdy stała przed nim tak dumnie, jak kiedyś Solange na rue d'Arcole w Paryżu, dwadzieścia lat temu. Jakby widział ducha... gdyby zamienić te czarne włosy na rude... to znów byłaby Solange... ale w oczach Hilary był gniew i gorycz, i jakaś determinacja w twarzy, czego nigdy nie widział u jej matki. Jej wygląd zdawał się mówić: "Jeśli do mnie podejdziesz, zabiję cię, zanim zdążysz mnie dotknąć", i Arthur ze strachem myślał, co mogło się jej przytrafić, co sprawiło, że tak wyglądała. Najwyraźniej jednak była cała i zdrowa, stała przed nim w jego biurze, dorosła i bardzo piękna. To był istny cud. Szedł do niej z wyciągniętą ręką marząc o powrocie w przeszłość. Był to sposób na to, by znów mieć Sama i Solange przy sobie, by raz jeszcze uczestniczyć w ich magii. Hilary sprawi, że znów to wszystko powróci. Jednak podchodząc do niej wyczuł jakiś mur, który ją otaczał; zaczęła się cofać, gdy odległość między nimi zmalała, więc instynktownie zatrzymał się. - Czy dobrze się czujesz, Hilary? - Trochę za późno o to zapytał. Nienawidziła słabości, którą dostrzegła w jego oczach. Nigdy do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo pozbawiony był odwagi. Mięczak, teraz to pojęła, oto dlaczego zdradził je wszystkie, a potem zostawił ją samą... bez charakteru... Hilary nie wiedziała, że wieki temu tak o nim mówiła Solange. - Czuję się świetnie - nie chciała tracić czasu. Nie przyszła po to, by nawiązywać ciepłe kontakty ze starym przyjacielem rodziny. Przybyła zapytać o jedną rzecz, jaka ją na tym świecie obchodziła, jaka przez osiem lat była dla niej ważna. - Chcę wiedzieć, gdzie są moje siostry. - Wpatrywała się w jego twarz nieruchomymi i lodowato zimnymi oczyma, nie wiedząc, co w niej dostrzega: strach czy żal, i z zapartym tchem czekała na odpowiedź. Jeśli przedtem wydawał się blady, teraz wyglądał jak upiór. Zdawał sobie sprawę, że nie zdoła zbyć jej byle czym, wiedział też, że nie chce mieć z nim do czynienia. Pragnęła jedynie odzyskać swoje siostry, a on nie mógł jej w tym pomóc, choćby nawet bardzo tego chciał. - Hilary, dlaczego nie usiądziemy na chwilę... - wskazał krzesło, ale ona pokręciła odmownie głową, patrząc mu prosto w oczy. - Nie mam ochoty siedzieć tu z tobą. Zabiłeś moich rodziców, zniszczyłeś moją rodzinę. Nie mam ci nic do powiedzenia. Chcę tylko wiedzieć, gdzie są Megan i Aleksandra. Gdy mi to powiesz, pójdę sobie. - Czekala cierpliwie, z tak samo dumnie uniesioną głową, co sprawiało, że jak Solange była wyjątkowa, niezwykła... Arthur patrzył widząc kogoś innego, ale nie mógł uciec od Hilary. Była siłą, z którą musiał się liczyć, teraz w pełni to zrozumiał. Wyczuwał też, że wiedziała znacznie więcej, niż kiedyś przypuszczał, ale nie pytał jej o nic. Powiedział jej prawdę, oczy zaszyły mu łzami żalu po tym, co było i czego już nie ma. Miała rację. Rodzina umarła na jego rękach. Nigdy się z tym nie pogodził. Nie założył własnej rodziny, a Marjorie opuściła go wiele lat temu. Kobieta, którą kochał, umarła, jej dzieci były rozrzucone po świecie. A on czuł się odpowiedzialny za to, co im się wszystkim, nawet Samowi, zdarzyło. Nie było jednak sposobu, by jej to wyjaśnić lub usprawiedliwić się, na pewno nie przed nią. Bóg jeden

wie, przez co przeszła w ciągu tych ośmiu lat. - Nie wiem, gdzie one są, Hilary. Nawet nie wiem, gdzie ty byłaś. Siedem lat temu pojechałem do Bostonu, żeby się z tobą zobaczyć, ale was już tam nie było... Jonesowie nie zostawili adresu. Nie mogłem cię odnaleźć... - Jego przepelniony żalem głos ucichł. Czuł się winny, że wtedy, siedem lat temu, odetchnął z ulgą nie musząc stawać z nią twarzą w twarz. A teraz podejrzewał, że ona o tym wiedziała. Jej oczy wszystko widziały, jej serce nie wybaczało niczego. Nie miała w sobie ciepła, nie było w niej nic łagodnego ani miłego. Składała się z granitu i kolczastego drutu, kawałków stali i tłuczonego szkła. Dostrzegał w jej oczach, że w duszy kryje wiele ciemnych zakamarków; przez chwilę bał się, że może zrobić mu krzywdę. - Nie sądzę, byś bardzo się o to starał - powiedziała twardym tonem Hilary. Nie interesowały jej ani jego wyjaśnienia, ani przeprosiny. - Pojechaliśmy na Florydę. - A potem? - Musiał dowiedzieć się, co ją spotkało, co nadało jej taki wygląd. Musiał... po prostu musiał... za gardło chwycił go szloch; w duchu prosił Boga, by nie rozplakać się w jej obecności. - Co się z tobą działo? - Pragnął, aby usiadła, aby mogli porozmawiać. Mógłby opowiedzieć jej o Marjorie, która obecnie była sędzią Sądu Najwyższego. Chciał wyjaśnić jej, dlaczego nie zaopiekował się nią wtedy, dlaczego nikt nie chciał przyjąć całej trójki... dlaczego musiał postąpić tak, a nie inaczej. - Czy Jack i Eileen są wciąż... czy byli dobrzy dla ciebie? Roześmiała się gorzko, jak stara kobieta, a jej oczy stały się bardzo zielone. Pomyślała o Jacku i tamtej nocy... i o tym, jakim niemal rozrzewniającym widmem stała się Eileen przed śmiercią. - Eileen umarła, a ja przez ostatnie cztery lata znajdowałam się pod opieką sądu dla nieletnich. Byłam w rodzinach zastępczych i w domu opieki dla nieletnich, a teraz jestem wolna, panie Patterson. Nic nikomu nie zawdzięczam, a już na pewno nie panu. Wszystko, czego teraz pragnę, to odnaleźć moje siostry. - Serce zaczęło jej walić, gdy zdała sobie sprawę, że stracił je z oczu. - Dlaczego nie zatelefonowałaś, gdy Eileen umarła? - Był przerażony. - Przecież nie musiałaś iść do rodzin zastępczych ani do domu opieki dla nieletnich... - Takie miejsca były mu całkowicie obce i teraz nie mógł znieść myśli o nich. - Hilary, tak mi przykro... W jej oczach znowu pojawiły się zielone błyski; machnęła ręką. - Nie opowiadaj mi bajek, nigdy cię nie obchodziłyśmy i teraz też cię nie obchodzimy. Łatwo ci przychodzą te nabożne miny i mówienie o tym, jak bardzo ci przykro. Jeśli chcesz wiedzieć, nie dbam o to. Moja przeszłość przez to się nie zmieni. Chcę od ciebie tylko jednego: abys dał mi adresy moich sióstr, i nie mów mi, że ich nie znasz. Ty je zabrałeś. - Nigdy nie przyszło jej do głowy, że tak samo jak w jej przypadku, mógł stracić z nimi kontakt. To niemożliwe. Musi wiedzieć. Badawczo wpatrywała mu się w oczy; to, co w nich ujrzała, przeraziło ją. Zobaczyła wyrzuty sumienia, poczucie winy i strach. Bał się jej. Usiadł na krześle i potrząsnął głową w rozpacz. Potem spojrzął na nią smutnymi, pustymi oczyma. - Aleksandrą zaopiekował się jeden z moich współników. Miał cudowną, młodą żonę, z dobrej rodziny. Była od niego znacznie młodsza. Nie mieli dzieci i kiedy powiedziałem im o Aleksandrze, zapragnęli ją adoptować. Uwielbiali małą. - Arthur spojrzął na Hilary w nadziei, że ją nieco ulagodził, ale jej oczy wyglądały jak dwie bryłki zielonego lodu, a ręce drżały, gdy siedząc w milczeniu słuchała jego słów. - Zabrali ją do Europy, wszędzie z nią jeździli... lecz w sześć miesięcy później George umarł na atak serca. Margaret przeżyła szok i wyjechała z Aleksandrą. Kiedy po raz ostatni miałem o nich wiadomość, były na

południu Francji... papiery dotyczące spadku wysyłałiśmy Margaret do Paryża, ale to było parę lat temu. Nie wiem, co potem się z nimi działo. Myślę, że tam zostały, ale nie jestem tego pewien. Nie było powodu, by utrzymywać z nimi kontakt... - jego głos ucichł, a po policzkach spłynęły mu dwie łzy. - Więc nie wiesz, gdzie jest Aleksandra - powiedziała drętwą Hilary. - Jak się nazywa ta kobieta? - Gorham, Margaret Gorham, ale mogła ponownie wyjść za mąż. Wszystko mogło się zdarzyć. Mogła też wrócić do Stanów. Nie sądzę, by wróciła do Nowego Jorku, słyszałbym o tym. - Spojrzał na nią bez przekonania. - A Megan? - Została adoptowana przez Davida i Rebekę Abramsów, zaraz po tym, jak ją... po tym, jak ona... - z trudnością panował nad sobą. Hilary trzęsła się od stóp do głów. - ...po tym, jak przywiozłem ją do Nowego Jorku. Abrams nie był moim wspólnikiem, pracował tylko u nas, a w kilka miesięcy później wyjechali. Jego żona też była adwokatem i przyjęli propozycję firmy prawniczej z Los Angeles, która chciała zatrudnić ich oboje. Pragnęli zacząć wszystko od nowa i postawili warunek, że nie będzie żadnych kontaktów. Chcieli dać Megan nowe życie, wolne od powiązań z tym, co do tej pory przeżyła. Nie miałem od nich wiadomości od czasu ich wyjazdu. Jeśli Abrams jest członkiem kalifornijskiej palestry, mógłbym prawdopodobnie go zlokalizować, o ile dalej tam mieszka... nie wiem... - Ty draniu - patrzyła na niego z wyrazem nienawiści na twarzy. - Pozwoliłeś, żebyśmy się pogubiły. Pomogłeś w tym, jakby pozbycie się nas miało uwolnić cię od poczucia winy, ale to ci się nie udało, prawda? - Rozszyfrowała go bezbłędnie. - Twoje życie także jest zrujnowane, i zasłużyłeś na to. Zasłużyłeś sobie na wszystko, co cię spotkało. Obyś nie wyszedł z piekła, Arthurze Patterson. Zabiłeś dwoje ludzi, a trzem zmarnowałeś życie. Masz pięć osób na sumieniu. Czy możesz z tym żyć? - Podeszła do miejsca, gdzie siedział, i spojrzała na niego z pogardą niespotykaną u kogoś tak młodego. - Czy możesz spać spokojnie? Wydaje mi się, że nie... Bóg jeden wie, co się stało z moimi siostrami, na jakie życie je skazałeś. Ja wiem, jakie było moje. Ale to jeszcze nie wszystko. Nie pozwolę, żebyś zmarnował je do końca. Będę kimś... i może pewnego dnia odnajdę moje siostry... może... Ale tymczasem... - Wolno podeszła do drzwi z twarzą mokrą od łez. Tyle się po nim spodziewała i tak strasznie ją rozczarował. - Nie chcę cię więcej widzieć, Arthurze Patterson. Nigdy. Nie pomogę ci w ukojeniu wyrzutów sumienia. Nie będziemy znów "przyjaciółmi", drogi ojczy chrzestny. - Stała długo wpatrując się w niego, zanim wypowiedziała ostatnie słowa, a wymówiła je szeptem, który prześladował go przez resztę życia. - Nigdy nie wybaczę ci tego, co z nami zrobiłeś... nigdy... i będę cię nienawidzić do końca moich dni. Zapamiętaj to sobie... nie zapominaj o tym, co zrobiłeś i jak bardzo cię nienawidzę. - A potem zamknęła za sobą drzwi jego biura. Zabrakło mu odwagi, żeby za nią pójść. Siedział w swoim fotelu kompletnie zdruzgotany. Czuł się bardzo stary, płacząc myślał o Solange i o tym, jak bardzo ją zawiódł. Hilary miała rację, do końca życia będzie czuł się winny za to, co im wszystkim zrobił, i podobnie jak Hilary zastanawiał się teraz, gdzie są dwie pozostałe dziewczynki. To pytanie musiało jednak pozostać bez odpowiedzi. Z biura przy Park Avenue Hilary poszła prosto do biblioteki publicznej i zrobiła jedyną rzecz, jaką była w stanie zrobić. W książce telefonicznej Manhattanu nie znalazła jednak George'a ani Margaret Gorham. Było w niej tylko pięć osób o tym nazwisku, lecz gdy do nich telefonowała, pytając każdego o Margaret lub Aleksandrę, nikt niczego nie wiedział. Było

jasne, że nigdy o nich nie słyszeli. Przeglądanie list członków palestry kalifornijskiej zakończyło się także fiaskiem. Nie było w nich Davida Abramsa, a to znaczyło, że opuścił Kalifornię dawno temu, i Bóg tylko jeden wie, dokąd się przeprowadził. Nie miała możliwości, by zdziałać coś więcej, nie mogła wysledzić miejsca ich aktualnego pobytu. Liczyła na to, że Arthur będzie wiedział wszystko, tymczasem on nic nie wiedział. Jej siostry zniknęły, tym razem na zawsze. Marzenie, które tak długo trzymało ją przy życiu, opuściło jej serce, niczym głaz spadając na ziemię. Wolno wracała do hotelu, a łzy strumieniem spływały jej po policzkach. Przypomniała sobie białe róże na pogrzebie matki i wydało się jej, że siostry umarły. Od dawna nie było już ich w jej życiu, ale teraz, gdy znów zobaczyła Arthura, przed oczyma stanął jej ten straszny dzień, gdy je zabierano... Axie, Kocham cię! Wciąż pamiętała swój własny krzyk wtórujący odjeżdżającemu samochodowi i to, że osunęła się na kolana i płacząc długo wykrzykiwała imiona sióstr. Miała wrażenie, że od tamtej pory nie podniosła się z kolan. Ale teraz to zrobi... musi... sama, bez niczyjej pomocy, jak wszystko, co zrobiła od śmierci rodziców. Zawsze jednak będzie o nich pamiętać. Zawsze. Wracając do hotelu czuła, że ją opuszczają jak ludzie, których kochała, a którzy umarli. Była samotna, jak zawsze w swoim życiu. ----- Część trzecia: Aleksandra Rozdział X

Posiadłość przy Avenue Foch otaczał nienagannie przystryżony żywopłot, skrywający dokładnie przed okiem przechodniów doskonale utrzymany ogród i zbudowany z masywnej cegły, pochodzący z osiemnastego wieku hotel particulier. Dom miał pięknie rzeźbione drzwi z mosiężnymi kołatkami i gałkami, okiennice pomalowane na ciemnozielony kolor i zasłony z jedwabiu i adamaszku w oknach. Był to dom szczelnie odgradzony od świata zewnętrznego, chroniony przed wszelkim rozgłosem, pełen bibelotów, kryształowych żyrandoli i wspaniałych antyków, dom, w którym królowała doskonałość. Należał do barona i baronowej de Morigny, przedstawicieli jednej z najstarszych rodzin we Francji. De Morigny byli, co prawda, starą arystokracją, lecz ich majątek topniał, dopóki czternaście lat temu baron Henri nie poślubił ślicznej córki starego hrabiego de Borne. Rezydencję przy Avenue Foch młoda para dostała w prezencie ślubnym od hrabiego, natomiast młoda żona barona, Aleksandra, odnowiła piękny zamek w Dordogne, będący siedzibą rodu, oraz pawilon myśliwski w Sologne. Od tamtej pory kupili jeszcze letni dom w Saint-Jean-Cap-Ferrat, dokąd co roku wyjeżdżali z dziećmi. Prowadzili życie luksusowe i pełne wdzięku. Innego życia Aleksandra de Morigny nie znała i była idealną żoną, perfekcyjnie grającą swoją rolę. Świetnie prowadziła dom mężowi, planowała obiady dla niego, zabawiała jego przyjaciół, zawsze we wszystkim go słuchała i doskonale wychowywała ich dwie córki, Axelle i Marie-Louise. Dziewczynki były największą radością w jej życiu. Tego popołudnia siedziała przy swoim biurku rozmyślając o nich z łagodnym uśmiechem na twarzy. Wkrótce wrócić ze szkoły i pójść razem na spacer z psami do lasu. Spacer stanowił świetną okazję do rozmowy, do opowiedzenia o tym, co działo się w szkole, kogo lubią, kogo "nienawidzą" i kto będzie miał kłopoty w nauce. Po powrocie do domu dziewczynki spełniały swoje devoirs, brały kąpiel, jadły obiad, bawiły się i szły do łóżek. Aleksandra zawsze towarzyszyła im aż do swego obiadu z Henrim. Jedna miała sześć, druga dwanaście lat, różniły się między sobą jak dzień i noc i obie czyniły jej życie radosnym i wesołym. Marie-

Louise była poważna i bardzo przypominała Henriego, a Axelle była dokładnie taka jak Aleksandra w dzieciństwie - troszkę nieśmiała, bezgranicznie ufna i czuła. Cudownie było przebywać z nią, głaskać jej jasnorude loki i patrzeć w wielkie, błękitne oczy. Na samą myśl o niej serce Aleksandry wypełniła radość. Siedziała uśmiechając się do siebie, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń, i nie usłyszała kroków Henriego na wyfroterowanym parkiecie. Wszedłszy do pokoju przyglądał się jej w milczeniu, a ona ocknęła się z zadumy dopiero wtedy, gdy był już prawie przy niej. Spojrzała w górę na wysokiego, przystojnego mężczyznę, który był jej mężem. Miał pięćdziesiąt dziewięć lat, był mocno zbudowany, o wyrazistych rysach twarzy; spojrzenie twardych oczu jak zwykle wwierało się w nią, jakby zamierzał zapytać o coś bardzo ważnego. Henri nie był pogodnym człowiekiem, lecz ufała mu i mogła na nim polegać. Miała też dla niego wiele szacunku. Zakochała się w nim mając dziewiętnaście lat. Ich narzeczeństwo trwało dwa lata, ponieważ jej ojciec chciał mieć pewność, że Aleksandra nie popełnia błędów i nie podejmuje pochopnej decyzji; przecież Henri był od niej starszy o dwadzieścia cztery lata. Ona jednak nie miała żadnych wątpliwości. Chciała wyjść za mąż za kogoś podobnego do swego ojca, starego hrabiego de Borne. Gdy się urodziła, miał sześćdziesiąt lat, a raczej miałby wtedy tyle, gdyby był jej prawdziwym ojcem. Została przez niego adoptowana w wieku sześciu lat i uwielbiała ją do końca swego życia. Nigdy nie miał własnych dzieci, a jej matkę poznał niedługo po śmierci swej żony, z którą był przez czterdzieści lat. Pograżony w żałobie wyjechał na południe Francji i tam spotkał dwudziestosiedmioletnią Margaret Gorham, podobnie jak on kojącą swą rozpacz po stracie męża. Ich gwałtowny romans zakończył się w sześć miesięcy później ślubem i Pierre Borne adoptował Aleksandrę. Tylko on i Margaret wiedzieli, że była już przedtem adoptowana, w Nowym Jorku, gdy miała pięć lat. Uznali, że nikt nie musi o tym wiedzieć, poza tym nie miało to teraz żadnego znaczenia. Była Aleksandrą de Borne, równie drogą sercu starego hrabiego, jak by była jego rodzoną córką, a może nawet bardziej. Dorastała rozpieszczana, psuta i kochana jak rzadko które dziecko. Ona ze swej strony także uwielbiała mężczyznę, którego uważała za swego ojca. Do niego właśnie zwracała się z każdym kłopotem, życzeniem lub marzeniem, jemu powierzała wszystkie swoje sekrety i jemu wyznawała swoje nieliczne złe postęпки. Margaret przyglądała się temu zadowolona, przepelioną miłością do męża i córki, zawsze skłonna do żartów i figli. W rezultacie to ona była dzieckiem w rodzinie; stale robiła obojgu jakieś psikusy, chowała się nieoczekiwanie przed nimi lub przebiegała dziwnie, by ich rozbawić. Uwielbiała śmiać się i cieszyła się każdą chwilą jak wielkie dziecko. Aleksandra bardziej przypominała Pierre'a - była uczuciowa, nieśmiała i pełna podziwu dla szalonych pomysłów Margaret i jej poczucia humoru. Wychowywana pod kloszem i otoczona wielką miłością, zaskoczyła wszystkich, gdy mając dziewiętnaście lat zakochała się i postanowiła wyjść za mąż. Pierre de Borne nie był zadowolony z jej wyboru, głównie z powodu dużej różnicy wieku dzielącej ją od Henriego. Uważał też, że wybranyek jego córki jest zbyt poważny i ma trudny charakter. De Morigny nigdy przedtem się nie ożenił; stary hrabia wiedział, że czekał na odpowiednią kandydatkę, z bardzo dobrej rodziny, odpowiednio bogatą, najlepiej z tytułem. Aleksandra mogła mu to wszystko dać. - Ale co on ma do zaoferowania tobie? - pytał hrabia. Czy Henri będzie dla niej czuły, czy będzie

ją dobrze traktował? Pierre wciąż rozmawiał o tym z Margaret, równie zmartwioną jak on. Aleksandra jednak była niezachwiana w swym postanowieniu - chciała Henriego i koniec. Ukończywszy dwudziesty pierwszy rok życia, wzięła z nim ślub w kościele w Rambouillet, ich wiejskiej posiadłości. Na ślub przybyło około siedmiuset gości z najświetniejszych europejskich rodzin. Miesiąc miodowy spędzili na Tahiti, gdzie popijali egzotyczne poncze i kochali się na prywatnej plaży, należącej do domu, który Henri dla nich wynajął. Po powrocie do Paryża Aleksandra kochała swego męża z jeszcze większą pasją i pragnęła tylko jednego: urodzić mu dziecko. Mimo usilnych starań Henriego w ciążę zaszła jednak dopiero po roku. Jej ojciec dożył jeszcze przyjscia na świat swej pierwszej wnuczki, w dwa lata po ślubie Aleksandry. Niedługo potem odszedł spokojnie we śnie w wieku osiemdziesięciu trzech lat. Margaret pogrążyła się w żałobie. Dla Aleksandry był to ciężki cios. Nie wyobrażała sobie życia bez ojca, nie mogła znieść myśli, że już nigdy nie będzie trzymać go za rękę i nie spojrzeć w jego mądre oczy. W jeszcze większym stopniu uzależniła się od Henriego, którego równocześnie uwielbiała i trochę się obawiała. Teraz on stał się najważniejszą osobą w jej życiu i obsesyjnie wprost lękała się, że jego także utraci, a tego nie byłaby w stanie znieść. Aleksandra zawsze miała w sobie jakiś strach przed utratą ludzi, których kochała i którzy ją kochali. Margaret bardzo się tym martwiła, gdyż sądziła, że Henri wykorzystywał tę jej cechę, by nią kierować. W pewnym sensie traktował żonę, jakby była dzieckiem, które się strofuje i napomina stanowczym głosem i któremu trzeba mówić, co ma robić, bo samo nie wie. W oczach Margaret był dla jej córki bardziej ojcem niż mężem. Aleksandra robiła wszystko, nawet rzeczy trywialne i głupie, by mu się przypodobać. Miał aspiracje polityczne i dlatego maniakalnie wprost dbał o pozory. Wszystko musiało być doskonałe i wyważone, Aleksandra zawsze nienaganna, a dziewczynki dziesięć razy grzeczniejsze niż inne dzieci. Dla Margaret już herbata w ich towarzystwie była zajęciem wyczerpującym i martwiło ją, że Aleksandra uważała to za naturalne. Według niej wszystko było w porządku, jeśli jej mąż był zadowolony. - Mamo, on po prostu taki jest. Nie ma nic złego na myśli. Jest człowiekiem poważnym i lubi, gdy wszystko jest zapięte na ostatni guzik. Ojciec Aleksandry nigdy nie był do tego stopnia wymagający w stosunku do żony lub córki, a poza tym posiadał wspaniałe poczucie humoru. Margaret uważała Henriego za okropnego nudziarza, zwłaszcza gdy porównywała go ze swym zmarłym mężem, nigdy jednak nie powiedziała tego wprost. Chciała, by córka była szczęśliwa, Pierre też tego pragnął. Większą część swojej fortuny zostawił Aleksandrze, Margaret zaś dostała więcej, niż potrzebowała na następne czterdzieści pięć lat wesołego i dostatniego życia. Została wdową mając zaledwie czterdzieści pięć lat, a wydawała się znacznie młodsza, głównie dlatego, że wciąż była bardzo atrakcyjna i potrafiła świetnie się bawić. Była o trzy lata młodsza od swego zięcia. Margaret de Borne nigdy się nie nudziła, stale miała coś zabawnego do powiedzenia, coś skandalicznego i zajmującego do zrobienia. Uganiali się za nią wszyscy zamożni mężczyźni w Europie, ale ona nie miała zamiaru wychodzić ponownie za mąż. Jej związek z George'em był bardzo szczęśliwy, a Pierre dał jej wszystko, czego kiedykolwiek pragnęła. Wiedziała, że nie znajdzie nikogo lepszego, nawet nie miała ochoty próbować. Jej córka to była jednak całkiem inna historia; Margaret martwiła się o nią bardziej, niż Aleksandra przypuszczała. Henri tak wiele od

niej wymagał. Tak wiele, że Pierre i Margaret zdecydowali się nic mu nie mówić o pochodzeniu Aleksandry, tym bardziej że ona sama nie pamiętała swoich prawdziwych rodziców. Pamiętała jedynie "tatusia", jak nazywała Pierre'a, chociaż Margaret zdawała sobie sprawę, że tkwią w niej jakieś inne, niejasne odczucia, pogrzebane gdzieś w najgłębszych pokładach pamięci. Nie przypominała sobie nawet George'a Gorhama. Wyjaśnili jej więc, gdy była jeszcze dzieckiem, że te dawne i niejasne okrucieństwa wspomnień dotyczyły faktu adoptowania jej przez Pierre'a po śmierci ojca, człowieka, którego już w ogóle nie pamiętała. Nigdy nie przyszło jej do głowy, ani też nikt nigdy jej nie powiedział, że w rzeczywistości była dzieckiem zupełnie innych ludzi, że Margaret wcale nie była jej matką, że już raz adoptowano ją po tragicznej śmierci jej prawdziwych rodziców. Pierre do końca życia w rozmowach z Margaret był w tej sprawie nieugięty: nie chciał, by mąż Aleksandry dowiedział się kiedykolwiek o którejś z tych adopcji. Nie powiedział też o nich córce, nie chcąc budzić w niej żadnych wspomnień. Jej uczciwość mogłaby zobligować ją do powiedzenia o tym mężowi. Wszystko było znacznie prostsze, gdy po prostu nie wiedziała. Jej ojciec znał Henriego wystarczająco dobrze, by wiedzieć, jakim jest maniakiem na punkcie swej błękitnej krwi. Margaret podzielała opinię męża o ich zięciu i mając na uwadze dobro Aleksandry, także milczała. Po tak wielu latach nikt już zresztą nie pamiętał, że dziewczynkę kiedyś adoptowano. Margaret bardzo się cieszyła z przyjścia na świat Marie-Louise, a w rok później, gdy Aleksandra straciła następne dziecko, chłopca, rozpacziała razem z nią. Axelle urodziła się po bardzo trudnej i męczącej ciąży, po której lekarz ostrzegł Aleksandrę, że nie powinna mieć więcej dzieci, jeśli nie chce narażać swojego życia na niebezpieczeństwo. Zresztą dwie córeczki wystarczały jej w zupełności. Henri natomiast był gorzko rozczarowany i urażony, że nie dała mu syna. Jeszcze w wiele lat po urodzeniu Axelle wymawiał jej to, gdy był na nią zły. Ona zaś miała wobec niego jakieś niejasne poczucie winy, jakby go oszukała i zawiodła jego nadzieje, i uważała, że za to należy mu się od niej coś więcej. Utratę syna Henri traktował jak krzyż, który przyszło mu dźwigać; drugim nieszczęściem w jego życiu była teściowa - Margaret de Borne. Doprowadzała go do szału swymi długimi, amerykańskimi nogami, stawiającymi wielkie kroki, co uważał za bardzo niekobiece, zbyt głośnym śmiechem i okropnym francuskim, przypominającym mu skrobanie paznokciami po tablicy. Nie cierpiał jej żartów, nienawidził jej poczucia humoru, kurczył się cały, gdy przyjeżdżała do nich z wizytą, obładowana pistoletami na wodę w kształcie szminek i innymi tanimi zabawkami dla wnuczek. Przywoziła też niezliczone skrzynie ubrań z Nowego Jorku, jakieś granatowe płaszczyki z identycznymi w kolorze mutkami z nerek, które uważał za niezwykle wulgarne. Nie znosił jej prezentów, ani też tego, co mówiła, i czuł wdzięczność do Boga, że Aleksandra była zupełnie inna. Nie potrafił pojąć, jak stary hrabia mógł się ożenić z taką kobietą. Codziennie dziękował Bogu za inteligencję, powściągliwość i dyskrecję swojej żony, a przede wszystkim za to, że była nieśmiała i posłuszna, co cenił w niej najbardziej. Przyglądał się jej, gdy tak siedziała przy biurku, i na jego twarzy pojawił się spokojny uśmiech. Nie należał do mężczyzn okazujących uczucia, lecz choć wiele od żony oczekiwał, to jednak kochał ją bardzo. Wiedział, że bez niej jego życie byłoby zupełnie inne, nie tylko od strony finansowej, ale także w jakimś subtelniejszym sensie, znacznie ważniejszym od pieniędzy. Prowadziła mu wspianiały

dom, miała klasę i odznaczała się elegancją, a jej nienaganne wychowanie przejawiało się na tysiąc różnych sposobów. Aleksandra de Morigny de Borne była w każdym calu damą. - Wyglądasz, jakbyś marzyła, Aleksandro. - Mówił cicho, z ledwo wyczuwalnym wyrzutem. Nigdy na nikogo nie podnosił głosu; nie musiał, gdyż wszyscy ludzie, podobnie jak jego żona, podporządkowywali się jego rozkazom natychmiast, wystarczyło, że tylko spojrział. Był dystyngowany i silny, o ciemnych oczach i siwych włosach. W młodości był niezwykle przystojny, męski i wysportowany, a teraz starzał się zadziwiająco pięknie. Wciąż był wspaniale zbudowany i nie wyglądał na pięćdziesiąt dziewięć lat, tak jak Aleksandra nie wyglądała na trzydzieści pięć, ze swymi dużymi, niewinnymi, błękitnymi oczyma i jedwabistymi jasnymi włosami, zwykle splecionymi w elegancki francuski warkocz lub upiętymi w kok. - Czy zorganizowałaś już wszystko na kolację, którą wydajemy w następnym tygodniu? Podał jej listę spraw, by ją ponownie przejrzała. Miała sekretarkę do pomocy w takich wypadkach, ale wolała zajmować się tym sama. Tylko wtedy mogła być pewna, że osiągnięty zostanie taki stopień doskonałości, jakiego oczekiwał. - Wszystko gotowe. - Uśmiechnęła się do niego z mieszaniną szacunku i podziwu w oczach. Był, jak zawsze, poważny i zamknięty w sobie. - Proszę, byś jeszcze raz wszystko sprawdziła. - Spojrział na nią ostrzegawczo, tak jak czasem patrzy się na dzieci, ale jej odpowiedzią był tylko uśmiech. Czasami czuła obawę przed mężem, choć nie zdarzało się to często. Wiedziała, że pod tą nieustanną dążnością do perfekcji kryje się złote serce. - Jutro jemy kolację w Elysee - powiedział. - Cieszę się. Czy jest jakiś szczególny powód? - Znów się uśmiechnęła, choć jego słowa nie zrobiły na niej specjalnego wrażenia. Często bywali tam na kolacji. - Jutro odbędzie się mianowanie nowego ministra obrony. - Okazja nie wydała się jej zbyt fascynująca, ale kolacje w Elysee nigdy takie nie były, Henri natomiast uważał je za niezwykle ważne. Wciąż bawił go pomysł zajęcia się polityką w przyszłości, gdy przestanie pracować w banku i przejdzie na emeryturę, co miało nastąpić za kilka lat. - Jutro jem lunch z moją matką, ale po powrocie będę mieć dość czasu, by przygotować się na wieczór. - Odwróciła twarz, by spojrzeć na papiery leżące na biurku. Nie chciała widzieć potępienia w jego oczach, nie znosiła tego. W przeszłości miała nadzieję, że mąż pokocha jej matkę, lecz już od kilku lat przestała na to liczyć. Było tajemnicą poliszynela, że Henri nie lubi Margaret. Jego głos, gdy znów się odezwał, jakby w rewanżu, nabrał zimnych tonów. - Jem dziś kolację na mieście. - Nie podał powodów, ani nic nie wyjaśnił, a ona nie zapytałaby go w żadnym wypadku. - Przypuszczam, że zechcesz zjeść kolację z dziećmi. Aleksandra skinęła głową i popatrzyła mu w oczy, zastanawiając się, dokąd idzie. Kilka lat temu związany był z jakąś kobietą; miała nadzieję, że nie zaczyna się nowy romans. Akceptowała tamten, bo we Francji nie było to niczym niezwykłym. - Powiem kucharce. - Uwielbiała jadać z dziećmi, pod warunkiem że nie oznaczało to niczego złowieszczego w ich wzajemnych stosunkach, a tym razem nie była całkiem pewna. - Kolacja w interesach, kochanie? - Starła się mówić lekko, jednocześnie go obserwując. Spojrział na nią z dezaprobatą - pytanie było nie na miejscu. Pokiwał głową; w tej samej chwili do pokoju weszły dziewczynki, nie spodziewając się zastać tam ojca. Nastąpiły okrzyki zachwytu. Marie-Lo

uise, z nogami długimi jak żrebak, w krótkiej granatowej spódniczce, spojrzała na Henriego z uwielbieniem w swych nieśmiałych oczach, a potem czule przytuliła się do matki. Henri przyglądał się temu w milczeniu. Nigdy nie okazywał Aleksandrze czułości przy dzieciach. Axelle wyglądała jak odbicie Aleksandry w miniaturze, gdy siedziała szczęśliwa na jej kolanach bawiąc się rzeczami na biurku i o mało nie rozlewając kałamarza z atramentem. Henri cofnął się, uprzedzając nieszczęście. - Axelle! - powiedział surowo, a ona spojrzała na niego wcale nie przejęta i nie przestraszona, z wesołym chochlikiem w oczach. Czasem obawiał się, że stanie się podobna do swojej babki ze strony matki, i dlatego był dla niej oschły. - Uważaj na to, co robisz w gabinecie mamy. - Uważam, tatusiu. - Uśmiechnęła się patrząc na niego swoimi anielskimi, błękitnymi oczami. Wargi miała naturalnie wydęte, policzki wciąż puciołowate i była w niej jeszcze pulchność małego dziecka, w przeciwieństwie do Marie-Louise, która była szczupła, wysoka i elegancka, bardziej podobna do ojca. - Wyrzucili mnie dziś z klasy - dumnie oznajmiła Axelle wszystkim obecnym, a Aleksandra roześmiała się. Żałowała, że jej ojciec nie dożył, by zobaczyć obie swoje wnuczki. Wiedziała, że byłby bez pamięci zakochany w Axelle i oczywiście bardzo dumny z Marie-Louise. Obie były wspaniałymi dziewczynkami, i stanowiły dumę jej życia. - Nie ma się czym chwalić, panienko. Co takiego zrobiłaś? - zapytał Henri, przypatrując się im ze skrywaną dumą. Kochał obie swoje córki, chociaż nigdy im tego nie powiedział, wciąż jednak żałował, że nie ma syna, dziedzica nazwiska. Często myślał, jaka to szkoda, że Aleksandra nie mogła mu go dać i uważał to za jej jedyną wielką wadę. A ona to wyczuwała. - Czy mogę dostać gumę? - zapytała głośnym szeptem Axelle, wywołując rumieniec na twarzy Aleksandry. Czasami dawała gumę dzieciom, ale nigdy w obecności Henriego, który tego zabraniał. Axelle zawsze jednak zdradzała ich małe sekrety. Marie-Louise wolała żelki i czekoladki, ale Axelle uwielbiała dmuchać olbrzymie balony z różowej gumy. - Z całą pewnością nie. - Henri spojrzał niezadowolony na wszystkie trzy, przypomniał żonie o spisie zostawionym na biurku i wyszedł do swego gabinetu, mocno zamykając za sobą drzwi. Zaraz jednak je uchylił, by popatrzeć, jak dziewczynki dostają cukierki i gumę. Bardzo lubił patrzeć na Axelle z tym lepkiem świństwem w buzi, ale uważał, że nie wypada mu się do tego przyznać. Bezszelestnie zamknął drzwi i z westchnieniem podszedł do swego biurka, podczas gdy dziewczynki świetnie bawiły się z matką. - Tatuś wcześniej wrócił do domu - spokojnie zauważyła Marie-Louise, siadając wdzięcznie w fotelu w stylu Ludwika Xv stojącym obok biurka matki. Jadła żelki. Miała duże, ciemne, uduchowione oczy i wrodzoną elegancję. Zapowiadała się na wielką piękność, już teraz w pewien sposób nią była, choć z dwóch siostr Axelle odznaczała się bardziej zwracającą uwagę urodą. Jej włosy miały naturalny rudawy kolor odziedziczony po Aleksandrze, która jednak teraz używała płukanki, by przyćmić tę rudość, ponieważ tak sobie życzył Henri. Uważał, że rude włosy są "niewłaściwe", i choć przecież w jej wypadku był to naturalny kolor, zmieniła go na blond, by zadowolić męża. - Tatuś wychodzi dziś wieczorem - powiedziała Aleksandra rzeczowym tonem, podając następny kawałek gumy Axelle i czekoladkę Marie-Louise. - Ty również? - oczy Axelle natychmiast wypełniły się łzami, chociaż szybko chwyciła gumę. Aleksandra roześmiała się, kręcąc przecząco głową. - Nie, ja nie. Tatuś idzie na kolację w interesach, a ja jem dziś z wami. - Hurra! - Krzyknęła radośnie

Axelle z buzią wypchaną gumą, a Marie-Louise uśmiechnęła się. Uwielbiała posiłki z matką, szczególnie gdy nie było ojca. Zawsze wtedy śmiały się dużo i mama opowiadała im historie z własnego dzieciństwa o wspaniałych kawałach, które razem z babcią płatały dziadkowi. - Czy niania wie, że jesteście w domu? - spytała Aleksandra, choć brudne ręce i buzia Axelle wskazywały na to, że przyszły tu bez wiedzy guwernantki, która zawsze przysyłała je nienagannie ubrane i uczesane. Aleksandra wołała córki takie jak teraz, bardziej naturalne i swobodne w jej obecności. - Chyba zapomnieliśmy powiedzieć niani, że już jesteśmy w domu - przyznała Marie-Louise, podczas gdy Axelle z miną eksperta wydmuchiwała kolejny balon z różowej gumy, i wszystkie trzy roześmiały się głośno. - Lepiej, żeby niania tego nie widziała. - Aleksandra z uśmiechem postawiła Axelle na ziemi. - Biegnijcie jej powiedzieć, że już jesteście. - Zwykle ze szkoły odbierał je Citroenem szofer, chociaż Aleksandra lubiła jeździć po nie sama, gdy tylko pozwalał jej czas. - Mam teraz kilka rzeczy do zrobienia. - Chciała przejrzeć spisy Henriego, by upewnić się, że nie zapomniała niczego w związku z przyjęciem w przyszłym tygodniu. Znała listę gości, oficjalne zaproszenia rozesłała już trzy tygodnie temu. Wysłała też drukowane przypomnienia na kartonikach o złożonych brzegach, zawiadamiające, że baron i baronowa de Morigny oczekują ich w domu numer 14 przy Avenue Foch o godzinie ósmej wieczorem na kolacji w strojach wieczorowych. Wiedziała, w co się ubierze, kwiaty zostały zamówione, menu ustalone. Uważnie przeglądając listę po wyjściu dziewczynek doszła do wniosku, że wszystko jest w porządku. Nie miała wątpliwości, że Henri każe na tę okazję podać najlepsze wina. Być może Chateau Margaux, rocznik 61, lub Lafite-Rotschild, rocznik 45. Będzie też szampan Cristal i później Chateau d'Yquem, a wreszcie poire i mnóstwo innych likierów. Dla pań przeznaczono osobny salon na czas, gdy panowie rozkoszować się będą brandy, cygarami i rzekomo sprośnymi historyjkami. Był to zwyczaj rzadko obecnie przestrzegany, ale Henri lubił dawne obyczaje, a Aleksandra zawsze robiła to, co on lubił. Zawsze. I zawsze perfekcyjnie. Po wyjściu dziewczynek siedziała spokojnie w swoim gabinecie rozmyślając o mężu i zastanawiając się, dokąd wychodzi dziś wieczorem. Potem myślała o córkach. Słyszała ich głosy dochodzące z ogrodu; wiedziała, że bawią się z nianią. Wkrótce będą wakacje i jak zwykle pojedą na lato do Cap Ferrat. Dzieciom będzie tam dobrze, a Henri dołączy do nich, gdy uporządkuje sprawy w swoim biurze w Paryżu. Na pewno razem z przyjaciółmi, którzy mają własny jacht, popłyną na parę dni do Włoch lub może Grecji, zostawiając dzieci pod opieką niani i reszty służby. Było to wspaniałe życie, jedyne, jakie Aleksandra знаła, a jednak czasami, choć dość rzadko, pozwalała sobie na rozmyślanie o tym, jak by to było, gdyby poślubiła innego człowieka, kogoś mniej skomplikowanego, może młodszego. Jednak później te myśli wywoływały w niej poczucie winy i odsuwała je od siebie, zdając sobie sprawę, jak wielkie miała szczęście wychodząc za mąż właśnie za Henriego. Gdy znów zobaczyła go tego wieczoru na chwilę przed jego wyjściem, wyglądał przystojnie i nienagannie w znakomicie uszytym granatowym garniturze, doskonale wykrochmalonej białej koszuli, przy której mankietach dyskretnie błyszcząły szafirowe spinki, i ciemnoniebieskim krawacie. Jego oczy były żywe i pogodne. Zawsze wydawał się pełen energii, jakby tkwiły w nim jakieś ukryte rezerwy siły, dzięki czemu wyglądał znacznie młodziej i trudno

było uwierzyć, że ma już prawie sześćdziesiąt lat. - Wyglądasz bardzo przystojnie, jak zwykle zresztą - uśmiechnęła się do niego promiennie. Miała teraz na sobie różowy atłasowy szlafrok i harmonizujące z nim pantofle, a jej włosy, zebrane do góry, spadały kaskadami luźnych loków. Wyglądała pięknie, lecz wyraz jej oczu świadczył o tym, że była całkowicie nieświadoma swojej urody. - Dziękuję ci, kochanie. Nie wrócę zbyt późno. - Jego słowa były banalne, lecz spojrzenie łagodne i kochające. Wiedział, że jak zwykle będzie czekała na niego w swoim pokoju przy zapalonym świetle, i jeśli będzie chciał, może wejść, by się z nią zobaczyć. Najczęściej pukał cicho do drzwi i odwiedzał ją, zanim wszedł do swojej sypialni, usytuowanej tuż obok. Wolał oddzielne sypialnie. Nalegał na to od początku ich małżeństwa. Najpierw, przez kilka tygodni, Aleksandra popłakiwała z tego powodu, a przez kilka miesięcy, jeśli nie lat, usiłowała zmienić jego decyzję. Lecz Henri był nieugięty. Potrzebował miejsca dla siebie i odrobiny prywatności; zapewniał ją, że z czasem ona też tego zapagnie. Traktował to poważnie; było to jedno z jego wielu przyzwyczajień. W końcu Aleksandra przywykła. Ich sypialnie łączyły wewnętrzne drzwi, dające im swobodę odwiedzania się nawzajem. Henri pojawiał się w jej sypialni późno w nocy, ubrany w szlafrok, z częstotliwością, która zawsze ją cieszyła. Wciąż odczuwał pożądanie, gdy na nią patrzył, także teraz, choć podobały mu się również inne kobiety. Zawsze bardzo dbał o dyskrecję, mimo to podejrzewał czasami, że ona wiedziała, choć tylko intuicyjnie. Kobiety miały jakiś niesamowity talent do wykrywania takich spraw. Odkrył to w młodości i bardzo szanował. - Baw się dobrze. - Pocałowała go lekko w policzek i zeszła na dół do małej sypialni na kolację z dziewczynkami. W chwilę później usłyszała, jak jego samochód odjeżdża. Pomogła Axelle pokroić mięso starając się nie myśleć, dokąd mógł pojechać. - Dlaczego tatuś wychodzi sam? - spytała Axelle obojętnie, z buzią pełną jedzenia, na co Marie-Louise skrzywiła się z dezaprobatą. - Bardzo niegrzecznie jest zadawać takie pytania - upomniała siostrę, ale Aleksandra uśmiechnęła się. - Nic nie szkodzi. Czasami na kolację w interesach woli chodzić sam. - Czy one są bardzo nudne? - Axelle interesowała się wszystkim. - Czasami. - Aleksandra roześmiała się. - Wolę być z wami. - Cudownie - wyszczerzyła się Axelle i oznajmiła, że ząb jej się rusza. Marie-Louise spojrzała na nią ze wstrętem. Miała to już za sobą, a propozycja Axelle, że rozhuśta dla nich ten ząb, wzbudziła w niej jeszcze większą odrazę. - Przestań! Robi mi się niedobrze! - Jej słowom towarzyszyła taka mina, że Aleksandra nie mogła powstrzymać uśmiechu. Nigdy nie czuła się szczęśliwsza niż wtedy, gdy przebywała z córkami. Tego wieczoru spędziła trochę czasu w pokoju Marie-Louise i dowiedziała się, że córka ma nową najlepszą przyjaciółkę w szkole, a potem czytała bajki Axelle. Ucałowała córki i odmówiła z nimi modlitwę; zanim poszła do swojej sypialni. To dziwne. Czasami Marie-Louise przypominała jej kogoś, lecz nie wiedziała kogo. Może Henriego?... a może to było... zmusiła się, by o tym nie myśleć. Zdjęła szlafrok i wzięła gorącą kąpiel, a potem położyła się do łóżka z nową książką. Henri wrócił po północy; usłyszała ruch w jego pokoju, zanim przyszedł życzyć jej dobrej nocy. - Jeszcze nie śpisz? - Skinęła głową z uśmiechem. Lubiła czekać na niego, nocami bywał bardziej odprężony i częściej dzielił się z nią swymi pomysłami, problemami i planami. - Miło spędziłeś czas? - Całkiem nieźle. - Jego oczy poszukały jej oczu, a potem powiedział coś, co w jego ustach było

niezwykłe i co bardziej ukoilo jej duszę, niż mógł przypuszczać. Może wcale nie ma nowej kochanki, pomyślała z niezmierną ulgą. - Powinienem być cię zabrać ze sobą. Nudzilem się bez ciebie. - Prawienie takich komplementów nie było w jego stylu. Uśmiechnęła się do niego i poklepała łóżko w miejscu, gdzie chciała, by usiadł, a gdy to zrobił, pochyliła się i pocałowała go. - Dziękuję ci, Henri. Ja też tęskniłam za tobą - powiedziała bardzo łagodnie i uśmiechnęła się tym uśmiechem, który przeznaczony był wyłącznie dla niego i który zawsze głęboko go poruszał. - Dziś wieczorem dobrze się bawiłam z dziewczynkami. Marie-Louise jest już taka dorosła i poważna, a Axelle to wciąż... wciąż jeszcze dziecko. - Roześmiała się, a on odpowiedział uśmiechem. Również był dumny z córek, nawet jeśli tego nie okazywał. - To bardzo dobre dziewczynki. - Pochyliwszy się nad nią pocałował ją w szyję. - Tak jak ich mama... ty także jesteś grzeczną dziewczynką, kochanie. - Uwielbiała słuchać, gdy mówił takie czule słowa; radowały jej serce. - Naprawdę? - spojrzała na niego figlarnie. - Jaka szkoda... - Roześmiała się, a on położył się obok niej, pieszcząc jej pierś i całując, pełen pożądania. Nie zamierzał kochać się z nią tej nocy, ale wyglądała tak ślicznie, gdy leżała w szaro-różowej pościeli, ubrana w różowy atlasowy szlafrok. Henriemu trudno było czasami wyznać, jak wiele dla niego znaczyła, łatwiej było okazać to w przyćmionym świetle buduaru. Uwielbiał spędzane wspólnie noce; godzinami leżeli obok siebie i dopiero rano na palcach szedł do swej sypialni. Był głęboko przywiązany do żony i do córek, ale nie potrafił tego okazać. I tak wiele od niej oczekiwał... od siebie także... pragnął, aby była wszystkim, o czym kiedykolwiek marzył, i dlatego z nią się ożenił. Nie mógłby poślubić kobiety mniej doskonałej niż Aleksandra. Córka hrabiego de Borny miała godne jego, barona de Morigny, maniery i wychowanie, które predestynowało ją do zajęcia miejsca u jego boku; czternaście lat małżeństwa udowodniło, że się nie pomylił. Był dumny z niej i z tego, czego ją nauczył. Stanowiła ideał w każdym szczególe, a jego żoną mogła być tylko taka kobieta. Chciał widzieć ją na piedestale... poza tymi rzadkimi okazjami... w jego ramionach... w jej łóżku... wtedy zezwalał, by była inna, przynajmniej przez moment. Westchnął zadowolony i spojrzawszy jeszcze raz na nią, uśmiechniętą i szczęśliwą, odwrócił się i zasnął, całkowicie zaspokojony.

Rozdział Xi Citroen prowadzony przez szofera przejechał mostem Aleksandra Iii na lewy brzeg, minął plac Inwalidów i znalazł się na rue de Varenne. Dla Aleksandry przyjazd tutaj, do rezydencji jej rodziców, równie pięknej jak hotel particulier przy Avenue Foch, zawsze oznaczał powrót do domu. Przeżyła tu tyle lat i wciąż czuła się u siebie. Na widok tego miejsca jej serce zaczynało bić gwałtowniej. Dozorca otwierał przed nimi bramę i wtedy zawsze ze smutkiem uświadamiała sobie, że nie ma już tu jej ojca. Ból po jego stracie był tak samo świeży jak przed laty. Ukojenie i radość dawała jej perspektywa zobaczenia matki i każda wizyta u niej była prawdziwym powrotem do domu. Stary lokaj z uśmiechem na twarzy otwierał przed nią na oścież frontowe drzwi. Za nimi Aleksandra mogła dostrzec znajome z dzieciństwa bezcenne antyki kolekcjonowane przez rodziców. Były to ślicznie inkrustowane meble, komody w stylu Ludwika Xv z pięknymi blatami z różowego marmuru, bogato ozdobione cudownym starym brązem, urny kupowane na aukcjach w Londynie, a także obrazy Renoira, Degasa, Turnera, van Gogha i Cassata, którego jej matka lubiła najbardziej. Dom pełen był pięknych i cennych przedmiotów; wiedziała, że

kiedyś wszystkie staną się jej własnością, ale wcale jej to nie cieszyło, nie chciała nawet o tym myśleć. Dla Henriego natomiast perspektywa ta stanowiła jedyne pocieszenie za wszystkie niedogodności związane z posiadaniem w rodzinie osoby takiej jak Margaret. - Kochanie, jesteś tam? - z piętra rozległ się znajomy głos. Dochodził z saloniku z widokiem na ogród, który Margaret tak lubiła. Na jego dźwięk Aleksandra szybko wbiegła po marmurowych schodach, czując się znów jak dziecko, szczęśliwe, że za chwilę zobaczy matkę. Znalazła ją siedzącą na kanapce, z robótką w ręku i okularach na nosie. Na stoliku obok stał kieliszek wina, a przy kominku leżał wyciągnięty jej ukochany labrador. Marie-Louise i Axelle uwielbiały tego psa, był stary i łagodny, ale Henri zżymał się zawsze, gdy widział, jak pies ślini się, liże i zostawia sierść na każdym, kto go dotyka. - Kochanie! - Margaret odłożyła szydełko i wstała na powitanie. Była wysoką, ładną kobietą o jasnych włosach i niebieskich oczach, trochę przypominających oczy Aleksandry. Miała na sobie różowy kostium Chanel, granatową bluzkę i także buty. Uszy ozdabiały jej ogromne rubinowe kolczyki. - Mój Boże, kto umarł? - Ucałowawszy Aleksandrę, cofnęła się o kilka kroków. Spojrzała na córkę ze zmarszczonym czołem, a Aleksandra odpowiedziała uśmiechem. Matka zawsze nosiła jasne kolory i stroje od najlepszych projektantów, takich jak Chanel, Givenchy, Dior czy de Ribes. Aleksandra również dobrze wyglądała w żywych kolorach, ale Henri wołał ją w czerni, granacie i beżu, a na wsi w szarej flaneli. Matkę odwiedziła ubrana w nową czarną sukienkę z żakietem od Diora. - Przestań, mamó. To moja nowa sukienka i Henri ją uwielbia. W rozmowach z matką zawsze używała angielskiego, którym władała świetnie, choć miała zauważalny akcent francuski. Z dziećmi i mężem rozmawiała wyłącznie po francusku. - Jest okropna. Powinnaś ją spalić. - Margaret de Borne usiadła z powrotem na kanapce i wróciła do robótki. Gestem wskazała lokajowi, by nalał Aleksandrze wina, i uśmiechnęła się do córki. Lubiała jej wizyty i ich rozmowy w cztery oczy. Lubiała też z nią wychodzić, ale to zwykle oznaczało jakieś specjalne okazje, poza tym obie prowadziły bogate życie towarzyskie i nie potrzebowały sobie nawzajem jako pretekstu do pójścia w jakieś modne miejsce. Bardziej odpowiadał im prosty lunch, składający się z sera, sałaty i tacy owoców, podany w saloniku z oknami wychodzącymi na ogród. Margaret spojrzała na córkę kręcąc głową z wyraźnym niezadowoleniem. - Chciałabym, żebyś przestała farbować włosy na ten kolor, kochanie. Wyglądasz jak jedna z tych wypłowiałych blondynek z Kalifornii. Gdybym ja miała takie włosy jak ty, byłabym z tego dumna, a nawet pofarbowałabym je bardziej na rudo! - Pomachała okularami, by podkreślić swoje słowa, po czym odłożywszy je, napiła się wina. Bardzo podobały się jej rude włosy Aleksandry. Farbowanie ich uważała za marnotrawienie jednego z cenniejszych darów natury. Ona sama musiała już dwa razy w miesiącu korzystać z usług fryzjera, by poprawić wygląd swoich włosów. - Wiesz, że Henri nie cierpi rudych włosów, są zbyt krzykliwe. Uważa, że ten kolor jest bardziej wytworny. - Henri... ten biedak tak się obawia wszelkiej niezwykłości. Dziwi mnie, że nie każe ci nosić czarnej peruki, by w ogóle wszystko przykryć. Ale mówiąc serio, kochanie, Bóg obdarzył cię rudymi włosami i powinnaś się z tego cieszyć. - Nie przeszkadzają mi takie, jakie są teraz. - Aleksandra z uśmiechem sączyła wino. Przyzwyczała się już do utyskiwań matki na Henriego. Zresztą jego zarzuty w stosunku do Margaret były znacznie poważniejsze. Aleksandra żyła z tym

od czternastu lat. To, że matka i Henri nie lubili się, sprawiało jej przykrość, ale już dawno się poddała. Było całkiem jasne, że nigdy się nie pokochają. - Jesteś za dobra i za łagodna. Przy okazji, jak ci się podobają? - powiedziała wesoło Margaret, wskazując na nowe rubinowe kolczyki. Mogła sobie pozwolić na rozrzutność, częściowo dzięki wspaniałomyślności Pierre'a, częściowo zaś dzięki własnej, niemałej fortunie. - Właśnie je kupiłam. - Tak myślałam. - Aleksandra roześmiała się. Matka ciągle kupowała piękne stroje i bajeczne błyskotki. Świetnie wyglądała we wszystkim, co kupowała, poza tym uszczęśliwiała ją to, pomimo uwag Henriego o kobietach wydających "takie pieniądze". - Są bardzo ładne i doskonale ci pasują. - Van Cleef. - Margaret była wyraźnie zadowolona z siebie. - I w dodatku niezła okazja. - Na to stwierdzenie Aleksandra wybuchnęła serdecznym śmiechem i odstawiła kieliszek. - Wyobrażam sobie. - Naprawdę! Niecałe dwieście tysięcy. - Dolarów czy franków? - Żartujesz sobie? Dolarów, oczywiście - odpowiedziała radośnie Margaret nie okazując nawet cienia winy i Aleksandra nie mogła powstrzymać uśmiechu. - Tak myślałam. - Nie była to okazja, którą pochwaliliby Henri, a poza tym, po prawie trzydziestu latach spędzonych we Francji, matka wciąż częściej mówiła po angielsku niż po francusku i wszystko przeliczała na dolary. - Co jeszcze robiłaś? - To co zwykle. Wczoraj jadłam lunch z Mimi de Saint Bre. - Była to również Amerykanka, która wyszła za mąż za utytułowanego Francuza, i podobnie jak Margaret odznaczała się inteligencją i ogromnym poczuciem humoru. - W przyszłym tygodniu lecimy razem do Nowego Jorku. - Po co? - Do fryzjera i na małe zakupy. Nie byłam w Nowym Jorku kilka miesięcy i pomyślałam, że byłoby zabawnie pojechać tam przed latem. Potem spotykam się z przyjaciółmi w Rzymie i może wybiorę się na parę tygodni do San Remo, ale jeszcze nie podjęłam decyzji. - Dlaczego nie spędzisz kilku tygodni z nami? - Aleksandrę zachwycił ten pomysł, ale matka zareagowała ostrożnie. - Nie chcę denerwować twojego męża. - To nie przywoź dziewczynkom tych zwariowanych poduszek i brzęczyków, a wszystko będzie dobrze. - Obie roześmiały się na to wspomnienie. Henri o mało nie zemdlał, gdy usiadłszy z gośćmi w salonie, trafił na jedną z tych poduszek, podłożoną przez dzieci, i spod jego siedzenia wydobył się całkiem jednoznaczny dźwięk. - Pamiętasz, jakie to było straszne? - Margaret nie mogła przestać się śmiać na to wspomnienie; Aleksandra też miała łzy śmiechu w oczach. Dla Henriego było to okropne przeżycie, ale tak naprawdę sytuacja była niezwykle komiczna. Wszystkie zostały wtedy odesłane do swoich pokoi, nie wyłączając Margaret, która na dodatek nauczyła Marie-Louise tak składać prześcieradło, że wchodzący do łóżka kompletnie się w nie zaplątywał, co jeszcze bardziej zniechęciło Henriego do teściowej. Nikt nie miał wątpliwości, że nie była jego ukochanym gościem. - Właściwie miałam zamiar poszukać czegoś dla nich w Nowym Jorku... naturalnie czegoś mniej bezwstydneho... - Mimo tych słów w jej oczach pojawiły się złośliwe błyski. Kupowała takie niemądre prezenty swojemu zmarłemu mężowi, a on to uwielbiał. Dla niego Margaret była jakby jego drugim dzieckiem. Aleksandra zawsze była trochę poważniejsza, zwłaszcza odkąd wyszła za mąż. - Powiem Henriemu, że przyjeżdżasz. Margaret nie odmówiła sobie odrobiny złośliwości. - Poczekaj na moment, kiedy naprawdę będziesz chciała go zdenerwować. - Mamo! - Aleksandra wybuchnęła śmiechem. Jej matka pozbawiona była wszelkich złudzeń. - Mówisz o nim tak, jakby był

okropny, a przecież wcale taki nie jest! - W rozmowach z matką zawsze stawała po stronie męża, a gdy z kolei on atakował Margaret, broniła jej. Była lojalna w stosunku do obydwojga. - Nie jest okropny, kochanie. - Margaret skrzywiła się. - Po prostu jest nudny. Popołudnie minęło szybko, jak zwykle, gdy były razem. O pół do piątej Aleksandra z żalem zerknęła na zegarek i przeciągnęła się. Tak dobrze było jej z matką w tym przytulnym pokoju z widokiem na ukochany ogród. Zawsze dobrze się razem bawiły. Aleksandra wciąż nie miała lepszej przyjaciółki niż Margaret. - Muszę już iść, choć wcale nie mam na to ochoty. - Aleksandra podniosła się z wyraźnym ociąganiem. - Dlaczego musisz już iść? Wydajesz dziś przyjęcie? - Nie, dopiero w przyszłym tygodniu. Dziś idziemy na kolację do Elysee i Henri będzie wściekły, jeśli nie zdążę się przygotować. - Powinnaś coś wymyślić, żeby go zaskoczyć. Na przykład mogłabyś włożyć bardzo opiętą sukienkę wyszywaną sztucznymi diamentami i rozczesać włosy. Byłoby to niezłe do Elysee. - Zachichotała na samą myśl, a Aleksandra uśmiechnęła się. Matka prawdopodobnie byłaby zdolna do zrobienia czegoś takiego, a Henri rano wezwałby swoich adwokatów. Przy nim taka ewentualność zawsze wisiała w powietrzu. Zbocz tylko z drogi i... Aleksandra nigdy nie wypróbowała go w tym względzie. Za bardzo go kochała, by ryzykować wszystko dla dowcipów w stylu swojej matki. Poza tym była inna. - Ty jesteś odważniejsza, mamó. - Tylko dlatego, że nie jestem żoną twojego męża. Mogę teraz robić, co tylko mi się podoba. A przedtem twój ojciec także na wszystko mi pozwalał. Miałam dużo szczęścia - spojrzała łagodnie na córkę. - Tatuś też był szczęściarzem. I wiedział o tym - przypomniała matce. Objęte zeszły wolno na dół, gdzie lokaj czekał, by otworzyć przed Aleksandrą drzwi. Jak zwykle ciepło się do niej uśmiechał; od lat tutaj pracował i pamiętał ją jeszcze jako małą dziewczynkę. Pomagając wsiadać do samochodu nazywał ją, jak zawsze, "madame Aleksandra". Gdy samochód ruszył, by zawieźć ją do domu, pomachała matce na pożegnanie. Zawsze odczuwała smutek, gdy się z nią rozstawała. Życie z rodzicami przy rue de Varenne było takie proste... ale myśleć w ten sposób nie było całkiem w porządku. Kochała Henriego i kochała swoje córki. Byli jej siłą napędową. Odwiedziny u matki zawsze jednak wywoływały w niej tęsknotę za życiem, które nie byłoby tak skomplikowane i w którym by tak wiele od niej nie oczekiwano. Wciąż o tym myślała, gdy zdejmowała sukienkę, brała kąpiel i nakładała poważną czarną kreację wieczorową, wybraną na kolację w Elysee. Dziewczynki przyszły pożegnać się z nią, gdy jeszcze była pod prysznicem. Ubierając się słyszała, jak Henri wszedł do swego gabinetu, ale nie zajął do niej i zobaczyła go dopiero wtedy, gdy już wychodzili. Jej suknia miała długie rękawy i zapięta była wysoko pod szyją. Wąski dół sukni ozdabiał przepiękny złoty haft. Była doskonale wykończona i pochodziła ze starej kolekcji Saint Laurenta. Nosila do niej krótką kurteczkę z soboli i przepiękne diamentowe kolczyki, prezent od ojca. - Wyglądasz dziś ślicznie. - Jego oczy wyrażały podziw, lecz głos brzmiał powściągliwie. Zachowywał się bez zarzutu i bardzo oficjalnie. - Dziękuję. - Odwróciła do niego swą piękną twarz. Blond włosy uczesała w gładki francuski warkocz, dokładnie taki, jaki przed laty nosiła Grace Kelly. Aleksandrze było w nim bardzo dobrze, poza tym Henri pochwalał taką fryzurę. - Czy miałaś dziś dobry dzień? - Jej oczy mówiły, że czuje się samotna; nagle zapragnęła, by ją pocałował. Nie zrobił tego jednak. - Bardzo przyjemny, dziękuję - odpowiedział. Były momenty, że

wydawali się parą nieznanym, a intymność poprzedniej nocy zniknęła bez śladu wobec takiego oficjalnego zachowania. Pomógł jej zająć miejsce w samochodzie; szofer ruszył. Siedzieli na tylnym siedzeniu, zatopieni każde w swoich myślach. Z okien na górze przyglądały się im dwie małe dziewczynki, ubrane w nocne koszule. Rozdział Xii Hilary miała wrażenie, że skończył się świat, gdy Arthur Patterson powiedział jej, że nie wie, gdzie są Megan i Axie. W dzień po wizycie w jego biurze czuła, jakby jej życie doszło do kresu. Miała siedemnaście lat i do tej chwili tylko jeden cel: odszukać siostry, a teraz odebrano jej tę nadzieję. Megan i Axie zniknęły na zawsze. Następnego dnia z bolesną pustką w sercu rozpoczęła swą pierwszą pracę. Twarz jednak miała spokojną, a oczy chłodne; nikt nie domyślał się, jak wielka była jej rozpacz. Przy życiu trzymała ją tylko determinacja, by przetrwać, i nienawiść do Arthura. Mijały kolejne dni i noce, a ona jak automat robiła to, co do niej należało. Dobrze wykonywała swoją pracę; nabrała biegłości w maszynopisanu, sama nauczyła się stenografii z podręcznika, a wieczorami chodziła do college'u, tak jak to sobie przyrzekła kilka lat temu. Robiła wszystko, co kiedyś zaplanowała, ale nie cieszyła się ze swoich osiągnięć. Towarzyszyła jej zimna determinacja. Miała zamiar odnieść sukces za wszelką cenę, choć sama nie wiedziała, jakie motywy nią kierują. Nie istniał nikt, komu pragnęłaby coś udowodnić, nikt, komu by na niej zależało. Nie kochała nikogo i nikt jej nie kochał. Po roku dostała lepszą pracę. Usłyszała o niej jako pierwsza w agencji, gdzie pracowała, i poszła na rozmowę, zanim ktokolwiek się o niej dowiedział. Była to posada recepcjonistki w \$c\$b\$a-News. Praca była wspaniała, dwa razy lepiej opłacana niż dotychczasowa. Od Hilary oczekiwano, że będzie szybka, bystra i dobra. Spełniała te warunki. Zrobiła świetne wrażenie na kobiecie przeprowadzającej wstępną rozmowę i została przyjęta; nie przerwała przy tym nauki. Od tej pory wciąż awansowała. W krótkim czasie została sekretarką, potem asystentką producenta, a wreszcie, nim minęło pięć lat, producentem; w tym czasie ukończyła też college. Była wprost niewiarygodnie zdolna. Mając dwadzieścia trzy lata znalazła się na drodze do prawdziwej kariery. Zwierzchnicy szanowali ją, a większość podwładnych czuła przed nią strach. W pracy miała niewielu przyjaciół; trzymała się na uboczu i ciężko pracowała. Często zostawała po godzinach, a jej projekty otrzymywały nagrody. Była niezwykle dziewczyną i gdy w wieku dwudziestu pięciu lat została jednym z głównych producentów wieczornych wiadomości, Adam Kane, szef Działu Informacji, zaprosił ją na wieczór, by uczcić jej awans. Wahala się, lecz zdecydowawszy, że odmowa byłaby niemądrym posunięciem z taktycznego punktu widzenia, przyjęła jego zaproszenie. Poszli do Brussels. Pijąc szampana rozmawiali przede wszystkim o pracy i znaczeniu sieci telewizyjnej, w której pracowali, a także o planach Hilary na przyszłość. Adama zdziwiła dalekosiężność jej zamierów, tym bardziej że były ambitniejsze niż jego własne plany. - Hej, dosyć tego... co to jest? Zebranie personelu na temat emancypacji kobiet? - Adam Kane był atrakcyjnym mężczyzną o brązowych włosach, takich samych łagodnych oczach i filozoficznym stosunku do życia. - Skąd te wielkie plany? - Hilary była pierwszą kobietą tak otwarcie przyznającą się do swoich ambicji, jaką do tej pory spotkał; przyznał, że go to przeraziło. Niedawno się rozwiódł, ponieważ jego żona doszła do wniosku, że nie chce już więcej być "żoną", i poruszyło go to do głębi. Mieli dwóch małych chłopców i dom w Darlen, a teraz nagle został sam w mieszkaniu na West Side i kobiety

dyskutowały z nim o "celach zarządzania korporacją". Patrząc na Hilary zaśmiał się cicho. Była taka piękna, młoda i wrażliwa, a jednak czegoś jej brakowało. - Co się stało z kobietami pragnącymi mieć dzieci i mieszkanie na przedmieściu? Czy to zupełnie wyszło z mody? Odpowiedziała uśmiechem, zdając sobie sprawę, że może przesadziła z omawianiem swych planów, ale tak rzadko wychodziła gdzieś z mężczyznami... Zapomniała, że nie należy zbyt wiele mówić o sobie i swoich zamiarach. Adam był dla niej taki miły; lubiła dla niego pracować. - Myślę, że dla niektórych z nas już to się skończyło. - Nie przeprosiła za swoje stwierdzenie. Wiedziała, dokąd chce zejść, i nikt nie był w stanie jej powstrzymać przed osiągnięciem celu. Wciąż uciekała przed demonami przeszłości i pewnie tak już pozostanie. Pogodziła się z tym, nie próbowała jednak niczego wyjaśnić Adamowi. Nigdy nikomu o sobie nie mówiła. Mieszkała sama i nic poza pracą jej nie interesowało. Adam wyczuwał to i było mu jej żal. Wiedział, ile kryje w sobie życie. Miał trzydzieści osiem lat, a ożenił się mając dwadzieścia trzy. Teraz odkrywał niezliczone nowe horyzonty. - Nie zechcesz pewnego dnia wyjść za mąż i mieć dzieci? Pokręciła głową przecząco. Odniosła wrażenie, że może być z nim szczerą. - To nie jest dla mnie zbyt ważne. - Więcej, nie chciała nikogo, kogo mogłaby utracić, a już na pewno nie dwóch małych dziewczynek... dwojga dzieci, które ktoś kiedyś mógłby jej odebrać. Wiedziała, że nigdy nie pozwoli, by coś takiego jej się przytrafiło. Chciała być sama i była sama. Czasami samotność sprawiała jej ból, jak teraz, gdy patrząc na tego mężczyznę zastanawiała się, jak by to było, gdyby stali się sobie bliscy. A może to tylko szampan wywołał takie myśli, nie była pewna. - Moje dzieci to najwspanialsza rzecz, jaka mi się w życiu zdarzyła. Hilary, nie pozbawiaj się tego. Nie mogła mu wyjaśnić, że w pewnym sensie miała już dzieci. Nigdy nikomu o tym nie mówiła i wiedziała, że nigdy tego nie zrobi. - Dlaczego wszyscy uważają, że aby się spełnić, trzeba mieć dzieci? - Teraz tak już nie myślą. Większość kobiet jest twojego zdania, ale są w błędzie. Kobiety, które teraz nie mają dzieci, wpadną w panikę za dziesięć, piętnaście lat, zapamiętaj moje słowa, Hilary. Będziemy wówczas mieli do czynienia z całym pokoleniem kobiet walczących ze swoją biologią, zanim będzie za późno. Teraz są spokojne, sądzą, że mają przed sobą wiele lat. Ale mylą się, jeśli myślą, że uda im się wyrugować dzieci ze swojego życia. Nigdy nie byłaś zamężna? - zajął jej w oczy i spodobało mu się to, co w nich dostrzegł: uczciwość, odwagę, prawość i inteligencję. Dojrzał w nich także strach. Uciekała od czegoś, a on nie potrafił wyobrazić sobie, co ją tak bardzo zraniło. Może, może miała za sobą niedobre doświadczenia... takie jak on z Barb. Wciąż nie mógł uwierzyć, że zostawiła go i odebrała mu dzieci. Hilary w odpowiedzi potrząsnęła głową. - Nie, nie byłam. - A potem roześmiała się. - Mam zaledwie dwadzieścia pięć lat. Po co ten pośpiech? - W dzisiejszych czasach to nie ma znaczenia. Po prostu byłem ciekawy. Miałem dwadzieścia trzy lata, gdy się ożeniłem, a moja żona dwadzieścia jeden. To była dla nas naprawdę ważna sprawa. Ale od tego czasu minęło już piętnaście lat i wiele się zmieniło. Jest rok 1974, a ślub wzięliśmy w 1959. - Uśmiechnął się do niej dopijając szampana. - Co wtedy robiłaś? Chyba byłaś jeszcze dzieckiem, co? Jej oczy nabrały chmurnego wyrazu. Cofnęła się myślami w przeszłość. Była wtedy u Eileen i Jacka w Bostonie, albo może już w Jacksonville?... Na samą myśl zrobiło jej się niedobrze. Nie było już Megan i Axie. - Nic specjalnego. - Mniej więcej w tym czasie mieszkałam u ciotki

w Bostonie. - Starła się nadać swemu głosowi zwyczajne brzmienie, jakby mówiła o czymś przyjemnym. - A gdzie byli twoi rodzice? - Umarli, gdy miałam osiem lat... i dziewięć... - Oddzielnie? - Skinęła głową, pragnąc, by wrócili do tematu pracy. Nie chciała rozmawiać o tamtych czasach. Ani z nim, ani z nikim innym. - Jakże to straszne. W wypadkach - Pokiwała głową wymijająco i jednym haustem dopiła swój szampan. - Byłaś jedynaczką? Wtedy spojrzała mu prosto w oczy twardym i zimnym wzrokiem, a on nie potrafił zrozumieć, dlaczego, i skinęła głową. - Tak, byłam jedynaczką. - To nie brzmi wesoło. - Było mu jej żal, a tego także nienawidziła. Nie chciała litości ani od niego, ani od nikogo innego. Próbowwała uśmiechem rozładować napięcie, ale przyglądał się jej tak uważnie, że zdenerwowała się jeszcze bardziej. - Może dlatego kocham swoją pracę. Jest dla mnie domem. - Jej słowa wydały mu się zbyt patetyczne, nie powiedział jednak tego głośno. - Gdzie się uczyłaś? - Na Uniwersytecie Nowy Jork. - Nie dodała, że studiowała wieczorowo, jednocześnie pracując. Skinął głową. - Barbie i ja studiowaliśmy w Berkeley. - Musieliście mieć niezłą zabawę - roześmiała się, a on wyciągnął do niej rękę. Nie chciał rozmawiać o swej byłej żonie, chciał mówić tylko o Hilary. - Cieszę się, że poszliśmy dziś razem na kolację. Już od dawna chciałem z tobą porozmawiać. Wykonujesz wspaniałą robotę dla sieci. - Pewnie - skwitowała jego słowa uśmiechem. - Dostatecznie długo pracuję w \$c\$b\$a. Siedem lat. - Lata przepychania się, nim została producentem. Miała prawo być dumna z siebie, i była. Jej obecną pozycję dzieliła długa droga od poprawczaka w Jacksonville, rodzin zastępczych, czy nawet życia z Eileen i Jackiem. - Myślisz, że tutaj zostaniesz? - W \$c\$b\$a? Dlaczego miałabym gdzieś się przenieść? - Bo w tym interesie ludzie często zmieniają posady. - On sam był tego przykładem, a wcale nie stanowił wyjątku. Potrząsnęła głową; zaskoczył go wyraz determinacji na jej twarzy. - Nie zamierzam nigdzie się przenieść, przyjacielu. Upatrzyłam już sobie pewne biuro wysoko na górze. - Wyczuł, że powiedziała to poważniej niż cokolwiek innego w trakcie kolacji. - Dlaczego? - Zdziwiła go tego rodzaju ambicja. Odnosił sukcesy i lubił swoją pracę, ale nigdy nie mierzył tak wysoko i nie rozumiał takich aspiracji, zwłaszcza u pięknej dziewczyny. - Ponieważ jest to dla mnie bardzo ważne. - Była z nim szczerą. - To oznacza bezpieczeństwo. I spełnienie. Jest też w tym coś namacalnego, coś co wieczorem mogę zabrać ze sobą do domu. On jednak wiedział lepiej. - Dopóki cię nie wyrzucą i nie przyjmą kogoś innego. Nie angażuj się tak bezgranicznie w swoją pracę, Hil. Pewnego dnia zostaniesz sama i będziesz rozczarowana. - Nie obawiam się tego. - Przywykła do samotności; była sama całe życie. Uważała, że tak jest dobrze, nikt nie mógł jej skrzywdzić, zawieść ani zdradzić. Adam pomyślał, że Hilary jest dziwną dziewczyną. Nie znał nikogo, kto byłby tak niezależny jak ona. Tego wieczoru odwiózł ją do domu, mając cichą nadzieję, że zaprosi go na górę, ale ona tylko ucisnęła jego dłoń i uśmiechnęła się ciepło. Przy pożegnaniu podziękowała mu za wieczór. Wrócił do domu tak podniecony, że zaraz po przyjeździe zadzwonił do niej. Było mu wszystko jedno, czy ją obudzi, nie przypuszczał jednak, by już zasnęła. Jej głos, brzmiący w słuchawce, był lekko ochryply i matowy; słuchając przymknął oczy. Był sympatycznym facetem i nienawidził samotnego życia. A ona była tak cholernie piękna; wiedział, że jego chłopcy również by ją pokochali... - Halo? - Cześć, Hilary... Chciałem ci tylko powiedzieć, jak dobrze się dzisiaj bawiłem. Roześmiała się cicho; jej śmiech także

mu się podobał. - Ja również. Ale nie próbuj odciągać mnie od pracy, panie Kane. Nie zamierzam zrezygnować z niej dla nikogo. Nawet dla ciebie. - Zrozumiałem. Czy poszłabyś ze mną na lunch w tym tygodniu? - Oczywiście. Jeśli nie będę zbyt zapracowana. - Czy może być jutro? Jej śmiech stanowił podniecającą mieszankę namiętności i lodowatego chłodu. - Odpręż się, Adamie. Powiedziałam ci, że nigdzie nie odchodzę. - W porządku. Wykorzystajmy to zatem. Przyjdę po ciebie do biura piętnaście po dwunastej. Zgoda? - Mówił jak mały chłopiec i Hilary, leżąc w łóżku, uśmiechnęła się do siebie w ciemności. Chociaż sama przed sobą nie chciała się do tego przyznać, Adamowi Kane udało się coś, co nigdy jeszcze nie udało się żadnemu mężczyźnie. Poza tym ufała mu. Przecież to nic takiego... po prostu lunch od czasu do czasu... cóż złego może się stać? Od dnia przyjazdu do Nowego Jorku nie pozwalała sobie na nic więcej, i choć to dziwne, nigdy nikogo nie pragnęła. Inne dziewczyny miały chłopców, romanse, złamane serca, a Hilary zależało wyłącznie na awansach, podwyżkach i pracy. To był jej kochanek, i jak dotąd, traktował ją dobrze. - Dwunasta piętnaście? - powtórzył, zaniepokojony przedłużającą się ciszą. - Dobrze. - Powiedziała zaledwie jedno słowo, a on odkładając słuchawkę czuł, że unosi się w powietrzu. Następnego dnia Hilary znalazła na swoim biurku różę. Lunch zjedli w Veau d'Or i wróciła do pracy dopiero o trzeciej. - To okropne, Adamie. Ja nigdy sobie na takie rzeczy nie pozwalałam. - Odrzuciwszy swe długie czarne włosy na plecy, podwinęła rękawy bluzki. Dzień był piękny i ciepły. Wcale nie miała ochoty wracać do pracy. - Masz na mnie okropnie zły wpływ. Dopiero co awansowałam, a ty robisz wszystko, żeby mnie wylali. - Dobrze, a czy wtedy wyjdiesz za mnie? Możemy się przenieść do New Jersey i mieć dziesięcioro dzieci. - Cóż za przygnębiająca perspektywa. - Spojrzała na niego swymi zielonymi, lodowatymi oczyma, a on poczuł coś, czego przedtem nigdy nie doznał. Stała się dla niego wyzwaniem. Zrobiłby wszystko, by pokonać mur, którym się otoczyła, ale nie był pewien, czy mu pozwoli. Krążyli wciąż wokół siebie, starając się wzajemnie wybadać, a on miał jej tyle do powiedzenia. Potrafiła słuchać. On także się jej podobał, bardziej niż ktokolwiek przedtem. Uważała, że jest to niebezpieczna kombinacja, i chwilami czuła obawę, szczególnie gdy odwracał jej uwagę od pracy, ale w końcu był szefem. Zaprosił ją na kolację w sobotę, ale odmówiła. Odrzuciła też dwa kolejne zaproszenia na lunch, ale gdy zatrzymał się, by z nią porozmawiać, wydał się jej tak nieszczęśliwy, że w końcu zgodziła się na wspólne spędzenie piątkowego wieczoru. Poszli do P.J. Clarka na hamburgery, a potem pieszo wracali do jej nowego mieszkania na Pięćdziesiątej Dziewiątej. - Dlaczego starasz się utrzymywać taki dystans między nami? - Sprawiał wrażenie prawdziwie nieszczęśliwego z tego powodu. Szalał za nią i oddałby wszystko, by pozwoliła mu się do siebie zbliżyć. - Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł. Mogłoby to skomplikować nasze stosunki w pracy. Jesteś moim szefem, Adamie - powiedziała uśmiechając się do niego. I chociaż bardzo ją pociągał, bała się reakcji kolegów. Popatrzył na nią z żalem. - Obawiam się, że nie będę nim długo, jeśli robi ci to jakąś różnicę. Za dwa tygodnie przenoszą mnie do działu sprzedaży. Dziś właśnie się o tym dowiedziałem. - Jesteś z tego zadowolony? - zmartwiła się. Było to coś w rodzaju odstawki na boczny tor i na jego miejscu czułaby się zdruzgotana. Adam sprawiał jednak wrażenie nie bardzo przejętego. Wzruszając ramionami uśmiechnął się do niej. - Nic takiego. Gdyby nie ty,

odpowiadałoby mi chyba nawet bardziej, niż to, co robię teraz. Czy będziemy się częściej widywać? Z pewnością ułatwiłoby to jej sytuację, ale wciąż nie była pewna, czy powinna się z nim wiązać. Samotność stała się jej sposobem na życie, które dzięki temu było o wiele prostsze. Rezygnacja z samotności oznaczała natomiast zaryzykowanie jakiejś części samej siebie. - Hilary? - Szli obok siebie ulicą. Spojrzał jej w oczy i delikatnie wziął za rękę. Sprawiał wrażenie bardzo młodego, gdy na jego twarzy pojawił się uśmiech przeznaczony dla niej. W pewnym sensie wciąż był chłopcem. - Chcę być z tobą... tak wiele dla mnie znaczysz... - Adamie, nawet nie wiesz, kim jestem... nie znasz mnie wcale... Lafemme aux yeux verts... - te słowa wymknęły się jej mimo woli. Roześmiała się. - Co to znaczy? - To po francusku. - Odświeżyła swój francuski w college'u i zdziwiło ją, że ten język nadal w niej jest, uśpiony, lecz nie martwy, ostatni prezent od matki. - To znaczy "kobieta o zielonych oczach". - Skąd znasz francuski? - Pragnął wiedzieć o niej wszystko, a ona tak niewiele chciała mu o sobie powiedzieć. - Używałam go dawno, dawno temu... jako mała dziewczynka. A potem uczyłam się go w college'u. - Czy twoi rodzice mówili po francusku? - Miała okazję, by mu powiedzieć, mogła otworzyć się przed nim, opowiedzieć o Solange, ale zdecydowała, że lepiej zatrzymać to dla siebie. - Nie, chyba nauczyłam się go w szkole. - Skinął głową, usatysfakcjonowany jej odpowiedzią. Doszli do jej domu. Po chwili wahania zaprosiła go. Słuchali Roberta Flack na stereo i przez wiele godzin rozmawiali, pijąc wino. Koło pierwszej podniósł się z żalem i spojrzał na nią ze smutnym uśmiechem. - Chciałbym spędzić z tobą noc, Hilary, ale wydaje mi się, że nie jesteś jeszcze na to gotowa... mam rację? - Przytaknęła. Nie miała pewności, czy kiedykolwiek będzie. Ludzie próbowali zbliżyć się do niej, ona jednak nigdy nie odczuwała takiego pragnienia. - Czy jesteś z kimś związana? - Zamierzał zapytać ją o to już wcześniej, ciągle jednak zwlekał. W odpowiedzi pokręciła przecząco głową i dziwnie na niego spojrzała. - Nie, nie jestem... nie mam nikogo... od dawna... - Z jakiegoś szczególnego powodu? - Z wielu powodów. Większość z nich jest zbyt skomplikowana, by je wyjaśniać. Usiadł na kanapie i spojrzał na nią, uspokojony. - Dlaczego nie spróbujesz ze mną? Znowu wzruszyła ramionami. Nie miała ochoty opowiadać mu o swoich przejściach. Nikogo to nie powinno obchodzić. Prowadziła teraz inne życie, w innym miejscu, w innym świecie. Nie chciała wlec przeszłości za sobą, a jednak, mimo usilnych starań, nie mogła się od niej uwolnić. - Przykro mi, Adamie... nie mogę... - Dlaczego? - Wziął ją za rękę. - Nie ufasz mi? - Nie o to chodzi. - Czują, jak jej oczy wypełniają się łzami, i nienawidziła się za to. - Nie chcę o tym mówić... naprawdę... - Wstała i oddaliła się od niego, dumnie prostując ramiona, jakby przeciw całemu światu i wszystkim krzywdom, które ją spotkały. Nie wiedziała, że wyglądała dokładnie jak jej matka. - Hilary... - stanąwszy za nią, zamknął ją w swoich ramionach - dlaczego nie pozwolisz sobie na próbę? Wiem jaka jesteś silna, widziałem to w pracy, ale chodzi o coś innego... chodzi o nas... to nie jest strefa wojny. Pochylając głowę odpowiedziała zmęczonym głosem: - Życie jest strefą wojny, Adamie. - Nie musi nią być. - Był taki łagodny i niewinny. Zazdrościła mu jego prostego życia. Najtrudniejszą rzeczą, z jaką musiał się uporać, była decyzja jego żony o odejściu. Nigdy nie musiał znosić tak strasznych cierpień, jakie były jej udziałem. Nawet nie potrafiłby ich zrozumieć. - Życie może być takie piękne... jeśli tylko na to pozwolisz. - To nie jest takie proste - spojrzała

na niego, wzdychając głęboko. - Nie sędzę, abyś był w stanie zrozumieć, jakie było moje życie, chyba nie potrafiłabym ci tego wyjaśnić. - Więc dlaczego nie uciekniesz od tego wszystkiego? Czy nie potrafisz zostawić przeszłości za sobą? - Może. - Nie była pewna, czy to możliwe, ale miała ochotę spróbować. Pochylił się nad nią i pocałował, najpierw łagodnie, potem z większą pasją. Pragnął jej od tygodni, od miesięcy, od chwili, gdy ujrzął ją po raz pierwszy, i teraz nie potrafił nad sobą zapanować. Rozebrał ją, potem zrzucił swoje ubranie, i nagą zaniósł na rękach do łóżka. Zaczął ją pieścić, ale ona leżała sztywno, zamknięta w sobie i przerażona. Robił z nią to, co robiły Maida i Georgina... a także chłopcy, którzy zgwałcili ją następnego dnia po wyjeździe jej współlokatorek. Zbyt wiele musiałaby przetrzymać, było to trudne nawet z człowiekiem tak dobrym jak Adam. Szybko zdał sobie sprawę, że Hilary nie chce się z nim kochać. Wycofał się więc, wciąż drżąc z pożądania; nie rozumiał, co się stało. - O co chodzi? - jego głos był ochrypliwy, a oczy zamglone nie zaspokojoną namiętnością. - Tak bardzo cię pragnę. - Przykro mi... - wyszeptła odwracając się na bok. Wpatrzona w odległą ścianę zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie normalna. Prawdopodobnie nigdy nie uda się jej pokonać przeszłości. Miała dwadzieścia pięć lat i zaczynała podejrzewać, że nic w jej życiu się nie zmieni. Tak wielu ludzi nienawidziła... Arthura Pattersona... Jacka Jonesa... chłopców, którzy ją zgwałcili... Maidę i Georginę... Eileen... ludzi z poprawczaka... a gdzieś, na samym dnie duszy, także ojca. Zbyt wielkie było to brzemię, by mogła jeszcze funkcjonować jako kobieta. - Nie chodzi o ciebie - próbowała wyjaśnić. - Po prostu nie mogę. - Dlaczego? Musisz mi powiedzieć. - Usiłował zachować spokój, siedząc na łóżku i starając się dotrzeć do niej, zrozumieć ją. Usiadła i odwróciła się w jego stronę. Może będzie lepiej, jeśli go zaszokuje, zamiast ranić. - Zostałam zgwałcona... dawno temu... - Nie chciała mówić nic więcej i miała nadzieję, że jemu to wystarczy, ale było inaczej. - Jak? Przez kogo? - To długa historia. - O czym miałyby mu opowiedzieć? O Maidzie i Georginie, bo były pierwsze, czy o chłopcach, ich następcach? A może o Jacku, który usiłował być pierwszy, a gdy nie dostał, czego chciał, skatował ją prawie na śmierć? Wszyscy byli potencjalnymi kandydatami do tej roli, ale nie potrafiła sobie wyobrazić, by Adam był w stanie znieść tę próbę. - Kiedy to było? - Gdy miałam trzynaście lat. - To była przynajmniej część prawdy. Wszystko wydarzyło się, zanim skończyła czternaście. Zaczerpnęła powietrza. - Od tamtej pory nie było nikogo w moim życiu. Chyba powinnam ci była powiedzieć wcześniej. - Chryste! - To, co usłyszał, głęboko nim wstrząsnęło. - Na pewno lepiej by się stało, gdybyś to zrobiła. Skąd mogłem o tym wiedzieć? - Nie sądziłam, by miało to jakieś znaczenie. - Naprawdę? Zgwałcono cię dwanaście lat temu, od tego czasu nic nie łączyło cię z żadnym mężczyzną i myślałaś sobie, że w zasadzie to nie ma znaczenia? Na Boga, jak mogłaś zrobić coś takiego sobie i mnie? A co na to psychoanalitycy? Czy często ich odwiedzałaś od tamtej pory? - Z góry zakładał, że oczywiście tak robiła, wszyscy jego znajomi bywali u psychoanalitików; on sam natomiast poszedł do swojego, gdy porzuciła go żona. - Nie - powiedziała bardzo cicho i wstała, by założyć szlafrok. Była wysoka, miała wspaniałe ciało i piękne, długie nogi, na widok których znów ogarnęło go pożądanie; wiele kosztowało go, by o tym nie myśleć. - Co masz na myśli mówiąc "nie"? Udzielono ci chyba jakiejś pomocy po tym gwałcie? Tak? Prawda? Uśmiechnęła się do niego. - Nie. To nie tak. Myślę, że jej nie

potrzebowałam. - Oszalałaś? - W porządku, powiedzmy, że wtedy nie było to możliwe. - To gdzie ty byłaś? Na biegunie północnym? Gdzie we współczesnym świecie jest jeszcze takie miejsce, gdzie nie można skorzystać z pomocy terapeuty? - Boże drogi, kompletnie nie zdawał sobie sprawy, czym było jej życie. Terapia? Gdzie? W domu Louise czy w poprawczaku? - Powiedziałam ci już, Adamie - rozmowa zaczynała ją złościć, on natomiast szalał. - Nie chcę o tym rozmawiać. To zbyt skomplikowane. - Zbyt skomplikowane czy zbyt bolesne? - Spuściła oczy, by nie dostrzegł bólu, który już jej zadał. - Czy nie moglibyśmy po prostu o tym zapomnieć? - O czym, o tym, co jest między nami? Dlaczego? Nie jesteś z tych, co łatwo rezygnują, Hilary. - Teraz był naprawdę zły. Zrobiłaby wszystko dla swej pracy, ale nie dla niego, nie dla związku, który mógłby ich połączyć, gdyby tylko chciała. - Dlaczego nie możemy zapomnieć o całej sprawie, Adamie? Myślę, że w końcu to samo przejdzie. - Naprawdę? Jak długo to już trwa? Dwanaście lat, jak sama stwierdziłaś, a nie powiedziałbym, że jesteś wyleczona. Jak długo jeszcze chcesz czekać? Trzydzieści lat? A może pięćdziesiąt? Wtedy będziesz na pewno czuła się znacznie lepiej, i, Chryste Panie, będziesz miała dopiero sześćdziesiąt trzy lata i bujne życie seksualne przed sobą. Hilary, bądź poważna! - Wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie, na łóżko. Ale Hilary wiedziała już, że chciał od niej zbyt wiele, a ona nie mogła mu tego dać. Pragnął wszystkiego, duszy i serca, przywiązania, małżeństwa i dzieci. Instynktownie odgadła, że chciał odzyskać to, co odebrała mu żona odchodząc od niego, a może nawet więcej. A Hilary wiedziała z całą pewnością, że jej samej takie pragnienia były obce. Nie miała mu nic do zaoferowania. Mogła jedynie brać, no, może przez jakiś niedługi czas mogłaby starać się usilnie, gdyby ktoś nie żądał zbyt wiele, ale to wszystko. Cała jej miłość wypaliła się dawno temu, a energię skierowała na dojście do samego szczytu w pracy. - Chcę, byś poddała się leczeniu. - Siedział nie spuszczać z niej wzroku; jakby właśnie oznajmił jej, że ma się poddać operacji mózgu. A ona nie zamierzała go posłuchać. Bóg jeden wie, co by tam znaleźli. - Nie mogę. - Bzdura. Dlaczego nie? - Nie mam na to czasu. - Masz dwadzieścia pięć lat, i masz problem. - Nie taki, bym nie mogła z nim żyć. - Ty nie żyjesz, ty egzystujesz. Powoli również ona wpadała w wściekłość. Nie miał prawa wydawać sądów na temat jej życia tylko dlatego, że nie chciała się z nim kochać. - Może to się zmieni. - Ale, co go bardzo martwiło, wcale nie sprawiała wrażenia, że jej na tym zależy. - Samo? - Potaknęła ruchem głowy. - Wątpię w to. - To wymaga czasu, Adamie. Przecież to dopiero pierwszy raz. Długo siedział, przyglądając się jej w milczeniu. Dostrzegł więcej, niżby sobie życzyła. - Myślę, że o wielu rzeczach mi nie powiedziałaś, prawda? Uśmiechnęła się tajemniczo. - To nie jest takie ważne, Adamie. - Nie wierzę ci. Wydaje mi się, że żyjesz otoczona murami fortecy. - Żyłam tak... dawno temu... - Dlaczego? - Ponieważ w moim życiu spotkałam wielu ludzi, którzy mnie ranili. - A teraz? - Teraz na to nie pozwalam. Było mu jej żal; pochyliwszy się, pocałował ją i łagodnie położył rękę na jej ramieniu. Siedzieli na brzegu nie zasłanego łóżka, świadka niedawnej kłębki miłosnych zapałów. - Hil, przysięgam ci, ja cię nie skrzywdzę... - W oczach miał łzy; i Hilary poczuła żal, że nie jest w stanie wykrzesać dla niego krzty uczucia. Teraz wiedziała już, że nigdy nie będzie nic do nikogo czuła, chyba że ktoś rozbudziłby w niej jakieś nieznane namiętności, ale tego również nie potrafiła sobie wyobrazić. - Kocham cię... Nie wiedziała, co mogłaby

odpowiedzieć, i tylko spojrzała na niego smutno. A on w odpowiedzi uśmiechnął się i znów ją pocałował. Zrozumiał, i to ją wzruszyło. - W porządku, nie musisz nic mówić... tylko pozwól mi się kochać. - Położył ją z powrotem na poduszce i delikatnie rzeźbił jej ciało palcem, wodząc nim w kierunku środka, by potem kierować go na zewnątrz. Dryfował dookoła jej piersi i w dół brzucha, i znowu w górę. Dotykał ją jedynie językiem, palcami i... sercem, nie posuwając się do niczego więcej. Po wielu godzinach takich pieszczot drżała z pożądania i błagała o więcej, lecz on nie posłuchał. Pozwolił jej dotykać siebie i muskał jej ciało swym pulsującym członkiem, jak atlasową ręką, a ona nachyliwszy się, całowała go i delikatnie pieściła, aż także zaczął wic się z pożądania. I wtedy, najpierw ustami, a potem palcami wyczuł, że rośnie w niej obawa. - W porządku Hil... nic się nie dzieje... nie zrobię ci krzywdy... proszę... ja, dziecinko... proszę, pozwól mi... o Boże, jesteś taka piękna... - Przemawiał do niej pieszczotliwie, jak matka do dziecka, i uspokajał ją, aż osiągnął orgazm; choć wiedział, że ona nie dołączyła do niego. Był to jednak jakiś postęp. - Przykro mi, Hil... - Chciał dla niej o wiele więcej, pragnął, by czuła wszystko to, co on, ale wiedział, że wymaga od niej zbyt wiele. - Niech ci nie będzie przykro, było wspaniale. - Leżała koło niego cichutko, i gdy już zasnął, patrzyła na niego zastanawiając się, czy kiedykolwiek będzie w stanie czuć do niego to, czego od niej pragnął, czy w ogóle będzie mogła kochać kogokolwiek; być może jej ciało przepelniało zbyt wiele nienawiści. Rano wyszedł, zanim ona zdążyła się ubrać, a później tego przedpołudnia zaprosił ją na lunch, ale wykręciła się mówiąc, że jest bardzo zajęta. Chciał zjeść z nią kolację, wieczorem miała jednak zebranie. Zdesperowany, poprosił ją, by w niedzielę spotkała się z nim i jego chłopcami; spędzał z nimi weekend. Wahala się długo i sprawiała wrażenie, jakby miała zamiar odmówić, ale wydawał się tak dotknięty, że w końcu się zgodziła. - To wspaniałe dzieciaki, pokochasz je. - Jestem tego pewna. - Uśmiechnęła się, choć wypełniał ją niepokój. Od lat unikała dzieci i nie miała ochoty poznawać jego synów, ani tym bardziej przywiązywać się do nich. Jej uczucia macierzyńskie dawno zostały zaspokojone, a jedyne dzieci, jakie kochała, odebrano jej. Na niedzielny poranek umówili się w Central Parku, założyła więc dzinsy i podkoszulek i wyszła z domu na spotkanie. Adam obiecał, że przyniesie kanapki dla dzieci i piłkę do baseballu. Gdy Hilary zobaczyła ich siedzących pod drzewem, młodszego na kolanach ojca, a starszego, sześciolatka, obok, poczuła, że w jej sercu porusza się coś, co dawno temu umarło, i sprawiło jej to ból, który ledwo mogła znieść. Zatrzymała się; miała ochotę uciec, ale nie mogła mu tego zrobić. Zbliżywszy się do nich, poczuła się jeszcze gorzej. W jego oczach ujrziała ten sam rodzaj miłości, jakim ona darzyła Megan i Axie. Nie wytrzymała do lunchu. Przez pół godziny przyglądała się im grającym w piłkę, a potem powiedziała, że strasznie ją boli głowa. Całą drogę z parku do domu biegła, szlochając, nie zatrzymując się na światłach, nie ustępując nikomu z drogi. Resztę dnia przeleżała w łóżku; łzy nie przestawały płynąć jej po twarzy. W końcu znów musiała stawić czoło faktowi, że Megan i Axie zniknęły z jej życia na zawsze. Postanowiła nigdy o tym nie zapominać. Podsycanie w sobie nadziei nie miało sensu. Nikt przecież nie wiedział, gdzie były, więc odnalezienie ich stawało się prawie niemożliwe. Torturowanie się tym faktem nie miało sensu. Aleksandra miałaby dwadzieścia dwa lata, a Megan siedemnaście. Prawdopodobnie nie zobaczy ich już nigdy, po cóż więc o tym rozmyślać.

Ale nie chciała też widywać innych dzieci. Po prostu nie mogła. Wieczorem, gdy zadzwonił telefon, spokojnie podniosła słuchawkę z widełek i odłożyła z powrotem. Następnego dnia zachowywała się tak, jakby nic się nie wydarzyło. Była miła; przyjacielska, ale chłodna, i na zawsze pozostało dla Adama tajemnicą, czym się naraził. W tydzień później, zgodnie z wcześniejszym planem, został przeniesiony do działu sprzedaży, i już nigdy nie udało mu się umówić z Hilary. Pilnowała, by nie wpadali na siebie przypadkowo, nigdy też nie odbierała jego telefonów. Tak jakby nic między nimi się nie wydarzyło. Nie zdawała sobie sprawy tylko z jednego: że w głębi duszy współczuła jej. Zrozumiał jednak, że nie potrafi jej pomóc. Przez kilka następnych lat Hilary jeszcze bardziej skoncentrowała się na swojej karierze. Mając dwadzieścia siedem lat została jednym z głównych producentów. W życiu prywatnym od czasu przelotnej znajomości z Adamem wystrzegala się wszelkich związków. Wspinanie się na szczyty pochłaniało jej zbyt wiele czasu i energii by mogła chcieć czegoś więcej. Poza tym mężczyźni, których poznawała, byli rozwiedzeni i mieli dzieci. Tak było, dopóki nie spotkała Williama Brocka, nowej podpory \$c\$b\$a. Wysoki i przystojny blondyn, były gwiazdor futbolu, od niedawna pracował dla sieci. Dwukrotnie rozwiedziony, był człowiekiem bezdzietnym i nie marzył o potomstwie. Z lubością biegał na randki z wszystkimi dziewczętami, aż spotkał Hilary i jej lodowate zielone oczy zafascynowały go. Traktował ją z szacunkiem i rozważą, obsypywał różnego rodzaju prezentami, począwszy od kwiatów, skończywszy na futrze. - To bardzo miłe z twojej strony, Bill... - Idąc rano do swego biura rzuciła mu je, jeszcze w pudle, pod sam nos. - Nie twój rozmiar, kochanie? - Nie mój styl, panie Brock. Pod żadnym względem. - Nie romansowała w pracy, gdzie indziej zresztą też nie, i z całą pewnością nie zamierzała zostać jedną z jego zdobyczy. Zapraszał ją na tydzień do Honolulu, na weekend na Jamajkę, na narty do Vermont, na kolację do Cote Basque i we wszystkie inne miejsca, które tylko przychodziły mu do głowy. Nie miał żadnych szans aż do czasu pewnej deszczowej nocy, gdy Hilary nie mogła złapać taksówki i zaproponował jej, że podrzuci ją do domu swoim ferrari. Gdy nagle ruszył w kierunku centrum, Hilary poklepała go po ramieniu: - Sprytna próba, Bill. Mieszkam na Pięćdziesiątej Dziewiątej. - A ja na rogu Piątej Alei i Jedenastej. - Gratuluję, ale teraz zawieź mnie do domu, chyba że chcesz, bym wysiadła i poszła do domu pieszo. - Nie żartowała, więc przyhamował, ale nim zdążyła się odezwać, pocałował ją. - Jedziemy do pani czy do mnie, pani Producent? A może popełnimy szaleństwo i pojedziemy do Plaza? - Jego bezczelność rozśmieszyła ją. Zażądała, by odwiózł ją do domu, ale niezbyt się zdziwiła, gdy zatrzymał się po drodze, by zjeść kolację. Wpadli na hamburgera w jedno z jego ulubionych miejsc. Hilary zaskoczyła jego inteligencją, której nie podejrzewała u tego playboya o wspaniale rozwiniętym, prawdziwie męskim ciele. - A ty, piękna pani, co ukrywasz pod tymi szmaragdowozielonymi oczami? - Ambicję. - Był pierwszą osobą, z którą pozwoliła sobie na taką szczerość, gdyż z jakiegoś powodu sądziła, że ją zrozumie. - Kiedyś sam tego spróbowałem. Gdy raz skosztujesz, wpadasz w nałóg. - Wiem. - Ale to była jej jedyna siła napędowa... wspinanie się na szczyty, tak aby nic już nie mogło jej dosięgnąć. Nie poczuje się bezpieczna, póki tam się nie znajdzie, tego jednak mu nie wyjaśniła. - Nie ma nic równie ekscytującego, zgodzisz się chyba? Było ci przykro, gdy rzucałeś futbol? - Trochę. To wspaniała gra, ale miałem już dość skopanych nóg i złamanego nosa. Nie

można godzić się na to przez całe życie. - Zwrócił się do niej z tym uwodzicielskim uśmiechem, który zniewalał większość kobiet. Zapłacił rachunek i zaprowadził Hilary z powrotem do samochodu. Podwiózł ją do domu, tym razem bez żadnej walki. Po rozstaniu z nim było jej niemal przykro, że tak łatwo zrezygnował. Podświadomie oczekiwała czegoś więcej, chociażby jakiejś próby z jego strony. Była już w szlafroku, gdy w pół godziny po ich rozstaniu ktoś zadzwonił do drzwi. - Kto to? - zapytała przez domofon. - Bill. Zapomniałem zapytać cię o jutrzejszy program. - Skrzywiła się najpierw, zaraz jednak na jej twarzy pojawił się uśmiech. Jego głos brzmiał szczerze, ale równie dobrze mógł to być podstęp. Zdecydowała, że raczej to drugie i postanowiła trochę potrzymać go na śniegu. - Ale o co chodzi? - Co? - Pytam, o co chodzi. - Nie słyszę cię! - Zaczął dzwonić jak szalony. Próbowwała przekrzyczeć ten hałas, ale w końcu dała za wygraną i wpuściła go. Jeśli to podstęp, szybko się go pozbędzie. Czekala na niego w drzwiach. Wbiegł na górę uśmiechnięty zaczerwieniony od mrozu i ośnieżony. - Coś się dzieje z twoim domofonem. - Brakowało mu tchu i wyglądał zabójczo przystojnie. - Naprawdę? Miło, że wpadłeś. Słyszał pan kiedyś o czymś takim jak telefon? - Nie, proszę pani, nie słyszałem. - Bez dalszych wstępów wziął ją na ręce jak lalkę, wszedł do mieszkania i kopnięciem zamknął za sobą drzwi. Hilary cały czas śmiała się; scena była tak absurdalna, a jednocześnie było w Billu coś bardzo chłopięcego i cudownego, choć nie na tyle, by miał poważnie się zaangażować, bez względu na to, jak był przystojny i atrakcyjny. - Gdzie jest pani sypialnia, panno Walker - Śmiała się słysząc jego niewinny ton. Przypominał ucznia strojącego sobie z niej żarty. A jednocześnie był bardzo pociągający. - Tam. A dlaczego? - Za chwilę zobaczysz. - Położywszy ją na łóżku, poszedł do łazienki, z której po pięciu minutach wyłonił się nagi. Była tak oszołomiona, że stała patrząc na niego bez słowa. Był najbardziej bezczelnym mężczyzną, jakiego znała, choć także najbardziej atrakcyjnym. Porzucając wszelkie wstępy zaczął się z nią kochać. Jego doświadczenie w tej dziedzinie szybko stopiło jej początkowy opór i wkrótce pożądała go równie silnie, jak on jej. Bardzo szybko osiągnęła swój pierwszy orgazm. Przez chwilę leżał bez tchu w jej ramionach, a potem uśmiechając się położył obok, a ona patrzyła na niego, kompletnie zdumiona. Obudził w niej uczucia, których istnienia nawet nie podejrzewała. Zanim zdążyła coś powiedzieć, znów zaczął się z nią kochać, a potem jeszcze raz, i jeszcze raz, aż do samego rana. Hilary myślała, że oszaleje z podniecenia. Nigdy przedtem nie doświadczyła czegoś takiego i była pewna, że nigdy więcej już tego nie przeżyje, zarazem jednak uświadomiła sobie, że nie wszystko było w niej całkiem martwe. Może pewnego dnia ktoś właściwy obudzi w niej to na nowo. Zanim jednak to nastąpi, zawsze będzie pamiętać, co dla niej odkrył Bill Brock. Gdy wychodził rano, wyglądała ze smutkiem przez okno, patrząc, jak odjeżdża swym czerwonym ferrari. Wiedziała, że nie zapomni go do końca życia, ale niczego od niego nie oczekiwała. Nie szukał dziewczyny na stałe, ani żony, ani kochanki, ani nawet przyjacieli. Dla niego życie było nieprzerwanym łańcuchem pięknych kobiet, a uprawianie miłości traktował jak jedzenie, picie albo spanie. Było mu obojętne, z kim to robi, jak często, lub czy robił to dwukrotnie z tą samą partnerką. Chciał po prostu móc kochać się zawsze i wszędzie, gdy tylko przyjdzie mu na to ochota. Następnego dnia przysłał Hilary olbrzymi bukiet róż i brylantową bransoletkę od Harry'ego Winstona. Bransoletkę zwróciła mu z uśmiechem, a

on nie wydawał się zaskoczony. Nigdy więcej jednak nie poprosił ją o spotkanie. Miał na widoku inne zdobycze, ona zaś była po prostu jedną z wielu pięknych kobiet, których świat był pełen. Hilary była trochę rozczarowana, ale nie zaskoczona. Niespodzianka czekała ją w dwa miesiące później, gdy poszła do lekarza. Przez kilka tygodni chorowała na grypę i zamiast czuć się lepiej, jej stan się pogarszał. Była już całkowicie wyczerpana. Mogła tylko spać, bez przerwy spać, a sama myśl o jedzeniu przyprawiała ją o mdłości. Nie była w stanie znieść nawet zapachu kawy, gdy rano wchodziła do biura. W końcu, po sześciu tygodniach takiego samopoczucia, zatelefonowała do lekarza prosząc o termin wizyty. Zasugerował przeprowadzenie kompleksowych badań i powiedział, że po otrzymaniu wyników zapisz jej kurację antybiotykową. - To może być jakiś wirus żołądkowy, panno Walker! Czy była pani ostatnio w jakimś egzotycznym miejscu? Pokręciła przecząco głową, przygnębiona złym samopoczuciem. Zdawało się jej, że ma dwieście lat, a jej jedynym pragnieniem było przyłożyć gdzieś głowę i spać cały dzień. Ten okropny stan wpędzał ją w depresję. W dwa dni później wiedziała już, co jej dolega. Wyniki badań były gotowe i lekarz przestał mówić o antybiotykach. Była w ciąży. Wykazał to rutynowy test ciążowy i badanie na syfilis. Usłyszawszy tę wiadomość, pomyślała, że chyba wolałaby to drugie. Dokładnie wiedziała, kto jest ojcem. Był jedynym mężczyzną, z którym spała w ciągu ostatnich dwu lat. Nie użyła wtedy żadnych środków, on także nie. Nigdy nie przyszło jej na myśl, by na wszelki wypadek mieć coś takiego pod ręką. Od czasu tragicznych przeżyć z dzieciństwa miała przecież, jako dorosła kobieta, tylko dwu mężczyzn. A teraz była w ciąży. Istniało tylko jedno rozwiązanie tego problemu. W ciągu następnej godziny zatelefonowała do lekarza, by się umówić. W porze lunchu wyszła z biura w stanie kompletnego szoku. Poszła do domu, by przemyśleć swoje trudne położenie. Czy powinna mu o tym powiedzieć? Czy też nie? Może ją wyśmiej? Może będzie uważał, że to wyłącznie jej problem? A może usunąć tę ciążę? Czy to grzech? Ale przecież to jakaś część niej samej. Z jednej strony chciała pozbyć się tego natychmiast, z drugiej zaś pamiętała Axie, gdy ta była niemowlęciem, i malutką Megan, słodki zapach dziecinnego pudru i jedwabiste włoski nocą wtulone w jej objęcia. Pamiętała, jak cichutko Megan pomrukiwała przed zaśnięciem, i nagle pomyślała, że nie może tego zrobić. Straciła już dwoje dzieci jak może zabić jeszcze i to? Może to Bóg znalazł sposób, by wynagrodzić jej tamtą stratę zwracając jej przynajmniej jedno dziecko; by wypełnić pustkę, która czekała ją w przyszłości, jeśli będzie żyła wyłącznie pracą. Dziecko Billa Brocka byłoby takie piękne, a on wcale nie musiałby się dowiedzieć... należałoby do niej... wyłącznie do niej. Nagle każdą cząsteczką swego jestestwa zapragnęła ochronić to dziecko. Zrozumiała, dlaczego spódnice stały się na nią za ciasne, choć traciła na wadze. Przybrała w talii, a na brzuchu pojawiła się nieduża wypukłość. Lekarz wyjaśnił jej, że jest w ciąży od ośmiu tygodni. Osiem tygodni... dwa miesiące... w jej brzuchu było malutkie dziecko. Nie mogła go zabić. A jednak musiała. Jaka kariera czeka ją z taką kulą u nogi; kto jej pomoże? Ale ten zapach... ten słodki płacz... wciąż pamiętała dzień, gdy po raz pierwszy zobaczyła Axie. A gdyby ktoś chciał odebrać jej to dziecko, tak jak odebrano jej Axie i Megan? Gdyby tak Bill Brock dowiedział się

i zechciał swoje dziecko? Przez resztę tygodni Hilary walczyła z narastającą paniką. Nie miała nikogo, z kim mogłaby porozmawiać, do kogo mogłaby się zwrócić. Była sama ze swoim poczuciem winy, zagubieniem i strachem. Bardzo chciała urodzić dziecko, ale nie wyobrażała sobie, jak to wszystko urządzić. Co gorsza, przerażała ją możliwość, że pewnego dnia mogłaby je stracić, że ktoś mógłby znaleźć sposób, by je jej odebrać. Nie chciała już nikogo tak bardzo kochać. Ten strach przeważał. Z resztą mogłaby sobie jakoś poradzić, ale nie z tym, nie ze strasliwą obawą, że kogoś utraci, zbyt dobrze poznała ten rodzaj cierpienia. Nie może sobie pozwolić na takie ryzyko, bez względu na to, czy byłyby to jej dzieci, czy jakieś inne. Poświęci to dziecko pamięci Megan i Axie. W jej życiu i w jej sercu nie będzie już więcej dzieci. W piątkowe popołudnie, gdy wchodziła do gabinetu lekarskiego, miała wrażenie, że zemdleje. Podała pielęgniарce swoje nazwisko i trzęsącą dłonią podpisała formularz. Potem przez godzinę siedziała w poczekalni. Tego dnia miała wolne popołudnie. Siedziała w poczekalni snując te same rozmyślenia, co w czasie ostatniej bezsennej nocy. Jakaś jej część aż wyla z chęci uratowania dziecka. Jednak głos przeszłości okazał się ważniejszy. Zagłuszył wszystko inne przypominając o strasliwym bólu spowodowanym utratą Axie i Megan. Wciąż powracał do niej obraz tego dnia, gdy odjechały, i to cierpienie nie do zniesienia. Jednak ból, odczuwany na myśl, że wyrwie to dziecię z siebie, wcale nie był mniejszy. Hilary szła na uginających się nogach za pielęgniarką prowadzącą ją do małego pokoiku. Usłyszała, że ma zdjąć ubranie, założyć koszulę i papierowe kapcie, a gdy będzie gotowa, zgłosić się u pielęgniarki po drugiej stronie korytarza. - Dziękuję - wyszeptała prawie bezgłośnie, pragnąc, by ktoś ją powstrzymał, zanim będzie za późno, ale nikogo takiego nie było. Pielęgniarka po drugiej stronie korytarza, podając jej jeszcze jakieś papiery do podpisania, spojrzała na nią jak na zbrodniarkę. Sam ich widok sprawił, że Hilary poczuła się chora i opadła na drewnianą ławeczkę. - Nic pani nie jest? - spytała pielęgniarka bez większego zainteresowania. - Trochę kręci mi się w głowie. Pielęgniarka obojętnie skinęła głową i kazała jej położyć się na stole. - Doktor przyjdzie za parę minut. - Ale półtorej godziny później jeszcze go nie było. Hilary trzęsa się cała, w końcu ze zdenerwowania zwymiotowała. Od rana nie miała nic w ustach. Wreszcie pielęgniarka ponownie pojawiła się z dokumentami w ręku i zaczęła wachać powietrze. - Przepraszam, ja... nie czuję się dobrze. - Prawdopodobnie po zabiegu znów to nastąpi - stwierdziła rzeczowo pielęgniarka. - Lekarz zaraz przyjdzie. Mamy mały kłopot w tamtej części holu. - Hilary była w stanie myśleć jedynie o dziecku, które wciąż w niej żyło. Im dłużej będą zwlekać, tym dłużej będzie żyło, wkrótce jednak je zabiją. Desperacja dławiła ją za gardło, ale nie było innego wyjścia, nie mogła sobie pozwolić na miłość, nie miała sił, by przez to wszystko przechodzić znów od początku. Coś w niej krzyczało, że tym razem jest inaczej, ale ona dobrze wiedziała, że to nieprawda. Kochała Megan i Aleksandrę, jakby były jej własnymi dziećmi, i utraciła je. Pewnego dnia ktoś odebrałby jej także i to dziecko. Nie mogła do tego dopuścić. Musiała z tym skończyć, zanim ją to zniszczy. - Czy jest pani gotowa, młoda damo? - Lekarz jak huragan wpadł do pokoju. Ubrany był w strój chirurgiczny, zakrywający włosy zielony czepek, a na szyi zwisiała mu mała maska. Hilary zdawało się, że widzi krew kapiącą z niego po ostatniej aborcji. - Ja... tak ... - jej głos był ledwo słyszalnym skrzekiem. Czowała, że zaraz zwymiotuje albo znów

się rozplacze. - Czy da mi pan jakiś środek nasenny? - Nic jej o tym wcześniej nie mówili. - Nie będzie pani potrzebny. To potrwa parę minut. Ile minut? Jak długo będzie to trwało? Co zrobią jej dziecku? Hilary leżała płasko na stole. Pielęgniarka włożyła jej stopy w strzemiona, szersze niż zwykle, i zapięła paski, które uniemożliwiały jakikolwiek ruch. Nagle Hilary wpadła w panikę. - Dlaczego pani to robi? - Żeby pani nic sobie nie zrobiła. - Już zamierzała przywiązać jej także ręce, ale Hilary błagała, by tego nie robić. - Przrzekam, że niczego nie dotknę... przysięgam... proszę... Wyglądało to jak średniowieczne tortury; pielęgniarka zwróciła się do lekarza, a ten skinąwszy głową nałożył nową maskę. - Proszę się rozluźnić. Niebawem już się pani tego pozbędzie. Pozbędzie się... nie potrafiła znaleźć pocieszenia w tych słowach, choć próbowała. Powtarzała sobie, że słusznie postępuje, ale wszystko w niej krzyczało, że zabija dziecko. Megan i Axie zabrano, nikt ich nie zabił. To było złe... straszne, to był grzech... chciała... poczuła ostre ukłucie zastrzyku ze znieczuleniem miejscowym, chciało jej się płakać, chciała poprosić pielęgniarkę, by pottrzymała ją za rękę, ale ta obojętnie wykonywała polecenia lekarza. Nagle Hilary usłyszała jakąś straszną maszynę, która wydawała taki odgłos, jakby była w stanie połknąć ścianę. Była to pompa próżniowa. - Co to jest? - Hilary niemal usiadła, niezdolna poruszyć nogami. Wciąż odczuwała ostry ból w szyjce macicy; gdzie dostała zastrzyk znieczulający. - To, co pani myśli. To jest pompa próżniowa. Proszę się teraz położyć, za minutę będzie po wszystkim. Proszę policzyć do dziesięciu. - Poczula nieznośny ból, gdy coś ostrego i metalowego wsunęło się do jej wnętrza. Żadna z tortur zadanych jej przez Maidę i Georginę nie była tak straszna... ani nawet twarde ciała chłopców przygniatających jej ciało... To było okropne, nie do zniesienia. Krzyknęła głośno; miała wrażenie, że ta metalowa rzecz w jej wnętrzu rozdziera ją żywcem. Siłą wdzierała się do jej macicy, rozwierając ją tak, by można było wyjąć dziecko. - Ma pani dłuższą macicę, niż myśleliśmy, panno Walker. Będziemy musieli otworzyć trochę szerzej. - Znieczulenie miejscowe chyba w ogóle nie działało, bolało ją okropnie, a nogi drżały gwałtownie. Lekarz wydał z siebie pomruk zadowolenia. - Załatwione. - Powiedział coś do pielęgniarki. W tym momencie Hilary znów wymiotowała, brudząc się cała. Pielęgniarka była zbyt zajęta asystowaniem lekarzowi, by zauważyć lub jej pomóc. Nagle Hilary zrozumiała, że to wszystko jest złe... nie może tego zrobić... musi mieć to dziecko. Podniosła głowę, żeby im to powiedzieć, usiłując przy tym powstrzymać wymioty. - Nie... proszę... nie... Proszę to zatrzymać! - Ale lekarz tylko przemawiał do niej uspokajająco. Było już za późno, by przerwać. Musiał dokończyć to, co zaczęli. - Już prawie koniec, Hilary. Jeszcze tylko chwilka. - Nie... proszę... nie mogę tego znieść... nie chcę... dziecko... - Znów poczuła się tak, jakby miała zemdleć, a całym jej ciałem wstrząsały drgawki. - Będzie pani miała jeszcze wiele dzieci w życiu... jest pani młoda, kiedyś urodzi pani to właściwe. - Wydał z siebie kolejny złowieszczy pomruk, który, jak już zdążyła się zorientować, oznaczał zadanie jej większego bólu. Nagle włożył w nią pompę. Zdawało się jej, że ta piekielna maszyna wysysa z niej każdy gram ciała. Kolejny raz wymiotowała. Trwało to wszystko w nieskończoność, wreszcie jednak zaległa cisza. - Teraz jeszcze tylko trochę skrobania - wyjaśnił lekarz, a Hilary miała wrażenie, że pokój wiruje wokół niej, gdy wyskrobywał z niej to, co pozostało. Dziecka nie było już dawno; straciła tamtych dwoje, a teraz zabiła

to. Nie potrafiła myśleć o niczym innym; pragnęła umrzeć jak jej dziecko. Ona też była morderczynią, jak jej ojciec. Ojciec zamordował swoją żonę, a ona swoje dziecko. - To już wszystko - usłyszała znienawidzony głos. Zabrali narzędzia i zostawili ją, nadal przywiązaną do stołu i dygocącą. Czowała, jak cieknie z niej coś mokrego i ciepłego. Zdawała sobie sprawę z tego, że obficie krwawi, ale było jej wszystko jedno, co z nią zrobią. Równie dobrze mogła umrzeć. Miała nadzieję, że tak się stanie. - Odpocznij trochę, Hilary. - Lekarz spojrzał jej w twarz, poklepał po ramieniu i wyszedł z pokoju z torbą, w której pobrzękiwały narzędzia. Leżała przywiązana do stołu, szlochając w kałuży własnych wymiotów. Po godzinie przyszli po nią, dali jej mokrą szmatę i mnóstwo porad. Ma do nich zatelefonować, gdyby krwawienie wydało jej się za obfite. Jeśli nic takiego nie nastąpi, ma pozostać w łóżku przez dwadzieścia cztery godziny, i potem będzie się już czuła dobrze. To tyle. Już po wszystkim. Ubrała się i chwiejnym krokiem wyszła na ulicę. Nadal cała się trzęsała. Zawołała taksówkę i podała swój adres. Spojrzawszy na zegarek doznała szoku. Była szósta, spędziła u lekarza prawie sześć godzin. - Co pani jest, chora pani czy co? - Wyglądała okropnie, widział to nawet ten facet, nawet w ciemnościach. Twarz miała ziemistą, a dokoła oczu ciemne obwódki i trzęsała się tak, że ledwo mogła mówić. W odpowiedzi skinęła głową. - Tak... mam... grypę... - Szczękała zębami, a on tylko pokiwał głową. - Każdy teraz ją ma. - Uśmiechnął się do niej i pomyślał, że jest chyba ładną dziewczyną. - Tylko niech mnie pani nie całuje. - Próbowała też się uśmiechnąć, ale nie była w stanie. Czowała, że już nigdy nie uśmiechnie się do nikogo. Jak mogłaby? Jak spojrzeć sobie w oczy? Zabiła dziecko. Natychmiast po przyjściu do domu wczółgała się do łóżka, nawet nie zdjęła ubrania. Spała do czwartej nad ranem. Obudziły ją skurcze, poza tym jednak wszystko było w porządku. Zrobiła to. I wiedziała, że nigdy o tym nie zapomni. W poniedziałek poszła do biura, blada i wymizerowana. Wykonała swoje obowiązki i wróciła do domu ze stertą papierów. Zamierzała zakopać się w pracy po uszy, zamierzała zrobić wszystko, by przestać cokolwiek odczuwać. I to się jej udało. Przez następne półtora roku pracowała jak maszyna. Stała się cudownym dzieckiem \$c\$b\$a. Stała się kobietą, którą wszyscy podziwiają, ale której wszyscy się boją, osobą, jaką nikt nie chciałby być. - Przerazająca, nie sądzisz? - powiedziała jedna z sekretarek w dniu trzydziestych urodzin Hilary. - Żyje i oddycha tylko \$c\$b\$a i niech Bóg ma w opiece tego, kto stanie jej na drodze. Przynajmniej tak mówią ludzie. Ja osobiście boję się jej. - Rozmówczyni sekretarki zgodziła się z nią i poszły razem do toalety popłotkować o dwóch nowych chłopcach pracujących w wiadomościach. Na to Hilary była też uodporniona, nie interesowało jej nic poza karierą, pracą i \$c\$b\$a. Mając trzydzieści dwa lata została wiceprezesem, a w dwa lata później otrzymała kolejny awans. W wieku trzydziestu sześciu lat była kobietą na najwyższym stanowisku w zarządzie, a gdy skończyła trzydzieści dziewięć, została trzecią najważniejszą osobą w \$c\$b\$a. Nikt nie miał najmniejszych wątpliwości, że pewnego dnia będzie Agencją władac. I to całkiem niedługo. Wkrótce potem "New York Times" zamieścił duży artykuł omawiający jej działalność i plany na przyszłość. Także w "Wall Street Journal" ukazał się podobny artykuł na jej temat. Hilary Walker odniosła sukces. Rozdział Xiii Arthur Patterson, kompletnie zdruzgotany, opuścił po dwugodzinnej wizycie gabinet lekarza, i wyszedł na Park Avenue. W gruncie rzeczy nie był zaskoczony,

już wcześniej miał pewne podejrzenia, a jednak podświadomie żywił nadzieję, że to coś innego. Cierpiał na straszliwe bóle. Przez ostatni miesiąc pastylki prawie mu nie pomagały, mimo to usiłował sam siebie przekonać, że to jakaś inna choroba. Doszedłszy do rogu, przystanął, by złapać oddech. Było już wpół do piątej. Ból rozpierający klatkę piersiową całkowicie go wyczerpał. Zakaszał rozziewając, co zwróciło na niego uwagę przechodnia, który zatrzymał się, by sprawdzić, czy może w czymś pomóc, ale Arthur głęboko odetchnął i wsiadł do samochodu. Po drodze prawie nie odzywał się do kierowcy. Wciąż myślał o tym, co powiedział lekarz, o tej okropnej diagnozie. Rozsądek podpowiadał mu, że właściwie nie ma prawa się uskarżać. Miał siedemdziesiąt dwa lata i zaznał pełni życia... w mniejszym lub większym stopniu. Raz był żonaty. Marjorie zmarła przed trzema laty. Pojechał na pogrzeb i ze zdumieniem odkrył, że kilka lat przed śmiercią ponownie wyszła za mąż za emerytowanego kongresmena. Stojąc w przyćmionym świetle kaplicy St. James zastanawiał się, czy była zadowolona ze swego życia, czy kiedykolwiek była tak naprawdę szczęśliwa. A teraz on także miał umrzeć. To dziwne, ale nie bał się. Było mu jedynie przykro. Tak niewiele zostawiał światu, swą praktykę adwokacką, już od wielu lat nie tak bogatą jak w przeszłości, chociaż nadal chodził do biura codziennie, a dokładniej mówiąc w te dni, gdy czuł się na siłach. Zastanawiał się, czy współpracownicy odczuwają jego brak. Nikt inny z całą pewnością nie zauważył jego nieobecności, może tylko z wyjątkiem sekretarki, którą potem przydzielił innemu prawnikowi. Portier pomógł mu wysiąść z taksówki. Jadąc do siebie, jak zwykle prowadził z windziarzem błądzą rozmowę o upałach, wyjątkowo wczesnych w tym roku, i o wynikach meczów baseballowych. Do mieszkania dotarł kompletnie wyczerpany. To śmieszne myśleć o tym teraz. Wkrótce wszystko się skończy... Wchodząc do saloniku rozplakał się. Bez żadnego powodu stanęła przed nim Solange... z jej ognistorudymi włosami i szmaragdowymi oczami... tak bardzo ją kochał dawno temu. Zastanawiał się, czy ją spotka po śmierci, jeśli w ogóle istniało życie po śmierci... jakieś niebo czy piekło, jak go uczono, gdy był małym chłopcem... Z zamkniętymi oczami usiadł ciężko na krześle. - Solange... - wyszeptał i łzy spłynęły mu po policzkach. Otworzył oczy w nagłym przypływie głębokiej rozpacz. Tak bardzo ją zawiódł, ją i Sama... Ich ukochane córki, rozproszone po świecie, nie wiadomo gdzie. On sam pozwolił, by zniknęły. On był temu winny. Mógł się nimi zaopiekować, gdyby tylko okazał choć odrobinę odwagi. Ale teraz było już za późno, o wiele za późno. Solange nie żyła od ponad trzydziestu lat... Sam także... a jednak Arthur wiedział już ponad wszelką wątpliwość, co musi zrobić. Została mu jeszcze tylko ta jedna sprawa do załatwienia. Musi je odnaleźć. W pokoju zrobiło się ciemno, a on wciąż siedział bez ruchu; wracając myślami do okopów pod Cassino, do dnia, w którym został ranny i Sam uratował mu życie... do wyzwolenia Paryża, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy. Nie było już powrotu. Nie można odwrócić tego, co się stało. Być może teraz już by to niczego nie zmieniło. Wiedział jedno: zanim umrze, musi je odszukać, musi im wytłumaczyć... połączyć je, chociaż ten jeden, ostatni raz. Ze strasliwym bólem w sercu przypomniał sobie tamten dzień, kiedy pojechał po Aleksandrę i Megan, a Hilary żałośnie błagała go, by ich nie zabierał. Przez wiele godzin płakał leżąc w łóżku; nie mógł zasnąć, rozmyślał o małych dziewczynkach i zastanawiał się, jak je odnaleźć i czy zdoła na czas. Mógł im zostawić tylko jedno, reszta to papiery

wartościowe. Ale ten dom w Connecticut może będzie znaczył coś dla nich. Kupił go dawno temu, by spędzać tam wakacje, i bardzo rzadko w nim bywał. Był to wielki, rozległy, wiktoriański dom. Lubił tam jeździć, ale trzymał go bardziej jako przystań na starość. A teraz nadchodził zmierzch jego życia i nie będzie miał czasu na życie emeryta, na spokojną pracę w ogrodzie i na długie spacery nad morzem. Lekarz powiedział, że jest za późno na operację. Rak rozprzestrzenił się, a Arthur był za słaby, by przetrzymać operację. Trudno ocenić, ile czasu mu pozostało. Prawdopodobnie trzy, może sześć miesięcy, ale może też znacznie mniej, jeśli choroba będzie szybko postępowała. O północy zażył środek nasenny, ale i tak zasnął dopiero wtedy, gdy już zrobiło się jasno. Spał nerwowo, śniąc o rozpaczliwej Hilary, gdy ją wtedy opuszczał. Przyciskał coś mocno do siebie, choć nie wiedział, co to było. Potem nagle twarz Hilary przeobraziła się w twarz jej matki i okazało się, że to Solange płakała w jego ramionach pytając, dlaczego ją zabił. Rozdział Xiv Następnego dnia Arthur Patterson opuścił biuro w południe. Zdecydował się pójść do pracy mimo zmęczenia, jakie odczuwał po nie przespanej nocy. O jedenastej spotkał się z jednym ze swoich współpracowników i dostał od niego nazwisko człowieka najlepszego w sprawach tego rodzaju. Nie podał żadnych powodów, a tamten o nic nie pytał. Zatelefonował osobiście i zdziwił się, gdy John Chapman usłyszawszy, że sprawa jest pilna, zgodził się spotkać z nim jeszcze tego samego dnia. Chapman naturalnie wiedział, kim jest Arthur Patterson, poza tym nie zdarzało się często, by współwłaściciel liczącej się firmy prawniczej dzwonił do niego osobiście, w dodatku z tak wyraźną rozpaczą w głosie. Powiedział, że zaraz po dwunastej może poświęcić mu godzinę. Arthur podziękował wylewnie i pośpiesznie opuścił biuro, klepiąc się po kieszeniach, by sprawdzić, czy ma swoje lekarstwa. Nie mógł już bez nich funkcjonować. - Czy wróci pan po lunchu, panie Patterson? - spytała sekretarka, gdy w pośpiechu przechodził koło jej biurka. Kaszlał głośno; ostatnio często mu się to zdarzało. - Nie sądzę - powiedział prawie niedosłyszalnie. Potrząsnęła głową patrząc, jak wsiada do windy. Wyglądał okropnie, poza tym był za stary, by przychodzić do pracy codziennie. Uważała, że ktoś powinien namówić go na przejście na emeryturę. Jazda taksówką trwała zaledwie kilka minut. Dobrze wyposażone biura Chapmana, usytuowane na Pięćdziesiątej Siódmej, na skrzyżowaniu z Piątą Aleją, zrobiły na Arthurze wrażenie. Szary budynek, choć mniejszy niż ten, który mieścił Brokawa, Millera i Pattersona, wyglądał przyzwoicie i był niezłe utrzymany. Chapman zajmował prawie całe piętro, a dyskretna tabliczka na drzwiach informowała po prostu: "John Chapman". Recepcjonistka poprosiła Arthura o podanie nazwiska. Pozostali ludzie czekali prawdopodobnie na współpracowników Chapmana. Większość z nich wyglądała na adwokatów. - Pan Chapman przyjmie pana od razu - powiedziała młoda kobieta i wprowadziła Arthura do środka. Biuro Chapmana, mieszczące się wysoko nad Pięćdziesiątą Siódmą ulicą, wyłożone było grubymi dywanami, jego umeblowanie zaś stanowiły angielskie antyki i, podobnie jak w biurze Arthura, regały pełne książek prawniczych. Przyjemnie było znaleźć się w tak znajomym otoczeniu. Początkowo Arthur obawiał się, że miejsce, gdzie wyznaczono mu spotkanie, będzie dość marne, z ulgą więc stwierdził, że tak nie jest. Drzwi otworzyły się, ukazując przystojnego blondyna w tweedowej marynarce i szarych spodniach. Mężczyzna miał żywe, szare oczy i wygląd absolwenta Princeton lub Harvardu. Tak zresztą było.

Studiował w obu tych uczelniach. Najpierw w Princeton, potem w Harvardzie, gdzie zrobił dyplom z prawa. - Pan Patterson? - Chapman, obszedłszy biurko, uściśnął rękę Arthura. Uderzyła go kruchość starego człowieka. Chociaż Arthur był wysoki i grał w szkole w piłkę nożną, przy tym młodszym o trzydzieści lat adwokacie wydawał się nieduży. - Proszę usiąść. - Z ciepłym uśmiechem na twarzy wskazał krzesło i sam usiadł obok Arthura. - Jestem panu bardzo wdzięczny... - Arthur zakaszał próbując złapać oddech - że tak szybko zechciał pan zobaczyć się ze mną. Ta sprawa jest bardzo pilna i obawiam się, że nie mam już wiele czasu. - Miał na myśli swoją chorobę, i taki sens temu zdaniu nadał kolejny atak kaszlu, ale John Chapman przyjął, że chodziło o termin sprawy sądowej. - Jestem pod wrażeniem faktu, że pan osobiście podjął się tej sprawy, sir. - Dziękuję panu. Chapman wiedział, jaką pozycję zajmuje Arthur, i zdziwiło go, że jeden z głównych wspólników firmy kontaktuje się osobiście z biurem detektywistycznym, bez względu na to, jak wielką sławą się cieszyło. John Chapman był w swoim fachu znakomitością na skalę krajową. Działał bardziej w stylu firmy adwokackiej niż zwyczajnego biura detektywistycznego, w czym niezwykle przydatne okazało się jego wykształcenie prawnicze. John wziął pióro i notes, by zrobić notatki dotyczące sprawy, z którą przyszedł do niego Arthur Patterson. - Proszę wyjaśnić cel swojej wizyty, a ja zorientuję się, w czym będziemy mogli być panu pomocni. - Jego spokój, profesjonalizm i bezbłędny akcent klas wyższych z jednej strony, z drugiej zaś bezpretensjonalność i niemal beztroska zaintrygowały Arthura. Dlaczego nie pracował z ojcem, który stał na czele najważniejszej firmy prawniczej w Bostonie? Dwaj bracia także byli wybitnymi adwokatami w Nowym Jorku. On jednak, zamiast pójść w ich ślady, wybrał tę niezwykłą karierę. Arthur nie miał teraz czasu, by się nad tym zastanawiać, choć było to niewątpliwie intrygujące. Musiał oszczędzać siły, by przedstawić swoją sprawę. - To sprawa... osobista. - Zacharczał i wypił łyk wody; którą Chapman spokojnie mu nalał. - Najwyższej wagi i niezwykle poufna. Proszę, by z nikim pan o niej nie rozmawiał. - Spojrzał ostro na młodego prawnika, ale w tym przypadku była to niepotrzebna strata czasu. - Nie mam zwyczaju z nikim omawiać spraw przez siebie prowadzonych, panie Patterson. Kropka. - Również, jeśli to możliwe, chciałbym, by pan zajął się tym osobiście. Jeden z moich współpracowników powiedział mi, że jest pan najlepszy w tej branży. Chciałbym wynająć właśnie pana, nikogo innego. Chapman ściągawszy usta, czekał na dalszy ciąg i na razie do niczego się nie zobowiązywał. - To zależy, czego dotyczy ta sprawa. Staram się angażować we wszystkie sprawy prowadzone przez nasze biuro w jak największym stopniu. - Chcę, by pan osobiście się tym zajął. I nie mamy wiele czasu. - Zakaszał i wypił następny łyk wody. - Ja umieram. Chapman przyglądał się Arthurowi ostrożnie, zaintrygowany. Stary człowiek trząśnięty z niecierpliwości. Kurczowo trzymał akta, które wyjął z teczki. Może chodziło o stary, nie rozwikłany przypadek, a teraz przed śmiercią postanowił go rozwiązać. Umierając ludzie robią różne dziwne rzeczy. - Lekarz sądzi, że będę żył trzy miesiące, niewykluczone, że sześć, choć może to także trwać znacznie krócej. Myślę, że trzy miesiące to najbardziej prawdopodobny termin. Pragnę odnaleźć trzy młode kobiety. - Chapman spojrzał na niego zdumiony. Dziwna chęć w przypadku starego człowieka, chyba że chodzi o jego córki. - To córki moich bliskich przyjaciół, którzy zmarli trzydzieści lat temu. Dwie z nich wkrótce potem adoptowano.

Trzecia pozostała u ciotki i wuja. Miały wtedy odpowiednio rok, pięć i dziewięć lat. Straciłem z nimi kontakt i nie wiem, gdzie teraz są. Wiem, kto adoptował młodsze dziewczynki, wiem też, że najstarsza wylądowała w Jacksonville na Florydzie, po czym dwadzieścia dwa lata temu przyjechała do Nowego Jorku. To wszystko, co wiem. W tej teczce zgromadziłem wszelkie informacje, łącznie z wycinkami prasowymi o ich rodzicach. Ich ojciec był bardzo znanym aktorem na Broadwayu. - Czy rodzice zginęli jednocześnie w wypadku? - Chapman zadał to pytanie z czystej ciekawości. Jak dotąd, historia była intrygująca. - Nie - Arthur z trudem zaczerpnął powietrza, opowiadał dalej. - On zabił ich matkę, i nikt nigdy nie dowiedział się, dlaczego to zrobił. Wiadomo jedynie, że wybuchła między nimi kłótnia, a on chyba wpadł w szał. Broniłem go w 1958. - Twarz Arthura jeszcze bardziej poszarzała. Chapman patrzył na niego zastanawiając się, dlaczego przyjął sprawę kryminalną. Musiało w tym wszystkim być jeszcze coś, o czym do tej pory nie wspomniał. - Został skazany i jeszcze tej samej nocy popełnił w celi samobójstwo. Usiłowałem umieścić wszystkie trzy dziewczynki w jednym domu. - Patterson sprawiał wrażenie, że za moment się załamie, i John Chapman współczuł mu z powodu tych najwyraźniej bolesnych wspomnień, którymi musiał dzielić się z nieznanym. Każdy adwokat czułby się odpowiedzialny... ale nie do tego stopnia by po trzydziestu latach szukać dzieci. A może czuł się winny? - Nikt jednak nie chciał przyjąć całej trójki. Dwóm młodszych znalazłem dwa różne domy, a najstarsza została u ciotki i wuja. - Nie wyznał, że sam rozważał możliwość wzięcia dzieci do siebie, i że nie zrobił tego, ponieważ pozwoliła mu żona. - Ostatnio znalazłem wzmiankę w gazecie o młodej kobiecie pracującej w $\$c\$b\$a$ - kontynuował - która nosi to samo imię i nazwisko co najstarsza z sióstr. Według mnie istnieje prawdopodobieństwo, że chodzi o tę samą osobę, ale równie dobrze może to być zbieg okoliczności. Włączyłem ten wycinek w moje akta i uważam, że powinien pan to sprawdzić. - Chapman skinął głową. Arthur przypomniał sobie, jak zaledwie kilka tygodni temu natrafił na ten artykuł w "Timesie" i modlił się, by była to Hilary Walker. Trzęsącymi rękoma wyjął wycięty przez siebie tekst i przyglądał się zdjęciu. Nie przypominało mu nikogo, ale to nic nie znaczyło. Fotografie w gazetach często nie oddawały podobieństwa. - Oto i cała historia, panie Chapman. Pragnę odszukać te młode kobiety. - Młode, może dla niego, pomyślał Chapman, ale na pewno całkiem dorosłe. Szybko policzył i wyszło mu, miały trzydzieści dziewięć, trzydzieści pięć i trzydzieści jeden lat. Nie będzie łatwo je znaleźć. Arthur zgodził się z nim. - Przybrani rodzice dwóch młodszych wyjechali stąd wiele lat temu i nie mam pojęcia, gdzie mogą być teraz. Mam nadzieję, że uda się panu je odnaleźć. - Ja również mam taką nadzieję. - Chapman wziął teczkę z dokumentami i patrząc poważnie na Arthura, spytał: - A gdy je odnajdę, co mam zrobić? - Najpierw chcę, by ustalił pan miejsca ich pobytu. Wtedy przyjdzie pan do mnie i powie mi o tym. Wówczas poproszę pana, aby powiedział im pan o ich pochodzeniu i o tym, że jestem starym przyjacielem rodziny, pragnącym połączyć znów trzy siostry. Jeśli to będzie możliwe, chciałbym, aby to spotkanie odbyło się w moim domu w Connecticut. Obawiam się, że nie jestem już w stanie podróżować... to one będą musiały do mnie przyjechać. - A jeśli odmówią? - To całkiem możliwe. Wszystko jest możliwe. Pracując siedemnaście lat w tym fachu Chapman widział już niejedno. - Musi je pan przekonać. - Mogą nawet nie pamiętać, że

miały siostry, w każdym razie dwie z nich. To może być dla nich duży szok. - Zastanawiał się, czy chodzi tu o jakiś duży spadek, ale nie chciał naciskać na Arthura. - Jestem im winien to ponowne połączenie. Z mojej winy zostały rozdzielone, gdyż nie potrafiłem znaleźć im jednego domu. Chcę mieć pewność, że nic im się nie stało, że niczego im nie brak. Przynajmniej tyle jestem dłużny ich rodzicom. Johna kusilo, by powiedzieć, że jest na to odrobinę za późno, ale nie chciał być niegrzeczny. Dla kobiet w ich wieku powody, dla których rozłączono je z siostrami, nie mogły mieć aż takiego znaczenia. Jeśli w ogóle pamiętały, że miały siostry. Nie do niego jednak należało kwestionowanie ostatniego życzenia Arthura Pattersona, który siedział przyglądając mu się z niemą rozpaczą. - Zrobi pan to? - wyszeptał niemal niedosłyszalnie. - Spróbuję. - Czy zajmie się pan tym osobiście? - W każdym razie większość spraw z tym związanych załatwię sam. Zanim podejmę ostateczną decyzję, chciałbym przeczytać te dokumenty. Być może mam detektywów w miejscach, które nas interesują, i oni mogliby wykonać tę pracę szybciej i lepiej, niż ja bym to zrobił. - Arthur skinął głową, to miało ręce i nogi. - Zapoznam się z zawartością teczek, jak będę mógł najszybciej, i zadzwonię do pana, by przekazać swoją ocenę sytuacji. Arthur był z nim wyjątkowo szczery. - Nie ma tam nic specjalnego, panie Chapman. Niewiele więcej, niż panu powiedziałem. - Nie szkodzi. Coś może mi się nagle nasunąć. - Dyskretnie spojrzął na zegar, wiszący nad lewym ramieniem Arthura. Było już prawie piętnaście po pierwszej, a bardzo nie chciał, by Sasha czekała na niego. - Zadzwonię do pana za dzień lub dwa. - Wstał, więc Arthur natychmiast również się podniósł. - Jestem panu głęboko zobowiązany, panie Chapman. - Nie ma za co, panie Patterson. Mam tylko nadzieję, że pan się nie rozczaruje. - Arthur pokiwał głową, zamyślony; nie brał w ogóle takiej możliwości pod uwagę. Chapman musi je odnaleźć. - Muszę też pana ostrzec, że to może być bardzo kosztowne przedsięwzięcie. - Arthur spojrzął na niego z obojętnym uśmiechem. - I tak nie mam już na co wydawać pieniędzy, prawda? Chapman uśmiechnął się. Niełatwo było znaleźć odpowiedź na takie pytanie, więc tylko odprowadził swojego gościa do drzwi, uściśnął mu dłoń i podziękował za przyjście, po czym pospieszył z powrotem do biura. Cienką teczkę z dokumentami zamknął w sejfie i już po chwili biegiem opuszczał biuro. Sasha go zabije. Rozdział Xv John Chapman wypadł z budynku swego biura na Pięćdziesiątej Siódmej i biegł na zachód, wzdłuż dwóch długich bloków, spoglądając na zegarek i łapiąc swoje odbicie w wystawach sklepów. Tiffany... J. Miller... Henri Bandel... trwało to całe wieki, a wiedział, jak bardzo nie cierpiała, gdy się spóźniał. Ale przecież nie mógł wyprosić Arthura Pattersona z biura. Był stary i umierający, poza tym Chapmana zainteresowała jego sprawa. Dobrze jednak wiedział, że Sasha tego nie zrozumie. Miała dwadzieścia osiem lat i składała się z samych mięśni. Każda uncja jej ciała była wyćwiczona do perfekcji. Blond włosy nosiła tak mocno ściśnięte do tyłu, że wyglądały jak namalowane na jej głowie. Zielone oczy były po słowiańsku lekko skośne, a usta ciągle nadaśnane, co go urzekło od momentu, gdy spotkał ją po raz pierwszy. Poznali się w domu wspólnego przyjaciela, miłośnika baletu, który pod niebiosą wynosił jej ogromny talent i nadzwyczajne zdolności okazywane już w dzieciństwie. Teraz, jako dorosła kobieta, była jeszcze bardzo niezwykła. Córka rosyjskich emigrantów, przez wiele lat uczyła się w Ballets Russes w Monte Carlo. Potem jako młoda dziewczyna poszła do Juillarda, gdzie

już w wieku kilkunastu lat stała się gwiazdą. Gdy skończyła lat dwadzieścia, zaproponowano jej miejsce w American Ballet Theatre. Mając dwadzieścia osiem lat nie była primabaleriną, ale dobrą tancerką, z solidnie ugruntowaną karierą, z której mogła być dumna. Nadzwyczaj bawiła ją zawiść okazywana sobie wzajemnie przez członków zespołu. Drażnił fakt, że nie jest primabaleriną, ale tak naprawdę była za niska, by stać się czymś więcej niż zwykłą tancerką zespołu baletowego. Pocieszała się, że jest bardzo dobra, i przypominała o tym Johnowi przy każdej okazji, nawet gdy skarżyła się na stopy lub jego spóźnienia. Chociaż była trudna we współżyciu, już od miesiąca John Chapman był nią oczarowany. Jej dyscyplina, profesjonalizm i talent, jej drobna twarz i stopy, które w tańcu zdawały się poruszać tak lekko, jakby niesione na motylich skrzydłach, jej ogromne zielone oczy... było w niej coś bardzo specjalnego. - Spóźniłeś się pół godziny. - Spojrzała na niego z wyrzutem znad filiżanki barszczu, kiedy w końcu bez tchu dobiegł do stolika w rosyjskiej herbaciarni. Przez ostatnie pięćdziesiąt lat kompletnie nic się tu nie zmieniło, poza tym oboje uwielbiali bliny z kawiozem. Lokal mieścił się niedaleko miejsca, gdzie miała próby, więc spotykali się tu przynajmniej sześć razy w tygodniu, na lunchu lub po próbie, a nawet późno w nocy po przedstawieniach, by coś szybko zjeść przed pójściem do jego mieszkania. W jej mieszkaniu na West Side, przy spacerowej uliczce, zawsze brudnej i pełnej przeciągów, które dzieliła z czterema innymi tancerkami, nie mogli nawet spokojnie porozmawiać, nie mówiąc już o kochaniu się. Zielone oczy Sashy patrzyły na niego z wyrzutem, gdy siadał tłumacząc się gęsto. - Miałam już zamiar wyjść. - Wyglądała jak rozszalone dziecko i kolejny raz uświadomił sobie, jak bardzo ją kocha. - Cieszę się, że tego nie zrobiłaś. - Delikatnie dotknął jej ręki i uśmiechnął się do znajomego kelnera. Był to stary Rosjanin, który zawsze gawędził z Sashą w jej rodzimym języku. Chociaż urodziła się w Paryżu, z rodzicami wciąż mówiła tylko po rosyjsku. - Byłam głodna. - Wbiła w niego bezlitosny wzrok. - To jedyny powód, dla którego czekałam. - Przepraszam. Miałem ważną sprawę. Szef poważnej firmy prawniczej potrzebował pomocy, nie mogłem wyrzucić go za drzwi. - Uśmiechnął się do niej pojednawczo zastanawiając się, ile czasu zabierze mu powrót do łask. Zwykle nie trwało to długo, wpadała w gniew łatwo i z byle powodu, ale to szybko mijało. - Przykro mi, kochanie. - Znów dotknął jej ręki; sprawiała wrażenie tylko w niewielkim stopniu ułagodzonej jego skrucą. - Miałam bardzo ciężki poranek. - Była rozdrażniona i piękniejsza niż kiedykolwiek. - Co się stało? - Wiedział, jak bardzo przejmowała się swoimi stopami, nogami i rękami. Niełatwo być tancerką. Naciągnięty mięsień, naderwane wiązadło i jej życie mogło zmienić się już na zawsze. - Próbowali wprowadzić nowego choreografa, jest okropny. Przy nim Balanchine wydaje się leniwy. Ten człowiek to szaleniec. Nie można tańczyć tak, jak on to sobie wyobraża. - Ty potrafisz. - Chapman uśmiechnął się do niej, pełen dumy. Uważał, że jest wspaniałą tancerką. Tym razem odwzajemniła uśmiech. Prawie mu wybaczyła. - Staram się. Ale myślę, że on próbuje nas wykończyć - westchnęła i dokończyła swój barszcz. Nie chciała przed próbą zbyt długo najadać, ale wciąż była głodna. John zamówił bliny i kusił ją, by także o nie poprosić, nie mogła jednak aż tak obciążać żołądka przed tańcem. - Może zjem sałatę. - Powiedziała coś kelnerowi po rosyjsku. Kelner skinął głową i zniknął, a ona opowiadała Johnowi o swych porannych zmartwieniach. Ani razu nie spytała o jego sprawę. Nigdy

tego nie robiła. Zawsze myślała wyłącznie o tańcu. - Masz próbę dziś wieczorem? - spytał patrząc na nią wyrozumiale. Był zgodnym człowiekiem i nie miał nic przeciwko temu, że ich życie kręciło się wokół jej pracy. Przyzwyczyił się do tego. Jego pierwsza żona była pisarką i przez siedem lat nie okazywał nawet śladu zniecierpliwienia, podczas gdy ona tworzyła książki, które wkrótce stawały się bestsellerami. Szanował ją jako kobietę i przyjaciela, ale ich związek nie przypominał małżeństwa. Dla Eloise najważniejsza była praca, mąż znajdował się na drugim miejscu. Miała naprawdę trudny charakter. Gdy rozpoczynała nową powieść, cały świat przestawał dla niej istnieć, od Johna zaś oczekiwała, że ochroni ją przed wszystkim, co mogłoby jej przeszkodzić. Dobrze się z tego wywiązywał aż do czasu, gdy zmęczyła go samotność u jej boku. Jedynymi przyjaciółmi Eloise były postacie, które wymyślała; każda stawała się dla niej realna. W trakcie pisania w ogóle z nim nie rozmawiała. Pracowała codziennie od ósmej rano do północy, a potem szła do łóżka, niema z wyczerpania. Rano znów to samo od początku. Nawet przy kawie nie odzywała się do niego, już pochłonięta swą książką. Małżeństwo z Eloise oznaczało wielką samotność. Pisała pod nazwiskiem Eloise Wharton. W okresach gdy przypadkiem nie pracowała nad żadną książką, była albo w poważnej depresji z tego powodu, albo nie było jej w domu, ponieważ promując ostatnią powieść odwiedzała trzydzieści miast w ciągu czterdziestu pięciu dni. Zanim poprosił ją o rozwód, wyliczył, że rozmawiali ze sobą coś około trzydziestu godzin rocznie; według niego było to o wiele za mało, by mógł się czuć szczęśliwy w małżeństwie. Kochali się nawzajem, ona jednak bardziej kochała swoją pracę. Nie był nawet pewny, czy dobrze zrozumiała, że ją opuszcza. Była właśnie pochłonięta nową książką, więc dawała mu bardzo wymijające odpowiedzi, powiedział zatem do widzenia i zamknął za sobą frontowe drzwi. Z ulgą odkrył, że będąc sam jest mniej samotny niż z nią. Mógł słuchać muzyki na swoim stereo, śpiewać gdy miał na to ochotę, i przyjmować przyjaciół, którzy hałasowali, ile dusza zapagnie. Spotykał się z kobietami. Życie było całkiem przyjemne. Żałował tylko, że nie mieli dzieci. Minęło już pięć lat od rozwodu z Eloise i dopiero teraz zaczął myśleć o ponownym założeniu rodziny. Ostatnio przemyślał o tym bardzo często. W odpowiedzi na jego pytanie Sasha skinęła twierdząco głową. - Mamy próbę do jedenastej. - Wciąż mówiła po angielsku jak cudzoziemka, choć nie miała jakiegoś specjalnego akcentu. - Czy mogę przyjść po ciebie? - Patrzył na nią z nadzieją, powtarzając sobie, że nie powieła tego samego błędu. Jego świat nie zamykał się na tańcu Sashy. Ona sama zresztą, tak energiczna i ekscytująca, miała w sobie o wiele więcej życia niż Eloise, która żyła w ciemnym pokoju, z jedyną lampką świecącą nad jej głową, nawiedzana przez wymyślone postacie. Po rozwodzie nie zmieniła niczego w swoim życiu. Odniosła tylko jeszcze większy sukces. Stała się jedną z najlepszych autorek powieści detektywistycznych w kraju, nową Agathą Christie, jak ją nazwał "New York Times", a "Publishers Weekly" zgodził się z tą opinią. Miała czterdzieści jeden lat i żyła w świecie fantazji. W przeciwieństwie do Sashy. - Dziękuję. Czekam przy tylnym wejściu do teatru o jedenastej dziesiątej. - Wiedział, że mówi serio. Była precyzyjna niczym chirurg. - Nie spóźnij się. - Zmarszczywszy czoło pogroziła mu z wdziękiem palcem. Uśmiechnął się i dotknął pod stolikiem jej kolana. - Nie spóźnię się. Nie pracuję dziś wieczorem. - Chciał tylko przeczytać dokumenty, które dostał od Arthura Pattersona,

ale to nie zabierze mu więcej niż godzinę. W gruncie rzeczy obawiał się, że nie znajdzie tam nic naprawdę ważnego. - Muszę tylko przejrzeć pewne dokumenty dotyczące nowej sprawy. - Żebyś się tylko zanadto nimi nie zainteresował. - Przybrała srogą minę. Już kiedyś tak się zdarzyło; spóźnił się wtedy o godzinę. Nie miała zamiaru tolerować takich rzeczy. Właściwie w ogóle nie będzie tolerować tego u nikogo. Nie musi... Jak mu ciągle przypominała, była prawdziwą artystką. - Chcesz, żebym cię odprowadził? - Spojrzał na nią z nadzieją, jak chcący się przypodobać uczeń. Było w nim coś, co urzekło wszystkie kobiety z nim związane, nawet Sashę, chociaż nigdy się do tego nie przyznała. Dotąd nie powiedziała mu, jak bardzo go kocha i jak dobrze się czuje w jego towarzystwie. Nie pozwalała jej na to duma, poza tym uważała, że on nie musi tego wiedzieć. - Za pięć minut mam się spotkać z kilkoma koleżankami na rogu. Do zobaczenia wieczorem. - Wstała, niewysoka i wspaniale wyprostowana. Jej plecy przypominały niezwykle piękną marmurową rzeźbę. Podniosła jedną brew. - Punktualnie, tak? - Jesteś tyranem. - Wstał, by ją pocałować. Odprowadził Sashę wzrokiem do drzwi, potem dopił herbatę i zapłacił rachunek. Coś w niej zawsze sprawiało, że czuł się onieśmielony i podekscytowany. Jakby ciągle pragnął więcej, jakby nigdy nie miał dość, jakby nie pozwalała mu osiąść się do końca. Czuł, że za każdym razem, gdy chciał się do niej zbliżyć, wymykała mu się. Sądził jednak, że to go również w niej pociągało. Lubił ją zdobywać. Właściwie wszystko mu się w niej podobało. Miała w sobie o wiele więcej życia niż Eloise i te niezliczone adwokatkę, z którymi chodził na randki po rozwodzie. Sasha była całkowicie inna. Wrócił do biura pieszo, tym razem znacznie wolniej. Szedł pogrążony w myślach, najpierw o Sashy, potem o Arthurze Pattersonie i trzech kobietach, które miał dla niego odszukać. Była to dziwna historia i zastanawiał się, czy Arthur opowiedział mu wszystko. Wydawało mu się, że w tej układance brakuje jakiejś części, może nawet kilku. Dlaczego Arthur chciał je odnaleźć? Jakie znaczenie może mieć ich spotkanie obecnie? Są dorosłymi kobietami, żyły zawsze oddzielnie, co może ich łączyć? I dlaczego Arthur Patterson tak bardzo czuł się winny? Co takiego zrobił, a raczej czego nie zrobił? Kim byli rodzice tych kobiet? W mózgu Johna kłębiły się wszystkie te pytania, gdy wracał do biura. Był dobry w tym zawodzie, ponieważ miał niesamowity talent do znajdowania brakujących elementów łamigłówek, potrafił znaleźć przysłowiową igłę w stogu siana. Odszukał ich już wiele, i w kilku sprawach był to moment decydujący. Najbardziej zdumiewające rezultaty osiągnął w dziedzinie prawa karnego; cenili go i szanowali wszyscy adwokaci i wszystkie sądy w kraju. Arthur Patterson trafił w dziesiątkę, ale John Chapman nie był pewny, czy uda mu się odnaleźć te kobiety. Wieczorem zabrał do domu dokumenty i siedział rozmyślając nad tą niewielką ilością informacji w nich zawartą. Arthur miał rację, właściwie nie było tam niczego, na czym mógłby się oprzeć. Tylko to, co opowiedział mu w trakcie spotkania. Teczka zawierała także wycinki prasowe z procesu, które John przeczytał najpierw, zaintrygowany niedopowiedzeniami w tej historii. Dlaczego, tak naprawdę, Sam Walker zabił swoją żonę? Czy zrobił to z premedytacją, jak sądzili niektórzy, czy też była to zbrodnia w afekcie? Co ta kobieta mu zrobiła i kim była? Te pytania nie dawały mu spokoju, choć w gruncie rzeczy nie musiał znać odpowiedzi na nie. Przeczytał kilka recenzji ze sztuk, w których grał Sam Walker, i przypomniał sobie, że jako mały chłopiec widział go raz na scenie. Zapamiętał jednak tylko tyle, że sztuka zrobiła na nim duże

wrażenie, a Walker był bardzo przystojnym mężczyzną. Nic więcej nie pamiętał. Była tam także notatka, napisana drżącą ręką Arthura, z której wynikało, że on i Sam Walker byli kumplami z wojska. Arthur podał w niej listę miejsc, gdzie razem walczyli, i opis ich pierwszego spotkania z Solange, podejrzanie liryczny jak na mężczyznę w jego wieku, w dodatku przez całe życie piszącego tylko dokumenty prawnicze. John zaczął zastanawiać się, czy nie tu przypadkiem leżała odpowiedź na jego pytania. Może Arthur ją kochał? A może nie miało to znaczenia. Fakty wciąż pozostawały takie same. Sam zabił z jakiegoś powodu Solange, i w ten sposób trójka ich dzieci stała się sierotami. Najstarszą zaopiekowali się krewni z Charleston w Massachusetts, Eileen i Jack Jonesowie. Arthur wiedział, że stamtąd przeprowadzili się do Jacksonville, ponieważ Hilary sama mu o tym powiedziała, kiedy w 1966 odwiedziła jego biuro pragnąc uzyskać adresy sióstr. W uwagach Arthur zanotował, że w trakcie tej wizyty nie okazywała nadmiernie przyjacielskich uczuć. Pisał też, że wspomniała coś o zakładzie dla nieletnich w Jacksonville, i John zastanowił się, czy jako młoda dziewczyna nie weszła przypadkiem w konflikt z prawem. Jeśli tak, mogło się jej to zdarzyć ponownie, a wtedy istniała możliwość odszukania jej poprzez rejestr skazanych. W takim wypadku sprawa byłaby znacznie łatwiejsza, szczególnie jeśli odsiadywała wyrok w jakimś więzieniu. Przynajmniej mógłby powiedzieć Pattersonowi, że ją odnalazł. Drugą adoptował jeden ze współników Arthura. Wkrótce potem zmarł i Bóg jeden wie, gdzie przebywa wdowa po nim i kogo poślubiła. To było skomplikowane zadanie. Będzie musiał zacząć od akt Gorhama w firmie zajmującej się spadkiem po nim i modlić się, by w ciągu ostatnich kilku lat kontaktowano się z wdową w sprawie powiernictwa lub innego zastarzałego szczegółu związanego z masą spadkową. Arthur, nie będąc członkiem zarządu powierniczego, nic na ten temat nie wiedział. I była jeszcze najmłodsza z sióstr. Praktycznie także zniknęła, lecz nie bez ostrzeżenia. Arthur powiedział mu, że David Abrams jasno postawił sprawę: nie chce, by Patterson utrzymywał kontakt z dziewczynką, gdyż oboje z żoną postanowili, że zaczną życie od początku, bez jakichkolwiek związków z przeszłością. Johnowi przyszło na myśl, czy nie był to powód ich przeprowadzki do Kaliforni, gdzie nikt nie domyślał się nawet, że dziecko zostało adoptowane. I to było już wszystko. Na dnie teczki znajdował się jeszcze jeden wycinek, o którym wspominał Arthur, ale John podzielał jego zdanie, że mimo zbieżności imienia i nazwiska istnieje bardzo mała szansa, iż jest to właśnie ta dziewczyna. Był to artykuł z "New York Timesa" o awansie Hilary Walker w \$c\$b\$a. Prawdopodobieństwo, że chodzi o tę samą osobę, było znikome. Arthur nie rozpoznał jej na zdjęciu, poza tym fakt, że znajdowała się dosłownie w zasięgu ręki, był zbyt piękny, by mógł być prawdziwy. Naturalnie sprawdzi to, ale z pewnością jest to jakaś inna Hilary Walker. Nie było nic poza tym. Usiadłszy z powrotem na krześle rozmyślał o wszystkich trzech siostrach, o tym, jak je odnaleźć i od czego zacząć. Tryby zostały wprawione w ruch. I wtedy nagle spojrzął na zegarek. - Psiakrew... - wymamrotał do samego siebie. Było już po pół do jedenastej. Złapał marynarkę wiszącą na oparciu krzesła i pośpiesznie zbiegł po schodach z brązowego kamienia. Zajmował najwyższe piętro pięknego domu na Wschodniej Sześćdziesiątej Dziewiątej. Miał szczęście, że złapał taksówkę prawie natychmiast, ale z trudnością udało mu się dotrzeć na czas do tylnego wejścia do teatru,

ponieważ o tej porze ludzie wychodzili z przedstawień i na jezdni panował duży ruch. Sasha pojawiła się dokładnie dziesięć po jedenastej; wiedział, że tak będzie. Wyglądała na zmęczoną. Była w dzinsach i tenisówkach, a w rękę trzymała torbę z kostiumem do tańca. - Jak było? - Ich spotkaniem towarzyszyło napięcie przypominające atmosferę poważnej operacji chirurgicznej, podobnie zresztą było, gdy Eloise zmagala się z trudnymi elementami w tworzonej przez siebie intrydze. Jednak to z Sashą było bardziej ekscytujące. - Okropnie. - Za dobrze ją znał, by uwierzyć. Objął dziewczynę opiekuńczo ramieniem i wziął od niej torbę. - Za wiele od siebie wymagasz, malutka. - Była tak drobna, że zawsze miał ochotę ją ochraniać, zresztą opiekuńczość była cechą jego natury. - Nie, naprawdę było strasznie. Stopy okropnie mnie bolały. Jutro będzie padać, zawsze mnie bolą przed deszczem... - John nauczył się już, że stopy tancerki stanowią nieustanne źródło cierpienia i ciągly temat rozmów. - Rozmasuję je zaraz po powrocie do domu - obiecał, gdy wsiadali do taksówki, która miała zawieźć ich na Wschodnią Sześćdziesiątą Dziewiątą. W mieszkaniu było cicho i spokojnie. Dom zamieszkiwało jeszcze dwoje innych lokatorów. Jeden z nich, lekarz, młodszy od Johna, bywał tu niezmiernie rzadko, bo kiedy nie miał dyżuru na oddziale położniczym w New York Hospital, przemieszczał z różnymi kobietami. Trzecim lokatorem była kobieta, pracująca w \$i\$b\$m, która podróżowała osiem do dziesięciu miesięcy w roku. Tak więc większość czasu John przebywał w domu sam. Okna jego mieszkania wychodziły na mały ogródek przed domem i większe ogrody domów miejskich na Sześćdziesiątej Ósmej. - Chcesz drinka? - zapytał wychylając głowę z utrzymanej w doskonałym porządku kuchni. - Tylko herbatę, dziękuję. - Z westchnieniem usiadła na kanapie i wyciągnęła ręce, plecy i nogi. Nigdy niczego nie gotowała w jego kuchence. Nigdy nawet nie przyszło jej do głowy, by robić takie rzeczy. John zawsze wszystko przygotowywał. Po paru minutach wyłonił się z kuchni niosąc herbatę w szklance, bo tak właśnie lubiła ją pić. Była to stara rosyjska tradycja, którą polubił, i w tym celu kupił specjalne szklane naczynia. Z taką samą biegłością przygotowywał zakąski dla Eloise, gdy pracowała, ale ona w rewanżu, w czasie gdy skończyła jedną książkę, a nie zaczęła następnej, gotowała mu wspaniałe obiady. Uwielbiała piec ciasta i miała prawdziwy talent do francuskiej kuchni. W przeciwieństwie do Sashy, która uważała, iż afrontem dla niej jako artystki byłoby przygotowanie choćby grzanki. - Czy przyjdiesz jutro na przedstawienie? - spytała wyciągając wolno spinki z włosów, które zaczęły opadać pasmami poniżej ramion. John popatrzył na nią z żalem. Nie chciał jej teraz przypominać o swoich obowiązkach. Wiedział, że ile razy to robił, zawsze wybuchała między nimi awantura. Złościło ją, gdy gdzieś wyjeżdżał. Oczekiwała, że będzie na każde zawołanie. A jutro po południu musi lecieć do Bostonu. - Na weekend wyjeżdżam na Cape Cod, Sash. Mówiłem ci o tym kilka tygodni temu, ale pewnie zapomniałaś. Są urodziny mojej matki. Próbowaliśmy się z tego wyplątać, ale naprawdę nie mogłem. Kończy siedemdziesiąt lat, to dla niej ważny dzień. - Będą obaj jego bracia z żonami i dziećmi. Zawsze czuł się trochę nie na miejscu, gdy jechał do rodziców sam, bez towarzystwa mogącego dać świadectwo latom małżeństwa lub jego rozlicznym romansom. Wszystko, co mieli jego bracia, było namacalne i rzeczywiste, żony, noszące zaręczynowe pierścionki z diamentami lub szafirami i otrzymujące prezenty z okazji kolejnych rocznic ślubu, dzieci, które obcierały sobie

kolana i którym wypadały mleczone zęby. W przypadku najstarszego bratanka był to nawet dyplom wyższej uczelni. To będzie długi weekend, ale także niezła zabawa. Bardzo lubił swych braci, z których jeden był od niego starszy, drugi zaś młodszy. Jego bratowe były trochę sztywne, za to dzieciaki wspaniałe. Nie było nawet mowy, by mógł zabrać Sashę. Mimo że miał już tyle lat, rodzice mieliby mu za złe, że na uroczystość rodzinną przywozi jakąś dziewczynę. - Wrócę do domu w niedzielę. - Nie trudź się. - Wyprostowała plecy i z wdziękiem opuściła stopy na podłogę. - W niedzielę po południu mam próbę. Poza tym nie interesują mnie okruchy ze stołu twoich rodziców. - Sprawiała wrażenie głęboko znieważonej, mimo to nie mógł powstrzymać śmiechu słysząc, jakie słowa wybrała. Jej angielszczyzna była wciąż bardzo cudzoziemska. - Czy tym właśnie jestem, Sash, okruchem? - Było bardziej niż oczywiste, że tak właśnie uważała. - Nie rozumiem, czemu twoja rodzina jest taka święta. Poznałeś moich rodziców, ciotkę, babcię. Czy twoi rodzice są lepsi od moich? Nie zaakceptują mnie, bo jestem tancerką? - Mówiła jak typowa Rosjanka i wyglądała niezwykle dramatycznie, chodząc po pokoju z rozwianymi włosami, dłońmi wetkniętymi w tylne kieszenie dżinsów i drobnym ciałem napiętym z emocji. - Są po prostu bardzo kameralni. - I bardzo bostońscy. Pisarka była dla nich wystarczająco trudnym problemem, tancerka doprowadziłaby matkę do szału. Matka żywiła racjonalny szacunek do sztuki, ale wołała ją na scenie, a nie w sypialni syna. - Nie rozumieją takich związków jak nasz. - Ja także nie. Jesteśmy razem czy nie? - Stała przed nim jak czarujący elf, czarujący, ale zarazem bardzo rozgniewany. Czuli się odsunięta od rodziny, której nigdy jej nie przedstawił, i choć tego nie powiedział, zdawał sobie sprawę z ich dezaprobaty. - Naturalnie, że jesteśmy razem. Ale oni nie uznają takich rzeczy, dopóki nie jest się małżeństwem lub przynajmniej narzeczeństwem. - A to ona się opierała, nie widziała potrzeby ostatecznej deklaracji. - Według nich jesteśmy niemoralni? - Może. Wolą o tym nie myśleć. Nie chcą stawiać czoła takim faktom. A ja, ich syn, muszę to uszanować. Są już starzy, Sash. Matka w sobotę skończy siedemdziesiąt lat, ojciec ma siedemdziesiąt dziewięć. Trochę za późno, by zmuszać ich do akceptowania nowoczesnych układów. - To śmieszne. - Przeszła jak burza po mieszkaniu, a potem stanęła w drzwiach kuchni nie spuszczać z niego wzroku. - Gdybyś choć trochę był mężczyzną, zabrałbyś mnie ze sobą i zmusił ich do uznania tego, że istnieję w twoim życiu. - Raczej zaproszę ich na twój występ następnym razem, gdy tu przyjadą. To będzie lepszy sposób na poznanie was, nie sądzisz? - Sasha zastanawiała się nad jego słowami, od nowa miotając się po pokoju, tylko trochę ułagodzona, a potem usiadła na kanapie i zaczęła zakładać tenisówki. Wiedział, że to zły znak. Zawsze w takich wypadkach jak tornado opuszczała jego mieszkanie o drugiej nad ranem i wracała do siebie. - Co robisz? - Idę do domu. Tam, gdzie moje miejsce. - Spojrzała na niego ze złością, a on tylko westchnął. Nie cierpiał scen, ona zaś uwielbiała, stanowiły jakby część jej sztuki. - Nie bądź niemądra. - Wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia, które pod jego palcami zdawało się być twarde jak skała. - Oboje mamy w życiu jakieś prywatne sprawy. Ty swoją pracę, przyjaciół z baletu, próby. Ja też mam pracę i jeszcze kilka innych zobowiązań. - Nie chcę tego słuchać. Prawda jest taka, panie Chapman - wstała i obserwując go bacznie, przerzuciła torbę przez ramię - że jesteś snobem i obawiasz się, by twoi rodzice nie doszli do wniosku, że nie jestem

wystarczająco dobra dla ciebie. I wiesz co? Nic mnie to nie obchodzi. Możesz sobie mieć swój "Mayflower" i Plymouth Rock, i swój Boston. Nie muszę być w kronice towarzyskiej, bo i tak pewnego dnia znajdę się w Who's Who. A jeśli to za mało... - zrobiła gest, który wszystko to w sobie zawierał i wyniośle podeszła do drzwi. Po raz pierwszy John nie próbował jej zatrzymać. Wiedział, że do niedzieli jej emocje ostygną, a nic by nie pomogło, gdyby teraz zdecydował się nie jechać. - Przykro mi, że tak to odbierasz, Sash. - W odpowiedzi zatrasnęła za sobą drzwi, a on z westchnieniem usiadł na krześle. Czasem była tak niewiarygodnie dziecinna. I tak skoncentrowana wyłącznie na sobie. Starał się o tym nie myśleć, ale ani razu nie zapytała o jego nową sprawę. Dostrzegając jego życie tylko wtedy, jeśli z jakiegoś powodu coś ją wprawiało w furję. Zgasił światło w salonie i poszedł do sypialni, nie odnosząc nawet szklanki do zlewu. Sprzątaczką może zrobić to rano. Leżąc w łóżku myślał o jej oskarżeniach... że jest snobem... że jego rodzice nie zaakceptowałyby jej. W pewnym sensie miała rację. Jego rodziców Sasha Riva na pewno by nie oczarowała. Myśleliby, że jest ograniczona, niezwykle trudna we współżyciu, że nie posiada odpowiedniego wykształcenia, i że ma małą wiedzę. I fakt, iż nie pochodzi z "towarzystwa, miałyby dla nich znaczenie. Jemu nie robiło to większej różnicy, ale wiedział, że dla nich było to ważne. Eloise to inna sprawa. Nigdy nie zgadzała się z jego matką, a bratowe uważała za straszne nudziary, ale pochodziła z bardzo dobrej rodziny i była absolwentką Yale summa cum laude. Nie można było znaleźć najmniejszej skazy w pochodzeniu czy wykształceniu Eloise. Była inteligentna i niezwykle błyskotliwa, co zresztą nie czyniło z niej dobrej żony, wręcz przeciwnie. Co prawda Sasha też nie rokowała większych nadziei. Myślał, żeby zadzwonić do niej, gdy już prawdopodobnie dotrze do domu, ale był zbyt zmęczony, by ją ścigać, by budzić jej współmieszkanek i błagać o przebaczenie tylko dlatego, że wyjeżdżał na Cape Cod odwiedzić matkę. Zamiast tego wtulił głowę w poduszkę i zasnął. Obudził go dopiero budzik. Wziął prysznic i ogolił się, zrobił sobie kawę i wyszedł do pracy. Czytając w metrze gazetę trafił na wzmiankę o tym, że Eloise wydała nowy bestseller. To dobrze. Książki były jedyną radością w jej życiu i wiedział, jak bardzo była wtedy szczęśliwa. Czasami jej zazdrościł. Chciałby móc tak zatopić się, obsesyjnie pogrążyć w tym, co robi, by już nie miało znaczenia, co poza tym dzieje się w jego życiu. Kochał swoją pracę, ale od życia wymagał znacznie więcej. Jak dotąd, nie udało mu się tego osiągnąć. Dlatego między innymi sprawa Pattersona wprawiała go w takie podniecenie, jakiego od dawna już nie odczuwał w związku ze swoją pracą. Zafascynowała go. Chciał rozpocząć od odnalezienia najstarszej z sióstr, Hilary. W jakiś sposób prześladowała go; Bóg jeden wie, co przytrafiło się jej od czasu, gdy Arthur zostawił ją w Charlestown. Z tego, co powiedziała w trakcie wizyty w biurze Arthura, wiedział, że wylądowała w poprawczaku w Jacksonville na Florydzie. Jednak ani on, ani Arthur nie mieli pojęcia, dlaczego i kiedy to się stało. Może zresztą nie było to ważne. Jej dalsze losy także były zagadką, gdy już nie skontaktowała się z Arthurem. Po prostu zniknęła. A potem był już tylko ten artykuł w "New York Timesie" o kobiecie o nazwisku Hilary Walker. Ale czy była to ta sama kobieta? Wydawało mu się to bardzo mało prawdopodobne. John zjawił się w biurze już przed dziewiątą. Miał wiele do zrobienia przed wyjazdem na weekend. Chciał załatwić coś związanego ze sprawą Pattersona, zadzwonić do Hilary Walker, o której mówił

wycinek prasowy. Pewnie nie była tą kobietą, o którą mu chodziło, ale warto było spróbować. Nie mógł zignorować tego śladu. Może po prostu była tu cały czas, tuż pod nosem, pracując w \$c\$b\$a, jedna z najważniejszych osób poważnej sieci telewizyjnej. Spojrzał na zegarek. Było piętnaście po dziesiątej. Zatelefonował do informacji, a potem wykręcił numer, który mu podano. - Proszę z Hilary Walker. - W ustach zaschło mu ze zdenerwowania. Sam był zdziwiony swoim zaangażowaniem w sprawę Pattersona. Odezwała się sekretarka i znów poprosił o połączenie z Hilary Walker. - Czy mogę jej przekazać pana nazwisko? - zapytał głos w słuchawce. - John Chapman z firmy Chapman i Spółka. Pani Walker mnie nie zna. Sprawa jest dość pilna. Czy byłaby pani uprzejma jej to przekazać? - Proszę chwilę poczekać. - Sekretarka nic nie obiecywała. Zadzwoiła do Hilary przez telefon wewnętrzny. Hilary nie miała pojęcia, kim jest John Chapman i czego od niej chce. O dziesiątej miała prowadzić spotkanie związane z realizacją ważnego programu i nie chciała tracić czasu na rozmowy z jakimiś dziwnymi facetami. - Spytaj, czy mogę później sama do niego zadzwonić - powiedziała, zaraz jednak zmieniła zdanie. - Och, w porządku, teraz z nim porozmawiam. - Przycisnęła świecący się guzik i powiedziała swym chłodnym, głębokim głosem: - Tak? Tu Hilary Walker. - Przez chwilę John miał dziwne wrażenie, że słyszy głos swej matki. Poza nią nie spotkał dotąd żadnej kobiety o takim głosie, szybko jednak zmuszony był przejść do rzeczy. Bez względu na to, czy jego rozmówczyni była tą Hilary Walker, o którą mu chodziło, czy nie, była niewątpliwie kobietą bardzo zajęta. - Dziękuję, że zechciała pani ze mną porozmawiać. Doceniam to. Biorąc pod uwagę pani ograniczony czas, chciałbym od razu przedstawić swoją sprawę. Nazywam się John Chapman i jestem szefem firmy Chapman i Spółka. Poszukuję kobiety o nazwisku Hilary Walker. Jej ojciec miał na imię Sam, a matka Solange. Mieszkała w Bostonie u małżeństwa o nazwisku Jones. Jack i Eileen Jones. Czy to pani? - Dobrze, że nie mógł zobaczyć jej twarzy, która w jednej chwili przybrała barwę kredowobiałą. Hilary drżała od stóp do głów przytrzymując się jedną ręką biurka. Jej głos jednak nie zdradzał niczego. - Nie, to nie ja. A o co w tym wszystkim chodzi? - Instynkt kazał jej w pierwszej chwili zaprzeczyć, ale musiała dowiedzieć się, dlaczego jej szukają. Czy to z powodu jej sióstr? Ale to nie miało już znaczenia. Tak dawno zniknęły z jej życia, pewnie nawet jej nie pamiętają. Już wiele lat temu zrezygnowała z poszukiwań. Miała tylko swoją pracę. Bardziej prawdopodobne było to, że szukał jej Patterson. Stary drań. - To część śledztwa prowadzonego na zlecenie klienta. Miał nadzieję odnaleźć pannę Walker, o której pani mówiłem. W "Timesie" i w "Wall Street Journal" zobaczył artykuły pani poświęcone i miał nadzieję, że może pani jest tą osobą, której szuka. Niestety, myliliśmy się; przykro mi, że panią fatygowałem. - Poznał po głosie, że to nie ona. Jakoś by się przecież zdradziła. Musiał przyznać, że był rozzarowany. - Bardzo mi przykro, że nie mogę być w niczym pomocna, panie Chapman. - Mówiła chłodnym, lecz zarazem łagodnym tonem. Jego śledztwo zdecydowanie nie robiło na niej żadnego wrażenia. Byłoby za proste, gdyby okazała się tą właśnie Hilary Walker. - Dziękuję, że zechciała mi pani poświęcić tyle czasu, panno Walker. - Nie ma za co. - Przy tych słowach odłożyła słuchawkę, więc on też spokojnie odwiesił swoją. Nie wiedział, że zadał cios, nie mógł zobaczyć kobiety, która na drugim końcu miasta siedziała za swoim biurkiem, blada i roztrzęsiona. Czula

się tak, jakby zadzwonił do niej duch. Była pewna, że to ten stary drań, Arthur, jej poszukuje, i wiedziała, że zrobi wszystko, by jej nigdy nie odnalazł. Nie miała żadnego powodu, by wyciągać do niego rękę i uspokajać jego sumienie. Nigdy nic nie zrobił ani dla niej, ani dla jej sióstr. Do diabła z nim. Do diabła z Chapmanem. I z nimi wszystkimi. Nikogo nie potrzebuje. O dziesiątej wyszła na zebranie i przez resztę dnia ścinała głowy swoich współpracowników. Wychodziła z zebrania, wciąż roztrzęsiona, podobnie jak większość jego uczestników. Zwolniła trzech kierowników produkcji, a pozostałym zagroziła tym samym. Była bezlitosna, słynęła zresztą z tego. Może tylko po telefonie Chapmana zachowywała się bardziej surowo niż zwykle. Rozdział XVII John Chapman siedział w swoim biurze, z rozczarowaniem patrząc w przestrzeń. Kobieta z artykułu nie była tą Hilary Walker, o którą im chodziło... jemu chodziło... Westchnął głęboko i schował wycinek z powrotem do teczki, zrobiwszy na nim uprzednio notatkę. Później będzie musiał zadzwonić do Pattersona, by go o tym powiadomić. Teraz jednak dwóch jego wspólników chciało z nim porozmawiać. Trzy z największych spraw, jakie prowadzili, właśnie wchodziły na wokandę, w dużej mierze dzięki nim. Stanowiło to nagrodę za ich sumienną pracę. W południe John, spojrzawszy na zegarek, podjął decyzję. Większość ważnych spraw już załatwił, reszta może poczekać do poniedziałku. Rodzice oczekiwali go dopiero wieczorem. Gdyby udało mu się złapać lot z La Guardii o drugiej, byłby w Bostonie o trzeciej i mógłby wpaść do Charlestown w drodze do rodziców. Byłby u nich i tak wcześniej, a chciał sprawdzić, czy uda mu się dowiedzieć czegoś o Hilary Walker. W gruncie rzeczy wiedział już tyle, że mógł pojechać prosto do Jacksonville, ale lubił być dokładny w swoich poszukiwaniach. Wizyta w Charlestown mogła też pomóc w poszukiwaniu pozostałych. W każdym razie warto było tam pojechać. Powiedział sekretarce, gdzie ma go szukać w razie potrzeby, i pojechał taksówką do swego mieszkania. W dziesięć minut spakował torbę. Dokładnie wiedział, co będzie mu potrzebne w czasie weekendu z rodziną. O pierwszej był już w drodze na La Guardię. Kupił bilet i dziesięć po trzeciej był na lotnisku w Bostonie. Tam wynajął samochód i w Charlestown znalazł się pół godziny później. Sprawdził w teczce, czy dobrze zapamiętał adres, i skuliwszy się wewnątrz, ruszył ulicami Charlestown. Była to jedna z tych dzielnic, które, brzydkie czterdzieści lat temu, takie pozostały. Inne dzielnice miały więcej szczęścia; w ostatnich latach ludzie, czujący sentyment do miasta swego zamieszkania, przeprowadzili remonty, ale nie należała do nich ulica, przy której w dzieciństwie mieszkała Hilary. I jeśli te domy wtedy wyglądały strasznie, teraz ich stan jeszcze się pogorszył. Były brudne, zrujnowane, z odpadającą farbą; niektóre kompletnie się rozpadały, a inne zabite były deskami. Tu i ówdzie na dachach widniały znaki mówiące, że te budynki władze miejskie przeznaczyły do rozbiórki. John niemal widział szczury, czekające tylko nocy, by wyjść z ukrycia. To miejsce było straszne, a dom przed którym się zatrzymał, był jednym z najgorszych. Postać chwilę na chodniku, by dobrze mu się przyjrzeć. Chwasty rosnące na podwórku sięgały ramienia, a w powietrzu unosił się silny odór odpadów. Drzwi frontowe ledwo trzymały się na zawiasach. Z niepokojem wszedł po frontowych schodach, omijając dwa pęknięte, by uniknąć upadku, i głośno zapukał do drzwi. Dzwonek wisiał na sznurku i najwyraźniej był zepsuty. Chociaż słyszał w środku jakieś hałasy, przez dłuższy czas nikt nie podchodził do drzwi. W końcu otworzyła je

stara, bezzębna kobieta. Patrzyła na niego zmieszana, w końcu spytała, o co mu chodzi. - Szukam Eileen i Jacka Jonesów. Mieszkali tu, dawno temu: Czy pani ich znała? - Mówił głośno, na wypadek, gdyby była głucha. Wydawała się jednak nie tyle głucha, co głupia. - Nigdy o nich nie słyszałam. Niech pan spyta Charliego, po drugiej stronie ulicy. Mieszka tu od wojny. Może ich znał. - Dziękuję pani. - Rzut oka do środka wystarczył Johnowi, by stwierdzić, jak przynębiający ponad wszelkie wyobrażenia był ten dom. Miał jedynie nadzieję, że nie było aż tak źle wtedy, gdy mieszkała tu Hilary z siostrami. Trudno jednak było to sobie wyobrazić. Teraz były to slumsy, ale chyba przedtem także nie było tu lepiej. - Dziękuję pani bardzo - powiedział z miłym uśmiechem, a ona zatrzasnęła mu drzwi przed nosem, nie dlatego, że była na niego zła, ale dlatego, że nie znała innego sposobu ich zamykania. Wyszedł na ulicę i rozejrzał się wkoło, myśląc, czy nie powinien porozmawiać z innymi mieszkańcami. Najpierw jednak poszedł do wskazanego przez kobietę domu. Zastanawiał się, czy zastanie tam kogoś o czwartej po południu w piątek, ale na werandzie bujał się w fotelu stary człowiek, prawdopodobnie ten, którego nazywała "Charliem". Palił fajkę przemawiając do kundla wyciągniętego obok. - Cześć. - Wydawał się przyjacielski i uśmiechem powitał Johna wchodzącego po schodkach. - Cześć. Czy pan jest Charlie? - spytał John uśmiechając się miło. Był w tym bardzo dobry w czasach, gdy wykonywał pracę detektywa. Teraz zza swojego biurka na Pięćdziesiątej Czwartej decydował o wszystkich posunięciach, ale z przyjemnością poczuł ten dreszczyk emocji towarzyszący pracy detektywa. Próbował kiedyś wyjaśnić Sashy, jak bardzo to lubił, ale nie mogła go zrozumieć. Dla niej w życiu liczył się tylko taniec, Centrum Lincolna i próby. Nic poza tym nie było ważne. Czasami nawet zastanawiał się, czy on sam w jakimś stopniu liczył się w jej życiu. - Tak, jestem Charlie - odpowiedział stary człowiek. - A kim pan jest? John wyciągnął rękę. - Nazywam się John Chapman. Szukam ludzi, którzy mieszkali tu dawno temu. W tamtym domu - wskazał ruchem ręki. - Eileen i Jack Jonesowie. Czy przypadkiem pan ich sobie nie przypomina? - Zawsze był uprzejmy, przyjacielski, na luzie, taki facet, co to każdy chce z nim rozmawiać. - Pewnie, że pamiętam. Załatwiłem raz Jackowi robotę. Nie zagrzał tam długo miejsca, jak zwykle. Pił jak skurczybyk, ona także. Słyszałem, że to ją w końcu zabiło. - John skinął głową, jakby dobrze o tym wiedział. Należało to do tego fachu. - Pracowałem w stoczni. Było to cholernie dobre miejsce w czasie wojny. Miałem kategorię 4F, ponieważ w dzieciństwie chorowałem na reumatyzm. Całą wojnę spędziłem tutaj, blisko domu, z żoną i dziećmi. Może to niepatriotyczne, ale miałem szczęście. - Miał pan wtedy dzieci, prawda? - John spojrzał na niego z zainteresowaniem. - Teraz już wszystkie są dorosłe. - Charlie bujał się na fotelu przygryzając fajkę, a w jego oczach pojawił się smutek. - Nie ma już mojej żony. W lecie będzie czternaście lat, jak umarła. Była dobrą kobietą. - John znów skinął głową, pozwalając staremu człowiekowi na te dygresje. - Moi chłopcy odwiedzają mnie od czasu do czasu, jak mają wolną chwilę. Córka mieszka w Chicago. Pojechałem do niej w zeszłym roku na Boże Narodzenie. Zimno tam sakramenckie. Ma sześcioro dzieci. Jej mąż jest kaznodzieją. - Była to interesująca historia i John słuchał jej głaskając psa. - Czy pamięta pan trzy małe dziewczynki, które zamieszkały u Jonesów trzydzieści lat temu... mniej więcej o tej porze roku. Latem pięćdziesiątego ósmego, mówiąc dokładnie. Trzy małe dziewczynki. Jedna

miała około dziewięciu lat, druga pięć, a najmłodsza była prawie rocznym niemowlęciem. - Nie... chyba nic takiego nie pamiętam. Jack i Eileen nigdy nie mieli dzieci, tak naprawdę to nie byli mili ludzie. Pewnej nocy chciałem już wezwać do nich gliny. Myślałem, że ją zabije. - Z jego opowieści wynikało, że była to dobrana para, nic tylko powierzyć im trójkę dzieci. - To były dzieci jej brata. Spędziły tu tylko tamto lato, ale jedna z nich została... - Zawiesił głos w nadziei, że poruszy pamięć starego człowieka. Raptem Charlie spojrział na Johna z nagłym błyskiem w oczach, marszcząc przy tym brwi i celując fajką prosto w jego twarz. - Teraz, gdy pan mówi to wszystko, przypominam sobie... jakaś okropna historia... on zabił swoją żonę i osierocił trzy małe dziewczynki. Widziałem je tylko raz czy dwa, ale pamiętam, że Ruth, moja żona, mówiła o nich. Twierdziła, że były bardzo ładne i że Eileen okropnie je traktowała, że to była zbrodnia zostawiać z nią te dzieci. Zagłodziła je prawie na śmierć. Ruth parę razy zaniósła im coś na kolację, ale była pewna, że Jack i Eileen zjedli wszystko sami, nie dając nic dzieciom. Nie wiem, co się z nimi stało, wkrótce potem wyjechały. Eileen rozchorowała się i gdzieś się przenieśli. Do Arizony chyba... może do Kaliforni... gdzieś w ciepłe strony. Ale i tak umarła. Jeśli o mnie chodzi, to sądzę, że zapisała się na śmierć. Nie mam pojęcia, co stało się z tymi dziewczynkami, myślę, że Jack musiał się nimi zająć. - Tylko jedną z nich. Dwie pozostałe wyjechały jeszcze tego samego lata. Jonesowie zatrzymali jedynie najstarszą. - Ruth by wiedziała, ja szybko zapominam. - Charlie odchylił się głęboko do tyłu na swym fotelu, jakby przypominając sobie nie tylko Jacka i Eileen. To wszystko działo się tak dawno, jeszcze żyła jego żona. Cofanie się w tak odległą przeszłość przynosiło słodcz połączoną z goryczą. Zdawało się, że zapomniał o obecności Johna i bujał się w swoim fotelu, zatopiony w myślach. John usłyszał już to, po co przyjechał. Nie były to informacje niezbędne dla jego śledztwa, stanowiły jednak małą część tej łamigłówki. Przynajmniej częściowo tłumaczyły, dlaczego Arthur czuł się winny. Musiał zdawać sobie sprawę, jakimi strasznymi ludźmi byli Jonesowie, a jednak przywiózł tu dzieci... a potem zostawił u nich Hilary, co oznaczało, że świadomie oddał ją w ich ręce. John nie był w stanie tak naprawdę wyobrazić sobie, jak wyglądało jej życie w domu po drugiej stronie ulicy z ludźmi opisanymi mu przez Charliego. Na samą myśl o tym zazdrzał. - Czy sądzi pan, że jeszcze ktoś tutaj mógłby ich pamiętać? - spytał. Charlie potrząsnął głową, wciąż pogrążony we wspomnieniach, po czym spojrzawszy na Johna, odpowiedział: - Nikt nie mieszka tu tak długo jak ja. Pozostali mieszkają dziesięć, piętnaście lat, albo jeszcze krócej. Zostają tu rok czy dwa, a potem przenoszą się gdzie indziej. - Łatwo było zrozumieć powody. - Mój najstarszy chłopak chce mnie wziąć do siebie, ale mnie tu jest dobrze. Tu mieszkałem z jego matką... i tu umrę... - powiedział filozoficznie. - Nie ruszę się stąd. - Dziękuję panu za pomoc. Wiele mi pan wyjaśnił. - Uśmiechnął się do Charliego, który po raz pierwszy spojrział na niego z zaciekawieniem. - Dlaczego chce pan odnaleźć Eileen i Jacka? Czy ktoś im zostawił pieniądze? - Nawet jemu wydawało się to mało prawdopodobne, choć pomysł był intrygujący. John szybko pokręcił głową. - Nie. Chodzi mi o te dziewczynki. Przyjaciel ich rodziców pragnie je odszukać. - Upłynęło cholernie dużo czasu. Trudno odnaleźć kogoś, z kim tak dawno straciło się kontakt. - John wiedział aż nazbyt dobrze, że Charlie ma rację. - Dlatego właśnie tak bardzo mi pan pomógł. Układam obraz z okrucich ludzkich wspomnień, a

czasem mam szczęście, jak w przypadku pana. Dziękuję, Charlie. - Uściskał starego człowieka, a ten na pożegnanie pomachał mu fajką. - Dobrze panu płacą za taką robotę? Mnie to przypomina wyprawę z motyką na słońce. - Czasem tak to wygląda. - Poprzednie pytanie pozostawił bez odpowiedzi. Schodząc ze schodków werandy pomachał Charliemu i wrócił do samochodu. Już sama jazda tą ulicą była przygnębiająca; czuł na sobie oczy Hilary, jakby to on był człowiekiem, który ją tu zostawił. Nie potrafił zrozumieć, jak Patterson mógł to zrobić. Do domu rodziców dotarł po niecałej godzinie. Okazało się, że starszy brat już tam był. Zastał go na tarasie, popijającego dzin z tonikiem w towarzystwie ojca. - Cześć, tato. Wspaniale wyglądasz. - Starszy pan wyglądał raczej na sześćdziesiąt niż swoje osiemdziesiąt lat. Głos mu nie drżał i wciąż miał całkiem bujną czuprynę. Miał też takie same długie, chude nogi jak syn. John szybko przemierzył taras, by uściskać ojca. - Jak się ma moja czarna owca? - Zawsze droczyli się z nim, chociaż byli z niego dumni. Odniósł sukces, był atrakcyjny i wiódł interesujące życie. Rodzice żalowali jedynie, że rozwiódł się z Eloise. Mieli nadzieję, że ich małżeństwo przetrwa i doczekają się dzieci. - Unikasz kłopotów? - Jeśli mam na to szansę. Cześć, Charles. - Uściskał rękę brata i obaj wymienili uśmiechy. Mimo istniejącego między nimi dystansu John lubił Charlesa, który był współnikiem w poważnej firmie prawniczej w Nowym Jorku i świetnie sobie radził. Miał czterdzieści sześć lat, atrakcyjną żonę, zajmującą się pracą społeczną, trójkę bardzo udanych dzieci i był ekspertem w dziedzinie prawa międzynarodowego. Według kryteriów obowiązujących w rodzinie Johna Charles osiągnął najwięcej. John jednak nie mógł pozbyć się wrażenia, że czegoś w tym wszystkim brakuje, może odrobiny ekscytacji, a może fantazji. W tym momencie na tarasie pojawiła się Leslie, żona Charlesa. Wyszła z domu z teściową, która na widok Johna wydała okrzyk zachwytu. - Przyjechał syn marnotrawny - powiedziała swym matowym głosem, mocno go przytulając. W wieku siedemdziesięciu lat była przystojną kobietą. Prostą, Inianą sukienkę nosiła z wrodzoną elegancją. Włosy miała związane w elegancki węzeł, na szyi sznur pereł, który dostała od męża w dniu ślubu. Na palcach nosiła pierścionki, które jej rodzina miała od pięciu pokoleń. - Ależ wspaniale wyglądasz! Co ostatnio porabiasz? - Zacząłem właśnie nowe dochodzenie. Po drodze do was wykonałem niewielką pracę. - Była zadowolona. Dobrze się czuła w towarzystwie swoich synów. Przystojni i elegancy, byli tak do siebie niepodobni... Kochała ich wszystkich, ale w skrytości ducha zawsze większym uczuciem darzyła Johna. - Słyszałam, że bardzo interesujesz się baletem - powiedziała chłodno Leslie, sącząc Krwawą Mary. Miała w sobie jakąś małostkowość, która zawsze drażniła Johna, choć ku jego zdumieniu, nikt poza nim tego nie zauważał. Była jedną z tych kobiet, które miały wszystko i powinny się tym cieszyć: dwie śliczne córki, czarującego syna, przystojnego i świetnie prosperującego męża, a jednak zawsze zazdrościła wszystkim wszystkiego, zwłaszcza Johnowi. Nie opuszczało jej wrażenie, że jakoś lepiej sobie radził niż Charles, i bardzo ją to denerwowało. - Nie wiedziałam, że lubisz taniec, John. - Nigdy nic nie wiadomo, prawda? - Uśmiechnął się dyplomatycznie, zdziwiony, że wie o Sashy, a potem pomyślał z wewnętrznym rozbawieniem, że może była na randce z kochankiem w Herbaciarni Rosyjskiej. Po niedługim czasie przyjechał Filip z żoną, córką i synem, bardzo opalony po wakacjach w Europie. Mieszkał z rodziną w Connecticut i był

zagorzałym tenisistą. Jego żona, piegowata blondynka o niebieskich oczach, wyglądała jak mała dziewczynka. Pobrali się jeszcze w college'u. Oboje mieli po trzydzieści osiem lat; jego żona wygrała wszystkie turnieje tenisowe w Greenwich. Wszyscy stanowili doprawdy doskonałą rodzinę i tylko John zawsze trochę odbiegał od tego wzoru. Nigdy nie robił tego, czego się po nim spodziewano. Przywiezienie tu Sashy skomplikowałoby wszystko jeszcze bardziej. Już Eloise była dla nich wystarczająco trudna do zniesienia. Kiedy wpadała w towarzyski nastrój, zachowywała się wspaniale, ale kiedy nie miała ochoty na przebywanie z ludźmi, zabierała maszynę do pisania i pracowała aż do lunchu, czym doprowadzała Leslie do szału i bardzo martwiła matkę, sądzącą, że synowa nie bawi się u nich dobrze. Eloise z pewnością nie miała łatwego charakteru, ale Sasha, ze swymi trykotami i obcisłymi do przesady džinsami, napadami opryskliwości i prowokującym zachowaniem, bez wątpienia by ich zaszokowała. Na myśl o niej John uśmiechnął się do siebie, wpatrując się w ocean. - Co cię tak cieszy, braciszku? - Filip poklepał go po plecach, a John zapytał o podróż do Europy. Najgorsze było to, że wszyscy oni byli bardzo miłymi ludźmi, kochał ich, tyle tylko, że śmiertelnie przy nich się nudził i zawsze w niedzielę po południu z ulgą jechał na lotnisko. Czuł się winny z powodu tych myśli, ale wszyscy w rodzinie prowadzili takie normalne, zwykłe życie. Pod koniec weekendu zawsze miał wrażenie, że do nich nie pasuje. Ale przynajmniej matka była szczęśliwa. Każdy z synów wybrał dla niej coś specjalnego na prezent, a to było dla niej najważniejsze. Od Johna dostała piękną, staroświecką, diamentową szpilkę i pasującą do niej bransoletkę; wiedział, że matka uwielbia takie cacka. Charles podarował jej akcje, co John uznał za dziwny prezent, choć ona wydawała się zachwycona. Filip dał jej coś, co, jak powiedziała, zawsze chciała mieć, ale nigdy sobie nie kupiła. W poniedziałek dostarczono jej do domu ogromne pianino. Było to bardzo w stylu Filipa i John pomyślał, że to wspaniały prezent, żałując przy tym, że sam na to nie wpadł. Ale matka była chyba zadowolona ze szpilki i bransoletki. Na lotnisku zwrócił wynajęty samochód i złapał połączenie do Nowego Jorku. Samolot wypełniał tłum wracających z weekendu. O ósmej był już u siebie i robiąc kanapkę przeglądał raz jeszcze teczkę Arthura Pattersona. Nadal nie wiedział nic ponad to, co powiedział mu Patterson, poza tym że poznał warunki, w jakich zostawił Hilary. Wiedział natomiast dokładnie, co będzie robił następnego dnia. Trudno powiedzieć, by Sasha wpadła w zachwyty, gdy oznajmił jej to wieczorem. - Co? Znowu wyjeżdżasz? - Była wściekła. - O co chodzi tym razem? John próbował ułagodzić ją, jak tylko umiał najlepiej. Popęlnił jednak błąd mówiąc jej o tym, gdy mieli pójść do łóżka, co stwierdził poniewczasie. Wciąż miał nadzieję, że będą się kochać tej nocy. Nie robili tego od wielu dni; z Sashą trzeba było trafić na odpowiedni moment: gdy nie była zmęczona (miała bardzo delikatne mięśnie) i gdy następnego dnia nie występowała. Zwabienie jej do łóżka było prawdziwym wyczynem i nie zamierzał zepsuć tego, co już osiągnął, z powodu śledztwa dla Pattersona. - Mówiłem ci już, kochanie, dostałem dużą sprawę i prowadzę ją osobiście. - Myślałam, że jesteś szefem. Czymś w rodzaju choreografa. - Skinął głową uśmiechając się na to porównanie. - Owszem, jestem. Ale ta sprawa jest wyjątkowa... Zgodziłem się w miarę możliwości wykonać pracę wywiadowcy sam. To wyjątkowej wagi sprawa dla mojego klienta. - Czego dotyczy? - spojrzała na niego podejrzliwie, wyciągając się na łóżku. - Poszukuję

trzech dziewczynek, właściwie trzech kobiet. Trzydzieści lat temu stracił z nimi kontakt, a teraz musi je odnaleźć. Jest umierający. - Nie mógł powiedzieć nic więcej, już naruszył zaufanie Pattersona, ale pragnął wzniecić w Sashy zarówno zainteresowanie swoją pracą, jak i odrobinę uległości. - Czy chodzi o jego córki? - Zaprzeczył ruchem głowy, jednocześnie rozpinając jej bluzkę. - Były żony? - Znow zaprzeczył. - Przyjaciółki? - Uśmiechnął się i zaprzeczył kolejny raz. - Kim więc są? - To siostry. - I są na Florydzie? - Pomyślała, że cała ta historia jest bardzo nudna. - Jedna z nich była, dawno temu. Już na wstępie muszę się cofać. Myślałem, że mam ją tu blisko, w Nowym Jorku, ale okazało się, że nie. Więc teraz wracam do samego początku. - Jak długo cię nie będzie? - Kilka dni. Powinienem wrócić w piątek. Moglibyśmy spędzić miły weekend. - To niemożliwe. Mam próby. - Nie można zaprzeczyć, jej rozkład zajęć nie zawsze był łatwy do zaakceptowania. - W porządku, weźmiemy to pod uwagę. - Był do tego przyzwyczajony. - Jesteś pewien, że nie jedziesz na Florydę po prostu na wakacje? - Chyba nie. Znam kilka innych miejsc, gdzie wolałbym pojechać, i to z tobą, moja śliczna. - Prześlizgnął się przez łóżko, chwycił ją z nienacką i pocałował, a ona tym razem roześmiała się. Pozwoliła mu się rozebrać i oplotła jego ciało swymi muskularnymi nogami w sposób, który go szalenie podniecał. Gdy zaczęli się kochać, nagle wymknęła się z jego objęć. Przestraszył się, że zrobił jej krzywdę. Spojrzał na nią, pełen pożądania, i zapytał ochrypłym głosem: - Nic ci się nie stało? Pokręciła głową, wciąż zaniepokojona. - Czy wiesz, co mogłabym sobie zrobić w tej pozycji? - W przyływie podniecenia szybko jednak o tym zapomniała. Ale zawsze myślała o sobie, swoim tańcu, mięśniach, stopach, swoim ciele. - Kocham cię, Sash - szeptał, gdy już po wszystkich uniesieniach leżała w jego ramionach. Była dziwnie cicha. Wpatrywała się w przeciwległą ścianę i sprawiała wrażenie zmartwionej. - O co chodzi, kochanie? - Ten skurwysyn wrzeszczał dziś na mnie przez całe popołudnie, tak jakbym robiła coś źle, a wiem, że tak nie było. - Taniec był jej obsesją i przez chwilę poczuł się tym przygnębiony. Już raz przez to przeszedł, tylko wtedy chodziło o cholerne postaci z książek jego żony i intrygi, z którymi nie zawsze umiała sobie poradzić. Takie kobiety były strasznie męczące. Pragnął, by Sasha była inna, by jej na nim zależało, lecz gdy pozwalał sobie na szczerą wobec siebie samego, wcale nie był pewny, że tak było. Nie wiedział nawet, czy była do tego zdolna. Bez reszty pochłaniała ją własna osoba. Nie zauważyła jego nieobecności, gdy poszedł do kuchni po coś do picia. Dłuższą chwilę siedział w ciemności na kanapie zastanawiając się, czy kiedykolwiek znajdzie kobietę, której będzie na nim zależało, która zainteresuje się jego pracą, życiem, przyjaciółmi, potrzebami, i znajdzie przyjemność w dzieleniu z nim życia. - Co ty tu robisz? - Stała w drzwiach, jej sylwetka rysowała się wdzięcznie w świetle księżycy, a głos był zaledwie szeptem w ciemnościach pokoju. Nie mogła dostrzec smutku, z jakim się jej przyglądał. - Rozmyślam. - O czym? - Usiadła obok niego i przez moment zdawało się, że zależy jej na nim, ale zaraz spojrzała na swoje stopy i jęknęła. - Boże, powinnam znow pójść do lekarza. - Dlaczego? - Bołą mnie cały czas. - Czy kiedykolwiek myślałaś o tym, by rzucić taniec, Sash? Spojrzała na niego, jakby oszalał. - Zwariowałaś? Gdyby mi powiedziano, że nie mogę już tańczyć, popełniłabym samobójstwo. - Wiedział, że mówiła to poważnie. - A co z dziećmi? Nie chcesz mieć dzieci? - Już dawno powinien był zadać jej te pytania, ale niełatwo było odwrócić choćby

na chwilę jej uwagę od tańca. - Może kiedyś, w przyszłości. - Brzmiało to wymijająco. Eloise mówiła tak samo. Do czasu, gdy skończyła trzydzieści sześć lat i zdecydowawszy, że dzieci zbyt by jej przeszkadzały w robieniu kariery, podwiązała sobie jajowody wykorzystując jego nieobecność. Może miała rację, była znacznie szczęśliwsza sama. - Czasem, gdy coś odkładasz, to "później" nigdy się nie zdarza. - To znaczy, że tak miało być. Nie potrzebuję dzieci, by się realizować - powiedziała z dumą. - A czego potrzebujesz, Sash? Czy mąż jest ci potrzebny? - A może wystarczył jej balet? To było podstawowe pytanie. - Nigdy nie przyszło mi do głowy, że jestem już tak stara, by martwić się zamążpójściem. - Powiedziała to szczerze, patrząc na niego w świetle księżycy. On jednak miał już czterdzieści dwa lata i od jakiegoś czasu myślał o wszystkich tych sprawach. Nie chciał do końca życia być sam. Chciał kochać i być kochanym, nie tylko w przerwach między kolejnymi powieściami lub próbami i występami baletu. - Masz dwadzieścia osiem lat. Powinnas zacząć myśleć o przyszłości. - Myślę o niej codziennie, a ten stary maniak krzyczy na mnie. - Mam na myśli prawdziwe życie, nie karierę zawodową. - Ale to jest moje prawdziwe życie. - Dokładnie tego się obawiał. - A gdzie w tym wszystkim jest moje miejsce? - Wyglądało to na noc prawdziwej szczerości i nie był pewien, czy dobrze zrobił, zaczynając tę rozmowę. Ale teraz nie miał już odwrotu. Prędzej czy później i tak musieliby zacząć mówić o czymś innym niż jej stopy i próby. - To zależy wyłącznie od ciebie. W tej chwili nie mogę dać ci nic więcej. Jeśli ci to wystarcza, to wspaniale. Jeśli nie... - wzruszyła ramionami. Przynajmniej była szczerą. Zastanawiał się, czy byłby w stanie zmienić jej sposób myślenia, czy udałoby mu się nakłonić ją, by za niego wyszła i miała dzieci. Nie, to szaleństwo znów robić to samo. Miał chyba niezwykłą skłonność do podejmowania wyzwań i do beznadziejnych przypadków. - Powinieneś kiedyś spróbować zdobyć Everest - powiedział mu pewnego razu jego młodszy brat - zmniejszyłoby to napięcie, w jakim żyjesz. - Widział Saszę dwukrotnie i uważał, że John oszalał. - Czy chcesz, bym została na noc? - spytała go. Ona sama bardzo chętnie wróciłaby do siebie. Nie miała nic przeciwko chaosowi panującemu w jej mieszkaniu na West Side, ani ośmiu milionom współlokatorek i czternastu milionom toreb z kostiumami baletowymi. - Chciałbym, żebyś została. - Tak naprawdę chciał znacznie więcej. O wiele więcej, niż mogła mu dać, i teraz zaczynał to rozumieć. - Wobec tego idę się położyć. - Wstała jakby nigdy nic i poszła do sypialni. - Mam jutro wcześniej próbę. - A on leciał do Jacksonville. Chciał znów się z nią kochać, ale gdy położył się obok niej, powiedziała, że jest za bardzo zmęczona i że bołą ją mięśnie. Rozdział XVIII Lot do Jacksonville był krótki, ale Chapmanowi starczyło czasu na przeczytanie części dokumentów. Podpisał pół tuzina papierów, które musiał najpierw przestudiować, ale jego myśli wciąż wracały do Hilary i życia, jakie przyszło jej wieść z Eileen i Jackiem, zgodnie z tym co opowiedział mu stary człowiek z Charlestown. W Jacksonville pierwsze kroki skierował do zakładu dla nieletnich. Zapytał o biuro głównego administratora i wyjaśnił cel swojego śledztwa. Nie było w zwyczaju, by w wypadkach takich jak ten udostępniać akta, ale minęło już tyle czasu, i ówczesna nastolatka była dzisiaj trzydziestodwuletnią kobietą. Nikomu nie może wyrządzić krzywdy cofanie się tak daleko w przeszłość, poza tym John zapewnił ich o swej całkowitej dyskrecji. Niezbędny był podpis sędziego sądu dla nieletnich; Johnowi powiedziano, by zgłosił się

następnego dnia rano. Wynajął więc pokój w położonym w centrum motelu i trochę powłóczył się po mieście, a potem przewertował książkę telefoniczną. Znalazł pięciu Jacków Jonesów i zdecydował od razu do nich zatelefonować. Trzech z nich było Murzynami, u czwartego nikt nie odpowiadał, ale piąty powiedział mu, że jego ojciec wychował się w Bostonie i że wydaje mu się, że ojciec, zanim ożenił się z jego matką, był żonaty z kobietą o imieniu Eileen, która dawno temu zmarła. Powiedział także, że ma osiemnaście lat; ojciec umarł przed dziesięcioma laty na marskość wątroby. Chętnie zgodził się na opowiadanie tego, co wie. John spytał, czy on lub może matka wiedzą, gdzie ojciec mieszkał, powiedzmy, dwadzieścia pięć lat temu. Odpowiedź okazała się zaskakująco prosta. - Zawsze mieszkał w tym samym domu. Dalej tu mieszkamy. Zainteresowanie Chapmana wzrosło natychmiast i spytał, czy mógłby przyjechać, by się z nim zobaczyć. - Oczywiście - chłopak podał swój adres. John, już bez specjalnego zdziwienia, odkrył, że sąsiedztwo przypominało Charlestown. Taka sama zrujnowana i brudna dzielnica, położona w pobliżu stoczni. Tę w Jacksonville zamieszkiwali głównie czarni. Ulice pełne były młodych motocyklistów, co denerwowało Chapmana. Było to nieprzyjemne miejsce i prawdopodobnie, jak Charlestown, przed laty wyglądało podobnie. Jack Jones junior czekał na niego przy motocyklu zaparkowanym na podwórzu przed domem. Wizyta Chapmana najwyraźniej sprawiła, że poczuł się kimś ważnym. Opowiedział mu krótko o swoim ojcu, pokazał parę zdjęć, a potem zaprosił do domu, by poznać go z matką. Wewnątrz panował straszliwy fetor starego moczu i alkoholu, a brud wskazywał na to, że chyba nigdy tam nie sprzątno. Dom był zapuszczony ponad wszelkie wyobrażenie, a kobieta, którą Jack junior przedstawił jako swoją matkę, niezwykle żalosna. Musiała nie mieć jeszcze pięćdziesięciu lat, ale wyglądała o trzydzieści starzej. Nie miała ani jednego zęba. John nie potrafił powiedzieć, czy jej zniechęcenie jest wynikiem nadużywania alkoholu, czy też choroby. Z niewyraźnym uśmiechem wlepiała wzrok w przestrzeń nad głową Johna. Nie pamiętała kompletnie niczego na temat bratanicy poprzedniej żony Jacka, a syn, jak mógł, próbował ją jakoś usprawiedliwić. Kilkakrotnie John odniósł wrażenie, że nie bardzo wiedziała, kim jest jej własny syn. Kiedy w końcu doszedł do wniosku, że niczego więcej od nich się nie dowie, i zaczął zbierać się do wyjścia, Jack zasugerował mu, żeby porozmawiał z sąsiadami. Mieszkali tu od lat i znali Jacka seniora w czasach, gdy był mężem Eileen. John, podziękowawszy mu za pomoc, zapukał do drzwi sąsiadów. Starsza kobieta ostrożnie podeszła do szklanych drzwi. - Tak? - Czy mógłbym prosić panią o chwilę rozmowy? - Od lat już tego nie robił i nagle przypomniał sobie, jak trudno zdobyć zaufanie ludzi. W pamięci stanęły mu te wszystkie nieprzyjemne sytuacje, kiedy zatrząskiwano mu drzwi przed nosem. - Jest pan gliną? - padło znajome pytanie. - Nie, nie jestem. Poszukuję kobiety o nazwisku Hilary Walker. Mieszkała tu jako mała dziewczynka, dawno temu. Czy orientuje się pani, gdzie obecnie przebywa? Kobieta potrząsnęła głową; sprawiała wrażenie, jakby chciała przejrzeć Johna na wylot. - Czego pan od niej chce? - Przyjaciel jej rodziców pragnie ją odszukać. - Powinien był to zrobić dwadzieścia pięć lat temu. Biedna mała... - Znów potrząsnęła głową, przywołując na pamięć tamte zdarzenia, a John wiedział już, że trafił w dziesiątkę. Nadal rozmawiała z nim przez zamknięte drzwi, ale już po chwili drzwi się otwały. Kobieta miała na sobie

podomkę i kapcie; przypatrywała mu się uważnie, ale wciąż nie zapraszała do środka. - Ten jej tak zwany wujek pobił ją tak, że omal nie umarła. Wyczołgała się z domu podczas ulewy i prawie że wyzionęła ducha na moim progu. Zabraliśmy ją z mężem do szpitala i ledwo z tego wyszła. Mówiono, że próbował ją zgwałcić. - Czy wniesiono przeciw niemu oskarżenie? - Chapman przyglądał się kobiecie przerażony. Cała ta historia zaczynała coraz gorzej wyglądać. Życie Hilary było prawdziwym koszmarem. Kobieta jednak zaprzeczyła ruchem głowy. - Była zbyt przerażona... mała Hillie. Przez tyle lat całkiem o niej zapomniałam. - Co się z nią stało później? - Była u kilku zastępczych rodzin, w końcu, jak mi się zdaje, została w poprawczaku. Pojechaliśmy ją odwiedzić, chyba dwukrotnie, ale tak jakoś... czegoś tej dziewczynie brakowało. Naturalnie, nie można jej było za to winić. Nie cieszyła się z niczych wizyt. - Po tym, co usłyszał, rozumiał to doskonale. - Dziękuję pani. Bardzo pani dziękuję. - Więc dlatego przebywała w zakładzie dla nieletnich; powodem nie był konflikt z prawem. A może w końcu i do tego doszło, tak czasem bywało. Ale nie w jej przypadku. Następnego dnia z samego rana wręczono mu dokumenty. Sędzia podpisał nakaz bez najmniejszych problemów. Teczka Hilary Walker nie zawierała żadnych sensacyjnych informacji. Dziewczynka była przykładną uczennicą, nie stwarzającą państwu problemów. Wcześniej przebywała w dwóch domach zastępczych; adresy tych domów także dołączone były do akt. Następne trzy lata spędziła w zakładzie, nie przysparzając żadnych kłopotów. Po ukończeniu szkoły średniej otrzymała dwieście osiemdziesiąt siedem dolarów i w pięć dni później wyjechała. Nigdy więcej o niej nie słyszano. Jej teczka była bardzo cienka, a jedyne informacje na temat jej osobowości zawarte były w raportach kuratorów. Wynikało z nich, że była zamknięta w sobie, nie miała żadnych przyjaciół i że nie stwarzała żadnych kłopotów dyscyplinarnych. Kuratorzy, którzy ją znali, dawno już odeszli i John był prawie pewien, że obydwa domy zastępcze także już nie istnieją, ale na wszelki wypadek postanowił to sprawdzić. Pod pierwszym adresem kobieta, prowadząca wówczas ten dom, wciąż jeszcze, o dziwo, żyła. Sądziła, że pamięta Hilary, chociaż nie była całkiem pewna. - To chyba ta wyniosła i nieprzystępna. Nie została tu długo. Nie pamiętam, jak pracowała. Usychała z tęsknoty, więc zabrali ją z powrotem do zakładu. Niczego więcej sobie nie przypominam. To mu wystarczyło. Szorstkie słowa kobiety na temat innych dziewczynek i ten dom mówiły same za siebie. Następny, w którym Hilary przebywała, został zburzony dawno temu, ponieważ wybudowano tam nowe osiedle. Nic dziwnego, że kobieta z \$c\$b\$a nic o tej Hilary, przebywającej kiedyś w takich miejscach, nie wiedziała. Dziewczyna zniknęła, Bóg jeden wie gdzie, by skończyć swoje życie w takiej samej nędzy i nieszczęściu, jakie było jej udziałem od początku lub raczej na jakie została skazana w ósmym roku życia, kiedy ojciec zabił matkę i później popełnił samobójstwo. Niewątpliwie duży udział miał w tym najlepszy przyjaciel jej rodziców, który zwyczajnie porzucił ją na pastwę losu i rozłączył z siostrami. John uważał, że w pewnym sensie Patterson wydał Hilary na rzeź. Nietrudno było zrozumieć, dlaczego dwadzieścia dwa lata temu przyszła do jego biura, by dać upust swojej nienawiści. Pytanie tylko, dokąd stamtąd poszła. Nie pozostawiła żadnego śladu, żadnej wskazówki, gdzie można by jej szukać. W jakim punkcie powinno się rozpocząć poszukiwanie dziewczyny, która zaznała tyle bólu i cierpienia w tak młodym wieku? Szukał jej w rejestrach skazanych różnych

stanów i poprzez \$f\$b\$fi. Bezskutecznie, co oczywiście nic nie znaczyło. Mogła przecież zmienić nazwisko, kilkakrotnie wyjść za mąż, mogła zrobić wiele rzeczy. W ciągu tych dwudziestu dwu lat mogła także umrzeć. Ale John przyrzekł sobie, że jeśli wciąż jest w Nowym Jorku, odnajdzie ją. Wyjeżdżał z Jacksonville bez żalu, z uczuciem ulgi, że opuszcza to wilgotne i nędzne miejsce. Mógł sobie wyobrazić, jak czuła się Hilary jadąc do Nowego Jorku, by odnaleźć siostry, a znalazła tam tylko Pattersona. Jakież musiało to być dla niej gorzkie rozczarowanie. Do domu dotarł w czwartek wieczorem. Zaraz po przyjeździe zostawił wiadomość na automatycznej sekretarce Sashy. Wiedział, że to wieczór jej wielkiego występu, ale wrócił do domu dopiero o dziesiątej, kompletnie wyczerpany. Następnego dnia zatelefonował z biura do Arthura Pattersona, by przedstawić mu wyniki swoich poczynań. Z drugiej strony zapadła długa, smutna cisza. John Chapman nie mógł zobaczyć łez spływających po policzkach Pattersona. - Ślad się urywa na wizycie w pańskim biurze. Nie mam pojęcia, dokąd poszła, ale pracuję nad tym. - Dał już jednemu ze swoich asystentów listę miejsc do sprawdzenia; były to szkoły, szpitale, agencje zatrudnienia, schroniska młodzieżowe i hotele, przy czym należało cofnąć się w przeszłość aż do 1966 roku. Zadanie było ogromne, ale istniała szansa, że gdzieś może pojawić się jakiś ślad, i wówczas mieliby punkt zaczepienia. Równocześnie John zamierzał rozpocząć poszukiwania Aleksandry. - W poniedziałek muszę odwiedzić pana w biurze. Chciałbym przestudiować dokumenty dotyczące majątku George'a Gorhama, a także sprawdzić, czy kontaktowano się z wdową po nim. Arthur skinął głową i otarł łzy, wywołane historią Hilary. John Chapman niewątpliwie cechował się dokładnością. Poznanie losu Hilary było strasznym przeżyciem... ale skąd mógł wiedzieć? Gdyby tylko... w tym momencie złapał go silny atak kaszlu, i w końcu musiał odłożyć słuchawkę. John Chapman wrócił do pracy. Po tygodniu spędzonym na Florydzie na biurku czekała na niego góra akt, został więc w biurze aż do wpół do ósmej. Po drodze do domu wstąpił na hamburgera do Auto Pubu. Gdy dotarł do swego mieszkania o dziewiątej, powitał go dzwonek telefonu. To była Sasha. - Gdzie się podziewałeś cały wieczór? - W jej głosie pobrzmiwały podejrzliwość i gniew. - Byłem w biurze. A potem, zanim wróciłem do domu, poszedłem coś zjeść. A jak pani się miewa, panno Riva? - Zaczęła rozmowę bez żadnych wstępów, nie zapytała go, jak się czuje, poza tym przez cały tydzień nie zatelefonowała do niego na Florydę, chociaż zostawił jej na taśmie swój numer telefonu. Wiedział jednak, że była zajęta próbami. - Czuję się dobrze. Myślałam, że wczoraj uszkodziłam sobie ścięgno, ale dzięki Bogu, nic się nie stało. - Podczas jego nieobecności nie zaszły żadne zmiany. - Cieszę się. Masz ochotę wpaść na drinka? - Nie był do końca przekonany, że chce się z nią zobaczyć. Spędził na Florydzie bardzo przygnębiający tydzień i potrzebował trochę rozrywki, ale nie miał ochoty wysłuchiwać znanej mu litanii na temat ścięgien i wiązadeł. - Jestem wyczerpana, a poza tym wróciłam już do domu. Ale mam wolny weekend. Moglibyśmy umówić się na jutro. - Może gdzieś pojedziemy? Co byś powiedziała na Hamptons lub Fire Island? - Lato zapanowało już na dobre i było gorąco. Zapowiadał się piękny weekend. - Dominique Montaigne wydaje w niedzielę przyjęcie urodzinowe. Obiecałam, że przyjdę, i nie mogę sprawić mu zawodu. Przykro mi, naprawdę. - Balet, tancerki, tancerze, próby i przedstawienia. I tak bez końca. - W porządku. Możemy pojechać na jeden dzień.

Chciałbym wyjechać z miasta i poleżeć na jakiejś plaży. - Ja także. - Ale John dobrze wiedział, że poleży przez pół godziny, a potem zacznie ćwiczyć i rozciągać mięśnie, by w czasie odpoczynku nie zeszywniało jej ciało. Bywało to nad wyraz denerwujące. - Przyjadę po ciebie o dziewiątej, dobrze? - Zgodziła się, więc skończyli rozmowę. Nagle poczuł smutek i straszliwą samotność. Nigdy nie była przy nim, kiedy jej potrzebował. I wtedy uświadomił sobie, że jego myśli zaprzęta nie Sasha, a ta nieznajoma dziewczyna, tułająca się po domach zastępczych i zakładach opiekuńczych ponad dwadzieścia lat temu. Szaleństwem było teraz o niej myśleć. Przypominało to Eloise z jej wymyślonymi bohaterami. Tylko że w ciągu ostatniego tygodnia stała się dla niego tak bardzo realna. Bardziej niżby tego chciał. Następnego dnia pojechali z Sashą na plażę. W końcu zdecydowali się na Montauk, na Long Island; spędzili tam miło czas i dobrze wypoczęli. John biegał po plaży, gdy Sasha ćwiczyła, a w drodze powrotnej zjedli homara na kolację. Do jego mieszkania dotarli o wpół do dwunastej i padli na łóżko jak para dzieciaków. Sasha miała dobry nastrój; po raz pierwszy kochali się bez jej utyskiwań, że jego namiętność wyrządzi jej krzywdę lub nawet poważnie uszkodzi jej ciało. Przytuleni do siebie spali aż do dziesiątej rano, kiedy to Sasha spojrzała na zegarek, wyskoczyła z łóżka z wrzaskiem, który go obudził. - Co się stało?... Gdzie jesteś?... - Zmrużył oczy w obronie przed słońcem zalewającym pokój i zobaczył, że w pośpiechu biegnie do łazienki. Po chwili usłyszał szum prysznica. Zrzucił z siebie prześcieradło i zwał się z łóżka, by poznać przyczynę tego nagłego pośpiechu. - Co ty tam robisz? - Łazienka pełna była pary. Sasha stała z twarzą skierowaną pod strumień wody; włosy miała związane na czubku głowy. - A jak sądzisz? - Dlaczego tak wcześnie wstałaś? - Obiecałam Dominique'owi, że przyjdę o wpół do dwunastej. - Na Boga, dlaczego tak wcześnie? - Przygotowuję lunch dla wszystkich - oznajmiła zakręcając wodę i zaczęła się wycierać. - A to ciekawe. Tutaj nigdy nie gotujesz. - Był wściekły. Wczoraj tak miło spędzili dzień, a teraz opuszczała go w pośpiechu. Chciał jeszcze przed jej wyjściem kochać się z nią, ale nie miała już czasu. - To zupełnie co innego - wyjaśniła, pewna, że to, co mówi, ma sens. - To są tancerze. - Czy jedzą inaczej niż reszta ludzkości? - Nie bądź niemądry. - Nie był niemądry, miał tylko dość tego ciągłego napięcia. - Zadzwoń do ciebie wieczorem, jak wrócę do domu. - Nie trudź się. - Wyszedł z łazienki, wziął papierosa z komody i zapalił. Rzadko palił, ale miał wrażenie, że kiedy Sasha szczególnie go denerwowała, papieros łagodził napięcie, lub może je zwiększał, w każdym razie jakoś działał. - John - powiedziała z niewinnym uśmiechem, szcztokując włosy - nie bądź dziecinny. Zabrałabym cię ze sobą, ale będą tam sami tancerze. Na takich uroczystościach nie ma ludzi z zewnątrz. Wiesz - uśmiechnęła się i po raz pierwszy dojrzał w jej oczach wyraz mściwości - to coś w rodzaju twoich wizyt u rodziny w Bostonie. - A więc o to chodzi. Przynajmniej częściowo. Do diabła z jej gierkami i tancerzami. - Zobaczymy się jutro wieczorem? - Zawahała się; w jej ruchach był jakiś sarni wdzięk. - Może. Mam jutro dużo pracy. Podeszła blisko i przyłgnęła do niego swym gibkim ciałem, pocałowała mocno w usta. Poczuł, że znów narasta w nim pożądanie. Stał nagi w drzwiach sypialni. - Kocham cię. - Czasami bywała sarkastyczna, co równocześnie kochał w niej i nienawidził. Zanim zdążył się odezwać, już jej nie było. Miał ochotę krzyknąć. Z braku lepszego zajęcia zadzwonił do swego młodszego brata i

spędził u niego dzień. Grał w tenisa z Pattie, Filipem i ich synem, potem z ich córką pływał trochę w basenie. Spędził ten dzień w miłej atmosferze i nieźle odpoczął, ale wracając do domu, jak zwykle ze wstydem myślał, że okropnie się nudzi w ich towarzystwie. Byli jednak przyzwoitymi ludźmi, w dodatku jego rodziną, i przyjemnie było uciec od Nowego Jorku i wspomnień o ostatniej kłótni z Sashą. Gdy wrócił do domu, dzwonił telefon, ale nie podniósł słuchawki. Dominique, Pascal, Pierre, Andre, Josif, Iwa - nie miał ochoty słuchać ani o nich, ani o nikim innym. Miał ich wszystkich, nawet trochę i Sashę, w nosie. Następnego dnia pojechał do firmy Pattersona, by osobiście przejrzeć akta dotyczące majątku po George'u Gorhamie. Dostał na to carte blanche. John znalazł to, czego szukał, a co Patterson mógł znaleźć już dawno temu, gdyby tylko naprawdę chciał. Po raz ostatni firma kontaktowała się z Margaret Millington Gorham w 1962 roku, gdy była już hrabiną de Borne i mieszkała w Paryżu na rue de Varenne. Od tamtej pory trwała cisza, ale John nie sądził, by trudno było ją odnaleźć. Jeszcze tego popołudnia sprawdził w książce telefonicznej Paryża, że wciąż mieszkała pod tym adresem, i jeśli tylko żyła i mogła mu powiedzieć, gdzie przebywa Aleksandra, John zacznie działać.

Rozdział Xix - No nie, znowu! - Tym razem John nie przejął się oburzeniem Sashy. Praca jest pracą. - Co się stało, dostałeś pracę w liniach lotniczych? - Była nie na żarty rozgniewana. W ciągu ostatnich trzech tygodni wyjeżdżał po raz trzeci. - Wkrótce wracam. - Stosunki między nimi ochłodziły się nieco ostatnimi czasy. - Dokąd to, tym razem? Uśmiechnął się. Nie było to Jacksonville. - Do Paryża. Wreszcie popracuję w przyjemnym otoczeniu. - Z początku nic nie powiedziała, potem wzruszyła ramionami. Według niej kłamał i spędzał czas z różnymi dziewczętami. Przecież dawniej wcale nie podróżował. To dziwne, że nagle osobiście wykonuje pracę "wywiadowcy", jak sam to nazwał. - Powiniennem wrócić w piątek, a najpóźniej w poniedziałek. - Czyżbyś zapomniał? W następnym tygodniu wyjeżdżam na trzytygodniowe tournée. Nie zobaczymy się aż do mojego powrotu. Chyba że zechcesz przylecieć na jeden wieczór, by obejrzeć nasz występ. - Ale on już dobrze wiedział, jak to wygląda. Cały zespół baletowy w stanie kompletnej hysterii i na skraju wyczerpania nerwowego, a Sasha tak rozkojarzona, że prawie niezdolna, by zauważyć jego obecność. - Nie szkodzi, ja też będę zajęty. - Nie spotkają się przez miesiąc. Jeszcze rok temu byłby zmartwiony, teraz myślał o tym z niejaką ulgą. Jej obsesja na punkcie pracy zaczynała go nużyć. Tej nocy spali obok siebie i wcale nie mieli ochoty się kochać. Rano, jadąc na lotnisko, podrzucił ją do domu. - Spotkamy się po twoim powrocie. - Pocałował ją w usta, a ona uśmiechnęła się do niego niewinnie. - Szczęśliwej podróży. Będę za tobą tęsknić. - Słowa niezwykle w jej ustach, na ogół przepowiadała pogodę z bólu stóp. Jej nagła łagodność sprawiła, że John z przykrością się z nią rozstawał. Problem z Sashą polegał na tym, że nie zdawała sobie sprawy ze swego absolutnego egocentryzmu; dla niej jej zachowanie było całkowicie normalne. Pomachał z taksówki i krzyknął jeszcze, gdy skręcali za róg, że zadzwoni z Paryża. W następnej sekundzie myślał już tylko o tym, co tam zastanie. Jeśli Margaret Gorham poślubiła francuskiego hrabiego, z pewnością nie usłyszy o tak ponurym życiu, jakie przypadło w udziale Hilary. Przynajmniej taką miał nadzieję. Na wyraźne życzenie Pattersona poleciał pierwszą klasą. Wylądował w Paryżu o północy czasu lokalnego. Po odprawie celnej pojechał od razu do hotelu Bristol i o drugiej leżał

już w łóżku. Był jednak tak zmęczony, że zasnął dopiero przed piątą. Kiedy obudził się, z przerażeniem odkrył, że jest już jedenasta. Natychmiast wyskoczył z łóżka, zamówił kawę i rogaliki i zanim jeszcze wszedł pod prysznic, wykręcił numer Margaret. Usłyszawszy w słuchawce męski głos mówiący po francusku, poprosił hrabinę de Borne. Dukał coś swą daleką od doskonałości francuszczyzną, kiedy lokaj zapytał go: - De la part de qui, monsieur? - Podał swoje nazwisko, ale nie był w stanie powiedzieć "ona mnie nie zna". Cokolwiek jednak jej powtórzono, po chwili była już przy telefonie. - Monsieur Chapote? - powiedziała po francusku, z silnym amerykańskim akcentem. Była wyraźnie zaintrygowana. - Przepraszam. - Uśmiechnął się; spodobał mu się jej głos. - John Chapman z Nowego Jorku. - Dobry Boże! Andre nigdy nie potrafi powtórzyć amerykańskiego nazwiska. Czy ja pana znam? - Była bezceremonialna i bezpośrednia, a coś w jej głosie sugerowało, że łatwo się śmieje. - Nie, proszę pani. Jestem tu w sprawie, którą chciałbym z panią jak najszybciej przedyskutować, jeśli oczywiście będzie pani mogła poświęcić mi trochę czasu. - Nie chciał wyjawiać celu swego przyjazdu przez telefon. - Ach tak - była lekko zaskoczona. - Wszystkie moje sprawy załatwiane są w Nowym Jorku. - Wymieniła nazwę firmy. - Poza interesami mojego męża, oczywiście. Czy chodzi o lokaty? - Nie. - Nie chciał jej przestraszyć, ale z drugiej strony musiał jej coś powiedzieć. - Tu chodzi o sprawę bardziej osobistej natury. Prowadzę dochodzenie, które zlecił mi wspólnik pani zmarłego męża. - Pierre'a? Ależ on nie miał żadnych wspólników. - Rozmowa stawała się nieco chaotyczna. - Przepraszam. Miałem na myśli pana Gorhama. - Ach, biedny George... ale to było tak dawno. Zmarł w 1958... Trzydzieści lat temu, panie... Chapman. - Rozumiem, ale ta sprawa dotyczy właśnie odległej przeszłości. - Czy coś było nie w porządku? - wydawała się zmartwiona. - Ależ nie. Mieliśmy jedynie nadzieję, że pani pomoże nam kogoś odnaleźć. Bardzo by nam pani pomogła, gdyby wyraziła zgodę. Ale nie chciałbym wyluszczać całej sprawy przez telefon. Gdyby zechciała poświęcić mi pani parę minut, chętnie bym się spotkał... - Dobrze - powiedziała, choć w jej głosie pobrzmiwała niepewność. Gdyby mogła poradzić się Pierre'a lub kogoś innego, czy powinna spotkać się z tym człowiekiem. Może to jakiś szarlatan, może przestępca... ale z drugiej strony jego sposób bycia nie wskazywał na to. - Czy odpowiada panu jutro, panie Chapman? Jak się nazywa pańska firma w Nowym Jorku? Uśmiechnął się. Miała rację, chcąc go sprawdzić. - Chapman i Spółka, na Pięćdziesiątej Siódmej. Nazywam się John Chapman. O której zechciałaby się pani ze mną spotkać? - Odpowiada panu jedenasta? - Pragnęła już mieć to spotkanie za sobą, zaczynał ją denerwować. Przez swoich adwokatów sprawdziła jego firmę; okazało się, że była im znana, a jeden z nich zetknął się z Johnem osobiście i zapewnił ją, że to człowiek uczciwy. Nie mógł tylko zrozumieć, w jakiej sprawie Chapman chciał rozmawiać z Margaret de Borne w Paryżu. Następnego dnia John punktualnie przybył na umówione spotkanie. Stary lokaj wpuścił go z unizonym ukłonem i poprowadził na górę do gabinetu hrabiny, gdzie zostawił go samego. Był to pokój umeblowany pięknymi meblami w stylu Ludwika Xv, z małym rosyjskim żyrandolem, składającym się chyba z miliona kryształów, które wylapywały światło słoneczne wpadające do pokoju i rozrzucały je w miliardzie tęczy na ścianie. Była to najpiękniejsza rzecz, jaką John w życiu widział. Nie usłyszał kroków hrabiny, zapatrzony w to cudowne cacko i wspaniały ogród,

widoczny z okna. - Pan Chapman? - Była wysoka i elegancka, miała energiczny uścisk dłoni i mocny głos, a jej oczy patrzyły przyjaźnie i ciepło. Ubrana była w żółty kostium Chanel i pasujące do niego klasyczne pantofle, a w uszach miała żółte diamentowe kolczyki, prezent od jej zmarłego męża. Uśmiechnęła się ciepło do Johna i wskazała mu jedno z większych krzesel w pokoju. Zawsze bawił ją widok pozostałych, małych i kruchych, nie zachęcających do siadania. - Obawiam się, że tych mebli nie zaprojektowano z myślą o ludziach naszych rozmiarów. Rzadko używam tego pokoju. Został pomyślany jako "gabinet pani", a ja nigdy dobrze nie rozumiałam, o co tu chodzi. Moja sześciolatka wnuczka jest jedyną osobą, która wygląda tu na miejscu. Przepraszam za niewygody. - Ależ nic nie szkodzi, pani hrabino. Pokój jest śliczny. - John czuł się dziwnie, zwracając się do niej w ten sposób, zwłaszcza że miała taki pogodny uśmiech i często wybuchała śmiechem, ale chciał zyskać w niej sprzymierzeńca, a ona być może oczekiwała odrobiny etykiety w stosunku do siebie. - Obawiam się, że sprawa, z którą tu przybyłem, jest niezwykle delikatnej natury. Zlecił mi ją Arthur Patterson. - Odczekał chwilę, by sprawdzić, czy to nazwisko wywrze na niej jakieś wrażenie, ale zachowywała się tak, jak by usłyszała je po raz pierwszy w życiu. - Wiele lat temu był współnikiem pana Gorhama, i to za jego pośrednictwem Aleksandra Walker została przez państwa adoptowana. - Patrzył w jej oczy i nagle odniósł wrażenie, że ona za chwilę zemdleje. Nie odrywała od niego wzroku, a jej twarz stawała się coraz bledsza. Czekala w milczeniu na to, co powie dalej. John nie miał już żadnych wątpliwości, że przypomniala sobie Arthura. - Jest bardzo chory i z jakichś powodów, przypuszczam, że głównie osobistych, pragnie odnaleźć wszystkie trzy córki Walkerów, którzy byli jego bliskimi przyjaciółmi. Chciałby dowiedzieć się, czy wiecie im się dobrze, zanim... Przerwała mu, gdy szukał właściwego słowa. - Czy to nie za późno, panie Chapman? Z całą pewnością dawno przestały być dziećmi. - Zgadzam się z panią. Rzeczywiście wydaje się, że czekał z tym do ostatniej chwili, ale teraz chce się upewnić, że życie im się dobrze ułożyło. - A czym kosztem chce to zrobić? - Słucham? Sprawiała wrażenie rozgniewanej. Wstała i zaczęła chodzić po pokoju, skąpanym w powodzi tęczy. - Czym kosztem chce zdobyć tę pewność? Z całą pewnością te młode kobiety Arthur Patterson niewiele obchodzi, nawet jeśli go znały. Jeżeli istotnie tak było, nie pamiętają go już. Wszystkie były wówczas małymi dziećmi. - John, widząc wyraz jej oczu, stracił całą odwagę. Najwyraźniej była zdecydowana na wszystko, by trzymać go z dala od swej córki. - Jakie, na Boga, może to teraz mieć znaczenie? Wszystkie są dorosłe. Nie znają go. Nawet nie znają siebie nawzajem. John Chapman westchnął. W pewnym sensie miała rację, on jednak pracował dla Pattersona. - To właśnie jest częściowo powodem mojego dochodzenia. - Mówił łagodnym tonem, pragnąc uspokoić ją i udowodnić, że może mu zaufać. - Pan Patterson chce połączyć siostry. - O, mój Boże! - Usiadła ciężko na jednym z małych, niewygodnych krzesełek w stylu Ludwika Xv i powiedziała nieprzejednanie: - Nie pozwolę na to. Nie ma powodu, by je torturować. Moja córka ma trzydzieści pięć lat, a Bóg tylko jeden wie, ile mają pozostałe. Dlaczego miałyby chcieć poznać nie znane sobie siostry? Byłoby to dla nich krępujące, nie mówiąc już nawet o tym, że bardzo bolesne. Czy jest pan świadomy okoliczności śmierci ich rodziców, panie Chapman? - Skinął głową, a ona mówiła dalej. - Ja również, ale moja córka nic o tym nie

wie, i nie ma potrzeby, by teraz się dowiedziała. George i ja kochaliśmy ją jak własne dziecko. Dorastała jako córka i daliśmy jej wszystko, co tylko mogliśmy jej dać. Teraz jest szczęśliwa ze swoim mężem i własnymi dziećmi. Nie trzeba zadawać jej tego bólu. - Poza tym, w jaki sposób miałyby utrzymać całą sprawę w tajemnicy przed mężem? Na samą myśl o tym Margaret ogarnęło przerażenie. Nie dość, że była dzieckiem adoptowanym, to jeszcze jej prawdziwy ojciec zamordował jej matkę. - Wszystko to świetnie rozumiem, ale może chciałyby poznać swoje siostry... taka możliwość istnieje... może ma prawo sama dokonać wyboru. Czy wie o adopcji? Margaret wahała się dłuższą chwilę. - Tak i nie. Powiedzieliśmy jej o tym dawno temu... ale nie jestem pewna, czy pamięta. To nie ma już żadnego znaczenia. Dla nikogo, panie Chapman. Nawet jej nie powiem o pańskiej wizycie. - To nie jest w porządku w stosunku do niej - powiedział bardzo spokojnie. - Jeśli pani mnie zmusi, sam ją znajdę. Chociaż wolałbym, by pani z nią porozmawiała i wyjaśniła jej powód mojej wizyty. Myślę, że łatwiej by przez to przeszła. Oczy Margaret de Borne wypełniły łzy gniewu. - To szantaż. Zmusza mnie pan, bym powiedziała jej o czymś, co ją unieszczęśliwi. - Nie musi spotykać się z siostrami, jeśli nie będzie chciała; ma prawo sama odmówić. Nikt nie może do niczego jej zmuszać. Ale będzie mogła sama wybrać. Może zechce je zobaczyć. - Ale dlaczego? Dlaczego, po trzydziestu latach? Jakimi stały się kobietami? Co ją z nimi łączy? Nic. - W przypadku Hilary miała rację, nie wiedział jeszcze tego, jak wyglądało życie Megan. Podczas gdy Hilary, skatowana przez wuja i wyrzucona z domu, mieszkała u koszmarnych rodzin zastępczych, jej siostra jeździła na kucyku w Paryżu. Los nie potraktował ich sprawiedliwie, ale wszystko wskazywało na to, że przynajmniej dla jednej okazał się łaskawy. Poczul tym większe współczucie dla Hilary; jej życie nawet przez moment nie było łatwe. - Hrabino... proszę... proszę mi pomóc w ułatwieniu jej tego. Ona ma prawo wiedzieć. A mnie zobowiązano, by jej powiedzieć. - O czym? - Że gdzieś w świecie ma dwie siostry, które może chciałyby ją poznać. - Czy pan je już odnalazł? Zaprzeczył ruchem głowy. - Nie, ale myślę, że się nam uda. - Powiedział to optymistycznym tonem, bo nie chciał dzielić się z nią swymi obawami. - Wobec tego proszę przyjechać, jak pan je odnajdzie. - Mówiłem już, że nie mogę sobie pozwolić na marnowanie czasu. Pan Patterson jest umierający. - Szkoda, że nie umarł, zanim zdecydował się zrujnować życie tak wielu ludziom. - W jej głosie brzmiało rozgoryczenie, a także gniew. Przez całe lata chroniła Aleksandrę przed prawdą, a teraz ten nieznajomy przychodzi, by ją zranić. Miała ochotę go zabić. Johnowi zrobiło się jej żal; była miłą kobietą, szkoda, że cała ta sprawa tak ją niepokoiła. - Bardzo mi przykro, proszę mi wierzyć. Posłała mu długie i twarde spojrzenie. - Może to i prawda. Czy nie mógłby pan po prostu mu powiedzieć, że nie był pan w stanie jej odnaleźć? - John pokręcił przecząco głową. Margaret westchnęła. - Muszę to wszystko przemyśleć. Będzie to dla niej wielkim szokiem, szczególnie gdy dowie się prawdy o swoich rodzicach. - John pomyślał, że Aleksandra jest wystarczająco dorosła, by znieść taki szok. Nie była już dzieckiem ani nastolatką. Może dobrze się stało, że Patterson czekał tak długo. - Spotykam się z nią jutro na lunchu. Porozmawiam z nią o tym, jeśli znajdę odpowiedni moment. Pokiwał głową. Nie mógł niczego więcej oczekiwać. - Mieszkam w Bristolu. Chciałbym spotkać się z nią po waszej rozmowie. - Może nie będzie chciała widzieć się z panem, panie Chapman. Prawdę mówiąc, mam

nadzieję, że nie zechce. - Margaret de Borne wstała, by zadzwonić po lokaja; nie podała Johnowi ręki na pożegnanie. - Dziękuję panu za wizytę. Do widzenia, panie Chapman. - Dziękuję pani, hrabino. Andre sprowadził go na dół z wyrazem surowego potępienia na twarzy. Po sposobie, w jaki hrabina pożegnała tego Johna Chapmana, łatwo mógł zorientować się, że gość jest persona non grata w tym domu, więc potraktował go odpowiednio, głośno zatrzaskując za nim drzwi. Rozdział Xx Jak zwykle Aleksandra zastała matkę w jej ulubionym, pełnym kwiatów saloniku, ale tym razem nie była zajęta robótką, a co dziwniejsze i zupełnie dla niej nietypowe, miała na sobie granatową sukienkę i bardzo mało biżuterii. - Wyglądasz dziś bardzo poważnie, mamó. Miałaś rano spotkanie w banku? - Aleksandra ucałowała matkę ciepło. Margaret odpowiedziała uśmiechem, lecz zrobiła to bez zwykłego sobie zapachu. Prawie całą noc nie spała. - Nie, nie, wszystko w porządku - powiedziała z roztargnieniem i rozejrzała się po pokoju, jakby w poszukiwaniu możliwości ucieczki. Aleksandra przyglądała się jej ze zmarszczonym czołem. - Czy coś się stało? - Nie widziała matki tak zdenerwowanej od śmierci ojca i zastanawiała się, co też mogło do tego stopnia wyprowadzić ją z równowagi. - Nie, nic takiego, tylko wczoraj rano miałam nieprzyjemne spotkanie w interesach - uśmiechnęła się nerwowo. - Nie ma się czym martwić, kochanie. O, jest już lunch. - Wyglądała, jakby w tym momencie kamień spadł jej z serca, i już po chwili, pochłonięta jedzeniem sałaty, przekazywała Aleksandrze najnowsze plotki zasłyszane u fryzjera. Aleksandra odetchnęła z ulgą, słysząc znów śmiech matki. Nie ulegało jednak wątpliwości, że była czymś zmartwiona. Kiedy posiłek zbliżał się ku końcowi, znów stała się dziwnie milcząca. - Mamó - Aleksandra spojrzała na nią poważnie. - Co cię trapi? Czuję, że coś jest nie tak. Powiedz, o co chodzi. - Miała nadzieję, że nie jakieś kłopoty ze zdrowiem. Margaret była nadzwyczaj młodzieńcza, ale mimo to... Nagle przyszło jej do głowy, że może dlatego pojechała w zeszłym tygodniu do Nowego Jorku. Może chodziło o wizytę u lekarza, a nie o zakupy, chociaż przywiozła wspaniałe prezenty dla Aleksandry i dziewczynek. Margaret spojrzała na nią posępnie, żałując, że facet o nazwisku Chapman musiał pojawić się w ich życiu. Zacerpnąwszy powietrza, poczekała, aż Andre naleje kawę i dyskretnie opuści pokój. Nie miało to większego znaczenia; stary lokaj był kompletnie głuchy na rozmowy państwa, poza tym nie znał angielskiego, mimo to Margaret poczekała. - Wczoraj miałam nieprzyjemną wizytę. Kogoś w rodzaju ducha z przeszłości. - Spojrzała na córkę oczyma pełnymi łez. Aleksandra patrzyła na nią osłupiała. Nigdy jeszcze nie widziała matki tak bardzo zmartwionej. - Co za duch? - Och Margaret wyciągnęła nogi, usiłując znaleźć jakieś oparcie dla stóp. Spojrzała na córkę i musnęła ręką oczy. - Nie wiem, od czego zacząć. To taka długa, pogmatwana historia. - Dyskretnie wytarła nos w koronkową chusteczkę, po czym wsunęła ją w rękaw, i wyciągnęła rękę do Aleksandry; która przysunęła się do matki i wzięła jej dłoń w swoje. Nie miała wątpliwości, że czegokolwiek wizyta tego człowieka dotyczyła, była dla matki wielkim wstrząsem. Margaret patrzyła na córkę, usiłując powstrzymać łzy. Aleksandra delikatnie głaskała jej dłoń, by ją uspokoić. - Czy pamiętasz dawne czasy, zanim wyszłam za Pierre'a? - Nie bardzo, mamó. - Dla niej był to odległy, zatarty obraz, choć przypuszczała, że gdyby się bardzo postarała, mogłaby sobie coś przypomnieć. - Dlaczego pytasz? O czym miałabym pamiętać? - Czy przypominasz sobie, że byłam żoną innego człowieka, zanim

wysłałam za twojego ojca. To znaczy Pierre'a... - To będzie tak trudne, jak przypuszczała. Aleksandra przymrużyła oczy z namysłem, a potem skinęła głową. - Tak... trochę... myślę, że to był mój prawdziwy ojciec... ale, jeśli mam być szczerą, nie pamiętam go. Pamiętam tylko papę. Margaret skinęła głową. Tak właśnie zawsze myślała. - Więc przedtem byłam żoną innego mężczyzny i myślę, że to jest oczywiste, gdyż, jak może pamiętać, Pierre adoptował cię wkrótce po naszym ślubie. Aleksandra uśmiechnęła się na to wyblakłe wspomnienie. Już prawie tego nie pamiętała, dopiero matka potrząsnęła jej pamięcią. Teraz coś sobie niejasno przypominała. Poszli chyba do biura prawniczego i do merostwa, a potem, by to uczcić, zjedli lunch u Maxime'a. Był to najszcześniejszy dzień w jej życiu... to dziwne, że tak o tym zapomniała. - Wiesz, to zabawne. Prawie zapomniałam, że mnie adoptowano. - I wtedy na jej twarzy pojawił się rumieniec. - Chyba powinnam była powiedzieć o tym Henriemu, ale nigdy nie sądziłam, że ma to jakieś znaczenie. A papa powiedział... - Obydwie wiedziały, co Pierre powiedział. Aleksandra instynktownie wyczuła, że Henri bardzo by się rozgniewał, gdyby powiedziała mu o adopcji. Więc nigdy nie mówiła, i nawet sobie nie pozwalała o tym pamiętać. - Twój ojciec zawsze tak o tobie myślał. Dla niego byłaś jak rodzona córka, a nawet więcej... - dodała miękko Margaret, kontynuując tę bolesną opowieść. - Ale ty zostałam adoptowana - przerwała na moment, jakby zbierając całą swoją odwagę - nie tylko przez Pierre'a... ale także wcześniej, przez mojego poprzedniego męża. Adoptowaliśmy cię, gdy miałaś prawie sześć lat. Twój rodzice nie żyli, i wspólnik z firmy George'a przyszedł do nas i opowiedział nam o tobie... a my pokochaliśmy cię od pierwszej chwili, kiedyśmy cię zobaczyli. - Łzy obficie płynęły jej po policzkach i spadały na ich złączone dłonie. Aleksandra wpatrywała się w matkę szeroko otwartymi oczyma. Co ona mówi? Co ma na myśli? Margaret nie jest jej matką? Nagle mocno ją objęła, jakby obawiając się, że ją utraci. - Nic nie pamiętam, myślałam... zawsze byłam pewna... że ty jesteś moją matką... - Jak mogła zapomnieć? Jak to możliwe? Chociaż w gruncie rzeczy niczego to nie zmieniało. Ale kim byli jej prawdziwi rodzice? Kim była jej prawdziwa matka? Margaret pociągnęła nosem i znów wytarła go w swą koronkową chusteczkę. To było jeszcze trudniejsze, niż przypuszczała. - Kiedy zmarli twoi rodzice, miałaś cztery lata... W każdym razie wtedy twoja matka... twój ojciec zmarł kilka miesięcy później. Zostałaś z ciotką, zdaje się ze strony ojca, ale ona nie była w stanie zatrzymać was... zatrzymać cię... - zająknęła się. - Więc przyjaciel rodziny szukał kogoś, kto by cię adoptował. Uczyniłaś nas najszcześniejszymi ludźmi na świecie. Sześć miesięcy później zmarł George, a my pojechaliśmy do Francji. Resztę już znasz. - Nie powiedziała wszystkiego; Aleksandra wciąż usiłowała pogodzić się z faktem, że Margaret nie jest jej matką - Jak zmarli moi rodzice? - Długą chwilę patrzyły sobie w oczy bez słowa. Aleksandra czuła, jak ciarki przechodzą jej po plecach. Gdzieś, w głębi duszy, wiedziała, że stało się wtedy coś strasznego. Margaret zamknęła oczy. Po chwili, patrząc na Aleksandrę, powiedziała łagodnie: - Była jakaś straszliwa awantura, nikt nigdy nie dowiedział się, o co poszło... on był sławnym aktorem na Broadwayu, a ona była podobno bardzo piękna. - Nie o to cię pytałam, mam... - Łzy spływały po policzkach Aleksandry, gdy czekała na odpowiedź. Wiedziała. Znała już tę straszną część całej historii, ale musiała usłyszeć to od Margaret. - Twój ojciec ją zabił. Aleksandra mówiła teraz zdławionym szeptem, patrząc ponad

głową matki na ogród: - A mój ojciec popełnił samobójstwo. Powiedzieli mi, że się zabił. - Jej ręka uniosła się do ust; wyrwał się z nich szloch. Margaret wzięła ją w ramiona i pozwoliła jej płakać. - A ja zapomniałam o tym wszystkim... jak mogłam zapomnieć? Moja matka miała rude włosy... i mówiła po francusku, prawda? O, mój Boże... ale to wszystko, co pamiętam. - Popatrzyła znów na Margaret, a na jej zalanej łzami twarzy pojawił się wyraz bólu wywołanego wspomnieniami. - Czy była Francuzką? Głos Margaret nabrzmiał cierpieniem. To było tak straszne, słowa nie mogły tego wyrazić, i poczuła nienawiść do Johna Chapmana i Arthura Pattersona za to, że po tylu latach niepotrzebnie kazali im to przeżywać. - Myślę, że była Francuzką... prawdopodobnie... - I chyba miała rude włosy, ponieważ takie same miała Aleksandra, zanim ufarbowała je na blond na życzenie męża. A mała Axelle wyglądała dokładnie tak samo jak Aleksandra, gdy była w jej wieku; Margaret na widok wnuczki zawsze miała wrażenie, że znów ma przed sobą sześciolletnią Aleksandrę, taką jak wtedy, gdy zobaczyła ją po raz pierwszy. - Dlaczego mój ojciec popełnił samobójstwo? Dlatego, że ją zabił? - chciała wiedzieć. To było straszne, ale nagle poczuła, że musi znać odpowiedź na to pytanie, które tak dawno wyrzuciła z pamięci. - Popełnił samobójstwo, ponieważ skazano go za zamordowanie jej. Była to okropna, szokująca historia. W ten sposób ty i... ty zostałeś sierotą. - Margaret nie mogła już dłużej ukrywać całej prawdy. A to było właśnie najgorsze. Musi jej powiedzieć. Wzięła Aleksandrę za rękę i łagodnie głaskała jej piękne palce, tak różne od jej własnych. Nie były do siebie podobne, w żadnym szczególe, ale Aleksandra nigdy się nad tym nie zastanawiała. Nagle zrozumiała... lecz pamiętała jedynie rude włosy, nic poza tym... Nie potrafiła przypomnieć sobie twarzy. Czowała, jakby ktoś wydierał jej serce z piersi, jakby ból i dawno pogrzebane wspomnienia ożyły, by ją prześladować. - Miałaś... dwie siostry. - Słowa Margaret ugodziły Aleksandrę jak nóż; w mózgu słyszała ich echo, przypominające kule wracające rykoszetem... dwie siostry... dwie siostry... dwie siostry... Axie, kocham cię... kocham cię... mój Boże, jak mogła zapomnieć? Teraz przypomniła sobie wszystko, dotyk, zapach... Kruczoczarne włosy i smutne oczy Hillie... i niemowlę. Aleksandra bezwiednie odsunęła się od matki i podeszła do okna, wpatrując się w ogród. - Nie mogliśmy wziąć was wszystkich... nie czuliśmy się na siłach... - Aleksandra nie słuchała tego głosu, tych przeprosin, wciąż słyszała inny głos powtarzający te same słowa... zawsze pamiętaj, jak bardzo cię kocham... kocham cię, Axie... i niepohamowany płacz małej dziewczynki. Kim była ta dziewczynka? Czy to była jej siostra? - Jak się nazywały? - Teraz musiała poznać całą prawdę. Musiała. Ale Margaret pokręciła przecząco głową. Wiedziała bardzo niewiele o dwóch pozostałych dziewczynkach. - Nie wiem. Wiem tylko, że jedna była starsza od ciebie... Aleksandra jak w transie dokończyła zaczęte przez Margaret zdanie: - ...a druga była niemowlęciem. - Wpatrywała się w Margaret, straszliwie cierpiąc. - Pamiętam je, mamę... teraz sobie przypominam. Jak mogłam o nich zapomnieć? - Może wtedy było to zanadto bolesne dla ciebie. Może łatwiej było zapomnieć? Nie zrobiłaś nic złego. Miałaś prawo do nowego życia. Kochaliśmy cię bardzo i robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, byś była szczęśliwa. - Margaret nagle wydała się osamotniona, jakby jeden okrutny cios pozbawił ją jej jedynej córki. Aleksandra podeszła i objęła ją, kobietę, którą od trzydziestu lat uważała za swoją matkę. - Ty jesteś moją matką, mamę. I zawsze będziesz. Nic nigdy tego nie zmieni. -

Czy naprawdę tak myślisz? - Musiała to usłyszeć. Płakała nie wstydząc się swych łez, a Aleksandra uspokajała ją. - To takie straszne, że ci ludzie pojawili się teraz, by cię prześladować. Nie mają prawa tego robić. - Dlaczego teraz się zjawili? - Aleksandra pytając spojrzała na Margaret. - Arthur Patterson, człowiek, który zaaranżował twoją adopcję, był przyjacielem twoich rodziców. Teraz chce wiedzieć, czy ty i twoje... - to słowo niemal ją dławilo - siostry... macie się dobrze. I jeśli to możliwe, chce, byście się spotkały. Aleksandra sprawiała wrażenie wstrząśniętej. - Czy wiedzą, gdzie one są? - Jeszcze nie. Ale szukają ich. A jeśli znaleźli ciebie, przypuszczam, że je także uda im się odnaleźć. Aleksandra skinęła głową. Tak wiele nagle się na nią zważyło. W jedno popołudnie musiała pogodzić się z myślą, że ma dwie siostry i ojca, który zabił jej rudowłosą matkę, prawdopodobnie Francuzkę, a kobietą, którą całe życie kochała, nie była jej matką, nie wspominając już o dwóch przybranych ojcach, z których pamiętała tylko jednego. Trochę zbyt dużo jak na jeden raz. Uśmiechnęła się blado do Margaret i patrząc na nią przepaszając, wypila duży łyk wina. - Myślę, że jest mi to potrzebne. - Mnie chyba też. - Mówiąc to Margaret wstała i zadzwoniła na Andre. Gdy się zjawił, poprosiła o podwójnego bourbona. Amerykańskie nawyki są bardzo trwałe, szczególnie w krytycznych momentach. Potem, wolno mieszając palcem kostki lodu w swym drinku, zwróciła się do Aleksandry: - Czy chcesz się z nimi spotkać, Alex? Aleksandra w zamyśleniu spojrzała na matkę. - Nie wiem. A co będzie, jeśli okaże się, że jesteśmy kompletnie różne i nie przypadniemy sobie do gustu? Trzydzieści lat to kawał czasu. - To samo mówiłam Chapmanowi. Naprawdę, to śmieszne. Co może was łączyć? Aleksandra przyznała rację matce, choć równocześnie perspektywa spotkania sióstr miała w sobie coś niezaprzeczalnie pociągającego. Najpierw jednak musi poradzić sobie z innym, pilniejszym problemem. Jej mąż. - Jak sądzisz, mam, co Henri powie na to wszystko? - Aleksandra uważnie przypatrywała się matce, choć obie dobrze wiedziały, jakiej reakcji można się po nim spodziewać. Będzie wściekły. - Czy naprawdę uważasz, że to dla niego takie ważne? - Margaret widziała, że Aleksandra rozpaczliwie potrzebuje pocieszenia. Ale nie mogła jej tego dać. Mąż Alex na pewno nie zniesie takiego skandalu. - Nie powinno mieć dla niego znaczenia, jeśli cię kocha. Ale myślę, że będzie to dla niego wielki szok. To nieuniknione, i szczerze mówiąc, nie widzę powodu, dla którego miałabyś mu o tym powiedzieć. Twój ojciec i ja rozważaliśmy to, gdy wychodziłaś za mąż, i zdecydowaliśmy, że to nieistotna kwestia. Kochaliśmy cię, jesteś naszą córką, a to, co stało się trzydzieści lat temu, nie powinno nikogo obchodzić. Być może nie powinno obchodzić nawet twojego męża. - Ale to nieuczciwe, mam. Myślę, że moim obowiązkiem jest mu o tym powiedzieć, nie sądzisz? - Jej oczy wyrażały niepewność i wątpliwości. - Dlaczego? Po co niepotrzebnie go niepokoić? - Margaret usiłowała zachować spokój, ale cała ta sprawa zaczynała zamieniać się w koszmar. - Ponieważ taką wagę przywiązuje do faktu, że jestem córką hrabiego de Borne. Wierzy w cały ten rodowód i dobrze o tym wiesz. Ledwo toleruje to, że jesteś Amerykanką i, na miły Bóg, przymyka na to oczy tylko dlatego, że pochodzisz z tak dobrej rodziny. Jak mam mu teraz powiedzieć, że mój ojciec był aktorem i zabił moją matkę, kobietę niewiadomego pochodzenia. Jestem córką nieznanego mordercy i samobójcy, Amerykanką z dwiema nie zidentyfikowanymi siostrami - uśmiechnęła się mimo woli. Sytuacja nie należała do

łatwych. - Jeśli mam być szczerą, myślę, że dostanie ataku serca. A jak przeżyje, na pewno rozwiedzie się ze mną. I zabierze mi córki, jeśli mu się uda. Jeżeli mu jednak nie powiem, popełnię świadomie nieuczciwość. - Nie bądź głupia, Alex. Nie żyjemy we wczesnym średniowieczu. Nie może być aż tak nierozsądny. Poza tym nadal uważam, że nie powinnaś mu nic mówić. - Nie znasz mojego męża. Jeśli mu powiem, może zostawi mnie i dziewczynki, ale reszta jest całkiem prawdopodobna. Szczególnie przy jego politycznych aspiracjach. Mój Boże, mam, on by umarł... A gdyby dowiedział się w jakiś inny sposób... nie ode mnie... gdyby ktoś to odkrył. - Aleksandra drżała na całym ciele chodząc po pokoju tam i z powrotem. Margaret nie mogła nie zgodzić się z nią. - Powiedziałam ci. Nic mu nie mów. - A jeśli się dowie? Jeśli wybuchnie skandal? Przedtem przynajmniej sama też nie wiedziałam o większości tych spraw. Ale teraz, gdy już wiem, jak mogę mu nie powiedzieć? To byłoby nieuczciwe. - Przedtem też było, ale teraz miała do ukrycia prawdziwą górę informacji. - Och, na miłość boską, nie bądź tak cholernie niewinna. - Margaret przełknęła duży łyk bourbona i popatrzyła na córkę. - Nie możesz zawsze być doskonałą żoną. Od czasu do czasu musisz też pomyśleć o sobie, i tak nie robisz tego zbyt często. Powiedzenie o wszystkim Henriemu byłoby głupotą z twojej strony. Czemu miałyby to służyć, poza tym że ściągnęłyby na twoją głowę masę problemów? - Aleksandra wiedziała, że matka ma rację. Rzykowała wiele, mogłaby nawet stracić wszystko. Męża. Małżeństwo. Dzieci. - A jeśli będę chciała zobaczyć moje siostry? Jak mu to wyjaśnię? Jak wymknę się do Ameryki, by się z nimi spotkać? Chyba nie mogę mu powiedzieć, że idę do ciebie na lunch, a potem zniknąć na pięć dni, no, sama powiedz? - Jesteś pewna, że chcesz pojechać? - spytała z rozczarowaniem w głosie Margaret. Aleksandra pokręciła jednak głową. - Nie jestem pewna... ale jeśli będę chciała, nie mam pojęcia, co mogłabym powiedzieć mężowi. W takim wypadku to, co radziła Margaret, nie rozwiązywałoby wcale problemu, ale wiedziała, że byłaby nie w porządku, gdyby powiedziała to głośno. Margaret miała własne powody, by nie chcieć tego wyjazdu. Może było to głupie, ale obawiała się, że w pewnym sensie utraci córkę, że zwycięży widmo dawno zmarłej matki, że siostry udowodnią, jak silne bywają związki krwi. Wiedziała, że to dziecinada, ale miała nadzieję, że Aleksandra się od nich odwróci, była jednak zbyt mądra, by powiedzieć to głośno. - Uważam, że nie powinnaś go wtajemniczać, Aleksandro. W ogóle. Postąpiłabyś mądrze nie zwierając mu się ze swoich zamiarów. - Podała córce kartkę papieru, na której zapisała nazwisko Johna Chapmana, numer telefonu i nazwę hotelu. - Pan Chapman prosił, żebyś do niego zadzwoniła. Chce ci to wszystko wyjaśnić. Jeśli masz ochotę, zadzwoń do niego do Bristolu. - Dlaczego on tu jest? Margaret wahała się tylko przez moment. - Żeby się z tobą zobaczyć. - I dlatego przyjechał do Paryża? - W odpowiedzi Margaret skinęła głową. - Wobec tego zadzwonię do niego. Myślę, że przynajmniej tyle jestem mu winna. Wkładając kartkę do torebki spojrzała na zegarek. Przeraziła się, było już po piątej. Musi wracać do domu, do Henriego i dzieci. Było to naprawdę zadziwiające popołudnie, pełne nieoczekiwanych wyznań. Margaret odprowadziła ją do drzwi, a na pożegnanie długo i mocno tuliła do siebie. Aleksandra spojrzała w oczy matki; łzy znów spływały jej po policzkach. Powiedziała: - Mam, chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo cię kocham. - Zawsze będziesz moją małą dziewczynką. - Margaret także płakała. Zanim Aleksandra

wyszła, obie długo stały, przytulone do siebie. Miały za sobą pełne wstrząsów popołudnie. W drodze do domu Aleksandra nie była w stanie myśleć logicznie. Wciąż słyszała głos z odległej przeszłości... Axie... zawsze pamiętaj, jak bardzo cię kocham... Rozdział Xxi Aleksandra wróciła do domu, nadal wstrząśnięta tym, co powiedziała jej matka. Trudno było od razu przyjąć to wszystko do wiadomości, pogodzić się z tym. Poruszała się jakby we śnie, usiłując przypomnieć sobie sprawy z odległej przeszłości... kobietę o rudych włosach i dziewczynkę, którą nazywała Hillie. - Spóźniłaś się. - Henri czekał na nią w jej gabinecie. Idąc miała wrażenie, że na swoich ramionach niesie jakiś ogromny ciężar. - Przepraszam, ja... - wyrwał ją z zamyślenia i aż podskoczyła, słysząc jego głos, co dla niego było dowodem winy. - Musiałam przedyskutować z matką pewne dokumenty... nie przypuszczałam, że to zabierze... Przepraszam, Henri. - Odwróciła się do niego z oczyma pełnymi łez, on jednak patrzył na nią, jakby jej nie wierzył. - Gdzie byłaś? - Powiedziałam ci... - Ręce jej się trzęsły, gdy wieszala żakiet. Sprawił, że czuła się tak, jakby go zdradziła. - Byłam u matki. - Usiłowała mówić spokojnym głosem, ale sama wiedziała, że to jej się nie udało. - Do tej pory? Jest szósta. - W jego głosie wyczytała naganę. Niespodziewanie dla samej siebie miała tego dość. Jej nerwy były napięte do granic wytrzymałości, potrzebowała czasu, by wszystko przemyśleć, by sobie przypomnieć... - Słuchaj, przykro mi, że się spóźniłam. Powiedziałam już, że byłam u matki. Złagodniał trochę, ale nadal był zły. - Dopilnuj, by to się nigdy więcej nie zdarzyło. Nie wiem, dlaczego ona tak długo cię zatrzymuje. Przecież wie, że masz mnóstwo obowiązków. Zaciśnęła zęby, żeby mu nie odpowiedzieć. Matka zatrzymała ją tak długo, bo chciała jej opowiedzieć, że dwukrotnie ją adoptowano... że jej prawdziwy ojciec zamordował matkę... że ma dwie siostry, o których kompletnie zapomniała... takie tam drobiazgi. Nic ważnego. Szybko nałożyła czarną jedwabną suknię, cieniutkie czarne pończochy, a stopy wsunęła w czarne atlasowe pantofelki. Zmyła twarz i zrobiła nowy makijaż, przeczesała włosy, po czym wrzuciła szminkę i puder do czarnej atlasowej torebki. Po dwudziestu minutach była już w holu, gdzie czekał na nią Henri. Dyszli w pośpiechu, zaledwie miała czas, by życzyć dziewczynkom dobrej nocy. Patrząc na córeczki znów przypomniła sobie swoje dawno zapomniane siostry, i poczuła, że zaraz się rozplacze. - Bądźcie dla siebie dobre - wyszeptała całując Marie-Louise na dobranoc. - Nawet nie wiecie, jakie to szczęście, że macie siebie. - I takie życie, w którym ludzie otaczali je opieką i miłością. Ona sama też miała szczęście, że adoptowali ją Margaret i Pierre. Nagle, spojrzawszy na męża, poczuła się tak, jakby miała coś na sumieniu. - Dlaczego twoja matka nie rozwiązuje swoich problemów z adwokatami i bankierem? - zirytowanym głosem zapytał Henri, gdy jechali do restauracji, w której byli umówieni z jego nowymi znajomymi. Aleksandra niezdecydowana, co odpowiedzieć, patrzyła w okno. - Myślała, że będę mogła jej pomóc. To wszystko. Roześmiał się, jakby powiedziała coś absurdalnego. - Mogła przyjść do mnie. Ja przynajmniej mógłbym jej pomóc. Aleksandra doskonale wiedziała, że Margaret nigdy nie poprosiłaby go o pomoc. Ledwie się nawzajem tolerowali. Przybyli do Taillevent; Aleksandra w rozłargnieniu przyglądała się znajomym dekoracjom, idąc z Henrim w stronę ich gości. Sala wypełniona była ludźmi, z których każdy był w Paryżu kimś. Mężczyźni mieli na sobie ciemne garnitury, a towarzyszyły im piękne, elegancko ubrane

kobiety. Wnętrze restauracji było jak zwykle piękne, wspaniale utrzymane, każdy szczegół dopilnowany. Stoły udekorowane były świecznikami i pucharami pełnymi świeżych kwiatów. Do tego miejsca wstęp miała tylko wąska elita, a i tak na rezerwację trzeba było czekać kilka miesięcy. Była to ulubiona restauracja Henriego, chodził tu z żoną i przyjaciółmi, a także ze znajomymi, z którymi łączyły go interesy, jak tego wieczoru. Jego dzisiejsi goście mogli mu pomóc w karierze politycznej i Aleksandra wyczuwała, że ten wieczór był dla niego niezwykle ważny, mimo ogromnych starań nie potrafiła się jednak skoncentrować. Pod koniec kolacji była bliska łez widząc piorunujące spojrzenia, jakie rzucił jej Henri, i rozpaczliwie starała się brać udział w konwersacji. - Słucham? - przynajmniej dziesięciokrotnie w trakcie wieczoru musiała prosić o powtórzenie tego, co do niej mówiono. Nie dotarło do niej, czy ta kobieta mówiła coś o południu Francji... czy o swoich dzieciach? - Bardzo mi przykro... - Czy Aleksandry wypełniły się łzami; wytarła je serwetką, udając, że kaszle. Myślała, że ten wieczór nigdy się nie skończy. Gdy wychodzili, Henri był na nią wściekły. - Jak mogłaś mi to uczynić? - W drodze do domu cały czas robił jej wyrzuty. - Twoje zachowanie było jawną obrazą! - Przepraszam, Henri... nie czułam się dobrze... nie mogłam się skoncentrować... ja... - Była w stanie myśleć wyłącznie o Johnie Chapmanie mieszkającym w hotelu Bristol i o tym, jak bardzo chciała z nim porozmawiać. - Jeżeli źle się czułaś, powinnaś była zostać w domu. Narobiłaś więcej szkody niż pożytku. - Był rozgniewany nie na żarty. - Przykro mi... próbowałam... naprawdę... - Łzy spływały jej po policzkach. Nie lubiła sprawiać zawodu, ale tyle miała teraz na głowie. - Nie masz żadnego wytłumaczenia! - krzyczał. Ale ona miała wytłumaczenie, tyle tylko że nie mogła mu nic powiedzieć. - Nie będę tolerował takiego zachowania z twojej strony. - I by ją dobić, dodał jeszcze: - Zawsze po wizytach u matki jesteś nie do zniesienia. - Traktował ją tak, jakby była niegrzeczną dziewczynką, a on miał prawo ją besztać. - Moja matka nie ma z tym nic wspólnego, Henri. - Aleksandra mówiła spokojnym głosem, wycierając nos. Gdy zatrzymali się na światłach, rzucił jej piorunujące spojrzenie. Nie dbał nawet o to, czy słyszy ich kierowca. - Wobec tego gdzie byłaś dzisiaj aż do szóstej? Znowu to samo. Aleksandra pokręciła głową, popatrzyła w okno, a potem na niego. - Powiedziałam ci już. Byłam u matki. - Czy był tam ktoś jeszcze? - Nigdy przedtem o nic jej nie podejrzewał i teraz jego słowa dotknęły ją. - Oczywiście że nie. Mój Boże, o co ty mnie podejrzewasz? - Miała ochotę powiedzieć mu, że nie uprawia tych samych sportów co on, ale nie chciała otwierać puszeki Pandory, stałoby się to przyczyną jeszcze większych problemów. Wyciągnąwszy rękę, dotknęła jego dłoni, ale nie był skłonny do przebaczenia. - Henri, proszę... - Przyniosłaś mi dzisiaj wstyd. - Przykro mi, tak strasznie bolała mnie głowa. Nie odezwał się więcej ani słowem. Gdy dojechali do domu na Avenue Foch, kurtuazyjnie otworzył przed nią drzwi, a potem poszedł do siebie i zamknął się przed całym światem. Rozdział Xxii Następnego ranka, zaraz po wyjściu Henriego do biura, Aleksandra odszukała telefon hotelu Bristol i wykręciła numer. Prosząc o połączenie z Johnem Chapmanem czuła, jak drży jej ręka, w której trzymała słuchawkę; załamywał się jej głos, gdy mówiła mu swoje nazwisko. Miała wrażenie, że wykonuje jakieś ważne zadanie szpiegowskie. Była bardzo zdenerwowana. Gdyby Henri wiedział o tym, co robi jego żona, lub o tym, czego dowiedziała się poprzedniego dnia, prawdopodobnie by się z nią rozwiódł. -

Rozmawiała pani z matką? - Głos Chapmana był miły i spokojny. Aleksandra doszła do wniosku, że rozmowa z nim jest całkiem przyjemna. - Wczoraj... ja... widzi pan, ja zapomniałam o wszystkim. Nawet o tym, że byłam dzieckiem adoptowanym. - Pozwoliła sobie na zapomnienie... nie wspominając już nawet o tym, że była to druga adopcja w jej życiu. Wyrzuciła z pamięci obraz Hillie... i rudowłosej kobiety... Chapman jednak zdawał się jej nie potępiać. - Może tak było pani łatwiej, zapomnieć o wszystkim. Nie było powodu, by pani pamiętała. - Przerwał na moment, a potem cicho spytał: - Czy mógłbym jakoś dzisiaj spotkać się z panią, pani... przepraszam, ale nie znam pani nazwiska po mężu. Znam jedynie nazwisko pani matki. - Jego głos wskazywał na to, że jest uprzejmy, dobrze wychowany i wykształcony. Obawiała się trochę, że będzie przypominał jednego z tych detektywów w wytartych ubraniach z drugorzędnych filmów kryminalnych. - De Morigny. Aleksandra de Morigny. - Nie wspomniała o tytule, wydawał jej się bez znaczenia. - Dziękuję. Miałem nadzieję, że będziemy mogli się spotkać. Może przed południem? Chciałbym pani pokazać dokumenty, które ze sobą przywiozłem. Może będzie pani mogła coś do nich dodać... w każdym razie ma pani prawo wiedzieć przynajmniej tyle, co my. - Bardzo panu dziękuję. Mogę spotkać się z panem w hotelu... - Spojrzała na zegar stojący na biurku i dokonała szybkich obliczeń. Musi się jeszcze wykąpać, ubrać i zostawić służbie dyspozycje. Henri przyjmował gości na kolacji. - O jedenastej. Czy to panu odpowiada? - Wspaniale. - Przy odrobinie szczęścia złapie wieczorem samolot do Nowego Jorku. Miał przed sobą dużo pracy i nie chciał tracić czasu w Paryżu. - Spotkamy się w holu. Mam sześć stóp i dwa cale wzrostu, włosy blond z przedziałkiem, i będę ubrany w tweedową marynarkę, błękitną koszulę i szare spodnie. - Ten opis pasował bardziej do studenta wyższej uczelni niż prywatnego detektywa, więc uśmiechnęła się do siebie widząc oczami wyobraźni ten ubiór. Tak wyglądali jej amerykańscy kuzyni. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że on nie wie, jak ona wygląda. - Ja też jestem blondynką. Mam metr sześćdziesiąt... - roześmiała się. - Przepraszam, zawsze zapominam, ile to jest po angielsku. Pięć stóp i pięć cali, zdaje mi się. Będę miała na sobie szary kostium. Miała na myśli szary jedwabny kostium, który Henri bardzo lubił, ale to teraz było bez znaczenia. Założyła do tego różową jedwabną bluzkę i różowy szalik Hermesa, a w uszy wpięła klipsy od Bułgariego imitujące monety; zakładała je, gdy nie chciała mieć na sobie nic rzucającego się w oczy. Wyglądała elegancko i szykownie. Rozglądała się po holu hotelu Bristol z sercem walącym w takt jej obcasów stukających po marmurowej posadzce. Zamierzała już podejść do recepcjonistki i poprosić o wywołanie pana Chapmana przez głośnik, gdy go zauważyła. Siedział spokojnie na krześle trzymając w ręku egzemplarz paryskiej "Herald Tribune". Wstał i z uśmiechem skierował się w jej stronę. Ten uśmiech na sekundę pozbawił ją tchu. Chapman miał wspaniałe zęby i łagodny wyraz oczu. Aleksandra polubiła go od pierwszej chwili. Wyglądał na człowieka, z którym można by zawrzeć przyjaźń. Wymienili oficjalny uścisk dłoni. Aleksandra starała się nie patrzeć na jego teczkę. Wiedziała, że zawiera tajemnice jej przeszłości i przeszłości jej sióstr. - Przepraszam za spóźnienie. - Mówiła bardzo cicho, prawie szeptem i John z łatwością wyczuł, że była przestraszona. - Sama prowadziłam i miałam ogromne kłopoty ze znalezieniem miejsca do parkowania. aż końcu dałam kluczyki portierowi. - Skinął głową i usiedli na stojących w kącie dwóch

dużych krzesłach pokrytych welurem, które doskonale pasowały do tej sytuacji. - Napije się pani czegoś? Może filiżankę herbaty? - Ze zdenerwowania nie mogła jeść ani pić, więc potrzęsnęła głową. John wyciągnął dokumenty z teczki. Miał ich teraz znacznie więcej, gdyż do tego, co dał mu Patterson, dołączył swoje notatki o życiu Hilary. Wkrótce znajdą się tu także dane dotyczące Aleksandry. - Dziękuję, niczego mi nie potrzeba. - Spojrzała mu głęboko w oczy. - Czy wkrótce odnajdzie pan moje siostry? - Mamy taką nadzieję. Ostatni ślad Hilary pochodzi sprzed dwudziestu lat, kiedy odwiedziła biuro Arthura Pattersona, szukając pani i najmłodszej siostry. Wpadła w gniew, gdy wyszło na jaw, że Patterson stracił z wami kontakt. Przypuszczam, że usiłowała odnaleźć panie na własną rękę, ale jej się nie udało. W każdym razie uznała pana Pattersona za całkowicie odpowiedzialnego za rozbitcie waszej rodziny i mogę sobie wyobrazić, jak bardzo go nienawidzi. Nietrudno to zresztą zrozumieć, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę to, czego dowiedzieliśmy się o jej dzieciństwie i młodości. Nie wiem jeszcze, co stało się z Megan, ale z całą pewnością mogę powiedzieć, że w porównaniu z panią, Hilary spotkało wszystko, co najgorsze. - Opowiedział jej o tym, co odkrył. Oczy Aleksandry wypełniły się łzami i pomyślała, że dla każdego byłby to los najgorszy z możliwych. Wyobraziła sobie, że coś takiego spotyka jej córeczki i na samą myśl o tym poczuła się chora. Nic dziwnego, że Hilary zgorzkniała. W jej wypadku było to całkowicie zrozumiałe. Porzucona, bita, zapomniana. - Spędziła tam trzy lata, potem pojechała do Nowego Jorku, by zobaczyć się z Arthurem Pattersonem, i od tego czasu ślad po niej zaginął. Przez cały ten tydzień prowadzone są w Nowym Jorku intensywne poszukiwania i myślę, że po moim powrocie będę miał świeższe informacje. Już raz myśleliśmy, że się odnalazła, ale to była pomyłka. - Miał na myśli tę kobietę z \$c\$b\$a. Ale odnajdzie ją, gdziekolwiek się znajduje. - Następnym razem nie będzie już żadnych pomyłek. - Mój Boże, cóż za straszne życie. - Aleksandra dyskretnie wytarła łzy. John podał jej dokumenty, by przejrzała je osobiście. To, co czytała, sprawiało jej wielki ból, i gdy skończyła, w oczach miała cierpienie. - Jak udało się jej przez to przejść? - Przepęłniło ją poczucie winy, gdy porównywała swoje życie z życiem siostry. - Dlaczego tak się stało? - Tego nie wiem. Wyroki losu nie zawsze są łaskawe, pani de Morigny. - Wiem - odpowiedziała spokojnie, lecz nigdy przedtem tak jasno nie zdawała sobie z tego sprawy. Przed oczyma stanął jej kalejdoskop, który podarowała swoim córkom, przekręcisz trochę, i te same elementy układają się w zupełnie inny obraz. W jednym momencie tworzą kwiaty, a w następnym stają się zionącymi ogniem demonami. Wydało jej się wielką niesprawiedliwością, że Hilary przypadły w udziale wyłącznie demony. Z trudem wróciła myślą do Johna Chapmana. - Co mogłabym zrobić, by pomóc w odnalezieniu moich sióstr? - W tej chwili nic, chyba że pamięta pani coś szczególnego. Ale sądzę, że nawet jeśli coś takiego było, dawno już musiało ulecieć z pani pamięci. Zadzwonię, gdy odnajdę pani siostry. Pan Patterson chciałby, żeby na spotkanie z nimi przyjechała pani do jego domu w Connecticut. To jedyna rzecz, jaką chce zrobić, zanim umrze. - Życzenie Arthura wydawało się bardzo szlachetne, choć traciło wiele ze swej wzniosłości, gdy wzięto się pod uwagę ogrom bólu, jakiego był sprawcą. - Jaki on jest? To dziwne, ale w ogóle go sobie nie przypominam. - Nie pamiętała też ojca. Przeglądała wycinki z gazet, które miał w swojej teczce John Chapman, i uderzyło ją, że był taki przystojny i że

odniósł tak wielki sukces. Były tam tylko dwie fotografie jej matki; jedna przedstawiała uśmiechniętą młodą kobietę z kaskadą płomiennorudych włosów, w zabawny sposób przypominającą trochę młodszą córkę Aleksandry. Na drugiej były trzy małe dziewczynki: Aleksandra i Hilary stały ubrane w jednakowe białe sukienki i czarne lakierki, a matka trzymała w ramionach niemowlę spowite w koronki. Zdjęcie zrobiono niedługo po narodzinach Megan, w ostatnią Wielkanoc ich matki, przed domem na Sutton Place. Aleksandrze ten dom z niczym się nie kojarzył. Chapman spróbował odpowiedzieć na jej pytanie: - Pan Patterson jest bardzo stary i bardzo chory. Myślę, że długo już nie pożyje. Jego wielkim pragnieniem jest, byście znów się spotkały, zanim umrze. To dla niego bardzo ważne. - A jeśli się nie doczeka? - spytała Aleksandra otwarcie. - Ustanowił klauzulę, która przewiduje doprowadzenie poszukiwań do końca i połączenie rodziny. Chciałby jednak dożyć tej chwili. Skinęła głową. Pomyślał o wszystkim. Szkoda tylko, że nie zrobił tego trzydzieści lat temu. Szczególnie w przypadku Hilary byłaby to ogromna różnica. Powiedziała to Chapmanowi. - Jeśli był tak blisko związany z naszymi rodzicami, dlaczego nie zatrzymał nas u siebie? John Chapman potrząsnął głową. - Nie wiem. Mówił coś o żonie, która nie czuła się na siłach, by podjąć wychowanie trójki dzieci. Myślę, że teraz pan Patterson żałuje. Czasem popełniamy straszliwe błędy, lecz widzimy je dopiero z perspektywy czasu. - W tym momencie ośmielił się zapytać ją o to, co Patterson najbardziej chciał wiedzieć: - Czy jest pani szczęśliwa, Aleksandro? Proszę mi wybaczyć, że o to pytam... Aleksandra uśmiechnęła się. - Zawsze byłam bardzo szczęśliwa. Miałam wspaniałych rodziców i bardzo ich kochałam. Pierre de Borne był niezwykle człowiekiem i jestem wdzięczna losowi, że żył tak długo. Był radością mojego życia - zaczerwieniła się - a ja jego oczkiem w głowie. - Na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. - A wczoraj pan poznał moją matkę. Jest wspaniała, prawda? To moja największa przyjaciółka i sprzymierzeniec. - Twarz Aleksandry spoważniała na wspomnienie wczorajszych łez matki. - Przypominanie mi mojej historii było dla niej ciężkim przeżyciem. Myślę, że powrót do przeszłości dla wszystkich będzie trudny, jeśli w dodatku weźmie się pod uwagę, dlaczego tak się stało. - Z westchnieniem spojrzała poważnie na Johna. - Czy ktokolwiek wie, jak naprawdę do tego doszło? - Tak naprawdę to nie - potrząsnął głową. - Doszło do kłótni. Myślę, że był pijany. Pan Patterson do dziś jest przekonany, że pani ojciec uwielbiał pani matkę. Trudno zrozumieć ludzi skłonnych do tak gwałtownych czynów i wielkich namiętności. Aleksandra skinęła głową potakująco, ale myślała wciąż o Hilary. Losy Megan były zupełnie nieznane. - Mam nadzieję, że Megan wie się dobrze, że obydwóm ułożyło się życie. - Mówiła tak, jakby znów były jej bardzo znajome, jakby do niej wróciły, jakby były jej dziećmi. - Mam dwie córeczki, Axelle i Marie-Louise. To dziwne - zamyśliła się - wydaje mi się, że Marie-Louise jest podobna do Hilary. - Niezwykłe było również to, że Aleksandra wróciła do ojczystego kraju swej matki. W tym momencie Chapman zadał jej trudne pytanie. - Czy powiedziała pani o wszystkim mężowi? Wolno zaprzeczyła ruchem głowy. - Obawiam się, że Henri by tego nie zrozumiał. Myślę, że byłby bardzo niezadowolony z faktu, że moi rodzice nie powiedzieli mu o tym, gdy się pobieraliśmy. Dopóki nie odnajdzie pan moich sióstr, nie ma powodu, by mu to wszystko opowiadać. Byłby tylko bardzo nieszczęśliwy. - Powtarzała to sobie od poprzedniego wieczora i prawie udało jej się przekonać samą

siebie. - A gdy już odnajdziemy pani siostry? - Wtedy będę musiała mu coś powiedzieć. - Uśmiechnęła się niezręcznie. - Nie latam do Nowego Jorku ot, tak sobie, bez powodu, panie Chapman. - Przecież pani go nie oszukała, nie zdawała sobie pani sprawy z tego wszystkiego. - Próbował ją uspokoić, ale ona wiedziała swoje. - Ja nie, ale moi rodzice. Będzie bardzo zły. Uważa mnie za córkę hrabiego de Borne. Czystość krwi wiele dla Henriego znaczy. Jego własny rodowód sięga przynajmniej dziewięciu wieków wstecz. Nie sędzę, by morderca i jakaś francuska dziewczyna poznana w czasie wojny byli wymarzonymi dziadkami dla jego dzieci. - Może dobrze się stało, że nie mieli syna. Nigdy by jej tego nie wybaczył. Ale chyba i tak jej nie wybaczy. Chapman ze współczuciem przyglądał się jej twarzy. Wyczuwał, że jej mąż nie ma łatwego charakteru. - Myślę, że pogodzi się z tym. Jest pani przecież od dawna jego żoną. I kocha panią, to wiele znaczy. - Nie dla każdego, panie Chapman - powiedziała ze smutnym uśmiechem. Skąd brał tę pewność, że Henri ją kocha? Ona sama często w to wątpiła. Posiadał ją na własność, jak piękny mebel w stylu Ludwika Xv lub bardzo dobry obraz. A gdyby tak ten obraz okazał się fałszywy? Czy lubiłby go na tyle, by go zatrzymać? Wiedziała, że niektórzy ludzie tak by zrobili, ale czy Henri do nich należał? Obsesyjnie wprost dbał o jakość, oryginalność i doskonałość. A teraz wiedziała, ile skaz posiadał jej rodowód. Łatwo mogła wyobrazić sobie reakcję Henriego. Chapman przyglądał jej się z sympatią, gdy siedzieli spokojnie w kącie holu, i uświadomił sobie, że ją polubił. Była łagodna i nieśmiała, a jej oczy patrzyły na świat życzliwie; zawsze szukał u kobiet takiego spojrzenia. Miała też w sobie wiele wdzięku i delikatności. Liczył na to, że śledztwo nie przysporzy jej cierpień. Niczym sobie na to nie zasłużyła. - Czy mogę zaprosić panią na lunch, Aleksandro? Wybaczy mi pani, że zwracam się do niej tak bezceremonialnie? - powiedział ze swym chłopięcym uśmiechem, i ona również się roześmiała. - Zna pan wszystkie tajemnice mojego życia. Nie oczekuję, by zwracał się pan do mnie, używając tytułu mojego męża. - O, Boże... więc on też jest utytułowany? - Oczywiście - znów się roześmiała, wyglądała przy tym bardzo młodo. - Baron Henri Eduard Antoine Xavier Saint Brumier de Morigny. Piękne nazwisko, nieprawdaż? - niemal chichotała. Potrzebowała odprężenia po tak emocjonalnym poranku. Oboje tego potrzebowali. - Czy to wszystko mieści się w jego prawie jazdy? Pytanie Johna rozbawiło ją, po chwili jednak spoważniała. - A co pan, panie Chapman, myśli o tym wszystkim? Jest pan człowiekiem inteligentnym. Cała ta sprawa musi panu wydawać się szokująca. - Mnie już nic nie szokuje. To straszne, że tyle ludzi ucierpiało przez jeden akt szaleństwa. W pewnym sensie uważam, że nie powinno się rozdrapywać starych ran. Ale ja nie jestem powołany do wydawania sądów. Być może połączenie rodziny przyniesie pocieszenie przynajmniej niektórym jej członkom. Czy jest pani ciekawa, jakie są pani siostry? Aleksandra skinęła głową. Musiała przyznać, że była ciekawa. - Trochę przypominam sobie Hilary... jakieś fragmenty i migawki, które wracają do mnie od czasu wczorajszej rozmowy z matką. - Westchnęła. - To dla niej był ogromny wstrząs. - Dla pani także. - Spojrzał na nią ze współczuciem i miał wielką ochotę dotknąć jej dłoni, ale nie zrobił tego. - Przykro mi, że ściagam na panią tyle kłopotów. - Jeszcze pan ich nie ściągnął. - Kłopoty zaczną się, gdy odnajdzie jej siostry. - Czy mimo wszystko da się pani namówić na zjedzenie ze mną lunchu? - Podobała mu się i miał ochotę poznać ją nieco bliżej. Usiłował sam siebie

przekonać, że robi to dlatego, by móc zdać pełniejsze sprawozdanie swojemu klientowi, ale dobrze wiedział, że było w tym coś więcej. Elementy łamigłówki zaczynały do siebie pasować, a ona była śliczną kobietą i po prostu bardzo mu się podobała. Wahala się tylko przez ułamek sekundy. Doszła do wniosku, że nie stanie się nic złego, jeśli przyjmie jego zaproszenie. - Z przyjemnością - odpowiedziała. - Dokąd pójdziemy? Dawno tu nie byłem i obawiam się, że nie jestem na bieżąco w paryskich lokalach. - Najlepsze miejsca to stare restauracje. - Wstała z krzesła z uśmiechem; John schował wszystkie dokumenty do teczki i starannie ją zamknął. Aleksandra przez chwilę miała ochotę poprosić go o swoje zdjęcie z dzieciństwa, to, na którym była razem z siostrami, ale przyszło jej do głowy, że John musi pokazać je także pozostałym, gdy już je odnajdzie. Nagle zrozumiała, dlaczego nigdy nie widziała swoich zdjęć z wczesnego dzieciństwa. Ta refleksja nasunęła jej się, gdy przechodzili przez hol, a on nalegał, by mówiła mu po imieniu. Wtedy właśnie dostrzegł dziwny wyraz jej oczu. - Właśnie zdałam sobie sprawę z czegoś, czego nigdy przedtem tak naprawdę nie rozumiałam. W domu nie było ani jednego zdjęcia z okresu, gdy byłam malutką, a ja przyjmowałam to jako rzecz naturalną. - Nie miałaś powodów, by ich o coś podejrzewać. Jaki lokal wybrałaś? - Myślę, że moglibyśmy pójść do Ritza. Będziemy w towarzystwie samych starszych pań. - Z promiennym uśmiechem wzięła go pod rękę. - Wspaniale. - Przy nich wyglądam bardzo młodo i atrakcyjnie. - Ale ty właśnie taka jesteś. Może ostatnio przestałaś to zauważać? - Staram się nie patrzeć na siebie, widzę jedynie zmarszczki. - Była to z jej strony kokieteria; nie wyglądała nawet na trzydzieści lat, miała wspaniałą cerę i jedwabiste włosy. Patrząc na nie John uświadomił sobie, że wyglądała trochę inaczej, niż się spodziewał. - Wiesz, to zabawne. Byłem przekonany, że masz rude włosy. Wstydlivy uśmiech, wywołany jego uwagą, nadał jej bardzo kobiecy wygląd. Johna znów uderzyła jej niezwykła, delikatna uroda, którą jakby usiłowała ukryć za pomocą nobliwego uczesania i spokojnego stylu ubierania się. Zastanawiał się, jak by wyglądała, gdyby pozwoliła sobie na odrobinę szaleństwa i doszedł do wniosku, że prawdopodobnie byłaby wtedy bardzo podobna do matki. - Mam rude włosy - uśmiechnęła się blado. - Mój mąż nie lubi tego koloru, więc farbuję je na blond. Axelle, moja młodsza córka, jest także rudowłosa. Ja już od lat jestem blondyną. Henri uważa, że rude włosy są wulgarne - powiedziała rzeczowo, a John pomyślał w duchu, że ten Henri musi chyba być idiotą. Lunch u Ritza był miły, pogodny i spokojny. Rozmawiali o Bostonie i Nowym Jorku, a także o ostatnim lecie, które spędzili na Cape Cod i w Saint-Joan-Cap-Ferrat. Rozmawiali o żeglowaniu i o tym, jak wyglądały ich wakacje, gdy byli dziećmi. John opowiedział, jak to się stało, że zamiast zostać prawnikiem, jak tego od niego oczekiwano, robił karierę jako prywatny detektyw. Czuli się jak para starych przyjaciół, i kiedy w końcu odwiozła go do hotelu, obojgu było bardzo przykro, że już się rozstają. - Daj mi znać, jak tylko czegoś się dowiesz, John. - Obiecuję. - Dotknął jej dłoni spoczywającej na kierownicy, a potem pochyliwszy się, pocałował ją w policzek. - Trzymaj się. Mam nadzieję, że gdy się znów zobaczymy, twoje włosy będą płomiennorude. - Oboje się roześmiali; Aleksandra, ruszając z miejsca, pomachała mu na pożegnanie. Czowała, że zyskała nowego przyjaciela. Był przystojny, czarujący i inteligentny i zastanawiało ją, dlaczego nie jest żonaty. Powiedział jej tylko, że się

rozwiódł i że ma skłonność do trudnych kobiet, nie dodając nic więcej. Aleksandra polubiła go tak bardzo, że nie mogła zrozumieć, jak to się stało, że zaraz po rozwodzie nie złapała go jakaś kobieta. Zaraz jednak przypomniała sobie powód jego wizyty w Paryżu. Wszystko to było zdumiewające. Wchodząc do domu spojrzała na zegarek i z przerażeniem stwierdziła, że jest już czwarta. Przecież tego wieczoru wydawała kolację. W pośpiechu sprawdziła wina i kwiaty, potem porozmawiała z kucharką i upewniła się, że wszystko jest w porządku. Następnie poszła zobaczyć się z córkami, bawiącymi się w ogrodzie z przyjaciółką. Były szczęśliwe, że szkoła już wkrótce się kończy i że wyjeżdżają do Cap Ferrat. O wpół do siódmej poszła się ubrać; słyszała, że Henri jest w swoim gabinecie, ale nie chciała mu przeszkadzać. Nalała sobie wody do wanny i wyjęła białą jedwabną suknię. Zwykle zakładała do niej długie brylantowe kolczyki, które należały do nieżyjącej matki Henriego. Właśnie wyjmowała je ze szkatułki, gdy otworzyły się drzwi i do pokoju wtargnął rozgniewany Henri. - Dzień dobry, kochanie. - Wstała, by się z nim przywitać, ale na widok jego twarzy uśmiech zamarł jej na ustach. - Czy coś się stało? Sprawdziłam, czy wszystko jest przygotowane na dzisiejszy wieczór, i wydawało mi się, że jest w porządku... - Ale wiedziała, że coś musiało się wydarzyć. - Co ty, u diabła, wyprawiasz, robisz ze mnie głupca na oczach całego Paryża? - Mój Boże, Henri, o czym ty mówisz? - Mówię o tym, że widziano cię dzisiaj u Ritza jedzącą lunch w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. A ty sądziłaś, że udało ci się ukryć. Aleksandra pobladła, zachowała jednak spokój, i próbowała mu wyjaśnić sytuację. - Gdybym chciała się ukryć, z pewnością nie poszłabym do Ritza. Chodziło o interesy. On przyjechał z Nowego Jorku w związku ze sprawami mojej matki. - Słyszałem to już wczoraj, Aleksandro. Dwa razy ci się nie uda. Naturalnie wyjaśnia to twoje zachowanie wczorajszego wieczoru. Nie mogłaś logicznie myśleć. Wiedz, że nie zamierzam tolerować takich zniewag. Jutro z samego rana wyjeżdżasz z dziećmi do Cap Ferrat. - Potraktował ją jak niegrzeczne dziecko. Na taką niesprawiedliwość do oczu napłynęły jej łzy. - Nigdy cię nie oszukałam, Henri. Musisz mi uwierzyć. - Nie ośmieliła się podejść do niego, stali więc, oddzieleni szerokością pokoju, ona w ponurej rozpacz, on wściekły. - Do tej pory ci wierzyłem. Ale nie możesz oczekiwać, bym uwierzył ci w tym przypadku. - Mówię prawdę. - Nie wierzę ci. Mam zamiar powiedzieć twojej matce, co sądzę o dostarczaniu ci alibi. Nie chcę jej widzieć tego lata w Cap Ferrat. - Henri, to nie w porządku. Ona chce pobyć trochę z dziećmi... - Powinna była pomyśleć o tym, zanim zaczęła pomagać ci w randkach z twoimi kochankami. - Ależ ja nie mam żadnych kochanków! - krzyknęła Aleksandra. - Moja matka nie ma z tym nic wspólnego... - Aha... myślałem, że ta sprawa dotyczy jakichś interesów twojej matki. - Zbliżał się powoli do niej z miną zwycięzcy. Aleksandra opadła na krzesło, pokonana i nieszczęśliwa. - To jest... - Co to za interesy? - Brutalnym ruchem podniósł jej podbródek, zmuszając ją do spojrzenia mu w twarz, ale wiedział, że nie mówiła prawdy, a ona nic nie mogła na to poradzić. Gdyby mu o wszystkim powiedziała, byłoby jeszcze gorzej. Dobrze o tym wiedziała. - Nie mogę ci teraz tego wyjaśnić. To poufne sprawy moich rodziców. Była nadal blada i roztrzęsiona. Henri wyniośle opuszczał pokój; był już w drzwiach, gdy odwróciwszy się, spojrzał na nią i powiedział: - Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewał, Aleksandro. Uważaj, by więcej się to nie powtórzyło, w przeciwnym bowiem

razie wrócisz do matki. Bez córek. Proszę, byś jutro do dwunastej spakowała swoje rzeczy i była gotowa do wyjazdu na Riwierę. - Z tymi słowami zatrzasnął drzwi za sobą, zostawiając Aleksandrę zrozpaczoną i we łzach. Tak przyjemnie spędziła czas z Johnem, nie robili przecież nic złego, a teraz Henri myśli, że ona go zdradza. I nagle uświadomiła sobie, że musi natychmiast zatelefonować do Johna. Szybko podeszła do biurka i wykręciła numer Bristolu. Na szczęście był u siebie, więc mogła mu powiedzieć, że wyjeżdża do Cap Ferrat kilka dni wcześniej, niż myślała, na wypadek, gdyby chciał się z nią skontaktować. Podała mu numer telefonu i jeszcze raz podziękowała za lunch, nie wspominając ani słowem, ile bólu ją kosztowało tych parę chwil w jego towarzystwie. - Mam nadzieję, że niedługo znów się usłyszymy. - Ja również. - Wstydziła się tych myśli. Z kilku powodów; był taki miły i wyrozumiały, ale miał swoje życie, podobnie jak ona. Miała i tak już dosyć kłopotów, by jeszcze przysparzać ich sobie rojeniami na jego temat. - Zadzwoń, jak tylko czegoś się dowiem. - Dziękuję, John. Szczęśliwej podróży. - Dziękuję. Wylatuję jutro rano. - Miał nadzieję, że złapie wieczorny samolot, ale po lunchu wrócił do hotelu późno, i nie miał ochoty na pakowanie się w pośpiechu. Zdecydował, że nic się nie stanie, jeśli spędzi jeszcze jedną noc w Paryżu. Lunch z Aleksandrą wprowadził go w bardzo dobry nastrój, czuł się zrelaksowany i zadowolony, gdy jednak zadzwonił do Sashy, trafił na jeden z tych jej nieznośnych humorów. Przestał się śpieszyć z powrotem i z przyjemnością myślał o kolacji w pobliskim bistro i spacerze ulicami Paryża. Pożegnał się z Aleksandrą, która odłożywszy słuchawkę, poszła do łazienki. Wciąż nie mogła uwierzyć, że Henri z taką łatwością pomyślał o niej najgorsze. Zastanawiała się, jak w tej sytuacji będzie wyglądało ich lato. Próbkę miała już tej nocy. Henri odzywał się do niej lodowato i aż do następnego ranka, gdy wyjeżdżała z dziewczynkami, traktował jak pariasa. - Zabraniam ci jakichkolwiek rozrywek aż do mojego przyjazdu. Czy rozumiałaś? Masz nie ruszać się z willi, będę telefonował. - Odnosił się do niej, jakby była skazańcem, który spróbował ucieczki. Gdy się żegnali, czuła, jak powoli narasta w niej wściekłość. - Czy mogę chodzić na plażę, czy też mam siedzieć w pokoju z kulą u nogi i zakuta w łańcuch? - Przykro mi, że nasze małżeństwo jest dla ciebie takim ciężarem, Aleksandro. Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, że tak się męczysz. - Na wszystko miał zawsze gotową odpowiedź. Gdy samochód ruszył, Aleksandra po raz pierwszy czuła do niego nienawiść. W podróży towarzyszyli jej szofer i dwie pokojówki. Nocnym pociągiem na Riwierę miał pojechać Citroën i duży Peugeot. - Dlaczego tata był w takim złym humorze? - spytała Axelle w drodze na dworzec. - Czy gniewał się na ciebie? - Tylko troszeczkę. - Aleksandra pogładziła miedziane loki, tak jak kiedyś, dawno temu, Hilary gładziła jej własne. Uśmiechnęła się na to odległe wspomnienie siostry. Perspektywa zobaczenia obu siostr wprawiała ją w podniecenie. Miała nadzieję, że Chapman odnajdzie je szybko i że będzie mogła wyjechać, by się z nimi spotkać. Axelle nie pozwoliła jej zbyt długo się nad tym zastanawiać. - Tata nie wydawał mi się "tylko troszeczkę" zły. Wydaje mi się, że był bardzo zły. Czy zrobiłaś coś strasznego, mamó? - Aleksandra uśmiechnęła się i wzięła Axelle za rękę. Cieszyła się na ten pobyt na Riwierze; kilkutygodniowy odpoczynek od męża także może okazać się całkiem przyjemny. - Postąpiłam tylko trochę niemądrze. - Tak jak wtedy, gdy kupiłaś ten kapelusz, który mu się okropnie nie podobał? Ten z piórami i woalką? - Axelle uważała,

że był wspaniały, ale Henri kazał Aleksandrze odesłać go jeszcze tego samego dnia. - Coś w tym rodzaju. - Kupiłaś następny kapelusz? - Hm... tak... w pewnym sensie... - Czy był ładny? - O, tak. - Aleksandra uśmiechnęła się do swej młodszej córeczki. - Bardzo ładny. Axelle odwzajemniła uśmiech, wyraźnie zadowolona. Dojeżdżali do dworca. Rozdział Xxiii John był niezwykle zadowolony z materiałów, jakie w czasie jego nieobecności zgromadzono na temat Hilary. Jego ludzie odwalili kawał dobrej roboty; odkryli, że chodziła do szkoły wieczorowej, że pracowała w agencji do spraw zatrudnienia, że stamtąd przeniosła się do \$c\$b\$a. Mieli teraz już prawie wszystko. Chapman przeglądając dokumenty zdał sobie sprawę, że za pierwszym razem trafili dobrze. Rozmawiał z właściwą Hilary Walker, gdy telefonował do \$c\$b\$a; nie ulegało jednak wątpliwości, że Hilary nie ma ochoty dać się odnaleźć. Niech tak będzie. Poczekaj, aż odnajdzie Megan, a wtedy osobiście stanie z nią twarzą w twarz. Teraz jeszcze, przez krótki czas, pozwoli jej myśleć, że się go pozbyła. Na myśl o Hilary poczuł dziwny ucisk serca, jak zawsze, gdy przeglądał dokumenty dotyczące jej przeszłości. Miał ochotę powiedzieć jej, że wszystko jest już dobrze, że są ludzie, którzy ją kochają, że może przestać uciekać. Okropnie było myśleć o niej, samotnej i rozgniewanej. Nagle uświadomił sobie, że mało wie o jej obecnym życiu. Nakazał swojemu asystentowi przeprowadzić wszechstronne śledztwo dotyczące Hilary Walker w \$c\$b\$a. Mogła wyjść za męża, mogła się rozwieść lub mieć sześcioro dzieci. Ta dziewczynka ze złamanym życiem, za którą podążał z Bostonu do Jacksonville, a stamtąd do Nowego Jorku, mogła być teraz szczęśliwą kobietą. Przynajmniej miał taką nadzieję. A jednak wiedział, że nie zazna spokoju, dopóki jej nie spotka. To szaleństwo, ale te trzy kobiety ze sprawy, którą prowadził, stały się jego obsesją, nie mógł przestać myśleć o ich życiu, ich złym lub dobrym losie. Do tego stopnia czuł się tym opętany, że zatelefonował do swej byłej żony i zaprosił ją na lunch. Chciał, by mu powiedziała, co czuje do swych postaci, gdy pisze książkę. - Czy czasem zakochujesz się w nich, Ellie? - Popatrzył na nią zmieszany. Siedzieli przy fontannie w Four Seasons, w miejscu gdzie przychodzili na lunch wszyscy liczący się w mieście wydawcy. John wiedział, że to jej ulubione miejsce, choć on osobiście wolał zmysłowy, artystyczny nieład Herbaciarni Rosyjskiej. Ale Eloise była inna - wysoka, chłodna, doskonale opanowana. Zrobiła błyskotliwą karierę i lepiej pasowała do zimnego marmuru i dyskretnych fontann w Four Seasons. - Kochać się w nich? O co ci chodzi? Myślisz o napisaniu książki? - sprawiała wrażenie rozbawionej. John potrząsnął głową. - Nie, prowadzę zwariowane śledztwo. Cała sprawa zaczęła się trzydzieści lat temu, a ci ludzie stali się dla mnie tak cholernie realni, nie jestem już w stanie logicznie myśleć. Śnię o nich po nocach... myślę całymi dniami... trzy małe dziewczynki, które teraz są kobietami w średnim wieku, szarpią mnie za serce i pragnę im pomóc. - Wygląda mi to bardziej na zatrucie pokarmowe niż miłość - uśmiechnęła się i ze współczuciem poklepała go po rękę. Wciąż go lubiła. Spotykali się na lunchu kilka razy w roku, nawet przedstawił ją Sashy. Następnego dnia Eloise zatelefonowała do niego i powiedziała bez ogródek, że mógłby trafić lepiej. - Źle to wygląda, dzieciaku. Chyba musisz napisać o tym książkę. - Nikt by nie uwierzył w tę historię. Poza tym nie potrafię, to nie moja dziedzina. Wiesz o tym. Po prostu jestem na skraju szaleństwa. Jak ludzie z kartki papieru mogą stać się tak bardzo realni? - Czasem to się zdarza. - Czy

kiedyś odejdą? - Tak, kiedy rozwiążesz zagadkę - powiedziała pocieszająco, jedząc sałatkę. - Gdy kończę książkę, postacie znikają. Na dobre. Ale zanim to nastąpi, doprowadzają mnie do szaleństwa. Tak jakby mnie nawiedzały. - O to mi chodziło! - pomachał widelcem w jej stronę. - To właśnie dokładnie miałem na myśli! - Tak, jego prześladowała Hilary, a gdy dawała mu spokój, myślał o Aleksandrze. Zadzwoił do niej, gdy tylko się upewnił, że to ta sama Hilary, która pracuje w \$c\$b\$a. Aleksandra bardzo się ucieszyła. Teraz czekała na wiadomości o Megan. John naciskał swoich detektywów, by się śpieszyli, gdyż Patterson gasł w oczach. - Co mam zrobić, by się tego pozbyć? To mnie doprowadza do szału. - Zakończ to. Zamknij sprawę, zrób, co masz do zrobienia, a wtedy wszystko minie. Tak przynajmniej jest w moim przypadku. Czy to trudna sprawa? - W przeciwieństwie do Sashy zawsze interesowała się jego pracą, choć może dlatego, że wciąż poszukiwała nowych tematów. - Bardzo. Mam już dwie trzecie za sobą, muszę jeszcze tylko znaleźć jeden brakujący element i będę miał całość. To niezwykła historia, opowiem ci ją, gdy będzie po wszystkim. - Zawsze mogę wykorzystać dobrą historię. Zaczynam następną powieść w przyszłym tygodniu. Na lato wynajęłam dom na Long Island. - Zdziwiałeś; pracowała jak szalona, ale widać było, że uwielbia swoją pracę. Uśmiechnęła się do byłego męża. Ich stosunki były raczej bratersko-siostrzane. - Jak się ma twoja balerina? - zapytała bez jadu. Życzyła mu dobrze. Nie wpadła w zachwyty, gdy ją poznała, ale wiedziała, że on za nią szalał. John w odpowiedzi wzruszył ramionami. - Tak sobie. Ludzie z baletu żyją we własnym świecie. Poczucie rzeczywistości nie jest mocną stroną Sashy, w każdym razie moja rzeczywistość nie bardzo ją interesuje. - Jeszcze gorzej niż w przypadku pisarzy? - spytała z uśmiechem Eloise. - Dużo gorzej. Ty przynajmniej nie skarżyłaś się dzień i noc na swoje stopy i nie martwiłaś o każdy mięsień swojego ciała. Już samo oddychanie jest dla nich niebezpieczne, może spowodować kontuzję, która na jakiś czas wyeliminuje ich z tańca. - To musi być bardzo męczące. - Eloise skończyła jeść sałatkę, upiła łyk wina i znowu się uśmiechnęła do Johna. Był jednym z najmiłszych ludzi, jakich знаła, i czasem było jej przykro, że nie są już razem. Zastanawiała się, czy gdyby dołożyła starań, coś by z tego wyszło. Z drugiej strony jednak była na tyle inteligentna, by wiedzieć, że nie potrafiłaby długo udawać. Żadne z nich nie miałyby z tego pożytku. Musiała być sama ze swoją pracą, chociaż czuła, że powinna wyjść za mąż i mieć dzieci. - Jakoś nie odnoszę wrażenia, że ona jest dla ciebie stworzona. - Ja też nie. Straciłem dużo czasu, by się o tym przekonać. Niewielu ludzi naprawdę mnie interesuje. Przeważnie są niezbyt inteligentni albo nie dość mili, lub też nie interesuje ich nic poza czubkiem własnego nosa. - Zrozumiał, że mimo woli nakreślił portret Sashy. Jej akcje u niego spadły znacznie od czasu, gdy wrócił z Paryża. - A co u ciebie? Jakiś książę z bajki nie pojawił się na horyzoncie? Wzruszyła ramionami uśmiechając się lekko i pomachała do znajomego wydawcy. - Nie mam za wiele czasu na te sprawy. Trudno jest robić karierę i żyć normalnie. - Ależ zapewniam cię, że to możliwe - zawsze jej to powtarzał - jeśli tylko będziesz chciała. - No to może nie chcę. - Jak zwykle była z nim szczerą. - Może nie pragnę niczego poza tym, co mam. Moją maszyną do pisania i starymi szlafrokami. - El, to straszne. To piekielne marnotrawstwo. - Nie, nie masz racji. Nigdy tak naprawdę nie pragnęłam niczego więcej. Nie zniósłabym dzieci. - Dlaczego? - To nie było słuszne. Ludzie powinni mieć dzieci. On sam już od

dwudziestu lat marzył o dziecku. Po prostu mu nie wyszło. - Są takie wymagające, tak rozpraszają człowieka. Musiałabym za wiele z siebie dać, dlatego też byłam dla ciebie okropną żoną. Całą siebie chciałam zachować dla moich powieści. Podejrzewam, że to szaleństwo, ale to mnie uszczęśliwia. John wiedział, że tak było. Obojgu obecna sytuacja bardziej odpowiadała. Nagle roześmiał się. - Zawsze byłaś taka cholernie szczerą. Właśnie miałem ci powiedzieć, że w trakcie tego śledztwa poznałem wspaniałą kobietę. - Eloise z ciekawością uniosła brew. - Przypadkiem jest żoną francuskiego barona, no i nie jest, niestety, do wzięcia. - To brzmi lepiej niż twoja balerina. - Bo tak jest. Problem w tym, że bez reszty pochłania ją jej przyzwoite życie. To wielka szkoda... jest śliczna. - Już wkrótce spotkasz tę właściwą. Trzymaj się tylko z dala od artystek. Są z nich fatalne żony. Możesz mi wierzyć, ja to wiem. - Ze smutnym uśmiechem pochyliła się i pocałowała go w policzek; wstawali już od stolika. - Nie bądź taka surowa dla siebie. Oboje byliśmy młodzi. - A ty byłeś wspaniały. - Przystanęła, by przywitać się ze swym wydawcą, a potem razem wyszli na słońce. John życzył jej powodzenia w pracy nad nową powieścią, przywołał dla niej taksówkę, a potem pieszo wrócił do swego biura na Wschodniej Pięćdziesiątej Siódmej. W biurze czekała na niego nie lada niespodzianka. Jeden z jego asystentów odnalazł Abramsów w San Francisco. - Mówisz poważnie? - nie posiadał się z radości. Próbowali wszystkiego, bezskutecznie. W końcu zaprzestali poszukiwań Davida i odnaleźli Rebeccę. Okazało się, że na początku lat sześćdziesiątych Abramsowie wyjechali z Los Angeles i udali się na samo południe, by brać udział w marszach Martina Luthera Kinga, strajkach okupacyjnych i rejestracji kampanii wyborczej. Zajmowali się bezpłatnym doradztwem prawnym dla czarnych w Georgii, Luizjanie i Missisipi. W końcu otworzyli biuro pomocy prawnej w Biloxi, skąd później przeprowadzili się do Atlanty. Dopiero w 1981 wrócili do Kalifornii. David, przebywszy poważną operację, przeszedł na emeryturę, natomiast Rebecca podjęła pracę w kancelarii zajmującej się wyłącznie obroną feministek. Abramsowie przez całe życie byli klasycznymi liberałami. Asystent niczego im nie powiedział. John osobiście miał nawiązać z nimi kontakt, gdyby Megan została odnaleziona. Sekretarka umówiła go z Rebeccą Abrams i następnego dnia po południu miał lecieć do Kalifornii, co zresztą bardzo mu odpowiadało; Sasha była wciąż na swym tournée, a on już od kilku dni chciał zrobić coś, czym osobiście nie zajmował się od lat, a teraz wiedział, że musi. Miało to ścisły związek z tym, co usiłował wytłumaczyć Eloise, gdy zaprosił ją na lunch... Z jego obsesją. Wyszedł z biura tuż przed czwartą i taksówką pojechał do \$c\$b\$a. Na dole przy wejściu machnął strażnikowi przed nosem swoją plaketką pracownika ochrony i legitymacją policyjną. Zdobył je z wielkim trudem, były prawie nieosiągalne. Strażnik na widok odznak natychmiast wpuścił go do środka. Wjechał windą na górę i znalazł się, nie budząc niczyich podejrzeń, w recepcji. Podniósłszy słuchawkę wykręcił wewnętrzny numer Hilary, lecz sekretarka powiedziała mu, że pani Walker ma teraz zebranie. - U siebie czy na górze? - Mówił jak ktoś dobrze poinformowany, więc sekretarka nie ociągała się z odpowiedzią. - Jest tutaj. Z panem Bakerem. - Orientuje się pani, kiedy skończy? - Powiedziała, że wychodzi o wpół do szóstej. - Dziękuję. - Chapman odwiesił słuchawkę. Sekretarka nie miała pojęcia, kto dzwonił, ale przyjęła, że to ktoś, kto zna Hilary, z pewnością ktoś z zarządu. Hilary wyszła dokładnie piętnaście po piątej. John

rozpoznał ją natychmiast, nie musiał nawet słyszeć recepcjonistki, mówiącej: "Dobranoc, panno Walker", gdy Hilary szybko ją mijala. Na dźwięk głosu odwróciła się, spojrzała ostro i skinęła głową. Zdawała się nie widzieć nikogo w recepcji, nawet Johna, który poszedł za nią do windy. John patrząc na Hilary czuł, że robi mu się słabo, dostrzegał każde pasmo błyszczących czarnych włosów zebranych w węzeł, piękne dłonie i długą szyję. Czuł nawet świeży zapach jej perfum. Szła pewnym, długim krokiem, a gdy przypadkiem na nią wpadł, spojrzała na niego swymi zielonymi oczyma, które przeszły go na wskroś i które zdawały się mówić: "Nie dotykaj mnie, nie zbliżaj się do mnie". Wsiadła do autobusu na Madison Avenue, rezygnując z walki o taksówkę, i wysiadła na Siedemdziesiątej Dziewiątej. Poszła dwie przecznice dalej, w kierunku północnym, i wtedy zorientował się, że idzie do lekarza. Poczekał cierpliwie na zewnątrz. Pojechał za nią, gdy wsiadła do taksówki, która zawiozła ją do restauracji Elaine. Czekala tam na nią jakaś kobieta. Usiadł blisko, zaintrygowany tematem ich rozmowy. Kobieta była dobrze znaną szefową jednego z programów \$c\$b\$a i sprawiała wrażenie bardzo zmartwionej. Raz nawet zaczęła płakać, lecz Hilary siedziała nieporuszona. Przyglądała się swej rozmówczyni ze smutkiem, jednak bez współczucia. Nagle, patrząc, jak kobiety wymieniają przed restauracją pożegnalny uścisk dłoni, John przypomniał sobie, że ta kobieta została wyrzucona z pracy wtedy, gdy on był w Paryżu. Sprawa wywołała wielkie poruszenie. Pewnie prosiła Hilary o pomoc w powrocie do \$c\$b\$a lub po prostu opowiadała jej swoją wersję całej sprawy. Mówiono, że o zwolnieniu zdecydowano na samej górze, lecz pewnie przypuszczała, że zdobycie sympatii Hilary może być pomocne w odzyskaniu stanowiska. Nieszczęśliwa mina Hilary, idącej samotnie ulicą, wyraźnie jednak mówiła, że kobieta myliła się. Mimo że Hilary szła zamaszystym krokiem, z rzadka rzucając spojrzenie na wystawy sklepowe, w jej ruchach było coś bardzo kobiecego, jakiś miękki ruch bioder, który przykuł uwagę Johna. Skręciła w końcu w Siedemdziesiątą Drugą i poszła aż do rzeki, w kierunku budynków z brązowego kamienia, położonych tuż obok małego parku. Było to ładne miejsce, jednak wszystko nadal mówiło mu, że była samotna. Emanowała z niej ta samotność, a także rodzaj twardości i determinacji, które sugerowały, że dawno temu zbudowała wokół siebie mur i nigdy nikomu nie pozwoliła go zburzyć. Budziła w nim współczucie, jak wtedy, gdy przeglądał dokumenty mówiące o jej życiu. Do swego mieszkania, oddalonego o zaledwie kilka przecznic, wrócił pogrążony w smutku. Mieszkała tak blisko, a jednak zdawała się żyć w swym własnym świecie, wypełnionym prawie wyłącznie pracą. Czuł się nie w porządku wydając takie sądy. Może mimo wszystko była szczęśliwa, może był ktoś, kogo bardzo kochała. A jednak wszystko w jej obecnym życiu, jak i jej przeszłość, sugerowało, że jest samotna, że nikogo nie kocha i że nikt jej nie kocha. Kiedy wszedł do swojego mieszkania i zapalił światło, poczuł przemożną chęć, by do niej zadzwonić, wyciągnąć rękę, zostać jej przyjacielem. Pragnął powiedzieć jej, że Aleksandra wciąż ją kocha... że nie wszystko stracone... A może nic ją to nie obchodzi? Miał wrażenie, że nawiedzają go widma, jak określił to w trakcie lunchu z Eloise. Próbował zasnąć, lecz rzucał się tylko i przewracał z boku na bok, aż w końcu, z braku lepszego zajęcia, zapalił światło i wykręcił numer Sashy w Denver. Była w swoim pokoju, właśnie wróciła z przedstawienia i... okropnie bolały ją stopy. - Cieszy mnie, że nic się nie zmieniło. -

Wybuchnął śmiechem kładąc się na wznak. Myślał o Sashy i zastanawiał się, czy nie ocenił jej zbyt surowo w trakcie rozmowy z Eloise. Wciąż go pociągała i tęsknił do niej tej nocy. - Chcesz spotkać się ze mną w San Francisco? - Kiedy? - spytała wymijająco. - Jadę tam jutro i powinienem zostać kilka dni. Kiedy kończysz w Denver? - Jutro. Jedziemy do Los Angeles. San Francisco zostało odwołane. - Wobec tego spotkajmy się w Los Angeles. - Sądzę, że nie powinieneś tu przyjeżdżać. Nastąpiła długa cisza; John zmarszczył brwi. - Co się dzieje? - Mogłoby to zdenerwować pozostałych tancerzy - powiedziała niejasno, a on powoli usiadł na łóżku. Nie był głupcem i znał już tę grę. Nie należała do jego ulubionych. - Kogoś w szczególności, Sasha? - Och, nie wiem. Dziś już jest za późno, by o tym rozmawiać. - W tym momencie John usłyszał niewyraźny męski głos, mówiący coś do Sashy. - To Dominique, Pierre czy Fiodor? - To Iwan - powiedziała z rozdrażnieniem. - Jest zdenerwowany, bo naciągnął sobie dzisiaj wieczorem ścięgno w udzie. - Powiedz mu, że jest mi przykro. Ale najpierw wyjaśnij mi, co się, do diabła, dzieje. Jestem już za stary na takie numery. - Nie rozumiesz, w jakim napięciu żyją tancerze - jęknęła do słuchawki. John opadł na poduszkę. - Próbowałem, na Boga. Czego dokładnie nie rozumiem? - Tancerze potrzebują innych tancerzy. - Aha... teraz dochodzimy do sedna. Masz na myśli Iwana? - Nie, nie... więc... tak... ale to nie jest to, o czym myślisz. - Skąd, u diabła, wiesz, o co mi chodzi, Sasha? Jesteś tak zajęta sobą, swoimi stopami, swoim tyłkiem, mięśniami i ścięgnami, że nie zauważyłabyś, co myśli ktoś inny, nawet gdybyś miała to przed nosem, napisane wołowymi literami. - To nie w porządku! - Nagle rozplakała się, a on po raz pierwszy od miesiący stwierdził, że nic go to nie obchodzi. I tak w trakcie jednej rozmowy telefonicznej wszystko się skończyło. Miał to za sobą. - Może to nie jest w porządku, dziecinko - mówił swym głębokim, łagodnym głosem - ale tak się składa, że to prawda. Myślę, że chyba będzie najlepiej, gdy oboje ukłonimy się i z wdziękiem zejdziemy ze sceny, zanim opadnie kurtyna. Jeśli dobrze przeczytałem program, właśnie skończył się czwarty akt. - Dlaczego nie możemy porozmawiać o tym po moim powrocie? - O czym? O twoich stopach... albo o tym, że tancerze potrzebują innych tancerzy? Ja nie jestem tancerzem, Sash. Jestem mężczyzną. Mam wyczerpującą pracę, mam swoje życie i chcę dzielić je z kobietą, która mnie kocha i którą ja kocham. Pragnę mieć dzieci. Czy widzisz siebie w tej roli? - Nie. - Przynajmniej była szczerą. Sama myśl o dzieciach napawała ją przerażeniem. W żadnym okresie swojego życia nie miała najmniejszego zamiaru rezygnować na rok z tańca, by potem walczyć o dojście do formy. - Dlaczego to jest takie ważne? - Bo po prostu jest, a ja mam czterdzieści dwa lata i nie mogę sobie pozwolić na marnowanie czasu na takie gierki. Mam już swój wkład w społeczność artystyczną; teraz pragnę czegoś innego. - To miałam na myśli... nie rozumiesz napięcia wynikającego z faktu bycia tancerzem. John, dzieci nie są ważne. - Dla mnie są, malutka. Tak jak wiele innych rzeczy, na które w twoim sercu nie ma miejsca. Ty mnie nie potrzebujesz, ty nikogo nie potrzebujesz. Bądź szczerą przynajmniej sama ze sobą. - Zapadło długie, głucho milczenie. John nagle zapragnął, by ta rozmowa się skończyła. Nic już nie pozostało do powiedzenia. Już dawno zabrakło im słów, powiedzieli sobie wszystko, tylko po prostu tego nie zauważyli. - Do widzenia, Sash... nie przejmuj się. Zobaczymy się po twoim powrocie. Może pójdziemy razem na lunch, albo na drinka. - Wiedział, że będzie chciała

odebrać swoje rzeczy, ale tak naprawdę nie miał ochoty, by się z nią spotkać. - Poważnie mówisz, że to koniec? - Sprawiała wrażenie wstrząśniętej; John znów usłyszał ten sam męski głos. Zastanawiał się, czy mieli wspólny pokój, chociaż teraz było to już i tak bez znaczenia. - Tak mi się wydaje. - Czy dlatego do mnie zadzwoniłeś? - Nie. Po prostu tak się złożyło. Nadszedł już czas. - Czy jest ktoś inny? Uśmiechnął się, słysząc to pytanie. - W gruncie rzeczy nie. - Zabawne, ale były trzy, trzy kobiety, których śladem podążał dzień i noc, które wypełniły jego myśli, a teraz i serce, lecz nie w taki sposób, o jaki chodziło Sashy. - Nikt ważny... nie przejmuj się, Sash. - Przy tych słowach cicho odłożył słuchawkę i zgasił światło. Kładł się spać z uśmiechem na twarzy. Po raz pierwszy od miesięcy czuł się wolny. Był zadowolony, że do niej zadzwonił. W końcu miał to za sobą. Część czwarta: Megan Rozdział Xxiv Lot do San Francisco minął Johnowi spokojnie; na lotnisku znalazł się o drugiej po południu, miał więc sporo czasu, by dojechać do biura Rebeki, z którą był umówiony na czwartą. Biuro mieściło się w starym wiktoriańskim budynku położonym w dość zrujnowanej dzielnicy, jednak ku jego zaskoczeniu dom okazał się dobrze utrzymany, ładnie ozdobiony i pełen roślin. Rebecca Abrams była atrakcyjną kobietą, krótko po sześćdziesiątce. Ubrana była w czyste, niebieskie dżinsy, wykrochmaloną białą koszulę i czerwone espadryle; w siwych włosach, splecionych w warkocz, spływający jej na plecy, miała wpięty czerwony kwiat. Wyglądała jak bardzo inteligentna i dobrze zakonserwowana, choć podstarzała hippiska. Uśmiechając się ciepło do Johna wprowadziła go do swojego biura. Nie miała pojęcia, w jakiej sprawie przychodzi; fakt, że zostawił swoją teczkę w poczekalni, nie zrobił na niej żadnego wrażenia. - Wygląda pan inaczej niż większość naszych klientów, panie Chapman. - Z miłym uśmiechem wskazała małą, słoneczną kuchnię, przylegającą do biura. - Ma pan ochotę na kawę lub herbatę? Mamy około tuzina różnych ziołowych herbat. - Znowu się uśmiechnęła. John potrząsnął głową. Bardzo nie chciał jej zdenerwować, ale podejrzewał, że tego nie uniknie. - Jestem tu w bardzo osobistej sprawie, pani Abrams. Odnalezienie pani i pani męża zajęło mi sporo czasu. Trochę z tym było kłopotów. Ostatni adres, jakim dysponowałem, był nowojorski z 1957 roku. Rebecca Abrams usiadła spokojnie na krześle. Jej nadzwyczajne opanowanie było rezultatem wieloletniego uprawiania jogi. - Często się przeprowadzaliśmy. Dużo czasu spędziliśmy na południu, a potem, gdy mój mąż zachorował, przyjechaliśmy tutaj. Sześć i pół roku temu przeszedł poważną operację serca i oboje zdecydowaliśmy, że nadszedł czas, by trochę zwolnił tempo i znów zaczął się cieszyć życiem. Tak więc teraz ja praktykuję sama, lub raczej z grupą kobiet, które bardzo lubię. Zajmuję się czymś innym niż w czasach, gdy pracowaliśmy wspólnie z Davidem, chociaż niektóre założenia są całkiem podobne. Mamy sporo do czynienia ze sprawami dotyczącymi dyskryminacji swobód obywatelskich, a tym oboje zajmowaliśmy się od lat... - A pani mąż? - Dwa razy w tygodniu wykłada w Boalt. Uprawia ogród. Czas wypełniają mu tysiące rzeczy, które lubi robić. - A pani córka? - Chapman wstrzymał oddech. - Ma się dobrze. Wciąż jest w Kentucky. Skąd pan zna naszą rodzinę, panie Chapman? - zmarszczyła lekko brwi, choć uśmiech nie zniknął z jej oczu. - Nie znam. Obawiam się, że nie przychodzę bezpośrednio do pani. Jestem także adwokatem i prowadzę w Nowym Jorku firmę o nazwie Chapman i Spółka. W przeciwieństwie do pani nigdy nadmiernie nie

pasjonowałem się prawem i już dawno temu zająłem się działalnością detektywistyczną. Dlatego tu jestem. Moim klientem jest Arthur Patterson. Nie wiem, czy jego nazwisko coś pani mówi, ale to za jego pośrednictwem Megan trafiła do państwa w 1958 roku. Jestem pewien, że teraz go sobie pani przypomina. Skinęła głową; na jej twarzy nie pozostał nawet ślad uśmiechu. - Czy coś się stało? Dlaczego pan Patterson pragnie teraz nawiązać z nami kontakt? - Sprawiała wrażenie przestraszonej, jakby Patterson wciąż jeszcze mógł odebrać jej Megan. Zawsze się tego obawiała. - Mówiąc krótko, pani Abrams, on umiera. Chce się upewnić, że siostrom dobrze się wiedzie, że niczego im nie brakuje, że są szczęśliwe i zdrowe. Ma nadzieję, że uda mu się przed śmiercią na nowo połączyć rodzinę. - Teraz? - Była przerażona. - Po trzydziestu latach? Dlaczego miałyby chcieć się poznać? - Wyglądała, jakby miała zamiar wyprosić go z biura. - Pan Patterson sądzi, że może dla nich okazać się to ważne; ja ze swej strony rozumiem pani uczucia. Czekał z tym długo, trzydzieści lat to kawał czasu. Potrząsnęła głową, wciąż nie mogąc uwierzyć. - Powiedzieliśmy mu wtedy, że nie chcemy kontaktować się z nim ani pozostałymi siostrami. Głównie z tego powodu wyjechaliśmy z Nowego Jorku do Los Angeles. Nie sądzę, by grzebanie w przeszłości było w porządku w stosunku do Megan. - Może sama powinna dokonać wyboru. Wspomniała pani, że jest w Kentucky. - W Appalachia, niedługo stamtąd wyjeżdża. Jest lekarzem. Specjalizuje się w położnictwie - powiedziała Rebecca z głęboką dumą. Na Johna patrzyła nie ukrywając wrogości. - Czy mógłbym się z nią skontaktować? Dla niego była to formalność, dla niej zniewaga. Odpowiedziała na wpół unosząc się z fotela: - Nie, nie może pan, panie Chapman. - Usiadła patrząc na niego z wściekłością. - Nie mogę wprost uwierzyć, że po tylu latach przyjeżdża pan do nas i oczekuje, że pozwolimy narazić Megan na całe to cierpienie i ból. Czy wie pan, w jaki sposób umarli jej rodzice? - Oczywiście. A czy Megan wie? - Naturalnie, że nie. Postawię sprawę otwarcie, panie Chapman, w ogóle nie ma o czym mówić. Moja córka nawet nie wie, że ją adoptowaliśmy. - Spojrzała mu prosto w oczy. John poczuł, że serce przestaje mu bić. Jak mogli jej o tym nie powiedzieć? Chociaż tacy liberalni i wolnomyślicielscy, nigdy nie powiedzieli jej o adopcji. To czyni sprawę bardziej skomplikowaną. - Czy ma pani inne dzieci, pani Abrams? - Nie, nie mam. Oboje z mężem uważaliśmy, że nie ma powodu, by jej o tym mówić. Jest naszym jedynym dzieckiem, wzięliśmy ją, gdy była malutka. Nie było absolutnie żadnego powodu, by mówić jej, gdy podrosła. - Czy powie jej pani teraz? - John zajrzał jej głęboko w oczy; to, co w nich zobaczył, przeraziło go. Rebecca Abrams nie zamierzała mu pomóc. Ale przynajmniej poznał miejsce pobytu Megan. - Może to okrutne, ale ona ma prawo dowiedzieć się o istnieniu sióstr. Rebecca długo się wahała. - Nie wiem, panie Chapman. Szczerze mówiąc, raczej nie. Omówię to z moim mężem, a przedtem z jego lekarzem. Mąż nie czuje się dobrze, nie chcę przysparzać mu zmartwień. - Rozumiem. Czy da mi pani znać w najbliższym czasie? Mieszkam w hotelu Mark Hopkins. - Zawiadomię pana, gdy będę mogła. - Wstała, dając mu do zrozumienia, że rozmowa skończona. Wyglądała tak urzędowo, jakby miała na sobie granatowy kostium w prążki. - Czy w tym czasie wyjedzie pan do Nowego Jorku? - Raczej zaczekam tutaj na odpowiedź, może pani mąż będzie chciał się ze mną zobaczyć? - Dam panu znać. - Wymienili uścisk dłoni, ale spojrzenie jej oczu, gdy odprowadzała go do drzwi, nie było przyjacielskie. Po jego

wyjściu usiadła przy biurku, schowała głowę w ramiona i rozplakała się. Minęło trzydzieści lat, a oni teraz próbowali odebrać jej dziecko. Rozbudzą w Megan ciekawość, przedstawią jej krewnych, za którymi nie tęskniła, i wytworzą więzy, których nie знаła. To było niesprawiedliwe po tym wszystkim, co dla niej zrobili, po tym, jak bardzo ją kochali. Po południu pojechała zobaczyć się z lekarzem Davida. Powiedział, że jej mąż jest dostatecznie silny, by znieść te nowiny. Przez dwa dni zbierała się na odwagę, by mu powiedzieć. Gdy w końcu to uczyniła, rozplakała się jak dziecko w jego ramionach, przedstawiając wszystkie swoje obawy, a on łagodnie głaskał jej długie siwe włosy i tulił mocno, powtarzając, jak bardzo ją kocha. - Kochanie, nikt nie chce jej nam odebrać. W jaki sposób mogliby to zrobić? - Wzruszyła go jej reakcja. Trzydzieści lat temu nękały ją te same obawy. Chciała, by Megan należała tylko do nich i nikogo innego. - Nagle zechce dowiedzieć się wszystkiego o swych biologicznych rodzicach. - Więc jej powiemy. - A jeśli jej uczucia do nas zmieniają się po tym wszystkim? - Dobrze wiesz, że to niemożliwe, Becky. Dlaczego miałyby coś się zmienić? Ona także nas kocha. W najważniejszym sensie tego słowa my jesteśmy jej rodzicami. Dla niej oznacza to to samo, co dla nas. Ale to nie zmienia faktu, że będzie chciała zobaczyć swoje siostry. Gdyby ktoś powiedział mi, że mam dwie siostry, których nie znam, także chciałbym je zobaczyć. Nie znaczy to wcale, że ciebie czy Megan kochałbym przez to mniej. Rebecca wciąż jednak pełna była obaw. Rozmawiali do późna w nocy. Nadal uważała, że powinni milczeć, lecz David był zdania, że ich obowiązkiem jest wszystko powiedzieć. Podjęcie decyzji zajęło im cały dzień. John odetchnął z ulgą, gdy w końcu do niego zatelefonowali. Odchodził już od zmysłów w tym hotelowym pokoju; nie chciał wyjeżdżać, nie wiedząc, na czym stoi, a z drugiej strony, nie chciał wywierać na nich nacisku. Abramsowie zaprosili go na wieczór do swojego domu w Tibourn. Wszyscy troje rozmawiali o trudnościach powiedzenia Megan o adopcji po tylu latach. Rebecca nadal wyraźnie się tego obawiała, a David, choć nieugięty w swym postanowieniu, usiłował podnieść ją na duchu. Powiedział Johnowi, że ma tylko jedną prośbę: pragnie, by Megan dowiedziała się o wszystkim od nich osobiście, nie przez telefon. Za dwa tygodnie miała przyjechać na krótkie wakacje i planowali, że wtedy jej powiedzą. Obiecali, że zadzwonią do Johna natychmiast po tej rozmowie, i wtedy będzie mógł sam z nią porozmawiać i ustalić datę spotkania, na którym tak zależy Arthurowi Pattersonowi. John nie miał innego wyjścia, jak tylko przyjąć ich propozycję. Trzymali w ręku wszystkie karty, a on chciał, by odbyło się to w sposób najkorzystniejszy dla nich i dla Megan. W czasie weekendu wrócił do domu i zadzwonił do Arthura Pattersona. Było całkiem jasne, że stary adwokat czuł się coraz gorzej, zrezygnował już nawet z chodzenia do pracy. John powiedział mu, że odnalazł Abramsów i że chcą powiedzieć Megan o wszystkim osobiście. Oznaczało to dwutygodniową zwłokę, ale Chapman uważał, że nie było innego wyjścia. Uczciwość nakazywała tak właśnie postąpić, i Arthur, aczkolwiek niechętnie, przyznał mu rację. Miał jedynie nadzieję, że dożyje zakończenia swej misji. - Co jeszcze zostało do zrobienia? - spytał Johna. - Czekać na wiadomość od nich. Wtedy ustalę datę spotkania z Megan i dwiema pozostałymi. Aleksandra obiecała, że przyjedzie, gdy tylko dam jej znać, muszę natomiast porozmawiać z Hilary. Jednak z tym chcę poczekać do ostatniej chwili. - Instynkt podpowiadał mu, że im później to zrobi, tym większe będzie

prawdopodobieństwo, że Hilary przyjedzie na to spotkanie. - Mamy jeszcze dwa tygodnie. Dam panu znać, gdybym dowiedział się czegoś wcześniej. - Dziękuję panu, John - powiedział Arthur i nieoczekiwanie dodał: - Dobra robota. To zaskakujące, że pan je odnalazł. - Ja też tak uważam - John uśmiechnął się. Nigdy tak naprawdę nie sądził, że to mu się uda. A jednak udało się... za kilka tygodni siostry znów będą razem, a jego misja zostanie zakończona. Z jednej strony wiedział, że będzie mu tego brakowało, z drugiej jednak pamiętał to, co powiedziała mu Eloise podczas lunchu, że wtedy odczuje ulgę. Odzyska wolność, gdy będzie po wszystkim. Rozdział Xxv Abramsowie zadzwonili po prawie trzech tygodniach. Z napiętego tonu w głosie Davida John wywnioskował, że rozmowa z Megan nie była dla nich łatwa. - Przyjęła to bardzo dobrze - głos Davida Abramsa załamał się - jesteśmy z niej bardzo dumni, zawsze byliśmy... - Po chwili mówił dalej, już nieco spokojniej: - Powiedziała, że jeśli chce pan z nią rozmawiać, sama do pana zadzwoni po powrocie do Kentucky. - Czy mógłbym teraz zamienić z nią kilka słów? - spytał ostrożnie John. Po krótkiej rozmowie rozległ się w słuchawce głos, który John rozpoznał natychmiast. Choć bez francuskiego akcentu, brzmiał dokładnie tak samo jak głos Aleksandry, ta sama intonacja, ta sama barwa, ten sam uśmiech. - Pan Chapman? - Tak, słucham. - To wszystko jest tak nieoczekiwane. - Mówiła rzeczowo, jej głos brzmiał młodo i przyjemnie. - Naprawdę ogromnie mi przykro. - Niestety, nic nie można na to poradzić. Jak rozumiem, chciał pan ze mną porozmawiać. - Tak. Miałem nadzieję spotkać się z panią w Kentucky, zanim ustalę datę spotkania. Kiedy mogłaby pani przyjechać do Connecticut, by zobaczyć się z siostrami? - Teraz nie mogę podać żadnej daty. Mój rozkład zajęć zostanie ustalony w dniu, w którym wrócę do Kentucky. Jeśli pan chce, dam panu znać. - Będę wdzięczny. Zadzwoniła dokładnie w dzień swego przyjazdu. John zastanawiał się, czy tak bardzo chciała spotkać siostry, czy też po prostu należała do tego rodzaju osób, które zawsze dotrzymują danego słowa. Powiedziała, że może spotkać się z nim w niedzielę po południu, między pierwszą a piątą. Dodała, że będzie mogła przyjechać do Connecticut na dwa dni, ale dopiero za trzy tygodnie, nie wcześniej. John słuchał jej ze zmarszczonym czołem. Zastanawiał się, czy Arthur będzie jeszcze tak długo żył. Podzielił się z nią swymi obawami. - Mogę spróbować zamienić się z którymś z lekarzy, ale to przyspieszy sprawę zaledwie o kilka dni. W szpitalu brakuje lekarzy. Przekona się pan, z jakimi borykamy się problemami, gdy nas pan odwiedzi. - Za trzy tygodnie będzie pani mogła przyjechać? - Tak, chyba że wypadnie coś nagłego i poważnego; tego nigdy nie da się przewidzieć. - Rozumiem. - Jak na młodą, trzydziestojednoletnią kobietę, była zdecydowana i rzeczowa. Mimo że miała taki sam głos jak jej siostry, wydawała się całkiem różna od nich. Postawiła przed sobą jeden cel, poza tym wychowała się w zupełnie innych tradycjach i systemie wartości niż Aleksandra czy Hilary. Poświęciła się pomaganiu nieszczęśliwym i wypowiedziała wojnę biedzie. Aleksandra z pewnością nigdy o czymś takim nie myślała, a Hilary była zanadto skoncentrowana na przetrwaniu, by móc zajmować się bardziej ezoterycznymi problemami mas. Zdziwiałe, jak bardzo siostry się różniły. John przypomniał sobie, co Aleksandra powiedziała wtedy w Paryżu. Kalejdoskop robi jeszcze jeden mały obrót i powstaje zupełnie inny wzór... Tym razem demony zamieniły się w pokryte śniegiem góry. Ustalili, że przyjedzie w sobotę do Kentucky i spotkają się podczas jej wolnego od

pracy w szpitalu popołudnia. John podziękował Megan, że poświęci mu ten wolny czas, i potwierdził datę spotkania z siostrami, które wyznaczili na pierwszy dzień września. Natychmiast po rozmowie z Megan John zatelefonował do Pattersona, a następnego dnia rano do Aleksandry, spędzającej lato na Riwierze. Na początku połączenie było fatalne, ale w końcu mogli się wzajemnie usłyszeć. - Tak szybko? - Była podekscytowana. - Znalazłeś je obydwie? Zdumiewające. Gdzie jest Megan? John uśmiechnął się słysząc jej łagodny głos. Już teraz mówiła o Megan jak o siostrze, której nigdy nie utraciła, która zaledwie wyjechała na długie wakacje. - Jest lekarzem w Kentucky. - O, mój Boże! A czy z Hilary wszystko w porządku? - Tak, widziałem ją. - Od razu zgodziła się przyjechać? - Ze wstrzymanym oddechem czekała na odpowiedź, lecz John zniweczył jej nadzieje mówiąc, że jeszcze nie rozmawiał z Hilary. - Nie chcę, by miała dużo czasu na myślenie. Zatelefonuję do niej za jakiś tydzień. - A co będzie, jeśli wtedy wyjedzie? - Nie martw się, odnajdę ją. - Oboje wybuchnęli śmiechem. Po chwili skończyli rozmowę i Aleksandra pośpiesznie zadzwoniła do matki. Margaret przebywała w Cap d'Antibes w hotelu Du Cap, w którym zwykle się zatrzymywała. Henri w końcu ustąpił nieco w kwestii trzymania Margaret z dala od dzieci. - Mama? - Tak, kochanie, czy coś się stało? - Głos Aleksandry, zadyszany i niespodziewanie młody, brzmiał w słuchawce jak głos jednej z jej córek. - Odnalazł je obie. - Co odnalazł? - Margaret właśnie wstała z łóżka i piła kawę, czytając przy tym "Herald Tribune". Nie miała pojęcia, co też Aleksandra mogła zgubić, a ktoś inny znaleźć. - O czym ty mówisz, na miły Bóg? - O moich siostrach! Chapman odnalazł obydwie! - Aleksandra z podniecenia wpadła niemal w ekstazę, dla Margaret jednak była to perspektywa mrożąca krew w żyłach. Podświadomie żywiła nadzieję, że Chapmanowi się nie powiedzie. - To bardzo miło - usiłowała mówić wesołym tonem. - Czy wszystko u nich w porządku? - Jedna z nich jest lekarzem, ta młodsza, a Hilary pracuje w sieci telewizyjnej w Nowym Jorku. - Wspaniale. A ty jesteś baronową. Powinni nakręcić o was film. - Mimo tych słów Aleksandra wiedziała, że matce nie było do śmiechu. - Nie martw się, mam, to niczego nie zmieni. Proszę, byś zawsze o tym pamiętała. Margaret chciałaby mieć tę pewność. - Kiedy spotkasz się z nimi? - Pierwszego września. Właśnie przed chwilą miałam w tej sprawie telefon. Jadę do Connecticut. - A co powiesz Henriemu? - Jeszcze nie wiem. Myślałam, że może powiem mu, że jadę z tobą... w jakichś twoich interesach. - Nie uwierzy w to. - Nie. Ale przecież nie mogę powiedzieć mu prawdy. Coś wymyślę. - Rozmawiały jeszcze przez chwilę, po czym pożegnały się. Po pięciu minutach Margaret zadzwoniła do Aleksandry wprowadzając ją w osłupienie tym, co powiedziała. - Jadę z tobą. - Co takiego?... Mam... nie możesz... - Dlaczego by nie? - Margaret podjęła już decyzję i uważała to za wspaniały pomysł, nie mówiąc o tym, że dzięki temu dostarczała Aleksandrze tak potrzebnego jej alibi. A poza tym będzie mogła dopilnować wszystkiego i być blisko Aleksandry. Rozpaczliwie wprost obawiała się tego spotkania. - To dla ciebie straszny kłopot. Miałas przecież nie wracać do Paryża do końca września. Mówiłaś, że jedziesz na kilka tygodni do Rzymu. - No więc mogę pojechać do Rzymu w październiku. Albo gdy wrócę z Nowego Jorku. Chciałam tylko odwiedzić Marisę - była to jedna z jej najstarszych przyjaciółek - i kupić nareszcie jakieś przyzwoite buty. Ale wolę pojechać z tobą do Nowego Jorku - a potem dodała nieśmiało: ...jeśli mnie weźmiesz. - Och, mam... - Aleksandrze łzy napłynęły do oczu. Wyczuwała,

jak bardzo Margaret obawia się tej podróży, ale przecież nie powinna. Nikt na świecie, żaden krewny, mąż ani przyjaciel, nie mógł jej zastąpić. - Będę zachwycona, jeśli pojedziesz, po prostu nie chciałam ci tego narzucać. - Nie bądź śmieszna. Gdybym została tutaj, zamieniłabym się w kłębek nerwów. - Nagle wpadł jej do głowy zupełnie zwariowany pomysł. - A może zabierzemy ze sobą Axelle i Marie-Louise? - Twarz Aleksandry rozjaśniła się na tę myśl. Nie chciała zostawiać ich przy końcu lata nawet na kilka dni. Poza tym Henri nie będzie mógł mieć zastrzeżeń do takiej rodzinnej wycieczki. - To wspaniały pomysł. Wy w trójkę zostaniecie w Nowym Jorku, a ja pojedę do Connecticut, a potem trochę poszalejemy. Dziewczynki zaczynają szkołę dopiero jedenastego. - Cudownie, zatelefonuję do Pierre'a i zarezerwuję dla nas pokoje. Którego tam będziemy? - Pierwszy wypada w piątek, może więc powinniśmy polecieć w czwartek, trzydziestego pierwszego sierpnia. - Doskonale. Zrobię rezerwację na dziesięć dni. Zawsze przecież będziemy mogły zrezygnować, jeśli zdecydujesz, że chcesz wracać wcześniej. - Mamo... - Aleksandra ze ściśniętym gardłem myślała o swej jedynej matce, jaką w życiu miała. - Kocham cię. - Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz, będzie wspaniale. - Margaret po raz pierwszy od czasu pojawienia się Johna Chapmana na rue de Varenne naprawdę tak myślała. Aleksandra powiedziała Henriemu o swych planach dopiero po tygodniu, któregoś popołudnia, gdy odpoczywali na tarasie. - Mama chce, żebym pojechała z nią do Nowego Jorku pod koniec lata - mówiła lekkim tonem, lecz Henri spojrzał na nią gniewnie. Wciąż był na nią zły za to rzekome przewinienie, które popełniła przed wyjazdem z Paryża. Aleksandra wiedziała, że jej nie przebaczył, choć więcej nie poruszali tego tematu. - O co chodzi tym razem? - Nic takiego. Matka ma jakieś interesy w Nowym Jorku. Jakieś rodzinne inwestycje, którymi musi się zająć. Prosiła mnie, bym wzięła dziewczynki i pojechała z nią. - To naprawdę śmieszne. Dlaczego miałabyś jechać do Nowego Jorku w sierpniu? - Nie wierzył żadnej z nich, przekonany, że coś knują przeciw niemu. - W gruncie rzeczy to będzie sam koniec sierpnia. Poza tym myślę, że dla dziewczynek taka odmiana będzie dużą frajdą. - Ależ to nonsens. Możesz pojechać do Nowego Jorku kiedy indziej, na przykład w zimie. - Aleksandra poczuła dreszcz słysząc jego ostry ton. Nie wiedział jeszcze, że tym razem nic nie jest w stanie jej powstrzymać. Pojedzie i zabierze ze sobą dzieci. - Nie, Henri. Jadę teraz, z matką. Z wrażenia aż usiadł na leżaku i spojrzał na nią ze złością. - Czy ty przypadkiem ostatnio nie stajesz się za bardzo niezależna, Aleksandro? Pozwól sobie przypomnieć, że w tym domu ja podejmuję decyzje, także decyzje dotyczące ciebie i dzieci. - Nigdy nie powiedział tego tak otwarcie, ale to była prawda, przynajmniej do tej pory. Sytuacja powoli zaczynała się zmieniać od czasu wizyty Johna Chapmana w Paryżu. - Nie sądzę, by było czym aż tak się ekscytować, Henri. Po prostu matka zaprosiła mnie i dzieci. - A jeśli zabronię ci jechać? - Poczerwieniał ze złości na jej nieoczekiwane, szokujące zachowanie. - I tak będę musiała pojechać, Matka prosiła mnie, bym jej towarzyszyła. - Twoja matka nie jest kaleką. Zatelefonuję do niej i powiem, że nie jedziesz. Lecz tym razem Aleksandra nie poddała się. Mówiła spokojnym głosem, nie pozostawiając jednak żadnych wątpliwości, że pod jej opanowaniem kryje się stal. - Nie chciałabym ci się sprzeciwiać, ale muszę pojechać z matką do Nowego Jorku. - Dlaczego? Wyjaśnij mi to. Podaj choć jeden rozsądny powód. - To zbyt skomplikowane,

by wytłumaczyć w dwóch słowach. Mogę ci tylko powiedzieć, że to sprawa rodzinna. - Aleksandro, ty kłamiesz. - Miał trochę racji, lecz ona nie mogła inaczej postąpić, prawda była zbyt przerażająca, by mu ją wyjawić. - Proszę cię, nie mów tak. Nie wyjeżdżam na długo. Zaledwie na kilka dni. - Dlaczego, cholera, dlaczego? - walnął pięścią w szklany stolik. Aleksandra aż podskoczyła. - Henri, proszę cię, bądź rozsądny. - Zaczęła obawiać się, że w końcu zmusi ją do powiedzenia prawdy. - Matka chce odwiedzić rodzinę i pragnie, bym jej towarzyszyła. Nie ma w tym nic złego. - Złe w tej całej sprawie jest to, że ja nie pozwoliłem ci jechać i w dodatku nie widzę żadnego powodu, dla którego miałabyś to robić. - Może po prostu mam ochotę. - Nie możesz sama podejmować takich decyzji. Jesteś moją żoną. - Ale nie jestem niewolnicą. Na Boga, nie możesz za mnie o wszystkim decydować. Mamy już dwudziesty wiek, nie żyjemy w średniowieczu. - A ty nie jesteś feministką walczącą o prawa kobiet, żebyś mogła robić, co ci się podoba. Jeśli jednak o to ci chodzi, nie pozwolę, byś robiła to pod moim dachem, Aleksandro. Proszę, byś wzięła to pod uwagę, zanim zaczniesz załatwiać sprawy związane z tą podróżą. - To doprawdy śmieszne. Zachowujesz się, jak bym popełniła jakieś przestępstwo. - Nieprawda. Ale to ja decyduję, co zrobisz i kiedy. Tak było przez czternaście lat i nie widzę powodu, dla którego miałyby się to zmienić. - A jeśli ja widzę? - spytała złowieszczo. Po raz pierwszy w życiu sposób, w jaki ją traktował, sprawił jej ból. Wiedziała, że był dobrym i uczciwym człowiekiem, ale urządzał im życie na swoją modłę, a jej przestało to odpowiadać. Co więcej, była tego świadoma. - Wpadniesz w kłopoty, jeśli będziesz upierać się przy swojej niezależności. Ostrzegam cię. - A ja ci mówię, tak grzecznie jak potrafię, że trzydziestego pierwszego sierpnia lecę z matką do Nowego Jorku. - To się jeszcze okaże. Nawet jeśli tobie pozwolę, nie weźmiesz ze sobą moich dzieci. Czy to jasne? Była to wielka próba sił; Aleksandra poczuła, że go za to nienawidzi. Brakowało mu tylko bata w rękę, by obraz był kompletny. - Czy one także są tu więźniami? - Czy tak właśnie widzisz siebie? - Ostatnio tak. Odkąd zesłałeś mnie tu za karę, za przewinienie, którego nie popełniłam. Całe lato traktowałeś mnie jak przestępcę. - Być może twoje nieczyste sumienie sprawia, że tak się czujesz, moja droga. - Nie mam nieczystego sumienia. Nie zamierzam też czuć się winna z powodu podróży z matką. Nie będę płaszczyć się przed tobą ani cię błagać. Nie muszę. Jestem dorosłą kobietą i mogę robić to, co sama zechcę. - Ach tak, młoda baronowa rozwija skrzydła. Chcesz mi powiedzieć, że nie potrzebujesz mojej pomocy, bo sama masz odpowiedni dochód? - Nigdy bym czegoś takiego nie powiedziała, Henri. - Jego gorycz wstrząsnęła nią; równocześnie jednak był wściekły, że nie chciała nagiąć się do jego woli. - Nie musisz, moja droga. W każdym razie ja już podjąłem decyzję. Nigdzie nie pojedziesz. Spojrzała na niego i z rozpaczą pokręciła głową. Nie rozumiał, że obrał złą taktykę. Nic nie mogło powstrzymać jej od wyjazdu. Nawet mąż. Rozdział Xxvi John po przyjeździe do Kentucky miał wrażenie, że wylądował na innej planecie. Dwukrotnie przesiadał się z samolotu do samolotu, a potem wysłany po niego dżip wioził go przez trzy godziny po wyboistych drogach w góry do "motelu", w którym dostał pojedynczy pokój; łazienka mieściła się na podwórzu. Wieczorem siedział skulony w swoim pokoju, przysłuchując się pohukiwaniom sów i innym dźwiękom, które słyszał po raz pierwszy w życiu. Zastanawiał się, jaka będzie Megan, gdy spotka się z nią następnego ranka. Spał niespokojnie i wcześniej

wstał. Poszedł do jedynej w mieście restauracji, gdzie zjadł jajka sadzone i kaszę i wypił filiżankę okropnej kawy. Po lunchu przyjechał po niego ten sam džip, prowadzony przez bezzębnego szesnastolatka, i zawiózł go do szpitala położonego wysoko w górach, pod olbrzymimi sosnami, otoczonego szalasami, zamieszkanymi przez całe rodziny. Większość z nich miała po około tuzinie dzieci, które biegały bose i ubrane w coś, co nazwać można było jedynie łachmanami. Dzieciom towarzyszyła sfora psów, czyhających na resztki pożywienia. Trudno było uwierzyć, że ta zapomniana przez Boga i ludzi placówka mieściła się w tak pięknej okolicy, oddalonej w dodatku od Nowego Jorku, Waszyngtonu czy Atlanty zaledwie o kilka godzin drogi. Nędza, którą widział tu John, była przerażająca. Młodzi chłopcy wyglądali jak starcy, zgięci wpół od pracy w ciężkich warunkach, niedożywienia i chorób. Młode kobiety nie miały zębów, a ich włosy były cienkie i słabe. Widział też malutkie dzieci z brzuchami opuchniętymi z głodu. Zastanawiał się, jak Megan mogła wytrzymać w tych warunkach, jak mogła codziennie chodzić do szpitala, nigdy nie wiedząc, co tam zastanie. Do kliniki wprowadzono go tylnym wejściem. W poczekalni na ławkach cierpliwie siedziało około trzydziestu kobiet, a dokoła biegały rozwrzeszczane dzieciaki. Kobiety najwyraźniej były po raz kolejny ciężarne, w niektórych przypadkach było to ich ósme lub dziewiąte dziecko, choć często miały dopiero dwadzieścia lat. Widok był zaskakujący. John spojrzawszy w kierunku biurka, dostrzegł jasnorude włosy splecione w warkoczyki. Należały do młodej, ładnej kobiety, ubranej w dżinsy i sportowe buty. Gdy ruszyła w jego kierunku, wiedział już bez cienia wątpliwości, że to była Megan. Podobieństwo do Aleksandry było uderzające. - Dzień dobry, pani doktor. - Odpowiedziała uśmiechem na jego powitanie i wprowadziła do małego pokoiku, gdzie mogli spokojnie porozmawiać. Pokazał jej te same dokumenty, które wcześniej widziała Aleksandra, a także opowiedział o siostrze, a potem dodał, że spotkanie odbędzie się w terminie przez nią zaproponowanym, to znaczy pierwszego września. - Czy będzie pani mogła przyjechać? - spytał niepewny, lecz ona uspokoiła go swym ciepłym uśmiechem. Sposobem zachowania przypominała trochę Rebecę; ale z wyglądu do złudzenia była podobna do Aleksandry. - Tak, jeśli uda mi się od nich uciec. - Ruchem ręki wskazała tłum czekających kobiet. - To widok budzący grozę. - Wiem - pokiwała poważnie głową; - Dlatego tu przyjechałam. One rozpaczliwie potrzebują pomocy. Opieki medycznej, żywności i oświaty. To niewiarygodne, że coś takiego istnieje w naszym kraju. - Skinął głową; nie mógł nie przyznać jej racji. Wielkie wrażenie na nim zrobił fakt, że ona próbowała tym ludziom pomóc. Ponownie przejrzała dokumenty, które jej dał, i postawiła mu kilka pytań dotyczących rodziców. Pytała o to samo, co Aleksandra. Dlaczego Sam zabił Solange? I co się stało z jej siostrami? Ze smutkiem słuchała o losie Hilary, a potem, gdy rozmawiali o Aleksandrze, na jej twarzy pojawił się uśmiech. - Jej życie wydaje się tak krańcowo różne od mojego, nie sądzi pan? Francuska baronowa. To bardzo daleko od Kentucky, panie Chapman - powiedziała przeciągając zgłoski i oboje roześmiali się. Mimo wszystko bardzo chciała poznać siostry, bez względu na to, jak bardzo od niej się różniły. - Wie pan, że moja matka bardzo obawiała się tego spotkania? - Wyczułem to w czasie naszego spotkania. Pani ojciec próbował ją uspokoić. - Myślę, że dla wszystkich przybranych rodziców sytuacja, gdy ich adoptowane dziecko szuka swych krewnych, stanowi wielkie zagrożenie. Widziałam to

często w miejscu, gdzie przedtem pracowałam. Ale ona nie ma powodu do zmartwień. - Uśmiechnęła się do niego spokojnie. Dokładnie wiedziała, kim jest, dokąd zmierza i po co. Tak dokładnie, jak ludzie, którzy ją uformowali. David i Rebecca Abramsowie żyli zgodnie ze swymi przekonaniem, a jej potrzeba było właśnie takich rodziców, uczciwych, inteligentnych, prawych, pełnych oddania dla ludzi i idei, w które wierzyli. Megan była tego świadoma. Powiedziała to swojej matce przed wyjazdem do Kentucky. - Przeżyje to jakoś: Obiecałam, że po wszystkim zadzwonię do nich. Ale znając ich, jestem pewna, że sami mnie szybko odwiedzą. Oboje wybuchnęli śmiechem. John popatrzył w oczy Megan i znalazł w nich światło, pasję i życie. Ta dziewczyna kochała to, co robiła, zaspokajało to jej ambicje; przebywanie w pobliżu niej było podniecającym przeżyciem. Tak różniła się od dziewczyn podobnych do Sashy, których nie obchodziło nic poza ich własną osobą. Megan myślała wyłącznie o ludziach potrzebujących pomocy. W połowie rozmowy musiała go opuścić, by przeprowadzić nagle cesarskie cięcie. Wróciła po półtorej godziny, przepaszając za spóźnienie. - Miałam mieć wolne to popołudnie, ale zawsze jest tak samo, dlatego nie odchodzę daleko. Zaprosiła go do siebie na kolację. Mieszkała w prostej chacie, umeblowanej takimiż sprzętami i pięknymi kapami, kupionymi u pacjentek. Zrobiła gulasz i rozmawiali, czując się swobodnie w swoim towarzystwie, o jej młodości, rodzicach i ludziach, których spotykała. Wiedział, że swoich rodziców darzy głębokim uczuciem; była im wdzięczna za wszystko, co dla niej zrobili. Jednocześnie jednak intrygowała ją myśl, że kiedyś należała do zupełnie innej rodziny. Uśmiechnęła się znad kieliszka wina. Wyglądała bardzo młodo, niemal dziewczęco. - Zabawne, w pewnym sensie to podniecające. Roześmiał się i poklepał ją po ręce. Z tych trzech kobiet ona wydawała się najmniej przejęta całą tą sprawą, najspokojniejsza i najszczęśliwsza. Robiła dokładnie to, co ją interesowało. Wieczorem odwozła go do motelu dżipem, który dostała od ojca, gdy przenosiła się w góry. John mógłby godzinami siedzieć z nią w świetle księżycy i rozmawiać, ale musiała wracać. O wpół do piątej rano zaczynała dyżur. - Czy spotkamy się pierwszego września w Connecticut? - spytała ostrożnie. Widział jej twarz oświetloną przez księżyc. - Tak, będę tam - uśmiechnął się. - Przynajmniej na początku. Obiecałem panu Pattersonowi, że przywitam was i pomogę w rozpoczęciu waszego spotkania. - Wobec tego do zobaczenia. - Odjeżdżając pomachała mu na pożegnanie. John długo stał patrząc na znikającego dżipa. Dochodziły go głosy sów pohukujących w koronach drzew; na policzkach czuł delikatne muśnięcia górskiego powietrza. Przez chwilę myślał, że chciałby tu spędzić całe życie. -----
Część piąta: Połączenie Rozdział Xxvii Aleksandra skończyła pakować swoje rzeczy i miała zamiar zabrać się za rzeczy dziewczynek, gdy w holu podszedł do niej Henri i złapał za ramię. - Myślałem, że mnie zrozumiałaś. Powiedziałem ci, że nie pojedziesz do Nowego Jorku. - Henri, muszę pojechać. - Nie chciała kłótni, a przecież musiała tak zrobić, on zaś nie był w porządku, usiłując teraz ją powstrzymać. Poszedł za nią do sypialni i w cichej furii patrzył na nią. Otwarte walizki leżały na łóżku. - Dlaczego tak się przy tym upierasz? - Instynkt podpowiadał mu, że chodzi o mężczyznę. Był to jedyny zrozumiały powód. - Ponieważ jest to dla mnie bardzo ważne. - Nie powiedziałaś mi nic, co by wyjaśniało twoje zachowanie. Dlaczego podróż z matką do Nowego Jorku tak wiele dla ciebie znaczy? Może zechciałabyś zadać sobie trochę trudu i wytłumaczyć mi?

Spojrzała na niego oczami pełnymi łez. Przez całe lato był dla niej niedobry i teraz też utrudniał i tak skomplikowaną sytuację. - Naprawdę nie mogę ci tego wyjaśnić. Chodzi o sprawy z odległej przeszłości. - Czy jest w to wmieszany jakiś mężczyzna? - Spojrzał na nią oskarżająco, a ona, widząc go w mocnym słońcu Riwiery, nagle zauważyła, że wygląda bardzo staro. Pomyślała, że Henri boi się, że związała się z kimś młodszym. Zrobiło się jej go żal i na moment przestała się mieć na baczności. - Nie, to nie ma związku z żadnym mężczyzną. Ta sprawa dotyczy moich rodziców. - Powiedziała prawdę, ale przecież nie miała na myśli hrabiny i hrabiego de Borne. - Ale czego dokładnie, Aleksandro? Oczekuję, że wyjaśnisz mi, o co tu chodzi. - I nagle, jakby nie miała już sił dalej z nim walczyć, usiadła na krześle i rozplakała się. Nie podszedł do niej, nie próbował pocieszyć. Uważał, że należy mu się wyjaśnienie, a może i coś więcej. - Nie chciałam ci o tym mówić... to... to bardzo trudno wytłumaczyć. Sama wiem o tym dopiero od czerwca. - W jej oczach pojawił się wyraz cierpienia. Wtedy nagle zdał sobie sprawę, że musiało się stać coś złego. Przewinienie, za które karał ją przez dwa miesiące, dotyczyło być może czegoś innego, niż podejrzewał. Przez moment ogarnęło go poczucie winy. Stał koło okna i wciąż czekał na wyjaśnienia. - Moja matka... moi rodzice... było coś, o czym powinni ci byli powiedzieć... ja także, tylko sama nie niemal o tym nie zapomniałam i wytłumaczyłam sobie, że to nieistotne. Ale teraz sądzę, że to musi być dla ciebie bardzo ważne... - Poczul dreszcz grozy. Aleksandra przerwała, by złapać oddech. - Henri, ja zostałam adoptowana. - Patrzył na nią, głęboko zdumiony. - Naprawdę? Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? Twój ojciec nigdy mi nic nie wyjaśnił. - Był przerażony. Aleksandra odważnie ciągnęła dalej. Miała zamiar powiedzieć mu wszystko. - Przedtem także mnie adoptowano. Margaret i jej pierwszy mąż. - Czekala, aż jej słowa w pełni do niego dotrą. Pobladł i usiadł na łóżku, nie spuszczać z niej wzroku. - Mówisz poważnie? Nie jesteś naturalnym dzieckiem Margaret i Pierre'a de Borne? - Jakby ktoś mu powiedział, że Renoir, za którego zapłacił pięć milionów dolarów, jest falsyfikatem. Jego śliczna, nienagannie wychowana żona nie jest hrabianką, lecz kimś znikąd. Aleksandra pokiwała głową. Wiedziała, jaki sama przeżyła wstrząs słysząc to z ust Margaret, i zdawała sobie sprawę, że dla Henriego musi to być jeszcze gorsze. - A przedtem? Więc nawet Margaret nie jest twoją matką? - Mówił szeptem. Aleksandra skinęła głową, zdecydowana powiedzieć wszystko. - Nie, nie jest. Zaśmiał się gorzko. - I pomyśleć, że tak często martwiłem się, że ty i dzieci jesteście tak do niej podobne. Kim wobec tego są twoi rodzice? Czy chociaż wiesz? - Mogła być kimkolwiek... dziewczyną z ulicy... z rynsztoka ... o nieznanym pochodzeniu. Na tę myśl poczul mdłości. Przez dziesięć wieków w jego rodzinie zawierano związki małżeńskie i wydawano na świat potomstwo z najwyższą ostrożnością, a on poślubił kobietę o nieznanym pochodzeniu. - Wiem o tym od dwóch miesięcy. Chciałam ci tego oszczędzić. To ten sekret kryłam przed tobą, nic poza tym. Nie uspokoił się, patrzył na nią gniewnie i z furją przemierzał pokój tam i z powrotem. - Wolałbym już chyba, żeby chodziło o mężczyznę. - Przykro mi, że cię rozczarowałam - powiedziała z wielkim smutkiem. Zawiodła się na nim. W głębi duszy modliła się, by ją zaakceptował z całym tym bagażem przeszłości... łudziła się, że może to nie będzie miało dla niego znaczenia. W gruncie rzeczy jednak dobrze wiedziała, jak ważne dla jej męża było pochodzenie, by mógł sobie pozwolić na

wspaniałomyślność w obliczu tej niespodzianki. Była tego w pełni świadoma, a jednak miała nadzieję, że może stanie się inaczej. Ale myliła się. - A twoi rodzice? Kim byli? Ci prawdziwi... - Moja matka była Francuzką, wiem tylko, że nazywała się Solange Bertrand i pochodziła z "pospólstwa", jak ty byś powiedział. Ojciec poznał ją, gdy z wojskami alianckimi wyzwalał Paryż. Był aktorem, bardzo znanym, szanowanym i podziwianym. Nazywał się Sam Walker. Podobno bardzo się kochali i mieli trzy córki, z których ja jestem średnią. A potem... - słowa prawie dusiły ją, ale równocześnie odczuwała wielką ulgę pozbywając się tego brzemienia... - W rezultacie jakiegoś szaleństwa ojciec zabił matkę. Kiedy został za to skazany, popełnił w celi samobójstwo, zostawiając mnie i moje siostry sierotami, bez grosza. Przez kilka miesięcy byliśmy u ciotki, później przyjaciel rodziny, adwokat, znalazł nam dwa domy i przeprowadził naszą adopcję, to znaczy dwu z nas. Ja miałam dużo szczęścia, bo trafiłam na Margaret i jej pierwszego męża, prawnika, George'a Gorhama. Miałam wówczas pięć lat. Kiedy ojciec zabił matkę, miałam cztery, dlatego nic nie pamiętam. Nie pamiętam też George'a Gorhama. Sześć miesięcy później zmarł, a moja matka, to jest Margaret, to jest... przyjechała do Francji, by dobrać się do siebie po śmierci męża, i poznała mojego ojca, Pierre'a... resztę już znasz. Adoptował mnie natychmiast po ślubie z matką, o czym ty nie wiedziałeś, a ja zapomniałam, i żyliśmy długo i szczęśliwie, aż pojawiłeś się ty, Henri. - Próbowała się uśmiechnąć, lecz uśmiech zamarł jej na twarzy, gdy na niego spojrzała. - Cóż za śliczna historyjka! - patrzył na nią z nieopanowaną furią. - Jak śmiałaś oszukiwać mnie przez te wszystkie lata? Nawet jeśli ty, jak utrzymujesz, zapomniałaś, twoja matka cały czas dobrze wiedziała. A twój "ojciec", jak go nazywasz... bande de salopards!... mógłbym ci wytoczyć proces o rozwód z powodu oszustwa... i szkód, jakie poniosłem w wyniku niedotrzymania małżeńskiego kontraktu! - Czy twoje córki nazywasz "szkodami", Henri? Nie wiedziałam, naprawdę... - Łzy spływały po jej twarzy i wolno spadały na żółtą jedwabną bluzkę. Patrzyła na niego, lecz nie znajdowała w nim litości. - Uważam całą tę mistyfikację za hańbiącą! A ta podróż do Nowego Jorku? Po co to wszystko? Chcesz złożyć kwiaty na grobie rodziców? - Ten prawnik, który załatwiał naszą adopcję, był najbliższym przyjacielem rodziców. Teraz jest umierający. Przez całe miesiące szukał mnie i moich sióstr, gdyż pragnie nas połączyć. Uważa, że tyle jest nam winien za ból i cierpienie, na jakie skazał nas, rozdzielając przed laty. Niestety, jedna z moich sióstr nie miała tyle szczęścia co ja. - I kim jest teraz? prostytutką w Nowym Jorku? Mój Boże, to nie do wiary! W ciągu godziny otrzymałem w spadku wojenną pannę młodą, mordercę, samobójcę i Bóg jeden wie, co jeszcze, a ty spodziewasz się, że pomacham chusteczką i będę ocierać łzy radości na wieść o twoim połączeniu z siostrami, które chyba nawet ciebie nic nie obchodzą po tylu latach. A twoja matka? Jaka jest jej rola w tym wszystkim? Czy to ona skontaktowała cię z tym prawnikiem? Może sądziła, że trzeba ci trochę urozmaicić życie? Wiem, że według niej jestem nudny i nieciekawym, ale zapewniam cię, że tego rodzaju rozrywki nie są w moim guście. - Ani w jej - Aleksandra spojrzała na niego dumnie. Powiedziała mu, kim jest, i jeśli ją odrzuci, będzie to jego strata, jego grzech, jego brak litości. Ona zrobiła wszystko, by go przed tym uchronić, ale on domagał się odpowiedzi na swoje pytania. Teraz ma, co chciał. I zobaczymy, co z tym zrobi. - Matka powiedziała mi o wszystkim ze złamanym sercem. Nigdy nie chciała, by ta historia wyszła na jaw. To ja pragnę zobaczyć moje

siostry, przekonać się, jakie one są. I mylisz się, moja siostra nie jest prostytutką, kieruje jedną z najważniejszych sieci telewizyjnych, choć jej życie było tragiczne. Moja młodsza siostra jest lekarzem, pracuje w Appalachia. Nie wiem nawet, czy je polubię, ani czy one mnie polubią. Ale chcę je poznać, Henri. Pragnę dowiedzieć się, kim są i kim jestem ja sama, poza tym, że jestem twoją żoną. - To ci już nie wystarczy, prawda? Musisz ściągać to wszystko na nasze głowy. Czy potrafsz sobie wyobrazić, jak cała ta sprawa wpłynie na moją karierę, jeśli wyjdzie na jaw? Co się stanie z moim bankiem? Moimi krewnymi? Czy możesz wyobrazić sobie, co pomyślą twoje dzieci, gdy dowiedzą się, że ich dziadek zamordował ich babkę? Mój Boże... - znowu usiadł, przerażony na samą myśl o skandalu. - Nie jestem w stanie sobie tego wszystkiego wyobrazić. - Ani ja - powiedziała cicho Aleksandra. - Ale nie rozumiem, dlaczego miałoby się to wydać. Nikt nie zamierza rozgłaszać o tym spotkaniu. Dzieci nawet nie wiedzą, po co tam jadą. Myślą, że babcia po prostu zaprosiła nas do Nowego Jorku. Weekend spędzę w Connecticut, "z przyjaciółmi", a dziewczynki zostaną z matką w Nowym Jorku. - Nie potrafię pojąć, po co w ogóle chcesz zabrać je ze sobą. To nie ma sensu. Dla niej miało... dla Margaret również. - Może potrzebuję psychicznego wsparcia. - A potem zrobiła krok, o jaki jeszcze przed momentem sama siebie by nie podejrzewała. - Może ty także pojedziesz z nami? To trochę przerażające, takie cofanie się o trzydzieści lat, by spotkać ludzi, których się nie zna, a których się kiedyś kochało. - Trudno mi to sobie nawet wyobrazić. I nie pojedę z tobą. Właściwie, Aleksandro... - Wstał i popatrzył na nią ze smutkiem. W jego oczach ich życie zostało zrujnowane i była to szkoda nie do naprawienia. - Błagam cię, nie jedź. Nie wiem, co z naszego małżeństwa da się uratować, jeśli w ogóle jeszcze istnieje taka możliwość, ale z całą pewnością twój wyjazd się temu nie przysłuży. Ci ludzie należą do innego świata, ty jesteś ponad nimi. Nie wolno ci tam wracać... - A potem dodał szeptem - Proszę, nie rób tego. Tym razem nie mogła go posłuchać. Nadszedł kres jej czternastoletniego absolutnego posłuszeństwa Henriemu de Morigny. Musiała pojechać do Nowego Jorku, dla własnego dobra, a może nawet i dla dobra jej dzieci. Musiała stanąć twarzą w twarz z tymi kobietami, dotknąć je i poznać, a potem pokochać lub nie, i pogrzebać stare upiory, o których istnieniu jeszcze do niedawna nie miała pojęcia. - Przykro mi, Henri... muszę. Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz. To dla mnie bardzo ważne. Ta sprawa nie musi mieć wpływu na nasze małżeństwo. Robię coś, co powinnam zrobić... dla samej siebie... nie po to, by sprawić ci ból. - Podeszła do niego i łagodnie spróbowała go objąć, ale jej nie pozwolił. Traktował ją jak obcą, bo taką w jego oczach teraz była. - Nie wiem nawet, kim jesteś. - Czy moje drzewo genealogiczne ma aż takie znaczenie dla ciebie? - Z góry znała odpowiedź na swoje pytanie. Henri ze smutkiem pokręcił głową i wyszedł z pokoju. Aleksandra wytarła nos i stanowczym krokiem poszła do pokoju dziewczynek, by spakować ich rzeczy. Nie miała żadnych wątpliwości, że bez względu na to, jak dalej ułoży się jej małżeństwo, musi pojechać do Nowego Jorku. Po prostu musi. Rozdział Xxviii John Chapman poszedł do \$c\$b\$a dopiero na trzy dni przed planowanym spotkaniem. Machnął strażnikowi wszystkimi przepustkami i poszedł na górę do jej biura. Stwarzając pozory częstego bywalca, z uśmiechem zapytał sekretarkę, czy jest Hilary. - Za kilka minut wychodzi... - już miała zapytać go, kim jest, ale przemknął się koło niej. Sekretarka wzruszyła ramionami; nie mogła przecież pilnować każdego, kto

wchodzi do panny Walker. Było ich tak wielu, a ten wyglądał całkiem przyzwoicie, w gruncie rzeczy nawet lepiej niż przyzwoicie. Uśmiechając się zadała sobie pytanie, czy jest to ktoś, z kim Hilary jest związana. Nikt nie wiedział nic pewnego o prywatnym życiu szefowej. Drzwi zamknęły się cicho za Johnem. Gdy stanął przed Hilary, spojrzała na niego zaskoczona. - Tak? - Pomyślała, że chodzi o jakąś przesyłkę, może jakiś scenariusz lub pilne instrukcje. Przyzwyczaiła się do wciąż nowych twarzy pojawiających się w jej biurze, ale ten człowiek z niczym jej się nie kojarzył. John stał spokojnie, patrząc na nią, jakby ją dobrze znał. Hilary ogarnęło dziwne uczucie, gdy zbliżał się do niej, i przestraszona sięgnęła po słuchawkę, by wezwać pomoc. Widząc jednak, jak się uśmiecha, poczuła się głupio. Wyglądał na człowieka inteligentnego, zdecydowanego i był bardzo przystojny, ale wciąż nie miała pojęcia, kim, u diabła, był i co robił w jej biurze. - Panna Walker? - zapytał głębokim, łagodnym głosem. Nie musiał zadawać tego pytania. Dokładnie wiedział, kim była, prawdopodobnie nawet lepiej niż ona sama. - Przepraszam, że wtargnąłem w taki sposób, ale muszę z panią chwilę porozmawiać. - Wstała zza biurka, jakby chcąc zachować kontrolę nad całą sytuacją. Zielone oczy były zimne jak lód, a ton szorstki. - Właśnie wychodzę. Musi pan poczekać do jutra. Z jakiego pan jest działu? Nie wiedział, co odpowiedzieć, pytanie było trudne. Nie chciał, by wezwała strażników i kazała go wyrzucić. Powiedział więc wprost: - Jestem od Megan i Aleksandry... - Czekał na efekt swoich słów, lecz podobnie jak przy ciosie nożem lub ranie od kuli, krew nie pojawiła się od razu. Jej oczy wciąż były zielonymi bryłkami lodu. - Chcą się z panią spotkać. - Kim pan jest? - Tym razem ręka jej drżała, gdy sięgała po telefon, lecz on był szybszy i przytrzymał słuchawkę. - Proszę... niech mi pani da pięć minut. Nie zrobię pani nic złego. To długa historia, ale postaram się ją streścić. - Hilary nagle zorientowała się, że to ten sam mężczyzna, który do niej telefonował. John dostrzegł to w wyrazie jej twarzy. - Nie chcę ich widzieć. - Ale one bardzo chcą zobaczyć panią. Obydwie. Aleksandra przyjeżdża z Francji... Megan z Kentucky... - próbował zyskać na czasie; w jej oczach pojawił się wyraz bólu... niewiarygodnego żalu... - Ten stary sukinsyn przysłał pana, nie mylę się, prawda? Dlaczego teraz? - wstała z krzesła patrząc na niego; zrezygnowała już z telefonowania do kogokolwiek. - On umiera. - To dobrze. - Może chce okupić swoją winę. Pragnie, byście spotkały się w najbliższy weekend w jego domu w Connecticut. Poszukiwał was od miesiący... - Bzdura - powiedziała krótko. - Ja wiem swoje. Ponad dwadzieścia lat temu posłałam do niego, a on nic o żadnej z nas nie wiedział. Kto nas odnalazł? Pan? - W odpowiedzi skinął głową, nie mając pewności, czy go za to nie znenawidzi. Przez niego ożywał ten straszliwy ból, a ona już dawno skończyła z przeszłością. Po wizycie w biurze Arthura przestała szukać swoich sióstr. Po dziesięciu latach marzenie umarło, a teraz, po przeszło dwudziestu, nie chciała go wskrzeszać. Już ich nie potrzebowała. Szerokim murem odgradziła się od wszystkiego, co mogłoby jej przypominać o ich istnieniu. Nie było w jej życiu mężczyzn, dzieci, nie było uczuć. Była tylko praca, kojąca praca, i ludzie, po których deptała idąc w górę. Nie czuła winy ani żalu. Szła do swego celu nie zbaczając z drogi. Bez niczyjej pomocy, kompletnie sama. - Za późno, panie... wszystko jedno, jak pan się nazywa. - Chapman, John Chapman. - Niech im pan powie, że mnie to nie interesuje. Spóźnił się o dwadzieścia lat... nie, o trzydzieści. - Usiadła z wyrazem niewypowiedzianej goryczy na

twarzy. Wyglądała na młodszą, niż była w rzeczywistości, tylko oczy były starsze niż jej wiek, starsze i pełne smutku. - A co mam powiedzieć pani siostram? - Proszę im powiedzieć... proszę powiedzieć... - zająknęła się i popatrzyła smutno na niego. - Niech im pan powie, że wtedy bardzo je kochałam... ale teraz jest już za późno. Pokręcił głową i usiadł naprzeciw niej przy biurku, modląc się w duchu, by udało mu się poruszyć jakąś żywą strukturę w jej sercu, jeśli w ogóle istniało jeszcze coś, co przetrwało ten nie kończący się ból całego jej dzieciństwa. - Nie jest późno, Hilary... nie może być... wtedy była pani dla nich wszystkim... - Arthur mu tak powiedział. Pewnego razu opisał mu, jak Hilary opiekowała się siostrami. Mówiąc o tym stary człowiek płakał. - Nie może się pani teraz od nich odwrócić. Spojrzała mu w oczy zastanawiając się, kim jest ten mężczyzna, jak je odnalazł i skąd tyle o nich wiedział. - One mnie już nie potrzebują, panie Chapman. Są teraz dorosłe. Kim są? Sekretarkami? Gospodyniami domowymi? - Był to najlepszy los, o jakim mogła dla nich marzyć. John Chapman uśmiechnął się. - Jedna jest francuską baronową i ma dwójkę dzieci, druga jest lekarzem w Kentucky. Obie są bardzo interesującymi kobietami; myślę, że spodobałyby się pani. To nie miało nic do rzeczy, ale jednak była ich ciekawa. - Która jest lekarzem? - Nie potrafiła wyobrazić sobie żadnej z tamtych małych dziewczynek w roli lekarza. - Megan. Jest wspaniała. Aleksandra też. Ciepła, pełna współczucia i miła. - Była taka, nawet jako małe dziecko. - Głos Hilary przeszedł w cichy szept. Ukryła twarz w dłoniach i potrząsnęła głową. - Myśl o odnalezieniu ich trzymała mnie przy życiu przez dziesięć lat piekła. Ukradłam ciotce dziesięć tysięcy dolarów i chciałam pojechać do Nowego Jorku, by je odszukać. - Roześmiała się z głową wciąż schowaną w dłoniach, ale Chapman widział na biurku ślady łez. - I wtedy on mi powiedział, że stracił z nimi kontakt... nie miał pojęcia, gdzie były... Nie umiałam ich znaleźć. - Spojrzała na Johna pustym, załamany wzrokiem. - Jaki sens ma to teraz, poza tym że zadamy sobie ból wspominając to, co się stało? - Hilary, pani jest jedyną, która te wspomnienia posiada. Pani siostry ich nie mają. Aleksandra przypomina sobie panią, a Megan nic nie pamięta. Teraz macie tylko siebie, a to, co się stało z waszymi rodzicami, nie ma już żadnego znaczenia. Jesteście tylko wy trzy... nie może się pani od nich odwrócić. - Ten stary drań nas zniszczył. Dlaczego mam pozwolić na to, by dzięki temu, że nas połączy, ucieszył swoje sumienie? Moje życie się nie zmieni, jeśli się z nimi nie spotkam. Wszystko skończone. Ich już nie ma. Tak jak rodziców... tak jak przeszłości. - Pani rodzice odeszli na zawsze... ale siostry nie. Są żywymi istotami i chcą panią poznać. Nawet jeśli zniechęci je pani po tym spotkaniu, przynajmniej będzie pani mogła sobie powiedzieć, że spróbowała. - Ale ona wolno potrząsnęła głową i ponownie wstała, a jej oczy miały szmaragdowe błyskawice. - Nie zrobię tego. Niech pan powie Pattersonowi, że go nienawidzę... nie może pan sobie wyobrazić, jak bardzo go nienawidzę. - Ale dlaczego? Wiem, że was rozdzielił, ale czy było coś jeszcze? - Chciał zadać jej to pytanie od momentu, gdy poznał historię jej życia. - Teraz to już nieważne. On dobrze wie, co nam zrobił. Niech z tym żyje. Dla mnie to już skończone... mam swoje życie... pracę... niczego więcej nie potrzebuję. - To cholernie puste życie, Hilary. Wiem, bo moje też jest takie. Z kim pani rozmawia nocą? Kto trzyma pani rękę, gdy jest pani chora, zmęczona, gdy się pani boi? Ja mam byłą żonę, rodziców i dwóch braci. A kogo pani ma? Czy stać panią na odwrócenie się od tych dwóch kobiet?

- Proszę wyjść z mojego biura. - Podeszła do drzwi i pchnięciem otworzyła je na oścież. Usłyszała już dosyć, nie miała ochoty na więcej. John nie zareagował, lecz wyjął z kieszeni kartkę papieru. Zawierała wskazówki, jak pierwszego września dojechać do domu Arthura w Connecticut, numer telefonu i adres. Kładąc ją na biurku, spojrzał Hilary prosto w oczy, a potem podeszedł do drzwi. - Od miesiący żyję twoim życiem, Hilary Walker. Płakałem z twojego powodu. Byłem w Charlestown i Jacksonville. Rozmawiałem z kobietą, która znalazła cię ledwo żywą na schodach. Widziałem zastępcze domy. Wiem, ile zadano ci bólu... jak podłe było twoje życie. - Jego oczy pełne były łez. - Proszę, nie rób tego. Nie odwracaj się od swoich siostr. Jesteś im potrzebna, a one są potrzebne tobie... Hilary, proszę... jedź na to spotkanie. Pomogę ci. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ci pomóc. - Patrzyła na niego oszołomiona, nie rozumiejąc, skąd wiedział to wszystko. - Tylko przyjedź... Proszę - mówiąc to, łagodnie ścisnął jej ramię i wyszedł. Hilary stała bez ruchu i patrzyła w otwarte drzwi. Cierpienie, o którym myślała, że już minęło, odżyło w niej na nowo, połączone z nowym niepokojem. Nie chciała ich widzieć... nie chciała przypomnieć sobie rudych loków Axie i cichego płaczu Megan w nocy. Odeszły. Odeszły na zawsze. A ona nie mogła znów do tego wracać. Nawet dla Johna Chapmana. Rozdział Xxix - Naprawdę jedziesz? - Henri stał i patrzył na nią z drugiego końca sypialni. W Cap Ferrat dzielili wspólny pokój, a raczej tak było do czasu, gdy Aleksandra wszystko mu wyznała. Tamtej nocy przeniósł się do pokoju gościnnego. Ten gest nie wymagał komentarza. - Tak, jadę. - Wyglądała poważnie i zdecydowanie. Dziewczynki były już ubrane i gotowe do drogi, bagaże zniesione na dół. Miały spotkać się z Margaret na lotnisku w Nicei. Udało im się zarezerwować bezpośredni lot do Nowego Jorku, nie musiały więc jechać do Paryża. - Nie rozważysz tego raz jeszcze? Wolno pokręciła głową. - Przykro mi, kochanie, nie mogę. - Podeszła do niego w nadziei, że pozwoli się objąć, ale gdy była tuż przy nim, cofnął się, raniąc ją tym do żywego. - Proszę, nie... - powiedział cicho. - Wobec tego, szczęśliwej podróży. - Wrócę najpóźniej dziesiątego. - Skinął głową. - Zatrzymamy się u Pierre'a w Nowym Jorku, gdybyś mnie potrzebował. Zadzwoń do ciebie. - Nie trzeba, będę bardzo zajęty. - Odwrócił się i wyszedł na taras. Aleksandra spojrzała na niego po raz ostatni i zeszła na dół. Nie wiedziała, że patrzy, jak odjeżdżają, nie zdawała sobie sprawy, że ze łzami w oczach spoglądał na morze rozmyślając o niej. Bardzo ją kochał, a teraz czuł się tak, jakby ją utracił. Tak trudno uwierzyć w to, co się zdarzyło... nie potrafił tego pojąć. Jak mogli na to pozwolić... w pewnym sensie, był tego świadom, ona również padła ofiarą okoliczności. Jednak dla niego były to sprawy o wiele ważniejsze niż dla niej. A teraz wyjechała w tę zwariowaną podróż, by poznać swoje dwie siostry. Żałował, że nie potrafił jej powstrzymać. Margaret nalegała, by poleciały pierwszą klasą. Dziewczynki były oczarowane, gdy podano im napoje "Shirley Temple" i mogły dmuchać na siebie przez małe czerwone słomki. - Dziewczynki, proszę! - Aleksandra upominała je, myśląc wciąż o mężu, Margaret jednak powiedziała jej, by pozwoliła im na trochę zabawy. Później, gdy dziewczynki ruszyły wzdłuż przejścia w poszukiwaniu jakichś towarzyszy zabaw, Margaret spytała, jak Henri przyjął te nowiny. Kilka dni temu Aleksandra napomknęła w rozmowie z nią, że wyznała mu całą prawdę. - Nie ujął tego wprost - powiedziała poważnie Aleksandra - ale myślę, że wszystko skończone. Jestem pewna, że po

powrocie do domu dowiem się, że rozmawiał już ze swoimi adwokatami. - Nie musiałś tego robić. Mogłaś mu powiedzieć, że to ja wlokę cię ze sobą do Nowego Jorku. - Mamo, on wiedział, że chodzi o coś innego. Musiałam mu coś powiedzieć, więc powiedziałam prawdę. - Pomimo ceny, jaką przyjdzie jej za to zapłacić, nie żałowała swego czynu. Nareszcie miała czyste sumienie. - Myślę, że popełniłaś wielki błąd. - I choć nie powiedziała tego głośno, uważała, że Aleksandra nie myliła się w swych przypuszczeniach. Henri z pewnością wystąpi o rozwód, wręcz zażąda, a Aleksandra nie będzie z nim walczyć. Margaret modliła się tylko o to, by zostawił jej dzieci. Z tych nieprzyjemnych rozmyślań wyrwał ją powrót Marie-Louise i Axelle. Obie zgodnie stwierdziły, że choć w samolocie nie było wolnych miejsc, "nikt" nim nie leciał. - Chcecie powiedzieć, że nie ma dzieci? - spytała Margaret z uśmiechem. Dziewczynki roześmiały się. - Trudno, jesteście skazane na nas. - Zagrała z nimi w "starą pokojówkę" i "rybę i wojnę", a potem uczyła je grać w karty. Aleksandra siedziała pogrążona w myślach. Nad tyloma sprawami musiała się zastanowić... rodzice... siostry... mąż, jeśli jeszcze będzie go miała po powrocie do Francji. Była wciąż przekonana o słuszności swojej decyzji. Następnego ranka, po dobrze przespanej nocy w hotelowym pokoju, zadzwoniła do recepcji i zamówiła sobie wizytę u fryzjera. Poszła do Bergdorfa, oddalonego od hotelu o zaledwie kilka przecznic. Wróciła na lunch, bardzo zadowolona z rezultatów tej wizyty. Na jej widok Margaret i dziewczynki wpadły w osłupienie. Aleksandra na powrót miała rude włosy, kazała bowiem zmyć płukankę. - Mamo, wyglądasz tak samo jak ja! - Axelle piszczała z zachwytem, a Marie-Louise klaskała w dłonie. - Co, u licha było powodem? - spytała Margaret ponad głowami dzieci. - Już od dawna miałam na to ochotę. Zrobiłam to teraz, bo znowu jestem sobą, na dobre i złe. Niczego nie ukrywam. - Czuła się z tym dobrze. - Kocham cię - szepnęła Margaret dotykając jej ręki. Lunch zjadły w "21", a potem poszły kupić "małe" prezenty od babci. Margaret, jak zwykle, psuła wnuczki. Zgodnie z planem o czwartej limuzyna czekała już na Aleksandrę. Dziewczynkom powiedziała, że zostają z babcią w mieście, a ona sama jedzie na weekend do starych przyjaciół do Connecticut. - Zadzwonię do was wieczorem - obiecała wsiadając do samochodu z małą walizką w ręku. Ubrana była w bardzo szykowną sukienkę z czarnego lnu od Chanela. - Idziemy z babcią do kina - krzyczała Axelle. Aleksandra mocno uściskała matkę i przytuliła dziewczynki, a potem całej trójce przesłała całusy. Machając im na pożegnanie, gdy samochód ruszył, długą chwilę patrzyła w oczy matki. Była pewna, że zobaczyła na jej policzkach łzy. Ona sama też miała łzy w oczach. Powrót w przeszłość przerażał Aleksandrę, lecz równocześnie stanowił początek trudnej do przewidzenia przyszłości. Rozdział Xxx Jazda do położonego nad morzem Stonington w stanie Connecticut trwała niecałe dwie godziny. Siedząc na tylnym siedzeniu wynajętej limuzyny, Aleksandra rozmyślała o tych, których przed chwilą pożegnała. O Margaret i miłości, jaką przez trzydzieści lat od niej doznawała, o Axelle i Marie-Louise, tak bardzo jej drogich, teraz może nawet bardziej niż przedtem... i o Henrim, rozgniewanym jej rzekomą zdradą. Rano przyszło jej do głowy, by do niego zadzwonić przed wyjazdem, ale nie wiedziała, co ma mu powiedzieć. Nie pozostało już nic do powiedzenia. Wiedziała, co Henri myśli o jej podróży do Stanów; zabronił jej jechać, a ona, po raz pierwszy w czasie trwania ich małżeństwa, nie posłuchała go. Nagle poczuła się dziwnie

wolna i jakoś inaczej niż zwykle... niemal tak jak w czasach, gdy była małą dziewczynką i z ojcem biegała po polach w pobliżu ich wiejskiego domu, a wiatr rozwiewał jej włosy. Była wtedy taka pewna siebie i taka szczęśliwa. Miała wrażenie, jakby ojciec towarzyszył jej w tej podróży w przeszłość, podróży, której nie była w stanie się oprzeć. Odruchowo dotknęła ręką włosów i uśmiechnęła się do swoich myśli. Znowu była Aleksandrą de Borne... Aleksandrą Walker, szepnęła do siebie w ciszy samochodu. Po raz pierwszy od czternastu lat znowu miała rude włosy. Dojechali na miejsce. Przy bramie był domofon, w którym usłyszała jakiś nieznany sobie głos; poza tym elektronicznym zabezpieczeniem posiadłość nie robiła większego wrażenia. Jechali pod górę długim, krętym podjazdem. W końcu, za ostrym łukiem ukazał się ładny wiktoriański dom z obszerną werandą i galeryjką. Wyglądał jak wyobrażenie domu babki lub jakiejś starej ciotki. Na werandzie stały meble z wikliny, a za domem znajdowała się stara stodoła. Całość wydała się Aleksandrze przytulna i miła. Wysiadając ostrożnie z samochodu pomyślała, że to miejsce spodobałoby się jej dzieciom. A potem na werandzie zobaczyła znajomą twarz i uśmiechnęła się, gdy mężczyzna ruszył w jej kierunku. - Dzień dobry!... Jak minęła podróż? - Był to John Chapman. Miał na sobie spodnie w kolorze khaki i niebieską koszulę, rozpiętą pod szyją. W jego oczach nie było śladu skrępowania, gdy ścisnął jej dłoń i odbierał od szofera walizkę. - Dziękuję, dobrze. Jakie to ładne miejsce. - Prawda? Całe popołudnie tu myszkowałem. W stodole jest parę wspaniałych starych przedmiotów, podejrzewam, że pan Patterson od dawna ma ten dom. Wejźmy do środka, bardzo ci się tam spodoba. - Poszli wolno w kierunku domu. John podziwiał jej błyszczące rude włosy, które z tej spokojnej blondynki sprzed paru tygodni uczyniły zupełnie inną kobietę. - Twoje włosy wyglądają wspaniale, jeśli wolno zauważyć. Aleksandra roześmiała się i potrząsnęła głową. Była zadowolona, że mu się podobały. - Postanowiłam dla uczczenia tej podróży wrócić do swojego koloru włosów. I tak nie będzie nam łatwo rozpoznać się wzajemnie, bez dodatkowych utrudnień. - Uśmiechnęła się. Spojrzeli sobie w oczy; wtedy odważyła się zapytać o to, co interesowało ją najbardziej. - Czy moje siostry już przyjechały? John zmarszczył brwi i spojrzał na nią, usiłując nadać sobie beztroski wygląd, choć wciąż niepokoiła go Hilary. Bardzo się obawiał, że nie przyjedzie. - Jeszcze nie. Megan powiedziała, że będzie tu koło szóstej. A Hilary... - urwał. Aleksandra długo patrzyła na niego poważnym wzrokiem, a potem spuściła głowę. Zrozumiała i zasmuciło ją to, lecz nie zaskoczyło. - Nie zgodziła się przyjechać, prawda? - Nie wprost. Ale powiedziałem jej, jak bardzo ci zależy na jej przyjeździe. Uważałem, że powinienem jej to powiedzieć. - W odpowiedzi skinęła głową; modliła się w duchu, by jej siostra zdobyła się na odwagę i przyjechała. Wiedziała, jak bolesna była przeszłość Hillie, dużo bardziej bolesna niż przeszłość jej i Megan; dlatego Hillie może dojść do wniosku, że to spotkanie przerasta jej siły. Aleksandra nie traciła jednak nadziei. Gdzieś w głębi duszy mała, dawno zapomniana dziewczynka rozpaczliwie pragnęła zobaczyć starszą siostrę. - Będziemy trzymać kciuki za jej przyjazd - dodał John, gdy wchodzili do frontowego holu. Po prawej stronie znajdował się mały salonik, a po lewej obszerny salon z przytulnym kominkiem i dobrze utrzymanymi wiktoriańskimi meblami. Zastanawiała się, gdzie jest Arthur Patterson, ich dobroczyńca, który doprowadził do dzisiejszego spotkania. Zapytała o to szeptem Johna. - Jest na górze, odpoczywa. - Przyjechał pod opieką dwóch

pielęgniarek. John, widząc go tego ranka, pomyślał, że to cud, iż ten człowiek jeszcze nie umarł. Tak jakby przy życiu trzymała go tylko nadzieja tego spotkania i na dotrwanie do tej chwili zużył cały swój zapas sił. Przez ostatnie cztery miesiące postarzał się o dwadzieścia lat i widać było, że nęka go nieustanny ból. Był jednak przytomny i gorąco pragnął zobaczyć te trzy kobiety, które w końcu udało mu się odnaleźć. - Czy jest pan pewien, że przyjadą? - pytał wciąż Johna, który próbował go uspokoić zapewnieniami, modląc się przy tym, by Hilary ich nie zawiodła. A może byłoby lepiej, gdyby nie przyjechała, tak bardzo przecież nienawidziła Arthura? John nie był wcale pewien, czy ten stary, umierający człowiek ma dość sił, by znieść taką konfrontację. Po lunchu pielęgniarki położyły Arthura do łóżka. Nalegały, by dać mu odpocząć do kolacji, ponieważ zdecydował, że tego wieczoru zejdzie na dół i zje ze swymi gośćmi. Ustalili, że po posiłku John ich opuści. Do tego czasu kobiety już się rozgoszczą, John pomoże im we wzajemnym poznaniu, a reszta zależeć będzie tylko od nich... i od Arthura.

Aleksandra rozejrzała się najpierw po salonie, potem poszła do jadalni, w której stał długi angielski stół. - Chyba spędzał tu wiele czasu - zauważyła - ten dom otoczony jest miłością. - Johna rozbawił taki dobór słów; odpowiedział, że nie wie, ile czasu Patterson spędzał w Connecticut. Nie dodał, że stary człowiek pragnie tu umrzeć. - Czy chcesz pójść na górę? - Dziękuję - uśmiechnęła się do niego, zastanawiając się, ile może mieć lat. Czasami wydawał się taki chłopięcy... choć był równocześnie dojrzałym mężczyzną. Poważny, a jednak wesoły... tak różny od Henriego. W porównaniu z jej mężem John wydawał się dziecinny. Przywykła do władczego zachowania Henriego, jego rozkazującego tonu, sposobu, w jaki wkraczał do pokoju i brał sprawy w swoje ręce, do jego surowej twarzy i potężnych ramion, nagle, ku swojemu zaskoczeniu, zatęskniła za tym wszystkim. Przy nim inni mężczyźni zawsze sprawiali wrażenie słabych i niedojrzałych, jakby im czegoś brakowało, choć byli tacy przystojni i mili. Nie opuszczało jej pytanie, czy w ich małżeństwie będzie jeszcze kiedyś tak jak przedtem, czy Henri przyjmie ją, gdy wróci do Francji... może będzie musiała zamieszkać z matką albo znaleźć sobie własny dom. Na razie nie знаła jeszcze odpowiedzi. John wprowadził Aleksandrę do narożnego pokoju, nagrzanego popołudniowym słońcem, którego promienie odbijała ozdobiona koronką biała kapa na łóżku. Obok stał wygodny bujany fotel i takie same wiktoriańskie meble, jakimi urządzony był cały dom. W pokoju znajdowała się kozetka i porcelanowa umywalka. Na stole ktoś postawił wazon z kwiatami i Aleksandra poczuła się znów bardzo młoda, jakby była dziewczyną wracającą do domu. W jej oczach zalśniły łzy, gdy odwróciła się do Johna, by mu podziękować. - Przebywanie tutaj jest takie dziwne - próbowała wyjaśnić, ale nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów - to tak, jak by się było równocześnie bardzo starym i bardzo młodym... jak odwiedziny w przeszłości... to niepokojące. - Rozumiem. Zostawił ją samą, by się odświeżyła. Po chwili zeszła na dół, ubrana w beżowy lniany kostium i beżowe pantofle Chanel, świeżo umalowana. Wyglądała elegancko i pewnie. Odwróciła się, słysząc za sobą jakieś głosy, i zobaczyła, że po schodach schodzi Arthur podtrzymywany przez pielęgniarki. Był zgięty wpół i wydawał się bardzo kruchy; jęczał przy każdym kroku. Nagle zobaczył ją i wydał okrzyk zaskoczenia, a łzy zaczęły płynąć mu po twarzy. Aleksandra wyszła mu naprzeciw. - Dzień dobry, panie Patterson - powiedziała cicho,

pochylając się nad nim, by pocałować go w policzek. - Dziękuję, że mnie pan do siebie zaprosił. - On jednak trząsnął się tak bardzo, że nie był w stanie mówić. Wziął ją jedynie za rękę i ścisnął mocno, z całą siłą, jaka mu pozostała, a potem pozwolił jej sprowadzić się na dół. Gdy siedział już w wygodnym fotelu, popatrzył na nią i w końcu przemówił zachrypłym od choroby głosem: - Mój Boże, wyglądasz tak samo jak ona. Jesteś Aleksandra czy Megan? - Pamiętał, że Hilary miała włosy tak czarne, jak jej ojciec. - Jestem Aleksandra, proszę pana. - Była poważna i głęboko wzruszona, a on, słysząc jej głos, rozplakał się. - Nawet mówisz tak samo. Ona przez wszystkie te lata zachowała francuski akcent... - Pokiwał głową, uderzony jej podobieństwem do matki. Aleksandra czuła się dziwnie, słysząc, że tak bardzo przypomina kogoś, kogo nie знаła, a kto jednak był jej matką. - Czy pan ją bardzo lubił? - To było coś, o czym mogli porozmawiać czekając na dwie pozostałe kobiety. Pojawił się John i zaproponował jej kieliszek wina, lecz odmówiła. Chciała całą uwagę skupić na Arthurze Pattersonie i poczekać na siostry. Z każdą upływającą sekundą rosło w niej napięcie i podniecenie. Arthur pokiwał głową, rozważając pytanie Aleksandry. - Tak, bardzo ją lubiłem... była taka śliczna... taka piękna i dumna... było w niej tyle życia... Uśmiechając się słabo opowiedział Aleksandrze, jak on i Sam zobaczyli ją po raz pierwszy w Paryżu. - Myślałem, że wezwie policję, i zrobiłaby to... gdyby twój ojciec nie był tak cholernie przystojny i czarujący. - Uśmiechnął się na wspomnienie Sama. Byli dobrymi przyjaciółmi, przeżyli razem wspaniałe chwile na wojnie. - Był świetnym aktorem. - Opowiedział jej o jego rolach. Słuchała go spokojnie. Nagle usłyszeli samochód na podjeździe. John zniknął, a po chwili dały się słyszeć jakieś głosy. Arthur zdawał się również nasłuchiwać; bezwiednie wziął Aleksandrę za rękę i trzymał mocno. Drzwi otworzyły się; z miejsca, gdzie siedział, widział, jak wchodziła. Rozejrzała się wkoło, jak przedtem Aleksandra, a potem zauważyła, że się jej przyglądają, i weszła do pokoju jak nieśmiałe dziecko. Wyglądała jak młodsza kopia Aleksandry. Aleksandra wolno podniosła się z miejsca i z otwartymi ramionami ruszyła jej naprzeciw. Miała wrażenie, jakby odnalazła fragment przeszłości i równocześnie spoglądała w lustro. Różniły się tylko kolorem oczu - Aleksandra miała niebieskie, a Megan zielone, jak Solange. Nie ulegało wątpliwości, że są siostrami. - Megan? - Aleksandra spytała ostrożnie, choć wiedziała, że to musi być ona. Dziewczyna skinęła głową i obie ze łzami w oczach objęły się mocno, mimo że wcześniej każda z nich przyrzekła sobie nie dać się ponieść emocjom: Aleksandra, tuląc Megan, przez moment myślała, że ją sobie przypomina. - Jesteś taka do mnie podobna! - Megan roześmiała się przez łzy i znów przytuliła Aleksandrę, a potem zrobiwszy krok do tyłu, przyglądała się siostrze z przekornym uśmiechem. - Tylko nie ubierasz się tak dobrze jak ja. - Wciąż była w tych samych dżinsach, sportowych butach i koszulce, które przed wyjazdem miała na sobie w czasie dyżuru w szpitalu. Ubieram się tak na wszystkie okazje, podobnie jak Rebecca. - Mój Boże, jesteś piękna. - Roześmiała się i nieśmiało cofnęła, a Aleksandra wzięła ją za rękę i przedstawiła Arthurowi. - Dzień dobry, panie Patterson - Megan powiedziała to grzecznie, jak mała dziewczynka. Arthur patrzył na nią z satysfakcją. Była niemal tak ładna jak Solange, ale nie całkiem, brakowało jej finezji Aleksandry, miała za to coś własnego, coś, co ją wyróżniało. Na jej twarzy wryta była inteligencja i jakaś czystość. Była śliczną, młodą kobietą. - A więc jesteś lekarzem, prawda? - Tak, proszę

pana. Na Boże Narodzenie kończę specjalizację. Kiwając głową patrzył to na jedną, to na drugą. Nie było w nich goryczy ani gniewu, widać było, że w życiu nie spotkało ich nic złego. Dla nich wybrał dobrze... ale nie dla biednej Hilary. Obawiał się, co Hilary może mu powiedzieć, jeśli przyjedzie; Chapman go ostrzegł. Mimo to chciał ją znowu zobaczyć. Czekali prawie do ósmej, zdenerwowani i niepewni. W pokoju na przemian wybuchały gorączkowe rozmowy i zapadała cisza. Arthur opowiadał o przeszłości, a Megan i Aleksandra próbowały przekazać jak najwięcej informacji o sobie. Obie przywiozły fotografie; Aleksandra miała zdjęcia dziewczynek, Henriego i rodziców, Megan zaś Rebeki i Davida, domu w Tibourn i szpitala w Kentucky. Zdawać się mogło, że chciały nadrobić stracony czas, w końcu miały do opowiadania trzydzieści lat swojego życia. Ich losy były tak krańcowo różne. Zdjęcie szpitala w Kentucky sąsiadowało z podobizną dziewczynek. Henri sfotografowany przed swym zamkiem w Dordogne wyglądał w każdym calu na wielkiego pana. Przez chwilę znalazły się obok siebie fotografie Margaret w wieczorowej sukni, przed wyjściem na bal w Monte Carlo rok temu i Rebeki w dzinsach; z czerwonym kwiatem we włosach. Megan wspomniała o tym z nieśmiałym uśmiechem, gdy wchodziły do jadalni. Arthur, wsparty na ramieniu Johna, wolno podążał za nimi. - To niesamowite, jak różnie ułożyły się nasze losy, nie uważasz? A jednak jesteśmy siostrami... jesteśmy do siebie podobne... mamy tych samych rodziców, po których przypuszczalnie odziedziczyłyśmy te same nawyki i upodobania, nawet o tym nie wiedząc. I popatrz, ty wychowałeś się z pompą i paradą we Francji, a ja połowę dzieciństwa spędziłam u przyjaciół, bo moi rodzice odsiadali wyroki za ideę, w którą wierzyli. - Mówiła o tym z dumą, nie sprawiała wcale wrażenia nieszczęśliwej. Wszystko to było takie zaskakujące i rozmyślały o tym w milczeniu, siedząc przy stole po obu stronach Arthura. John zajął miejsce obok Megan, natomiast krzesło obok Aleksandry wciąż stało puste. Powoli stawało się oczywiste, że Hilary nie zamierzała przyjechać. Aleksandra, tracąc resztki nadziei, zaczęła mówić o banalnych sprawach, a Arthur najwyraźniej zapadł w drzemkę. Nagle usłyszeli warkot silnika na podjeździe. John bez słowa wyszedł z pokoju. Z zewnątrz dobiegły rozgniewane głosy, po czym ktoś z impetem otworzył drzwi. Megan i Aleksandra patrzyły jak zahipnotyzowane. Arthur ocknął się z drzemki, jakby czując, że ktoś jeszcze do niego przyjechał. - Czy coś się stało? - zapytał niepewnym głosem. Aleksandra w odpowiedzi uspokajająco poklepała go po dłoni, nie odrywając wzroku od drzwi. Wtedy ją zobaczyła. Wysoka, szczupła i czarnowłosa jak ich ojciec, szła zamaszystym krokiem, kierując na nich spojrzenie swych zielonych oczu. Ubrana była w pognieciony kostium z granatowego lnu. Nie miała zamiaru tu przyjeżdżać, decyzję zmieniła nagle, wychodząc z pracy. Postanowiła wynająć samochód i zjawić się, by w końcu powiedzieć Arthurowi, co o nim myśli. Wtedy może nareszcie się od niego uwolni. To, że spotka siostry, nie było dla niej ważne; stały się dla niej obce. Wchodząc do pokoju patrzyła tylko na Arthura, bo tylko on ją interesował, nie mogła jednak zignorować tych dwóch rudowłosych kobiet siedzących obok niego. Jej wzrok powędrował najpierw ku Megan, potem ku Aleksandrze. John cały czas stał bez słowa za plecami Hilary. Wyczuwał panujące w pokoju napięcie i udrękę kobiety stojącej tak blisko niego. Miał ochotę wziąć ją w ramiona, ale sprawiała wrażenie, jakby miała za chwilę wybuchnąć. Nagle zatrzymała się. Popatrzyła prosto w oczy

Aleksandry, która wolno wstała i jak lunatyczka ruszyła przez pokój. Z ust wyrwały się jej dawno zapomniane słowa. - Hi... Hillie... - Widziała znów przed sobą twarz małej dziewczynki o długich czarnych włosach... a tu była kobieta... o takich samych czarnych włosach... tych samych zielonych oczach... Aleksandra, nie wiedząc dlaczego, rozplakała się, a Hilary wbrew swej woli objęła ją. - Axie... mała Axie... - Trzymała ją w objęciach po raz pierwszy od tamtego dnia, gdy je rozdzielono, a ją pozostawiono samą u Eileen i Jacka w Charlestown, szlochającą z powodu rozłąki z siostrami, które tak kochała. Ledwo była w stanie znieść ból wywołany wspomnieniem tamtych chwil. Przytuliła do siebie wysoką, wyperfumowaną i pięknie uczesaną kobietę z Paryża, widziała jednak twarz ukochanego dziecka i płacząc szeptała wciąż te same słowa... - Kocham cię, Axie... - Długo stały przytulone do siebie, a Megan przyglądała się im w milczeniu. Nagle ciszę przerwał kaszel Arthura. John pośpiesznie podał mu szklanekę wody, a gospodyni, usługująca im do obiadu, przyniosła pastylki, które dała jej pielęgniarka. Megan, sprawdzwszy dawkę, podała je Johnowi. Hilary wolno odwróciła się w ich stronę. - Ty musisz być Megan. - Uśmiechnęła się przez łzy, nie wypuszczając dłoni Aleksandry ze swojej. - Trochę zmieniłaś się od czasu, gdy widziałam cię po raz ostatni. - Roześmiały się wszystkie. Wyraz oczu Hilary zmienił się jednak na widok Arthura. Mocno ściskając rękę Aleksandry powiedziała: - Postanowiłam, że tu nie przyjadę, Arthurze. - Skinął głową; patrząc w jej oczy dostrzegł to, czego tak bardzo się obawiał. Nienawidził go, nienawidził z całej duszy, lecz wiedział, że na to zasługuje. - Nie chciałam cię już więcej widzieć. - Cieszę się, że tu jesteś, Hillie - powiedziała Aleksandra łagodnie. - Tak bardzo chciałam cię zobaczyć... ciebie też - dodała uśmiechając się do Megan. Z twarzy Hilary śmiech zniknął na dobre. Wypuściwszy dłoń siostry podeszła do Arthura. - Dlaczego nam to zrobiłeś? Dlaczego sprowadziłeś nas tutaj, po tylu latach? Dlaczego sztychasz z nas pokazując, co straciliśmy, a co mogłybyśmy mieć, gdybyśmy zostały razem? Arthur przytrzymał się stołu obiema rękami; dusiły go własne słowa. - Czułem, że jestem wam to winien za to, co zrobiłem. - Mówiąc z trudnością łapał oddech, lecz na Hilary nie robiło to żadnego wrażenia. - I uważasz, że możesz to naprawić? - Roześmiała się gorzko i wszystkim zrobiło się jej żal. John jednak obawiał się tego, co jeszcze może powiedzieć; świadom był ogromu jej nienawiści do Arthura. Czekwała na tę chwilę trzydzieści lat. - Naprawdę uważasz, że można wymazać trzydzieści lat samotności i cierpienia za pomocą jednej kolacji? - Twoje siostry miały więcej szczęścia niż ty, Hilary - powiedział Arthur szczerze. - Nie czują do mnie takiej nienawiści jak ty. - One nie wiedzą tyle co ja... prawda Arthurze?... prawda? - Tylko jej krzyk przerywał ciszę panującą w pokoju. Arthur drżał cały. - To wszystko należy już do przeszłości, Hilary. - Była to rozmowa tylko między nimi dwojgiem, tylko oni wiedzieli, o czym mówią, cała reszta mogła się jedynie domyślać. - Tak sądzisz? A jak ty się czujesz? Czy po zamordowaniu moich rodziców byłeś w stanie sam siebie znieść przez te wszystkie lata? - Jej zielone oczy pałały. Aleksandra podeszła do siostry, by dotknąć jej ręki, lecz Hilary odtrąciła ją. - Hillie, nie... to nie ma już teraz znaczenia... - Nie ma? - Hilary odwróciła się do siostry. - Co ty możesz o tym wiedzieć? Ty, która wiodłaś wspaniałe życie we Francji? Ja zostałam zgwałcona, a potem siedziałam w domu opieki, próbując cały czas znaleźć jakiś sposób, by was odszukać. A ten sukinsyn nie wiedział, gdzie jesteście, o żadnej z nas nic nie

wiedział. Nie zadał sobie nawet tyle trudu, by dowiedzieć się, co się z nami działo od dnia, kiedy was zabrał siłą, a mnie zostawił płaczącą... wy tego nie pamiętacie, ale ja pamiętam to dobrze... pamiętam was obie... - popatrzyła na siostry - nigdy nie zapominałam, codziennie, przez całe życie, płakałam za wami, ponieważ nie umiałam was odszukać. A ty mówisz mi, że to nie ma znaczenia? Jak możesz tak mówić? - Płakała nie wstydząc się swoich łez. - Ale on ich nie zabił - Aleksandra mówiła także w imieniu Megan. - To prawda, nie udało mu się zatrzymać nas razem, a potem, przez lata, nie interesował się nami. Ale może nie mógł nic zrobić w tej sprawie. - Spojrzała życzliwie na starego człowieka, a Megan bez słowa skinęła głową, nie rozumiejąc, dlaczego Hilary nienawidzi go tak bardzo. Tak, zawiódł je, ale nie zdradził. Hilary jednak śmiała się do nich gorzko przez łzy. - Wy nic nie wiecie. Byłyście wtedy małymi dziećmi. Ja tam stałam, tej nocy, gdy umarła mama... gdy tatuś ją zabił... słuchałam... słyszałam, co mówili... - Zaczęła szlochać, a John stał obok, gotowy przyjść jej z pomocą, gdyby się załamała, i choć o tym nie wiedziała, towarzyszył jej tak już od miesięcy. - Słyszałam, jak krzyczała... - mówiła Hilary - kiedy ją bił, a potem gdy ją dusił, aż umarła... - hamowała łzy stojąc teraz na wprost Arthura. - Wiecie, dlaczego to zrobił? - nie spuszczała wzroku z twarzy starego człowieka. Na ten moment czekała całe życie. - Zabił ją, ponieważ powiedziała mu, że ma romans z jego przyjacielem... - Zdawało się, że przebywa w innym świecie; znów słyszała tamte głosy i wracała myślą w przeszłość, do nocy, gdy jej ojciec zabił jej matkę. - Powiedziała mu, że od lat zdradza ją z różnymi kobietami, ze wszystkimi aktorkami grającymi główne role w jego sztukach... a on powiedział, że to nieprawda, że oszalała... ale ona miała dowody, wiedziała, z kim pojechał do Kaliforni... z kim spędził poprzednią noc... mówiła, że to już przestało ją obchodzić... że też ma kogoś, wyłącznie dla siebie, i że jeśli nie będzie uważał, zostawi go i zabierze nas. Zagroził, że ją zabije, jeśli to zrobi, a ona się śmiała... cały czas śmiała się z niego... powiedział, że nie pozwoli odebrać sobie swoich małych dziewczynek, a ona tylko się śmiała... a potem powiedziała mu, kto to był... - Hilary ledwo mogła mówić, tak dławił ją szloch, ale nie przerywała, i oddalona zaledwie o centymetry od Arthura, drżącego coraz gwałtowniej w swoim fotelu, krzyczała mu w twarz. - Powiedziała mu, prawda, Arthurze? Prawda? - A potem, patrząc na swoje siostry, dodała to, co sama wiedziała od dawna, a czego one nie wiedziały nigdy. - Miała romans z Arthurem, najlepszym przyjacielem tatusia... wtedy krzyknął, że ją zabije, ale ona tylko się śmiała. Kiedy powiedział, że nie może nas odebrać, wyjaśniła, że tylko dwie z nas są jego córkami... - W pokoju zaległa ogłuszająca cisza. Arthur siedział jak rażony piorunem. Gdy Hilary znów się odezwała, jej głos był spokojny. Zrobiła już to, po co przyjechała. - Megan jest dzieckiem Arthura - powiedziała, patrząc na niego potępiająco. - I wtedy tatuś zabił mamę. - Opadła na krzesło obok Arthura, płacząc cicho; Aleksandra objęła ją ze współczuciem. Stary człowiek jęknął w swoim fotelu. - Ja nie wiedziałem... nigdy mi nie powiedziała... - popatrzył na Megan ze wzruszeniem. - Musisz mi uwierzyć... nie wiedziałem... zawsze myślałem, że jesteś jego córką, jak one... - Płakał całkiem otwarcie, a Megan zdawała się bardziej zaszokowana tym niż całą resztą. Arthur usprawiedliwiał się przed całym pokojem. - Gdybym wiedział... - Hilary jednak spojrzała na niego i pokręciła głową. - Cóż by to zmieniło? Zatrzymałbyś ją, a nas porzucił n

a pastwę losu? Nic byś nie zrobił. Nie byłeś oparciem ani dla mojej matki, ani swojego dziecka, zdradziłeś najlepszego przyjaciela, a swoim postępkami zabiłeś ich oboje. Masz ich na sumieniu... i nas; gdyby nie ty, nasze życie byłoby zupełnie inne. Jak mogłeś sam siebie znieść przez tyle lat? Jak mogłeś bronić go w sądzie, jeśli przedtem go zdradziłeś? - Błagał mnie o to, Hilary... ja nie chciałem. Prosiłem go, by pozwolił mi wynająć innego adwokata. Ale nie chciał. Tak naprawdę, nie chciał już żyć po śmierci twojej matki - głos Arthura przeszedł w cichy szept. - Ani ja. Życie nas obu zakończyło się z jej śmiercią... Kochałem ją od chwili, gdy ją ujrzałem. - Twarz miał mokrą od łez. Megan nie odrywała od niego oczu. Nie był już tylko przyjacielem rodziny. Był jej ojcem. Wzrok Hilary, spoczywający na nim, był pusty i obojętny. Zdawać się mogło, że widzi go po raz pierwszy w życiu. Był starym, umierającym człowiekiem. Nie da się odwrócić tego, co zrobił. Dla niego wszystko się skończyło, i nieważne, kogo miał na sumieniu. Krew dawno już wyschła... o ludziach zapomniano. Hilary wstała i spojrzała mu w oczy. - Przyjechałam, żeby ci powiedzieć, jak bardzo cię nienawidzę. I wiesz, Arthurze, to dziwne, ale po tych wszystkich latach wcale nie jestem przekonana, czy to ma jeszcze jakieś znaczenie. - Poczula dłoń Aleksandry na swym ramieniu i odwróciła się, by na nią popatrzeć. Emocje tego wieczoru wyczerpały ją, jednak raz jeszcze spojrzała na obie swoje siostry. - Dawno temu bardzo was kochałam, ale może to też należy już tylko do przeszłości... - Nie było już nic, co mogłaby dać, nic, co mogłaby przyjąć; czuła pustkę. Aleksandra jednak nie pozwoliłaby jej odejść, Megan również. To właśnie ona przemówiła pierwsza. - To przeszłość dla nas wszystkich, lecz przyjechałyśmy na to spotkanie. Nie pamiętam żadnej z was, nie wiedziałam, że pan Patterson jest moim ojcem. Przyjechałyśmy, by uczcić przeszłość, ale także, by rozpocząć coś nowego. Każda z nas ma teraz innych rodziców, inne życie, kochamy innych ludzi. Przez te trzydzieści lat nie żyłyśmy przecież w próżni, nawet ty, ze swym gniewem i nienawiścią. - Była w tych słowach cicha wymówka, trafiająca jednak w samo sedno. - Nie możesz tak po prostu przyjść, rzucić nam na kolana bombę i odejść. Musisz nam pomóc w zaleczeniu tych ran, tak samo jak my musimy pomóc tobie. Dlatego właśnie wszystkie tu przyjechałyśmy. - Patrzyła na Hilary z twarzą mokrą od łez. Jeśli teraz wyjedzie, wszystko przepadnie, jej życie raz na zawsze legnie w gruzach. Musi zostać, mimo obecności Arthura, i stanąć z nim twarzą w twarz. Hilary spojrzała na Aleksandrę, jakby szukając potwierdzenia, a ta skinęła głową i powiedziała cicho: - Proszę, zostań, Hillie... tak długo na to czekałam. - Każda z nich wiele ryzykowała, cena była wysoka. Ona sama przeciwstawiła się Henriemu, być może ogromnym kosztem, a wszystko po to, by móc ujrzeć siostry. - Przyjazd tutaj wymagał wielkiej odwagi. Od każdej z nas. Mój mąż zabronił mi tu przyjeżdżać... nie wiem nawet, czy przyjmie mnie po powrocie. A moja matka... kobieta, która jest dla mnie matką, przyjechała tu ze mną i bardzo się boi, co z tego wyniknie. Obawia się, że utraci mnie po tylu latach. - Aleksandra miała łzy w oczach. Megan również płakała. Rebecca z głębokim niepokojem czekała na rezultat tego spotkania. Poprzedniego wieczoru rozmawiały godzinę przez telefon i Megan obiecała, że zadzwoni, gdy tylko będzie mogła. - Ty straciłaś więcej niż my, Hillie... ale nie jesteś sama... kochamy cię... Nie możesz się od nas odwrócić. - Aleksandra, płacząc cicho, objęła starszą siostrę. - Nie pozwolę ci odejść. - Hilary długi czas stała sztywno,

wyprostowana w ramionach Aleksandry, a potem odwzajemniła uścisk... skąd ona mogła wiedzieć, czym było jej życie? To nie była wina Aleksandry... ani Megan... ani może nawet Arthura. Niechętnie to przyznawała, ale taka możliwość też istniała. Arthur był głupcem i za swoją głupotę zapłacił wysoką cenę. Patrzył teraz żałośnie na Hilary. - Czy kiedykolwiek mi wybaczycie? Czy wszystkie mi wybaczycie? - pytał, ale patrzył tylko na najstarszą z sióstr. Hilary wahała się długo, zanim odpowiedziała. - Nie wiem... nie wiem, co czuję... - Tuliła się mocno do Aleksandry szukając wzrokiem Megan. - Cieszę się, że przyjechałyście. Wy trzy macie prawo być razem. Gdybym był innym człowiekiem, przeciwstawiłbym się wtedy mojej żonie i zatrzymał was u siebie. Chciałem, ale ona się nie zgadzała, a ja nie miałem odwagi, by zrobić to wbrew jej woli. Teraz żałuję, ale to nie ma żadnego znaczenia. - Spojrzał posępnie najpierw na Hilary, a potem na własną córkę, którą porzucił. - Popełniłem straszliwy błąd. I drogo za to zapłaciłem. Przez całe życie byłem samotnym człowiekiem... Odkąd umarła wasza matka... - Nie był w stanie mówić dalej. Pokręcił jedynie głową i trzęsąc się na całym ciele wstał, podtrzymywany przez Johna i pielęgniarkę. - Idę teraz na górę. Mam wiele do przemyślenia. - Rewelacje Hilary były dla nich wszystkich wstrząsem, największym jednak dla Arthura i Megan. Megan zadawała sobie pytanie, czy w jakimś sensie nie ponosi odpowiedzialności za śmierć matki... gdyby nie przyszła na świat, czy Sam zabiłby Solange? Lecz było już za późno, by tak myśleć, by opłakiwać coś, co wydarzyło się trzydzieści lat temu. Nadszedł czas, by rozpocząć coś nowego. Arthur przed wyjściem raz jeszcze odwrócił się do nich. - Pragnę, byście zostały tu tak długo, jak możecie... tak długo, jak będziecie chciały. Pewnego dnia ten dom będzie należał do was; zostawiam go wam, żebyście miały dokąd przyjeżdżać ze swoimi rodzinami, ze swoimi dziećmi. Żebyście w końcu miały wspólny dom. Będę trzymał się z dala od was, gdy tu będziecie, ale chcę, byście zostały i poznały się nawzajem. - Aleksandra i Megan podziękowały mu cicho. Megan poderwała się, by pomóc mu wejść po schodach. Tylko Hilary nie zareagowała, patrząc na niego w milczeniu. Kiedy wyszedł, zwróciła się do Aleksandry. - Nie wiem, czy kiedykolwiek przestanę go nienawidzić, Axie. - Choć upłynęło tyle lat, nazywanie ją tym zdrobnieniem wciąż przychodziło jej z łatwością. Aleksandra odpowiedziała uśmiechem. - Przystaniesz. Musisz. Nie ma już kogo nienawidzić. On umiera. - Hilary skinęła głową. Nie miała wątpliwości, że ten człowiek już długo nie pożyje. - Jestem mu wdzięczna, że zdążył nas połączyć. - Ramię w ramię wolno weszły po schodach i poszły do pokoju Aleksandry. Hilary nagle pomyślała o tamtym pokoju, w którym mieszkały u Jacka i Eileen, wszystkie trzy na jednym łóżku, bo trzeba było uspokajać płaczącą Megan, by nie zabiła jej ciotka. - Jakie są twoje dzieci? - Hilary usiadła w bujanym fotelu. Pokój był bardzo wygodny, ale nie zdecydowała jeszcze, czy zostanie na noc. Na razie chciała posiedzieć i porozmawiać chwilę z Axie. Aleksandra uśmiechnęła się słysząc to pytanie. - Marie-Louise jest bardzo podobna do ciebie. Ma twoje oczy... a Axelle wygląda tak jak ja w dzieciństwie. Ma sześć lat, Marie-Louise dwanaście. Pomiędzy nimi był chłopak, ale poroniłam. - Po raz pierwszy od lat Hilary pomyślała z bólem o swojej aborcji. Od tamtej pory unikała wszelkich kontaktów z dziećmi, a teraz okazało się, że ma dwie siostrzenice. - Czy wciąż pamiętasz francuski? - Trochę - Hilary uśmiechnęła się. - Niewiele, jak sądzę. - Marie-Louise i Axelle mówią po angielsku dzięki mojej matce. - A

jaki jest twój mąż? - Hilary chciała wiedzieć wszystko o siostrze... o jej mężu, jej dzieciach, jej zwyczajach... Chciała wiedzieć, czy są podobne, czy mimo tych wszystkich lat mają ze sobą coś wspólnego. Małżeństwo z pewnością nie było jedną z takich rzeczy. Hilary wykreśliła je nieodwołalnie ze swego życia. Aleksandra westchnęła; postanowiła ocenić Henriego sprawiedliwie. - Ma trudny charakter. Jest inteligentny i wymagający. Chce decydować o wszystkim zarówno w domu, jak i w pracy. Zadowala go jedynie absolutna perfekcja. - Nie przeszkadza ci to? - Hilary spytała z zainteresowaniem, wpatrując się w siostrę swymi zielonymi oczami. Aleksandra uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami. - Właściwie nie. Przywykłam już do tego. I wiem, że pod tą maską szorstkości kryje wielką miłość do nas... przynajmniej dotąd tak było - westchnęła. - Nie wiem, co będzie teraz. Był zaszokowany, gdy usłyszał naszą historię... to znaczy historię naszych rodziców... - Niestety, nie jest to piękna opowieść. - Szczególnie dla Megan - dodała cicho Aleksandra, widząc, jak młodsza siostra idzie korytarzem. Megan położyła Arthura do łóżka. Cierpiał straszliwie i płakał, więc dała mu zastrzyk uspokajający. - Już długo nie pożyje - powiedziała spokojnym głosem, wchodząc do pokoju. Hilary, jak wcześniej John, zauważyła, że ma głos podobny do głosu Aleksandry. - Podejrzewam, że ma już wszędzie przerzuty, choć wciąż jest bardzo przytomny. - Stary drań - powiedziała Hilary półgłosem. Megan odwróciła się patrząc na nią groźnie. - Nie mów o nim w ten sposób. Odpokutował za swoje winy... sprowadził nas tutaj. Czego chcesz jeszcze? - Czegoś, czego nie może nam dać - odpowiedziała gniewnie Hilary. - Przeszłości... czegoś dobrego, co mogło być naszym udziałem, zamiast bólu z powodu rozłąki. - Mimo wszystko przeżyliśmy... nawet ty, Hilary. Spójrz na siebie, odniosłaś sukces, masz fantastyczną pracę, przyjemne życie. - Lecz tylko Hilary wiedziała, że było ono puste i samotne. Nie było nikogo, kto by ją obchodził, ani nikogo, kto troszczyłby się o nią. Przynajmniej tak sądziła. W trakcie ich rozmowy w drzwiach stanął John Chapman. Przedtem taktownie usunął się na bok, ale podejrzewał, że będą rozmawiały do późna w nocy. Musiały rozwiązać wiele spraw i wiele się o sobie nawzajem dowiedzieć. Jego praca dobiegła końca. - Czy zobaczymy cię jeszcze, John? - spytała pierwsza Aleksandra. John z gorzkim uśmiechem pokręcił przecząco głową. - Chyba że będziecie chciały kogoś odszukać, ale mam nadzieję, że już nigdy nie będziecie musiały. Moja praca jest skończona. - A potem dodał miękko: - Będzie mi was brakowało. - Te trzy kobiety towarzyszyły mu od miesięcy, gdy szukał ich, tropił je i poznawał. Nagle uświadomił sobie, że najbardziej będzie mu brakowało Hilary. Tak bardzo cierpiał nad jej przeszłością, a poznał ją o wiele za późno, by jej pomóc. - Życzę wam wszystkim powodzenia. - Dziękujemy. - Wstały, by uścisnąć mu dłoń na pożegnanie. Megan z nieśmiałym uśmiechem pocałowała go delikatnie w policzek. Naprawdę go polubiła. - Jeśli znajdziesz się w Kentucky, zadzwoń do mnie. - Jak długo tam będziesz? - spytał nie mając ochoty rozstawać się z nimi. Megan znów uśmiechnęła się do niego. Jej rude włosy miały dokładnie ten sam odcień co włosy Aleksandry i ich matki. - Kończę praktykę w grudniu, ale mam zamiar tam zostać. Rodzice jeszcze o tym nie wiedzą - wzruszyła ramionami śmiejąc się wesoło i znów wyglądała bardzo młodzieńczo - ale myślę, że coś podejrzewają, przynajmniej ojciec. On wie, jaka ze mnie wariatka. - Uśmiechnęli się ciepło do siebie. Teraz z kolei Aleksandra uściskała Johna. - Dbaj o siebie. - Matkowała

każdemu; John poczuł wielkie wzruszenie, gdy poklepała go po ramieniu i powiedziała: - Dziękuję ci za wszystko. - Nie daj się już nigdy namówić na ufarbowanie włosów... wyglądasz pięknie... - Dziękuję - Aleksandra zarumieniła się. Hilary wyciągnęła rękę i podziękowała mu niezręcznie. - Przykro mi, że byłam dla ciebie taka niemiła wtedy, u mnie w biurze... próbowałam dać sobie z tym wszystkim radę... - A potem, z wielkim wysiłkiem, cicho dodała: - Ale cieszę się, że tu jestem. - Popatrzyła na siostry oczami pełnymi łez i znów odwróciła się do Johna. Wtedy on nieoczekiwanie przyciągnął ją do siebie i wziął w ramiona marząc, by mogli tak pozostać na zawsze. Tak wiele należało się jej od życia. - Wszystko już będzie dobrze, Hilary... będzie dobrze... Jego głos obudził w niej coś, co przez wiele lat było martwe, i niechętnie uwolniła się z jego ramion. Nieśmiało spojrzała mu w oczy. - Odwiedz mnie kiedyś w biurze. - Bardzo chętnie. Może pójdziemy na lunch? Skinęła głową, nie będąc w stanie wykrztusić z siebie słowa. Musiała się odwrócić, gdyż jej twarz znów zalała się łzami. Po tylu latach całkowitej samotności nagle znalazła się wśród ludzi, których kochała i którzy zdawali się tę miłość odwzajemniać. Tym razem Aleksandra przytuliła ją do siebie i głaskała po włosach. Odprowadziły Johna na dół i pomachały mu na pożegnanie, a potem wróciły na górę. Hilary w swoim pokoju przebrała się w nocną koszulę. U Aleksandry, mieszkającej obok, zastała już Megan; rozmawiały o Kentucky i południu Francji, a także o tym, czy Megan chce mieć dzieci. Megan nie była pewna, może przeszkadzałyby jej w pracy, a Aleksandra mówiła, że córki to największa radość jej życia. Hilary, siedząc w bujanym fotelu, przysłuchiwała się siostrze i myślała, jakie to zdumiewające, że znów są razem i rozmawiają tak, jakby nigdy ich nie rozdzielono. - Ja nigdy nie chciałam mieć dzieci i nie żałuję tego - skłamała Hilary, powracając na moment myślami do aborcji. - Zresztą, nie wiem, może chciałam, gdy byłam młodsza. Teraz i tak za późno. - Ile masz lat? - Megan zmarszczyła czoło. Zapomniała. Ona sama miała trzydzieści jeden, a Hilary była starsza o... - Trzydzieści dziewięć. - W dzisiejszych czasach większość kobiet decyduje się na pierwsze dziecko dopiero w twoim wieku. Przynajmniej w tej części świata. - Uśmiechnęła się. - Tam, gdzie pracuję, dwunasto- i trzynastoletnie dziewczynki rodzą dzieci, a nierzadko jeszcze młodsze. - To był całkiem inny świat niż ten stary, komfortowy dom w Connecticut i życie, jakie siostry wiodły tam, gdzie mieszkały. Nieoczekiwanie wybuchnęła śmiechem. - Czy to nie zaskakujące, że jesteśmy tak różne, a jednocześnie tak podobne? Ja mieszkam w górach Kentucky, ty - zwróciła się do Aleksandry - w pięknym domu w Paryżu, jakimś zamku gdzie indziej i willi na południu Francji, a ty - popatrzyła na Hilary - właściwie kierujesz wielką siecią telewizyjną. Czyż to nie wydaje się wam nieprawdopodobne? - Byłoby jeszcze bardziej niezwykle, gdybyśmy miały okazję spotkać się dwadzieścia pięć lat temu. Mnie wtedy nie wiodło się tak dobrze. - Jakie było wtedy twoje życie? - Megan spytała wreszcie o to, co obydwie z Aleksandrą chciały wiedzieć. Przez następne dwie godziny Hilary, cała we łzach, opowiadała im swoją historię. Nie pominęła niczego, żadnego najtragiczniejszego i najbrutalniejszego szczegółu. Podzielenie się z siostrami swoim życiem bardzo jej pomogło. Gdy były małe, ochraniała je i opiekowała się nimi, a teraz to one ją pocieszały. Aleksandra nie wypuściła dłoni Hilary nawet wtedy, gdy przyszła kolej na Megan. Megan opowiedziała o strajkach okupacyjnych w Missisipi i o tym, jak pewnej deszczowej nocy we wschodniej Georgii jej

ojciec został postrzelony. Mówiła, jak uczciwymi ludźmi byli jej rodzice, z jakim zaangażowaniem oddawali się idei, w którą wierzyli, i jak bardzo ich kochała. A potem Aleksandra opowiedziała im o Margaret i swym zmarłym ojcu, o życiu z Henrim i swoich obawach, że się z nią rozwiedzie. - Będzie cholernym głupcem, jeśli to zrobi - Hilary odrzuciła swe czarne włosy na plecy gestem, który wywołał w Aleksandrze wspomnienia. - Ma obsesję na punkcie swego drzewa genealogicznego, a musicie same przyznać, że nasze pochodzenie jest nieco egzotyczne jak na potrzeby człowieka pokroju mojego męża. - Wszystkie trzy wybuchnęły śmiechem. Rozmowa trwała aż do wschodu słońca. Poszły do łóżek ziewając; całowały się i ścisnęły przed rozstaniem. Spały aż do południa. Pierwsza wstała Aleksandra. Zadzwoiła do matki i dzieci, ale dowiedziała się, że wyszły z hotelu, zostawiła im więc wiadomość, że jest cała i zdrowa i że wraca w niedzielę wieczorem. Miała ochotę zatelefonować także do Henriego, ale nie wiedziała, co mu powiedzieć. Wróciła do swego pokoju, wzięła prysznic i ubrała się. Kiedy zeszła ponownie na dół, zastała tam Megan, ubraną w czyste dżinsy i białą bluzkę, z wstążką we włosach. Wyglądała raczej na małą dziewczynkę niż lekarza i Aleksandra jej to powiedziała. Siedziały przy kawie i grzankach gawędząc na różne tematy, gdy przyszła jedna z pielęgniarek, by powiedzieć im, że Arthur miał bardzo ciężką noc. Usłyszawszy to Megan poszła na górę. Na schodach minęła się z Hilary, ubraną w szorty i jedwabną bluzkę. Czarne włosy ciasno ściągnęła w kok i była boso. Wyglądała znacznie młodziej niż poprzedniego wieczoru i Aleksandra uświadomiła sobie, że to dotyczy ich wszystkich. Podróż w przeszłość sprawiła, że cały ten ciężar, który je postarzał, spadł z ich barków. Ona sama obawiała się jedynie decyzji Henriego i tego, że jeśli on się z nią rozwiedzie, nikt inny już jej nie pokocha. Ale nawet jeśli tak się stanie, miała przecież Margaret i dziewczynki, a teraz jeszcze te dwie kobiety - jej siostry. Możliwość rozwodu przestała ją przerażać. Już od dawna nie czuła się tak dobrze, wolna od wszelkich obaw. - Nie sądzisz, że wczoraj późno poszliśmy spać? - Hilary z uśmiechem wolno popijała kawę. - Co będziemy dzisiaj robiły? Jeśli nie będziemy uważać, do jutra wieczór zagadamy się na śmierć. - Obie wybuchnęły śmiechem. Aleksandra popatrzyła na siostrę z troską. - Ty też wracasz jutro wieczorem? - Ona sama miała taki zamiar. Nie chciała zostawiać matki i dziewczynek zbyt długo samych. Obiecała, że spędzi z nimi tydzień w Nowym Jorku, poza tym wiedziała, że w końcu wnuczki zmęczą babcię. - Muszę - odpowiedziała Hilary. - W poniedziałek rano mam kilka ważnych spotkań. A kiedy ty wyjeżdżasz? - Jutro wieczorem do Nowego Jorku. Zostawiłam u Pierre'a matkę z Axelle i Marie-Louise. Myślę, że do jutra wieczór zdąży się, biedna, załamać, choć ma do nich świętą cierpliwość. Ale one są dość męczące - przerwała na chwilę, myśląc o Margaret i jej obawach, związanych z tym spotkaniem. - Chyba powinnam wrócić, by ją uspokoić. Bała się, że przestanie ją kochać, gdy spotkam siostry, tak jakby naprawdę nie była moją matką. Należy jej się to małe zapewnienie. Hilary z uśmiechem skinęła głową. - Możemy jechać razem, jeśli chcesz. A może byśmy zjadły razem lunch lub kolację w następnym tygodniu?... - Spojrzała na Aleksandrę z nadzieją, jak nieśmiała dziewczynka, która zyskała nową przyjaciółkę. Oczy Aleksandry rozjaśniły się w odpowiedzi. - Bardzo bym chciała. I poznasz dziewczynki! Spędzimy w Nowym Jorku cały tydzień. - A potem, Henri de Morigny może mówić, co mu się podoba, dodała triumfująco: - Mogłabyś przyjechać

do nas do Paryża! - Wspaniały pomysł! - odpowiedziała entuzjastycznie Hilary. W tym momencie przyłączyła się do nich Megan. - Co wy dwie tu kombinujecie? - Mimo uśmiechu na jej twarzy oczy były poważne. - Parę szaleństw w Nowym Jorku - Hilary uśmiechnęła się do Megan. Młodsza siostra wciąż była dla niej "niemowlęciem". - Przyłączysz się do nas? Możesz zamieszkać u mnie. - Albo u Pierre'a z nami - zaproponowała Aleksandra. Megan jednak podjęła już decyzję. - Bardzo bym chciała. Odwiedzę was obie, jak tylko będę mogła. Teraz jednak zostanę tutaj kilka dni. Dziś wydaje się dużo słabszy - ruchem oczu wskazała pokój Arthura na górze. - Chcę tu być na wypadek, gdyby coś się stało. - A nie ulegało wątpliwości, że stanie się, i to wkrótce. Była to jedyna rzecz, jaką mogła dla niego zrobić, pierwszy i ostatni dar córki dla ojca; być przy nim w chwili jego śmierci. Później usiłowała wytłumaczyć Aleksandrze swoje odczucia, przechadzając się z nią po ogrodzie. - Jest taki wzruszający... i taki kruchy... jakby go już nie było. Wiem, że Hilary go nienawidzi, ale ja nie mam do niego żalu. Miałam dobre życie, kocham ludzi, których zawsze uważałam za swoich rodziców... on jest dla mnie jakby spóźnionym prezentem, kimś, kto kiedyś mógł dla mnie znaczyć wiele, ale teraz jest już na to za późno. Za późno na cokolwiek, mogę jeszcze tylko powiedzieć mu "żegnaj" i pomóc odejść. Będę szczęśliwa, jeśli to mi się uda. - Wobec tego tak właśnie powinnaś postąpić, Megan - Aleksandra uśmiechnęła się. Młodsza siostra przypominała jej córki. Tego wieczoru kolacja upłynęła im spokojnie. Gospodyni była niezwykle taktowna i nie narzucała im swej obecności. W końcu rozmowa zeszła na Johna Chapmana. - Kiedy wdarł się do mojego biura, myślałam, że chce mnie pobić - Hilary roześmiała się. Na twarzy Aleksandry pojawił się rumieniec, co często jej się zdarzało. - Pomyślałam, że jest bardzo przystojny, gdy go zobaczyłam po raz pierwszy. - Ja też - wyznała Megan i trzy kobiety roześmiały się jak młode dziewczyny, rozmawiające o chłopcach. Potem zastanawiały się, jaka może być jego żona. - Wydaje mi się, że wspomniał coś o rozwodzie - Aleksandra zmarszczyła czoło usiłując przypomnieć sobie dokładnie, lecz Hilary wzruszyła tylko ramionami. Przez całe lata nie otwierała serca dla nikogo, a teraz wystarczyło jej, że zrobiła to dla swych sióstr. Miały za sobą wyczerpującą dobę, ale wreszcie wróciły do domu. Ich statek zawinął bezpiecznie do portu. Rozdział Xxxi Następnego dnia trzy siostry długo rozmawiały siedząc na werandzie przed domem. Przyrzekły, że będą się wzajemnie odwiedzać i pisać do siebie. Przy pożegnaniu wszystkie trzy płakały. Hilary i Aleksandra odjeżdżając machały ręką do Megan, dopóki nie straciły jej z oczu. Megan obiecała, że zatrzyma się w Nowym Jorku w drodze powrotnej do Kentucky, by pójść z nimi na kolację. Przed wyjazdem Aleksandra na palcach weszła do pokoju Arthura, chcąc się z nim pożegnać, lecz Megan wstrzyknęła mu środek uspokajający i spał. Otworzył jedno oko i uśmiechnął się do swego gościa, choć najwyraźniej nie ją widział przed sobą, a potem znów zasnął. Hilary stojąc w drzwiach przyglądała się tej scenie bez słowa. Nie miała mu już nic więcej do powiedzenia. Długą chwilę patrzyła na niego w milczeniu, a potem odwróciła się i zeszła na dół, by razem z Aleksandrą odjechać. - Myślisz, że wkrótce umrze? - spytała Aleksandra, gdy jechały do Nowego Jorku. Budził w niej współczucie, taki samotny i chory, i cieszyły ją, że Megan z nim została. - Prawdopodobnie. Zrobił to, o co mu chodziło. - Hilary nie mówiła o nim z czułością, ale przynajmniej w jej głosie nie było już

gniewu. Do hotelu dotarły tuż przed kolacją. Aleksandra nalegała, by Hilary weszła na górę i poznała Margaret i dziewczynki. W końcu Hilary - po tysięcznych wymówkach, że nie jest odpowiednio ubrana, że jest późno... gdy tymczasem bała się, że nie spodoba się rodzinie Aleksandry - uległa namowom siostry. Wyglądały jak dwie dziewczynki wracające z letniego obozu, z lekko zmierzwionymi włosami, swobodne i szczęśliwe. Aleksandra otworzyła drzwi swoim kluczem i słyszała, jak Hilary wstrzymuje oddech na widok biegnącej ku nim Axelle. - Witaj, kochanie... spójrz tylko, kto ze mną przyjechał!... - Aleksandra zachowywała się tak, jakby przywiozła świętego Mikołaja. Axelle zatrzymała się, patrząc na wysoką, ciemnowłosą kobietę, która otwarcie płakała. - Kto to jest? - To moja siostra - powiedziała Aleksandra przez łzy, biorąc Hilary za rękę. - Nie widziałyśmy się bardzo, bardzo długo. Mam jeszcze jedną siostrę, Megan... ale dzisiaj nie mogła tu z nami przyjechać. To jest twoja ciocia Hillie - głos Aleksandry był cichy i spokojny. Axelle podeszła do nich ostrożnie, a Hilary otworzyła ramiona i zaczęła szlochać. Mogła jedynie szeptać słowa z przeszłości... - Och, Axie... Potem podeszła Marie-Louise i uroczyście ją pocałowała. Nawet Hilary zauważyła, jak bardzo dziewczynka jest do niej podobna. Wyglądały jak matka z córką, gdy trzymając się za ręce stanęły przed Margaret. - Mamo, to jest Hilary... Hilary, to jest moja matka, Margaret de Borne... - I wtedy wszystkie trzy rozplakały się, a Margaret objęła Hilary jak córkę. - Jak się masz? Czy obie dobrze się czujecie? Tak się o was martwiłam! Aleksandra uśmiechając się wytarła oczy. Hilary zrobiła to samo, a potem popatrzyła na dziewczynki. - Jesteśmy wariatki, prawda? Ale od tak dawna nie widziałam waszej mamy... - Dlaczego? - dla dziewczynek cała ta sprawa była dość zagmatwana. Aleksandra usiadła i wzięła na kolana Axelle, patrząc na Marie-Louise, matkę i Hilary. - Dawno temu przydarzyło się nam wiele smutnych rzeczy; miałam wtedy pięć lat, byłam trochę młodsza niż ty, Axelle. Od tamtej pory nie widziałyśmy się ani razu. Hilary wychowywała się w różnych smutnych miejscach. Bardzo za sobą tęskniłyśmy, ale aż do dzisiaj nie udało nam się ze sobą spotkać. - Aha - powiedziała Axelle, jakby teraz wszystko już rozumiała, a Marie-Louise poważnie skinęła głową. Axelle nareszcie mogła powiedzieć o czymś, co było dla niej bardzo ważne. - Wczoraj byliśmy w Zoo w Bronksie, a potem widziałyśmy w teatrze rewiowym Radio City! - Roześmiały się wszystkie, a Margaret zamówiła szampana. Kiedy Aleksandra kładła dzieci spać, Margaret cicho powiedziała Hilary, jaką ulgę odczuła słysząc, że ich spotkanie udało się. Przyznała, że ogromnie się niepokoiła. - Aleksandra bardzo panią kocha - pocieszała ją Hilary, zaskoczona, że już polubiła tę kobietę. Była przyjazna dla ludzi, miała klasę i wspaniałe poczucie humoru. - Opowiadała nam wiele o pani i swoim ojcu. Nic nigdy nie zmieni jej uczucia do pani, ani tego, co pani dla niej zrobiła. Dla niej zawsze będziecie rodzicami. Margaret słuchając tych słów znów miała twarz mokrą od łez i z wdzięcznością pogładziła dłoń Hilary. - A Henri? Czy wspominała o nim? - Hilary skinęła głową. - Nie odezwał się od naszego wyjazdu. Bardzo źle przyjął, to był dla niego duży wstrząs. Uważam, że niepotrzebnie mu powiedziałam. - Myślę, że chce, by ją akceptowano taką, jaka jest. To dla niej bardzo ważne. Rozumiem ją. Będzie musiał się z tym pogodzić. Tak samo jak my wszyscy - powiedziała rzeczowo Hilary. Margaret uśmiechnęła się ze smutkiem. - Nie znasz jej męża. - O co chodzi? - Aleksandra położyła wreszcie dziewczynki spać mimo ich gwałtownych protestów, że chcą jeszcze posiedzieć

z ciotką. Musiała im obiecać, że spotkają się z nią następnego dnia. - Dziewczynki chcą jutro zjeść z tobą lunch. Czy masz czas? - Dla ciebie? Do diabła, tak! - Hilary uśmiechnęła się szeroko. Nie mogła się doczekać, by pokazać dziewczynkom swoją stację telewizyjną, pójść z nimi na lunch, a potem do "21" na kolację. Nagle okazało się, że jest czyjaś ciotką, i była zdumiona, że to takie przyjemne uczucie. Margaret z uśmiechem słuchała, jak siostry układają plany na następny dzień. Przy pożegnaniu ucałowała Hilary jak córkę. Potem spojrzała w oczy Aleksandrze. - Jesteś szczęśliwa, prawda, kochanie? Aleksandra skinęła głową. - Tak, mam. Spotkanie z nimi wiele dla mnie znaczyło, więcej, niż przypuszczałam. Jestem zadowolona, że tu przyjechałyśmy. - Mocno objęła matkę. - I jestem taka szczęśliwa, że ty jesteś ze mną. - Ja także. - Starsza z kobiet siłą powstrzymywała łzy. Ostatnio obie za dużo płakały. Potem Aleksandra opowiedziała jej o Megan. - To musiał być wielki szok dla pana Pattersona. - Sama była tym przejęta. - Tak. Myślałam, że tego nie przeżyje. Megan ma zostać z nim przez kilka dni. Uważa, że to długo nie potrwa. - To smutne, ale może Hilary miała rację. Osiągnął swój cel, i teraz już może w spokoju odejść, trzymając za rękę swoją córkę. Rozdział Xxxii Następnego dnia Margaret nie poszła z nimi na umówiony lunch. Chciała, by Aleksandra i Hilary spędziły ten czas z dziećmi, i powiedziała, że ma jakieś sprawy do załatwienia. Hilary i Aleksandra bawiły się świetnie z Axelle i Marie-Louise. Po wielu kombinacjach Hilary udało się nawet wziąć sobie wolne popołudnie i poszły do parku, potem do hotelu Plaza na podwieczorek, gdzie przy okazji zwiedziły salę Eloise. Gdy dziewczynki chrupały herbatniki, Aleksandra i Hilary dumały nad tym, co by było, gdyby ich rodzice nie umarli i wiodli dalej swoje komfortowe życie na Sutton Place w Nowym Jorku, a ich ojciec, wielki aktor, zabierałby je często na podwieczorek do Plaza. - Chyba nigdy nie dowiemy się, jak by to było, prawda, Axie? Ale teraz też nie jest nam źle - powiedziała Hilary z uśmiechem. Pieszko poszły do hotelu, gdzie wieczorem zjadły razem kolację. Hilary wróciła do domu kompletnie wyczerpana. Nie była przyzwyczajona do dzieci i chociaż jej siostrzenice były rozkoszne, zmęczyła się bardziej niż przez cały dzień w pracy. Wchodząc do mieszkania usłyszała dzwonek telefonu. Zdziwiła się, gdy w słuchawce zabrzmiał głos Johna Chapmana. Przed godziną dzwoniła do niego Megan. Arthur umarł spokojnie, we śnie. Pogrzeb miał się odbyć za dwa dni w Connecticut. Megan zostawała tam do pogrzebu, potem wracała do Kentucky. - Myślałem, że może chcesz wiedzieć. Chętnie tam z tobą pojedę. - Zastanawiała się nad jego słowami długą chwilę, a potem podjęła decyzję. - Chyba nie, John. Nie jestem tam potrzebna. - Podejrzewała, że Aleksandra pojedzie, ale to była inna sprawa, jej siostra miała inny charakter. - Wciąż czujesz gniew? - Nie wiem, nie jestem jeszcze pewna. W każdym razie mam to już za sobą. Po prostu nie uważam, że muszę tam pojechać. - Odpowiedź była szczera, a John z zakłopotaniem myślał, jak wdzięczny jest losowi, że dał mu nawet taki powód, by do niej zatelefonować. - Jak minął weekend? - To był najszcześniejszy weekend w moim życiu. Było cudownie. Dzisiaj spędziłam całe popołudnie z moimi siostrzenicami. Są wspaniałe, Aleksandra też. No i naturalnie, Megan... - Po chwili dodała z zażenowaniem: - Dziękuję ci za wszystko, co dla nas zrobiłeś, John. - Odczuwała większą wdzięczność do niego niż do Arthura. - Doszło do tego dzięki panu Pattersonowi. Ja tylko was odnalazłem... i myślałem o was dzień i noc... martwiłem się o

ciebie i twoje siostry... spędzałem bezsenne noce... - Zastanawiam się, czy... czy poszłabyś ze mną na lunch? Może w drugiej połowie tygodnia, po moim powrocie z Connecticut... - zachowywał się jak nastolatek, i rozbawiło go to. - Może to zabrzmi niemądrze, ale tęsknię za tobą... - Zamilkł. Hilary wzruszyła jego słowa. Nagle stała się otwarta na czułość, ból i uczucia innych ludzi. Wyczuwała w Johnie coś przyjaznego i potężnego, co w niej samej budziło nowe, nieznane uczucia. W trakcie ostatniego weekendu otrzymała dar, jakiego nie dostała przez ostatnie trzydzieści lat. Miłość sprawiała, że rozkwitła jak świeżo podlany kwiat. - Martwiłem się o ciebie. - Łatwiej przychodziło mu wyznać to przez telefon niż osobiście. - Dlaczego? - zdziwiła się. - Przecież nawet mnie nie znasz. - Mylisz się... w jakimś sensie znam cię lepiej niż większość ludzi zna swoje dzieci. - Powtarzał sobie, że jest szalony, wyznając jej to wszystko, ale nie mógł się już teraz powstrzymać. - Pewnie uważasz, że oszalałem. - Coś w tym rodzaju - wybuchnęła śmiechem. - Ale bardzo miły z ciebie szaleniec. Wydaje mi się, że za bardzo przejmujesz się swoją pracą. - Nie zawsze... tym razem tak... Kiedy możemy się spotkać? - Bardziej niż kiedykolwiek czuł się jak uczeń, a ona uśmiechała się słuchając jego słów. - Czy czwartek ci odpowiada? - Wspaniale. - A gdyby coś wypadło, odwoła wszystko, nawet spotkanie z Aleksandrą. - Wiesz, gdzie jest moje biuro? - Oboje wybuchnęli śmiechem. - Przyjadę po ciebie kwadrans po dwunastej. Jeśli się spóźnię, nie denerwuj się. Czasem mam kłopoty z wyjściem z biura. - Ale Hilary, w przeciwieństwie do Sashy, rozumiała to dobrze. Często sama miała ten problem. - Nie martw się. Będziemy mieli wielkie szczęście, jeśli nie ugrzęznę na jakimś zebraniu. Postaram się jednak wyjść o dwunastej, nawet jeśli trzeba będzie wyrzucić z pracy parę osób - zażartowała. John z uśmiechem odkładał słuchawkę. Już teraz nie mógł doczekać się tego spotkania. Rozdział Xxxiii Tak jak podejrzewała Hilary, Aleksandra pojechała na pogrzeb Arthura; zrobiła to głównie dla Megan. Do Nowego Jorku wróciły razem z Johnem. Tego wieczoru trzy siostry jadły po raz ostatni razem kolację, gdyż o północy Megan wracała do Kentucky. Poznała Margaret i dziewczynki; spędziły kolejny miły wieczór w swoim towarzystwie, chociaż Megan była cicha i spokojna. Miała za sobą niezwykle tydzień. Odnalazła ojca, którego nie знаła i który umarł w jej ramionach zaledwie kilka dni później, jednak największym darem, jaki jej pozostawił, były siostry. Rozmawiały o domu, który Arthur dla nich przeznaczył, i o tym, co z nim zrobić. Do czasu, kiedy wszystko ustala, miała tam mieszkać gospodyni. Arthur zostawił fundusze wystarczające na utrzymanie całej posiadłości, reszta zaś jego majątku miała być podzielona na trzy równe części. Nie pozostawił żadnych krewnych. Aleksandra chciała, by wszystkie spędziły w Connecticut następane lato. - Mogłybyśmy jeździć tam co roku! Zrobić z tego tradycję! Megan odpowiedziała uśmiechem na ten wybuch entuzjazmu starszej siostry i zapytała: - Czy mogę przywieźć paru moich farmerów? - Czemu nie? - Hilary wyglądała bardzo tajemniczo. Cieszyła się na jutrzejsze spotkanie z Johnem, ale nie zwierzyła się z tego żadnej z sióstr. Czułaby się zażenowana, poza tym obawiała się, że poznają po niej, jak bardzo go lubi. O jedenastej odwiozły Megan na lotnisko, a potem Hilary i Aleksandra wróciły do miasta. Hilary podrzuciła młodszą siostrę do hotelu, a sama pojechała do domu. Obie były wyczerpane wrażeniami ostatniego tygodnia. Aleksandra marzyła o wcześniejszym pójściu do łóżka. Światło w jej pokoju świeciło się,

choć drzwi były zamknięte. Najwyraźniej Margaret już się położyła, ale Aleksandra słyszała, że ktoś chodzi po jej pokoju. Chwilę stała pod drzwiami. Nagle drzwi otworzyły się i ze zdumieniem zobaczyła w nich swojego męża. Przyjechał przed kilkoma minutami, a Margaret, przywitawszy się z nim, roztropnie wycofała się do siebie. Henri nie wyjaśnił powodu swojego przyjazdu, przeciwnie, zachowywał się tak, jakby wszyscy wiedzieli, że ma przyjechać, i czekali na niego. - Henri? - Aleksandra miała wrażenie, że zobaczyła ducha. - Spodziewasz się kogoś innego? - Tym razem nie było to oskarżenie. Uśmiechał się do niej, a ona przyglądała mu się oszołomiona. - Naturalnie mam nadzieję, że nie. Czy dzieci czują się dobrze? - Bardzo dobrze, dziękuję. Świetnie się bawimy. - Tak, twoja matka mi mówiła. Widziałem się z nią zaraz po przyjeździe. - Aleksandra nie była już w stanie dłużej czekać na rozwiązanie tej zagadki. Dlaczego przyjechał? Po co? Jaką groźbę rzucił jej teraz w twarz? To dziwne, ale obawiała się tego o wiele mniej niż w przeszłości. Obserwowała go ostrożnie, wciąż stojąc w progu. Henri usiadł sącząc szampana. - Masz ochotę na lampkę? - nonszalanckim gestem podał jej kieliszek. Dla Aleksandry jego zachowanie było kompletnie niezrozumiałe. - Nie, dziękuję, Henri. Dlaczego przyjechałeś? - spytała chłodno. - Żeby zobaczyć się z tobą... i z dziećmi... - mówił ostrożnie, jakby nie całkiem pewny, co powiedzieć. - Uważam, że musimy porozmawiać - spojrzał na nią z troską. - Mogłeś zatelefonować. - Patrzyła na niego zimnym wzrokiem, broniąc się przed bólem, który z pewnością jej zada. - Wolałabyś? - spojrzał na nią z takim smutkiem, że serce zaczęło jej pękać, chociaż dalej nie wyciągała do niego ręki. Obawiała się, że ją odrzuci. Może przyjechał, by jej powiedzieć, że wystąpił o rozwód. Chciała wiedzieć. - Po prostu nie rozumiem, po co tu przyjechałeś. Wstał, odstawił kieliszek i wolno ruszył ku niej. - By cię zobaczyć, ma chérie. Chociaż czasem trudno w to uwierzyć, bardzo cię kocham... bez względu na to, kim jesteś... - i dodał niepewnie - ...lub kim się stałaś. - Na jego twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech. - Widzę, że znów masz rude włosy. Ten kolor nie jest tak krzykliwy, jak sądziłem. - Patrzył jej w oczy, jakby szukając w nich czegoś, co miał jeszcze nadzieję tam znaleźć, jeśli tym razem nie zniszczył tego zupełnie. - Historia twojej rodziny była dla mnie wielkim szokiem. Myślę, że byłaby szokiem dla każdego... i przyjechałem nie po to, żeby ci powiedzieć, że się zmieniłem, że nie będę już wymagający, że przestanę zmuszać cię do chodzenia na kolację do Elysee... ale po to, by ci powiedzieć, że akceptuję cię taką, jaka jesteś... jeśli ty zaakceptujesz mnie... - W jego oczach lśniły łzy. Aleksandra przyglądała mu się w zdumieniu. To był ten mężczyzna, o którym sądziła, że ją nienawidzi... a on mówił, że ją kocha. - Kocham cię bardzo i chcę, byś wróciła do domu... za kilka dni... a jeśli chcesz, zostanę tu z tobą... - Przyciągnął ją do siebie i wziął w ramiona. Wiedziała, że on nigdy się nie zmieni, przyjechał jednak do niej z otwartymi ramionami i za to należało mu się wiele. Należało mu się jej życie. Podniosła ku niemu swą twarz rozjaśnioną łagodnym uśmiechem. - Wiesz, podobają mi się twoje włosy... - przeczesywał palcami rude pasma i nagle roześmiali się oboje. Może wszystko zmieniło się w wystarczającym stopniu... może... a jeśli nawet nie, była z nim czternaście lat... na dobre i złe... i nie miała zamiaru teraz zmieniać swojego życia. Zamknął drzwi i z uśmiechem wziął żonę w ramiona. Był zadowolony, że odbył tę podróż, a gdy poczuł na sobie łagodny dotyk jej dłoni, zyskał całkowitą pewność, że był to słuszny krok. Rozdział

Xxxiv Ich ostatni wspólny wieczór w Nowym Jorku był radosny i smutny zarazem. Na kolację umówili się w Cote Basque. Henri i Aleksandra wzięli ze sobą dziewczynki, przyszła też Margaret, ulegając prośbie córki. Hilary zapowiedziała, że przyprowadzi przyjaciela. Aleksandrze wydało się to trochę niezwykle, lecz nie śmiała wypytywać siostry. Kiedy przekonała się, że tym przyjacielem jest John Chapman, ucieszyła się. Lubiała go zawsze; czuła też, że John, prezentujący się doskonale w ciemnym garniturze, swoją inteligencją, spokojem i dobrymi manierami bardzo przypadł do gustu Henriemu. Towarzystwo bawiło się świetnie, słuchając śmiesznych historyjek opowiadanych przez Margaret. Nawet Henri uległ ogólnemu nastrojowi i pozwolił dziewczynkom napić się szampana. Wieczór stanowił wspaniałe ukoronowanie całej podróży; wychodząc z restauracji wszyscy ściskali się i całowali, jakby mieli się już nigdy nie zobaczyć, chociaż Hilary i John postanowili, że następnego dnia odwiozą Aleksandrę i jej rodzinę na lotnisko. Scena na lotnisku należała do klasycznych. Mała Axelle taszczyła dwie ogromne lalki, Marie-Louise ściskała kurczowo nowy magiczny zestaw, naturalnie od cioci Hillie, trofea Aleksandry, zdobyte u Bergdorfa i Bendela, zdawały się nie mieć końca, a sterta toreb podróżnych od Louisa Vuittona, należąca do Margaret, wyraźnie wzrosła w ciągu tych dziesięciu dni. Henri usiłował zachować kontrolę nad tym wszystkim, pilnując biletów i ratując paszporty z szybkich rączek Axelle. Tymczasem Hilary i Aleksandra rozmawiały w pośpiechu; przyrzekły, że niedługo znów się zobaczą. Hilary myślała o spędzeniu z nimi Bożego Narodzenia w St. Morritz, jeśli Megan nie przyjedzie w tym czasie do Nowego Jorku. W takim wypadku pojechałaby do Francji wiosną. W końcu jednak, pomimo tych wszystkich słów i gorączkowych rozmów, nadszedł moment ostatecznego rozstania. Margaret, nie przestając machać do Hilary, prowadziła dziewczynki do samolotu. Na parę chwil siostry zostały same, John i Henri stali opodal gawędząc na błahe tematy. Nagle Hilary spojrzała w oczy Aleksandry i płacząc, wyciągnęła do niej obie ręce. - Axie, nie mogę się znów z tobą rozstawać... - słowa dławili ją. Aleksandra mocno tuliła ją do siebie. - Wiem... obiecaj mi, że będziesz o siebie dbała. - Płakały obie, a Hilary myślała, że tym razem nie pozwoli jej odjechać. Jakby znów wrócił tamten moment, rude loki, mała dziewczynka w jej ramionach... - Axie... kocham cię... Axie, ja... - Przytulona do siostry, słyszała echa słów sprzed wielu lat. - Zobaczymy się wkrótce, zadzwonię do ciebie zaraz po przyjeździe - mówiła gorączkowo Aleksandra. Henri wołał ją do samolotu, wiedziała, że już musi iść. Za sekundę zamkną drzwi, a ona nie mogła tak zostawić siostry. I wtedy cicho podszedł do nich John, łagodnie je rozdzielił i wziął szlochającą Hilary w swoje silne ramiona. - Szczęśliwej podróży, Aleksandro. Wkrótce się zobaczymy - powiedział spokojnie. Aleksandra odeszła wolnym krokiem. Oczami pełnymi łez po raz ostatni popatrzyła w ogromne oczy Hilary, na jej śmiertelnie bladą twarz ponad ramieniem Johna i uśmiechając się smutno pomachała jej na pożegnanie. Hilary odprowadzała ją wzrokiem, a z jej ust wydobywał się ten sam co wtedy szept. - Do widzenia, Axie! - Na jej zalanej łzami twarzy pojawił się uśmiech, gdy Aleksandra i Henri zniknęli w samolocie. - Już dobrze, dziecinko... - szeptał John do Hilary, trzymając ją mocno w ramionach, a ona, po raz pierwszy w życiu, poczuła się bezpiecznie. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się. -

Wszystko w porządku, Hilary... - Obejmował ją mocno i wiedziała, że mówi prawdę. -
Wszystko już teraz będzie dobrze.

1/ 1